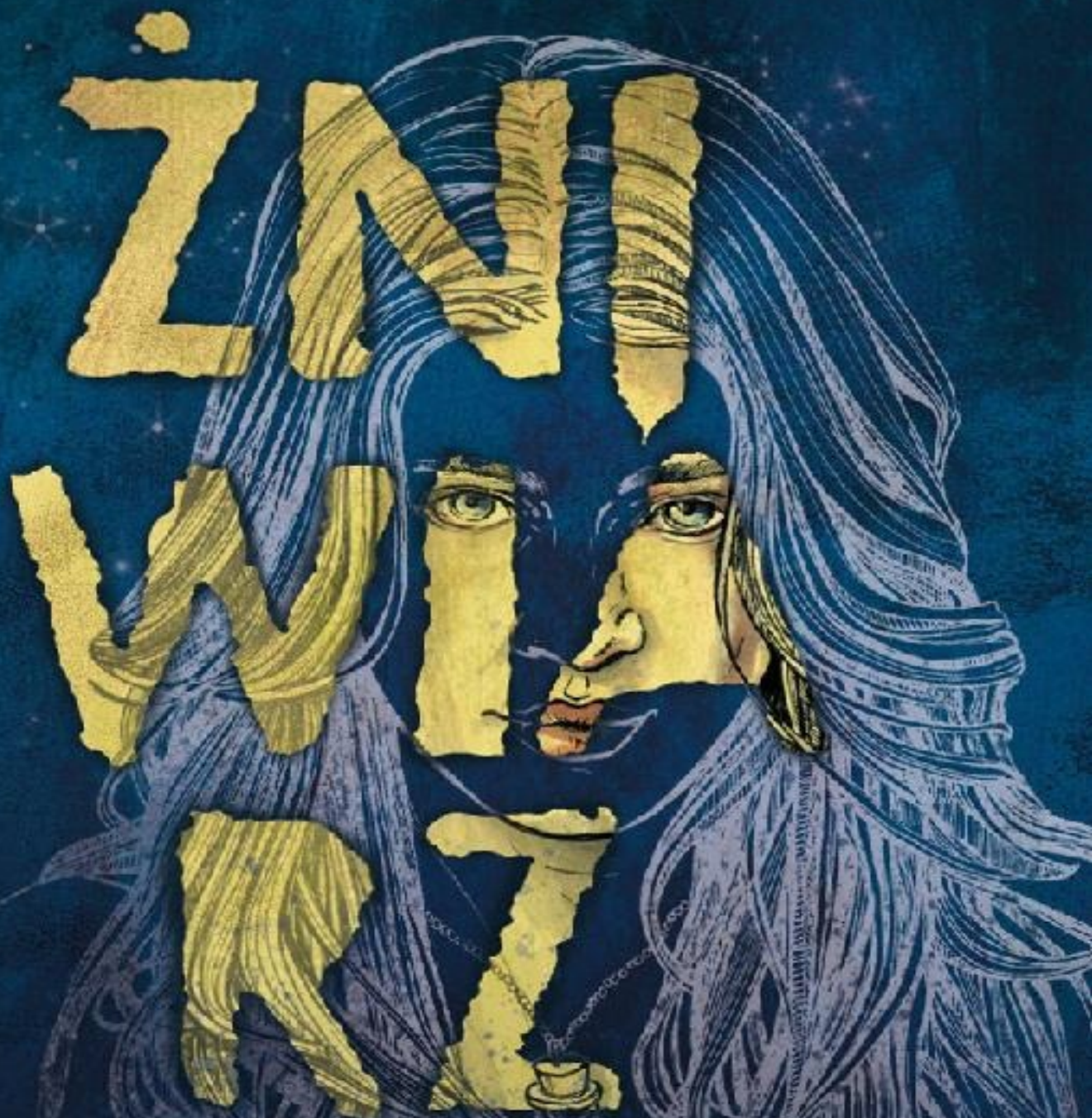


PAULINA HENDEL



# PUSTA NOC

Boicie się ciemności? Wierzyacie w przeczucia, znaki i przepowiednie?  
Ta książka jest dla was!

**Maja Lidia Kossakowska**

ŻNIWIARZ

PUSTA NOC



PAULINA HENDEL

# ŻNIWIARZ

PUSTA NOC



**IV** CZW  
ARTA  
STRO  
NA

Copyright © Paulina Hendel, 2017

Copyright © Wydawnictwo Poznańskie sp. z o.o., 2017

Redaktor prowadząca: Milena Buszkiewicz

Redakcja: Dawid Wiktorowski

Korekta: Alicja Wojciechowska /panbook.pl

Projekt typograficzny, skład i łamanie: Stanisław Tuchołka / panbook.pl

Projekt okładki i stron tytułowych: Anna Jamróz

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej: Dariusz Nowacki

Wydanie elektroniczne 2017

ISBN 978-83-7976-685-7

**CZWARTA STRONA**

Grupa Wydawnictwa Poznańskiego sp. z o.o.

ul. Fredry 8, 61-701 Poznań

tel.: 61 853-99-10

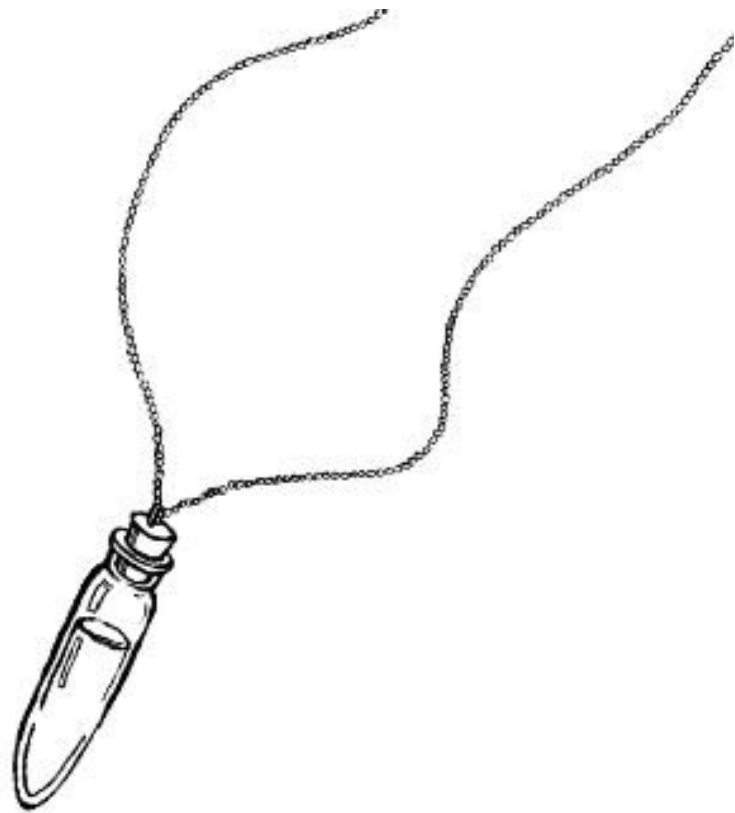
fax: 61 853-80-75

redakcja@czwartastrona.pl

www.czwartastrona.pl

*Rodzicom*

# Rozdział 1



Zegar na wieży kościelnej wybił dwudziestą. Od wielu lat spieszył się o dobrych kilka minut. Zmrok zapadł już jakiś czas temu, a świat spowija gęsta, jesienna mgła. Leniwie snuła się między drzewami i grobami, rozpraszając ciepłe pomarańczowe światło lamp ustawionych przy głównych alejkach.

Przyjaźń – miasto otaczające cmentarz z każdej strony, niczym morze bezludną wyspę – powoli zasypiało. Jedyным odgłosem, jaki dało się usłyszeć, był szelest upadających na ziemię suchych, lekko zmrożonych liści.

Piotr narzucił na siebie kurtkę, zdjął z haka gruby pęk kluczy i wyszedł z ciepłej stróżówki w zabarwioną na pomarańczowo mgłę. Zamknął wszystkie bramy i cmentarz, nim zegar wskazał kwadrans po dwudziestej. Cmentarz miejski został odcięty od świata żywych. Jedyne wciąż mocno bijące serce należało do nocnego stróża, który zapalił wygasłe znicze, zmiotł żółte liście z grobów, których nikt nie odwiedzał. Z przyzwyczajenia bardziej niż z potrzeby, mruczał pod nosem modlitwę do Michała Archanioła.

W końcu dotarł do jednego ze świeżych grobów. Mogiła była jeszcze obłożona kwiatami i wieńcami, dopiero za trzy dni miała stanąć na niej marmurowa płyta. Czarna tabliczka na drewnianym krzyżu głosiła, że w tym miejscu został pochowany czterdziestoletni mężczyzna. Piotr wiedział, że właśnie tacy najbardziej lubili wracać, zazdroszcząc ludziom życia. Obejrzał więc grób z każdej strony, ale nie zauważył niczego podejrzanego.

Minęła dwudziesta druga, kiedy Piotr wrócił do stróżówki i zaparzył sobie mocnej herbaty. Na talerzyk wyłożył ciastka, które dostał poprzedniego dnia od jednej ze staruszek. Starsi ludzie szanowali go, często przynosili jedzenie, ale niewielu chciało wdawać się z nim w pogawędkę.

Usiadł w jedynym fotelu w stróżówce i pił herbatę ze szklanki w metalowym koszyczku, rozmyślając nad życiem i śmiercią. Zapatrzył się na dużego pajaka, który utkał w kącie pajęczynę i czekał na zabłąkaną muchę. Piotr nie zamierzał go zabijać, ani wyrzucać na dwór. Nie brzydził się pajaków, żmij czy robactwa. Wszystko to żyło, miało swoje miejsce na ziemi, w przeciwieństwie do umarłych. Ich nie znosił – straszili, wysysali krew, zabijali w świetle, który już nie należał do nich. Nie mieli prawa tu być.

Piotr widywał ich, odkąd tylko pamiętał. Na szczęście nie on jeden. Jego babcia była podobna, opowiedziała mu o nich wszystko, co sama wiedziała. Nazywała ich „nawimi”, twierdząc, że to stare słowo, przedchrześcijańskiej proveniencji, oznacza trupa, zmarłego.

– Bo oni wszyscy pochodzą ze świata umarłych – mówiła. – Nieważne, czy to upiór, który powstał z grobu, czy duch będący zaledwie echem wspomnień żyjących.

Ledwie Piotr zaczął mówić, a babcia nauczyła go modlitwy do Michała Archanioła zarówno po polsku, jak i po łacinie. Przestrzegła również, aby nigdy nikomu nie opowiadał o tym, co widzi, jeśli nie chciał zostać „zamknięty u czubków”. A co najważniejsze, powiedziała, gdzie powinien udać się po pomoc, gdy sprawy będą miały się naprawdę źle.

Jesienny wieczór w stróżówce mijał powoli i przyjemnie. Stary zegar z wahadłem tykał głośno. Lodówka włączyła się z cichym buczeniem, a żarówka w lampie pod sufitem zamrugała, wywołując taniec cieni po kątach.

Gdy herbata ostygła, stróż zamoczył w niej ciastko tak, aby się nie rozpadło. Nagle po cmentarzu rozniósł się przeraźliwy, nieziemski wrzask. Ciastko wpadło do szklanki, gdy gwałtowny wiatr otworzył drzwi i trzasnął nimi o ścianę. Serce Piotra zabiło szybciej. Sięgnął drżącą ręką do szklanej miseczki pełnej suszonych ziół i nabrał całą garść mieszanki, którą wsypał do kieszeni spodni. W prawą dłoń pochwycił zaś żelazny pręt stojący za drzwiami i – zapominając o kurtce – wybiegł na zewnątrz, gdzie

wiatr pędził kłęby mgły nad grobami.

Czując zimny pot na czole i plecach, Piotr szybkim krokiem ruszył przed siebie. Doskonale wiedział, w którym kierunku iść. Dłoń trzymająca latarkę trzęsła się niczym w febrze. Dopiero po chwili mężczyźnie udało się skierować strugę światła na grób. Zastał tam okropny bałagan. Kwiaty leżały rozrzucone dookoła, częściowo przysypane ziemią. A w samym środku kopca znajdowało się niewielkie wgłębienie.

– Jezu Chryste. – Piotr przeżegnał się, nerwowo wodząc wzrokiem po otoczeniu. – Gdzie jesteś? – szepnął. Z jego ust ulatywały kłęby pary.

Piotr usłyszał szelest. Odwrócił się błyskawicznie, ale nic nie zobaczył. Miał wrażenie, że serce zaraz wyskoczy mu z klatki piersiowej. Właśnie zdał sobie sprawę z tego, że stojąc samotnie między grobami, stanowi nadzwyczaj łatwą ofiarę.

Nie zważając na to, że przydeptuje rozrzucone wokół kwiaty, ruszył z powrotem do stróżówki. Wiedział, że nie poradzi sobie sam z upiorem i musi wezwać pomoc.

Wyszedł już na główną aleję, gdy nagle dostrzegł kątem oka kształt wychodzący z cienia rzucanego przed jeden z wysokich nagrobków.

– Odejdź! – krzyknął Piotr, sięgając do kieszeni.

Chwycił garść ziół i cisnął nimi w zbliżający się powoli kształt. Nie ocenił jednak dobrze odległości i mieszanka opadła na ziemię.

Upiór wrzasnął rozdzierająco i rzucił się na mężczyznę.

Piotr w akcie desperacji zamachnął się prętem. Żelazo ześlizgnęło się po torsie stwora, który zawył z bólu.

– Odejdź! – krzyknął ponownie Piotr.

Upiór zasyczał i okrążył mężczyznę, nie spuszczając z niego wzroku. Piotr przełknął głośno ślinę, niemal czując, jak ostre zęby rozrywają mu szyję. Musiał wziąć się w garść, bo inaczej zginie, a wygłodniały potwór pożywi się jego krwią. Kilka razy machnął przed upiorem żelaznym prętem, ale nie wywarło to na nim większego wrażenia. Piotr ponownie sięgnął do kieszeni, natrafiając z ulgą na resztkę suszonych ziół. Tym razem dobrze wycelował i dmuchnął mieszanką prosto w gębę upiora, który zawył z wściekłości i umknął w cień. Piotr doskonale wiedział, że ten niedługo wróci. Zioła były tylko tymczasowym remedium.

Mężczyzna popędził do stróżówki tak szybko, na ile pozwalały mu roztrzęsione nogi. Zaczął przeszukiwać szuflady, co chwilę oglądając się za siebie. W końcu znalazł małą karteczkę z imieniem i numerem telefonu.

Nie mogąc opanować drżenia rąk, Piotr wykręcił numer na starym aparacie telefonicznym i z niecierpliwością wsłuchiwał się w sygnał w słuchawce.

– Tak? – Choć zdawało mu się, że upłynęła cała wieczność, w końcu usłyszał w słuchawce zaspany, dziewczęcy głos.

– Z tej strony Piotr Żak – starał się mówić spokojnie. – Potrzebuję pomocy Feliksa.

†

Magda, słuchając relacji Piotra, natychmiast się rozbudziła.

– Feliks przyjedzie najszybciej jak się da – obiecała. – Do zobaczenia.

Rozłączyła się, pospiesznie ubrała i wyszła z pokoju. W korytarzu zwolniła kroku, nie chcąc budzić rodziców. Po co ich martwić, skoro zdąży wrócić, zanim się obudzą?



Rękoma drżącymi z zimna i emocji, wsunęła kluczyki w stacyjkę i odpaliła silnik. Droga zajęła jej mniej niż kwadrans.

Wujek mieszkał tuż za tablicą z nazwą miasteczka Wiatrołom. Jego wielki, stary i odrobinę upiorny dom stał w pewnym oddaleniu od drogi, ukryty wśród gęstych drzew i zarośli. Mimo to wielu okolicznych mieszkańców nazywało budynek domem Addamsów i z chęcią podpisałoby się pod petycją o rozbiórkę.

Magda wbiegła po betonowych schodkach, wyjęła z murku obluzowaną cegłę, pod którą znajdował się klucz i otworzyła stare drewniane drzwi. Gdy wkroczyła w ciemny korytarz, owionął ją zapach ziół zmieszany z wonią wilgoci i pleśni. Po prawdzie mogła zadzwonić do wujka, ale on przecież prawie nigdy nie odbierał telefonów. A poza tym... miała nikłą nadzieję, że zabierze ją ze sobą.

– Co ty tu robisz? – Podskoczyła, gdy usłyszała ciche syknięcie.

– Nie strasz mnie! – oburzyła się, po czym ruszyła za ciemną sylwetką do salonu.

Feliks rzadko spał w nocy. Gdy nie pracował, godzinami przesiadywał w ciemnym pokoju.

– A więc? – zapytał.

Sądząc po odgłosach, wyjął z paczki zapałkę i potarł ją o draskę. Po chwili Magda ujrzała mały płomyk, który przeniósł się na świeczkę.

– Upiór w Przyjaźni.

– Kiedy wyszedł z grobu?

Magda zerknęła na zegarek.

– Niecałe pół godziny temu.

Feliks skinął głową i wyciągnął dłoń w stronę dziewczyny.

– Mogę poprowadzić – zaoferowała, nie chcąc rozstawać się z kluczykami od samochodu.

– Wybij to sobie z głowy – powiedział twardo.

– Jestem lepszym kierowcą – przekonywała. – Mogę nawet zostać w samochodzie przez cały czas.

Proszę.

– Z tego co wiem, jutro rano idziesz do pracy.

Magda spojrzała w ciemne oczy wujka, a potem na jego nieruchomą dłoń. Z westchnieniem żalu wręczyła mu kluczyki.

– Odwiozę cię do domu – oznajmił.

Większość drogi pokonali w milczeniu. Magda kątem oka obserwowała nieruchomą twarz wujka. Mocno zacisnął ostro zarysowaną szczękę, a jego oczy badawczo wpatrywały się w drogę. Niczego się nie bał, nigdy nie krzyczał i nie okazywał zdenerwowania, a także rzadko się uśmiechał, nie wspominając o prawdziwym, szczerym śmiechu. Ale Magda i tak go kochała i podziwiała za to, co robił. Zawsze był gotów ratować innych, nawet ryzykując własnym życiem. I nie miał pretensji, że prawie nigdy nie dziękowano mu za dobrze wykonaną pracę. Jego zajęcie było niewdzięczne, ale nie narzekał, tylko robił swoje.

– Wujku... – zaczęła dziewczyna.

– Nie, Magdaleno, to jest zbyt niebezpiecznie – odparł, nawet na nią nie patrząc.

– Ale...

– Nie zabiorę cię na cmentarz, gdzie grasuje upiór. A teraz idź spać. Możesz mnie odwiedzić po południu.

Magda wygramoliła się z samochodu.

– Jakbym mogła teraz zasnąć – mruknęła pod nosem.

Z żalem spojrzała na oddalający się samochód. Nie dość, że nie wziął jej ze sobą, to jeszcze zabrał jej środek transportu. Zrezygnowana powlekła się do swojego pokoju i rzuciła na łóżko, ale przez długi czas nie mogła jeszcze usnąć.

Feliks rzeczywiście nie był najlepszym kierowcą, ale w życiu nie zabrałby Magdy ze sobą na polowanie na upiora. Przez chwilę nawet pożałował, że wcześniej pokazał jej, jak radzić sobie z nawimi. Przez to wszystko wydawało jej się, że sama potrafiłaby sobie poradzić z jego pracą. A przecież było to śmiertelnie niebezpieczne zajęcie.

Wyjechał na główną drogę i wcisnął pedał gazu. Musiał unieszkodliwić upiora jeszcze tej nocy, zanim zrobi komuś krzywdę. Zerknął na zegar na desce rozdzielczej. Północ. Do świtu, kiedy upiór wróci do mogiły, pozostało jeszcze parę godzin.

Około drugiej w nocy zajechał na parking obok cmentarza w Przyjaźni. Miasteczko – pogrążone w głębokim śnie – było nieświadome niebezpieczeństwa grożącego mieszkańcom.

Feliks wyjął z bagażnika szpadel, trzy długie żelazne gwoździe oraz młotek. Cienki, ale mocny lniany sznur, tak stary, że już niemal czarny, owinał wokół prawej dłoni, sprawdzając, czy może swobodnie zacisnąć i rozprostować palce. Do kieszeni schował suszoną rutę.

Tak uzbrojony stanął przed bramą.

– Dobry wieczór – usłyszał.

Przez kraty spojrzął w szczerą twarz Piotra. Mężczyzna postarzał się, odkąd widzieli się ostatni raz, ale jego ruchy pozostały spokojne i przemyślane.

– Zobaczymy, czy będzie dobry – odparł Feliks, kiedy brama stanęła otworem. – Witaj. – Uścisnął dłoń Piotra. – A teraz prowadź do jego grobu.

– Jak tylko zobaczyłem tę mogiłę, wiedziałem, że mogą być z nim kłopoty – opowiadał Piotr, idąc przez cmentarz. – Nie zdążyłem jednak na różaniec do kaplicy, żeby mu się przyjrzeć. Może bym spostrzegł coś podejrzanego. Wybacz, zaniedbałem swoje obowiązki.

– Nie frasuj się tym.

– To tam. – Piotr zatrzymał się przy jednej ze ścieżek odchodzących od głównej alejki w ciemność.

Jednak Feliks miał lepszy wzrok niż zwykły śmiertelnik i mógł dojrzeć w oddali mogiłę, wokół której leżały porozrzucane kwiaty i wieńce.

– Dobrze. – Skinął głową. – Możesz wracać do stróżówki i grzać wodę na herbatę. Niedługo wrócę.

Feliks przez kilka sekund przypatrywał się oddalającemu się stróżowi, a potem ruszył w kierunku grobu. Pozbierał rozrzucone kwiaty i odłożył delikatnie na bok, a potem zaczął kopać, pogłębiając dziurę pozostawioną w samym środku mogiły.

Drażniło go to, że ludzie przestali zwracać baczną uwagę na upiory. Dawniej po śmierci delikwenta, w oczekiwaniu na pogrzeb, podczas trzech pustych nocy, zbierali się w domu nieboszczyka, jedli, pili i – co najważniejsze – szukali oznak, że po zakopaniu w ziemi zmarły stanie się upiorem. Teraz nie dawali już wiary tym „głupotom”, chcieli wyjaśniać wszystko naukowo i przestawali widzieć stwory, które wciąż miały się dobrze i nie przestawały gnębić żyjących.

W końcu Feliks dokopał się do trumny. Otworzył wieko i spojrzął na nieboszczyka. Miał lekko przymrużone oczy, spod powiek dało się dostrzec dziwne błyski, zaś policzki były nienaturalnie zaróżowione. Feliks pokręcił głową. Kiedyś ludzie od razu wiedzieliby, co z nim zrobić, zanim wylazłby z niego upiór.

– Tego się nie spodziewałeś, co? – zagadnął nieboszczyka, wyjmując z kieszeni długi gwóźdź.

Nagle usłyszał przeraźliwy, nieludzki wrzask. Zerwał się wiatr, szarpiąc koronami drzew, a na ziemię posypały się pożółkłe liście. Wtem Feliks poczuł potworny smród.

Wyprostował się gwałtownie, ale było już za późno. Obrzydliwa istota o czerwonej, zdeformowanej twarzy i chudych kończynach rzuciła się na niego, wytrącając mu z ręki gwóźdź. Mężczyzna zacisnął dłoń owiniętą sznurkiem na szyi upiora. Potwór zaczął się szarpać i machać kościstymi łapami z długimi szponami, kłapał ostrymi zębiskami, próbując dziabnąć rękę Feliksa. W klatce piersiowej upiora ziała olbrzymia, krwawa dziura, dłoniom brakowało kilka palców, a zamiast nosa z twarzy sterczał kawałek chrząstki.

– *Exorcizámos te, ómnis immúnde spíritus, ómnis satánic potéstas, ómnis infernális adversárii, ómnis légio, ómnis congregátio et sécta diabólica!* – krzyknął Feliks, lewą dłonią sięgając do kieszeni po rutę. Prawą wciąż trzymał zaciśniętą na gardle upiora.

Czuł, że słabnie – jeszcze chwila, a stwór wyrwie się z jego uścisku. Palce powoli ześlizgiwały mu się z wilgotnej od krwi szyi upiora.

Feliks z trudem dmuchnął suszonym ziołem w jego gębę, na co ten wrzasnął przeraźliwie, wyrwał mu się i znikł w mroku między grobami.

– Niech cię szlag! – mruknął Feliks, gorączkowo szukając kolejnego gwoździa pośród liści leżących na ziemi.

Miał nie więcej niż kilka sekund na unicestwienie stwora, zanim ten powróci – ruta, roślina silnie antymagiczna, odstraszała upiory na bardzo krótki czas.

W końcu palce mężczyzny zacisnęły się na metalu. Druga ręka odnalazła młotek porzucony na ziemi obok dołu.

Feliks rozejrzał się po raz ostatni, ale nigdzie nie dostrzegł upiora. Balansując nad nieboszczykiem – jedną stopą zaparł się o zamkniętą dolną część trumny, drugą oparł na krawędzi – pochylił się. Potwór z wraskiem skoczył mu na plecy i wbił ostre zęby w bark. Feliks krzyknął z bólu, sięgnął prawą dłonią za siebie i rzucił upiora.

– *Iquin nómine et virtúte Dómini nóstri Jésu Chrísti!* – krzyknął, wysypując na stwora resztę ruty. Upiór wygramolił się z grobu, a Feliks resztką sił pochwycił kamień i wbił gwóźdź w czoło nieboszczyka.

Kilka grobów dalej rozległ się przenikliwy wrzask, który zamarł już po sekundzie.

Feliks nabrał w płuca powietrza i przyłożył dłoń do bolącego barku. Na palcach oraz sznurze pozostała krew.

– Niech go diabli porwą – mruknął. – Tego się nie spodziewałem.

Wyczołgał się z grobu i stanął na chwiejnych nogach. Czuł palący ból, który promieniował na całe plecy oraz lewą rękę. Noga za nogą powlókł się do stróżówki.

Uderzył dłonią w drzwi, a te natychmiast się otworzyły. Feliks przekroczył próg i padł na podłogę.

– Mój Boże! Co się stało? – zakrzyknął Piotr, przypadając do niego.

– Odesłałem go... – szepnął resztką sił Feliks.

Jego oczy zaszyły mgłą, powieki opadły, a płuca wydały ostatnie tchnienie.

Piotr przeżegnał się i choć wiedział, że nie ma w tym większego sensu, spróbował go ocucić. Bez skutku. Jad upiora to paskudna trucizna – nawet kropla jest niebezpieczna dla człowieka, a Feliks miał rozszarpany cały bark.

– I co teraz? – jęknął Piotr.

Wstał z podłogi i trzęsącymi się rękoma sięgnął do szafki po butelkę bimbru. Nalał pełny kieliszek i wypił jednym haustem. Po chwili napełnił go ponownie.

Dopiero po czwartym kieliszku spojrzął na martwego mężczyznę leżącego na podłodze stróżówki.

– I co ja mam z tobą zrobić? – zapytał głośno. – Ani na policję dzwonić, ani na pogotowie. A zostać tu też nie możesz.

Na szczęście dawno temu, kiedy się poznali, Feliks poinstruował go, co ma czynić w takim przypadku.

Zawinął mężczyznę w stary koc i z wielkim wysiłkiem zaciągnął do rozkopanego grobu. Zamknął wieko trumny i zepchnął na nie nowe ciało. Wziął do ręki leżący nieopodal szpadel i zaczął zasypywać mogiłę.

Spomiędzy drzew wystrzeliły pierwsze promienie słońca.

– Wybacz, przyjacielu – szepnął Piotr.

Kiedy grób został zasypyany, stróż na powrót ułożył na nim kwiaty. Niektóre były sfatygowane, ale na horyzoncie pojawiły się ciemne, deszczowe chmury. Ulewa zmyje wszelkie ślady nocnego dramatu.

¢

Magda ledwo zwlekła się z łóżka. Nie udało jej się wyspać, a paskudna, jesienna pogoda nie zachęcała do czegokolwiek. Gdyby tylko mogła, od razu popędziłaby do Feliksa i wypytała go o polowanie. Ale wiedziała, że mama nie podaruje jej kolejnego wolnego dnia. Sama nie wiedziała, czy praca w księgarni własnej matki była szczęściem, czy pechem.

– Musisz dbać o naszą księgarnię, bo kiedyś będzie twoja. – Tak niemal każdego dnia zapewniała ją mama, ale Magda nie była do końca przekonana, czy taką właśnie widzi dla siebie przyszłość.

Na razie jednak zaciskała zęby, ciężko pracowała, a w każdej wolnej chwili pomagała wujkowi najlepiej, jak umiała.

– Co to za nocne eskapady? – przywitała ją Emilia, kiedy spóźniona dziewczyna przekroczyła próg księgarni.

– Myślałam, że was nie obudziłam – odparła Magda, zdejmując wilgotny od mżawki płaszcz.

– Dziecko, przecież wiesz, jaki mam lekki sen. To gdzie byłaś?

– U wujka, dostał wezwanie do Przyjaźni. I zabrał mi samochód – mruknęła dziewczyna. – Co mam robić?

– Wydaje mi się, że wczoraj ktoś nie pościarał kurzy. – Mama wręczyła jej małą miotełkę.

Magda westchnęła z rezygnacją, po czym zabrała się do pracy. Nie minęło dziesięć minut, gdy rozdzwonił się jej telefon.

– Tak? – zapytała wesoło, lecz bardzo szybko mina jej zrzędła. – Och... naprawdę? Nie... – jęknęła. – Dziękuję.

Ręka trzymająca telefon opadła jej bezwładnie wzdłuż ciała. Drugą namacała za plecami wiklinowy fotel, na który się osunęła, wpatrując się tępo przed siebie.

– Coś się stało? – zapytała mama.

Dziewczyna nie odpowiedziała.

– Magda? – Emilia zaniepokoiła się.

– Wujek Feliks nie żyje.

– Och, kochanie...

Dziewczyna zerwała się z fotela i wpadła w objęcia mamy. Po jej policzkach popłynęły łzy.

– Nie martw się – mówiła Emilia, głaszcząc ją po włosach. – On wróci.

– A jeśli nie? Jeśli tym razem mu się nie uda?

– Uda, zobaczysz.

Ten dzień był dla Magdy stanowczo za długi. Dopiero gdy w księgarni pojawili się pierwsi klienci, choć na chwilę mogła oderwać się od ponurych rozmyślań. Przed szesnastą mama pozwoliła jej wyjść z pracy, aby złapała autobus do Przyjaźni i odebrała samochód.

– Na pewno nie chcesz, żeby tata cię zawiózł?

– Nie, poradzę sobie – odparła i ucałowała mamę w policzek.

Autobus jechał powoli i zatrzymywał się stanowczo za często jak na gust Magdy. Ludzie wsiadali i wysiadali, ale nie zwracała na nich uwagi. Co jakiś czas ocierała rękawem łzę z policzka. Jesienny, ponury pejzaż za oknem doskonale odzwierciedlał jej humor.

Wysiadła na przystanku niedaleko cmentarza. O tej porze brama była szeroko otwarta. Magda zerknęła na parking, gdzie wśród innych pojazdów stał jej samochód, lecz najpierw musiała udać się po kluczyki.

Ledwie pamiętała drogę do stróżówki, która stała na samym końcu cmentarza, ale trafiła do niej bez problemu. Choć starała się nie patrzeć na groby, odruchowo rozglądała się za świeżą mogiłą przykrytą kwiatami.

Gdy stanęła przed stróżówką, mżawka przemieniła się w ulewę. Drzwi otworzył jej około sześćdziesięcioletni mężczyzna.

– Dzień dobry – przywitała się, przywołując na twarz uśmiech.

– Witaj, moja droga. Wchodź do środka, właśnie wstawiłem wodę na herbatę.

Magda zdjęła płaszcz i oddała go Piotrowi. Rozejrzała się po skromnym pokoiku, który wyglądał, jakby od co najmniej dwudziestu lat nic się w nim nie zmieniło.

– Usiądź – powiedział Piotr, po czym zaczął przygotowywać herbatę.

Dziewczyna niemal zapadła się w miękki, głęboki fotelu, a jej nogi zawisły w powietrzu. Po chwili kręcenia się, udało jej się usiąść na jego skraju tak, aby dotykać stopami podłogi.

– Bardzo mi przykro. – Piotr podał jej szklankę w metalowym koszyczku, a sam usiadł na stołku po drugiej stronie stołu. – Gdybym wiedział, że tak to się skończy... Nigdy bym... ja bym mu pomógł. Przepraszam, że zostawiłem go samego. – Z poczuciem winy spuścił wzrok.

– Proszę się nie obwiniać. – Magda położyła rękę na jego pomarszczonej dłoni. – Feliks wiedział, co robi, co ryzykuje. To nie pana wina. A nie wybaczyłby sobie, gdyby i panu coś się stało.

Piotr bez przekonania pokiwał głową, a potem opowiedział dziewczynie o wydarzeniach z ostatniej nocy.

– Nie ustalałem z nim kwoty, ale myślę, że tyle wystarczy – powiedział i podał Magdzie kopertę.

Dziewczyna skinęła głową, nie zaglądając do środka. Każdy płacił wujkowi za pomoc tyle, ile miał.

– To wszystko, co znalazłem w jego kieszeniach. – Piotr położył na stole długi gwóźdź, kluczyki od samochodu, scyzoryk oraz mały kamyk.

– Dziękuję. – Magda schowała rzeczy do torby. – A sznur? Na pewno miał na rękę zawinięty sznur.

– Sznur? – zdziwił się Piotr. – Chyba tak, ale nie pomyślałem...

– Och, szkoda.

– Jak chcesz, możemy...

– Nie, nie ma problemu. Nie będziemy rozkopywać grobu. Niech tamten biedny człowiek ma wreszcie spokój. Feliks jakoś będzie musiał to przeżyć.

– Myślisz, że kiedy on...?

– Różnie to bywa. Czasem tydzień, czasem dwa-trzy miesiące.

Magda zerknęła za okno. Znowu mżyło.

– Powinnam się już zbierać. – Wstała z fotela. – Dziękuję za herbatę.

– To ja dziękuję za wszelką pomoc.

Piotr odprowadził ją pod sam samochód, a potem patrzył, jak odjeżdża.

– Dobre dziecko – powiedział cicho do siebie, wracając do stróżówki.

Był pełen podziwu, jak dziewczyna radziła sobie z tym wszystkim. Znacznie lepiej, niż on sam. Ale przecież ona od urodzenia wychowywała się w rodzinie Feliksa. Nigdy nie musiała się z niczym ukrywać, a gdy jako małe dziecko zobaczyła przerażającą zjawę, rodzice na pewno ją rozumieli, a nie

bili za to, że wymyśla bajki.

¢

Magda wróciła do domu tylko na chwilę, żeby uspokoić rodziców, że wszystko jest w porządku. I choć nie była głodna, zjadła kolację, a potem pojechała do domu wujka.

Było już ciemno, więc zapaliła wszystkie lampy – była to rzecz niespotykana w tym domostwie, ale drażniły ją cienie powstające w kątach, gdy używała tylko świeczek. Potem zabrała się do sprzątanania.

– Jak można aż tak zapuścić dom? – mamrotała podczas pracy.

Szorowanie podłóg, wycieranie kurzy, odkurzanie ścian i dywanów było dla niej najlepszym sposobem, aby się uspokoić i wyciszyć. Pozwalało oderwać myśli od niecierpliwego oczekiwania na powrót wujka.

Feliks bowiem nie był zwykłym człowiekiem. Był żniwiarzem.

Magda od urodzenia należała do grona tych nielicznych osób, które widzą i słyszą więcej. Wiedziała, że ludowe wierzenia to nie tylko bajki do straszenia dzieci, ani próba racjonalizacji skomplikowanego świata.

Demony istniały. O tym Magda przekonała się już w kołysce. Niektóre pochodziły z pradawnych czasów, inne miały chrześcijański rodowód, ale wszystkie były prawdziwe. Zmory gnębiły ludzi w nocy, wysysając ze śpiących krew, upiory powstawały ze swych mogił, aby zabijać, wisielce nawiedzały miejsca, w których zostały pochowane, a widy włóczyły się po świecie, nie mogąc zaznać spokoju.

Ktoś musiał chronić przed nimi żywych. Zabijać, bądź odsyłać te stwory do Nawii, świata umarłych, gdzie było ich miejsce. Tym właśnie zajmowali się żniwiarze. Nikt tak naprawdę nie wiedział, skąd się wzięli. Czy stworzył ich Bóg, wiara ludzi, a może należeli do tego samego świata, co istoty, które wypędzali? Kiedyś byli zwykłymi ludźmi, których dusze po śmierci nie odeszły w zaświaty, ale też nie błąkały się po świecie niczym duchy. Miały za to rzadką zdolność zamieszkiwania w cudzych ciałach. Nie opętywali żywych, ale wchodzili w ciała osób niedawno zmarłych, ożywiali je, przejmowali nad nimi kontrolę, kiedy ich prawowity właściciel już odszedł. Każdy żniwiarz był szybszy i silniejszy niż zwykły człowiek, miał bardziej wyczulone zmysły i przede wszystkim potrafił wyczuć oraz ujrzeć nawich.

¢

Mijał tydzień za tygodniem, a Magda wciąż czekała na powrót Feliksa. Bezskutecznie. Po świecie zmarłych uznała, że dom wujka niszczeje, gdy nikt w nim nie mieszka i dlatego – ku niezadowoleniu rodziców – oświadczyła, że pod nieobecność Feliksa ktoś musi się tam wprowadzić i tą osobą musi być ona.

Niestety mieszkanie samej w wielkim domu nie było aż tak wspaniałe, jak sobie to wyobrażała. Co któryś ranek wstawiała zmarznięta, bo ogień w piecu za szybko wygasł, a raz, kiedy poszła do pracy, nie domknęła pokrywy zasobnika na węgiel i na cały parter opadł czarny pył, przykrywając wszystko cienką, ale trudną do sprzątnięcia warstwą. Sama sobie gotowała i bardzo szybko zatęskniła za kuchnią mamy, a kiedy zapowietrzyły się jej kaloryfery, musiała dzwonić po pomoc do ojca.

– Poważnie nie wiedziałaś, jak je odpowietrzyć? – dziwił się Jakub, krążąc z kluczem po całym domu.

– Nigdy nikt mi tego nie pokazał – mruknęła, drepcząc krok w krok za nim. – I czyja to wina? – dodała ciszej.



– Na pewno nie moja. Nigdy nie chciałaś ze mną majsterkować, tylko wolałaś szwendać się za Feliksem. Ech, trzeba było postarać się o syna – westchnął żartobliwie.

Gdy skończyli, zeszli do kuchni, gdzie mama parzyła herbatę.

– Kochanie, twoja lodówka jest pusta – oświadczyła.

– Nie zdążyłam zrobić zakupów – odparła Magda, przeczuwając, dokąd zmierza wizyta rodziców.

– Wróć do nas. Nie musisz mieszkać sama w tym strasznym domu.

– Ktoś musi o niego dbać – zaczęła. – Zimą, jak przyjdą mrozy i nikt nie będzie palił w piecu, woda w rurach pozamarza...

– Już z tatą rozmawialiśmy na ten temat. Możecie przychodzić tu na zmianę i przepalać w piecu.

Magda zerknęła na ojca, który wcale nie wyglądał na zadowolonego z takiego rozwiązania.

– Mam już dwadzieścia lat, nie mogę wiecznie mieszkać z rodzicami! – krzyknęła, zrywając się z krzesła.

W nerwach zabrała się za zmywanie naczyń. Nie znosiła tych „poważnych rozmów”, które odbywały się średnio raz w tygodniu.

– Młoda, po to wyjechałaś na studia – powiedział Jakub. – Chcieliśmy ci wszystko opłacić...

– Ale doskonale wiecie, że nie wyszło!

Zbyt dobrze pamiętała, jaką porażką okazały się studia. Tak szybko ją odtrącono, bo była inna, a do tego jeszcze ten wypadek z wisielcem oraz bezkostem, który zabił młodą dziewczynę. Choć nikt nie potrafił jej zaginięcia powiązać z Magdą, wszyscy podświadomie czuli, że miała z tym coś wspólnego i odsunęli się od niej.

– Cóż, gdybyś bardziej się postarała, a ICH ignorowała, to może... – zaczęła Emilia.

– Jak mam ich ignorować?! – wybuchła. – Sama wiesz, że to niemożliwe!

– To chociaż mogłaś dzwonić po Feliksa. Wiemy, że przez to wszystko zawaliłaś kilka egzaminów.

Magda odłożyła łąkę i odwróciła się do rodziców.

– To nie moja wina, że urodziłam się wtedy, kiedy się urodziłam – powiedziała wolno. – Tego nie możecie zmienić.

– I nie chcemy – zapewniła mama. – Jesteś wspaniałą osobą, choć troszkę wyjątkową. Ale nie możesz żyć życiem Feliksa.

– A niby dlaczego nie?

– Bo powinnaś się uczyć...

– Przecież przy nim najwięcej się uczę.

– Uczyć tego, czego uczą się twoi rówieśnicy – dokończyła Emilia.

Magda wzruszyła ramionami.

– Nigdy nie będę jak moi rówieśnicy, kiedy to w końcu zrozumiecie? – odpowiedziała spokojnie po chwili milczenia.

Wkrótce, uznawszy, że na razie i tak nic więcej nie wskórają, rodzice postanowili wracać do siebie. Magda odprowadziła ich do drzwi, a gdy je zatrzasnęła, usłyszała słowa ojca:

– Wiosną namówimy ją, żeby złożyła papiery na jakąś uczelnię.

*Oni są niemożliwi – pomyślała Magda, przekręcając zamek. Może kiedyś jeszcze raz spróbuję. Ale nie teraz.*

potem mitem, aż w końcu nie było na świecie prawie nikogo, kto pamiętałby o tym, że kiedykolwiek istniał. Owszem, zniwiarze zdawali sobie sprawę, że ktoś musiał być pierwszy, ale nie myśleli o nim w tych kategoriach.

Najważniejsze było to, że ci, którzy stracili go w tę otchłań, którą nazywali Nawią, już dawno odeszli. A Pierwszy rósł w siłę, powoli nabierając potęgi, żeby powrócić. I tym razem nie pozwoli się wypędzić, nikt go nie zniszczy.

Przez setki lat zawieszony w próżni, pomiędzy życiem, a śmiercią, nie martwy, a jednocześnie nie żywy, obserwował, uczył się, planował. Czekał, aż jego wrogowie umrą na zawsze. Nie pragnął zemsty. Zamierzał zaprowadzić swój porządek, nagiąć innych do swojej woli, a tych, którzy nie będą chcieli się podporządkować, złamać.

W końcu nadszedł ten moment, kiedy Pierwszy zebrał wystarczająco wiele sił, aby ponownie zaistnieć. Nie było wybuchów, błyskawic, otwierania prastarych wrót, ani nawet przeciskania się przez cienką szczelinę pomiędzy światem żywych a światem umarłych. Po prostu w pewne jesienne popołudnie Pierwszy pojawił się na świecie jako niematerialny byt i nikt tego nie zauważył. Żaden zniwiarz nie dostrzegł nowego elementu, wszyscy żyli tymi swoimi małymi, niewiele znaczącymi zyciami.

Pierwszy znalazł nowe ciało. Minie trochę czasu, zanim wróci do dawnej formy, ale przecież nie musiał nigdzie się spieszyć, miał cały czas tego świata. I jeżeli rozegra wszystko tak, jak planował, nic nie stanie mu na przeszkodzie.

## ¢

Blank zajrzał do butelki. Rubinowa kropla na dnie potoczyła się po grubej warstwie osadu, jeden Bóg wie z czego.

– Trzeba by naprawić – stęknął, machając butelką w stronę dwóch towarzyszy.

– Tak, Władziu – odparł jeden przez sen.

Drugi spróbował wstać, ale jakkolwiek by się nie starał, nie był w stanie zapanować nad wszystkimi kończynami na raz i w rezultacie padł na miękką ziemię, opierając się plecami o pień drzewa.

– Zaraz – oświadczył.

Blank, dla kolegów Władziu, westchnął ciężko. Zastanawiał się, czy chce mu się pić bardziej, niż wstawać z wygodnego poszycia z suchych jesiennych liści. Tak po prawdzie to nie chciało mu się nic. Już wiele razy zastanawiał się, czy nie powinien stąd odejść. Wstyd to przyznać, ale stoczył się na samo dno. Albo jeszcze niżej. Kiedyś był ambitny, wysportowany, inteligentny i miał cel, który świecił przed nim oślepiająco jasno. A potem przyszli oni i wszystko popsuli. Zabili jego dowódcę, choć przecież mówiono, że był nieśmiertelny i wszystko, na co pracowali przez tak wiele lat, szlag trafił. Blankowi udało się uciec, ale jakie życie go czekało? W poniżeniu i zapomnieniu.

Długo błąkał się po świecie. Nie miał żadnego planu, a lata mijały. Nawet nie był pewien, jak dawno to wszystko się wydarzyło. A teraz znalazł się tutaj, gdzie alkohol był tani, choć podły w smaku i ponieważ człowiekiem mocniej niż cokolwiek innego. Leżał na suchych liściach w lasku na obrzeżach miasta. Było to dobre miejsce – dalekie od codziennego zgiełku, a zarazem wystarczająco bliskie do monopolowego otwartego całą dobę, w którym sprzedawczyni, gdy miała dobry humor, sprzedawała na zeszyt. Nikt tu nie zaglądał, bo wiadome było przecież, że gnieźdzą się tu sami pijacy i narkomani. Nawet właściciele psów i entuzjaści spacerów woleli omijać zagajnik szerokim łukiem.

Złociste słońce powoli skryło się za drzewami. Zrobiło się chłodno, ale nie zdążyło to jeszcze dotrzeć do świadomości Blanka, który miał dwa wyjścia – albo się zdrzemnie i obudzi za kilka godzin cały

zmarznięty i pokryty rosą, albo wyjdzie z lasu, wyprosi u jakiegoś przechodnia dwa złote brakujące mu do wina i wróci do swoich kolegów, którzy przez czas potrzebny do opróżnienia butelki będą traktować go jak bohatera. Zawsze można też wrócić do domu, tej klitki śmierdzącej starymi ubraniami i zepsutym jedzeniem, ale to była najmniej kusząca opcja.

– Władziuuu – zaintonował odrobinę trzeźwiejszy kolega. – Idź po wino.

– Sam se idź – mruknął Władziu, rozważając dylemat życia.

– O cholera, chowaj... – wydukał towarzysz, niezdarnie przysypując liśćmi butelki. – Albo w sumie po co. I tak nic nam nie zrobi...

Blank powędrował za spojrzeniem kolegi i dostrzegł idącą w ich stronę wysoką, barczystą postać. Już z daleka dostrzegł charakterystyczny mundur strażnika miejskiego. Nie wystraszył się. Żeby wystawić mu mandat, strażnik najpierw musiałby znać jego dane, a przecież Blank nie nosił przy sobie dowodu. Nawet nie był pewien, czy takowy jeszcze w ogóle posiada. W najgorszym wypadku czekała go noc na wytrzeźwiajątku, co wcale nie było taką złą perspektywą w chłodny, jesienny wieczór.

– Władziu? Naprawdę? – zapytał strażnik, stając nad pijakami.

Coś w jego głosie obudziło dawno zapomniany instynkt.

– Nie ma co. Stoczyłeś się, Blank.

Blank wytrzeźwiał w ciągu sekundy. Nikt na tym świecie nie znał jego prawdziwego nazwiska.

Stanął na wciąż lekko chwiejnych nogach i spojrzał w ciemne oczy strażnika tak stare jak świat. Blank jako jeden z niewielu wszędzie by je rozpoznał, w każdym ciele. Bił z nich spokój i pewność siebie kogoś, kto widział już wszystko.

W pierwszej chwili, gdy doszedł w nim do głosu stary pijak, ręka Blanka powędrowała do czoła, aby się przeżegnać. Na szczęście w porę się powstrzymał. Dowódca nie przepadał za tym gestem.

– Ty żyjesz – powiedział niezbyt odkrywczo.

– I z tego, co widzę, mam się o wiele lepiej niż ty – odparł strażnik, mierząc go wzrokiem.

– Panie. – Blank opadł na kolana.

W jego sercu zgroza mieszała się z radością. Z oczu popłynęły łzy szczęścia i strachu.

– Wstawaj. Klękanie to taki przestarzały zwyczaj. Musisz się ogarnąć. – Strażnik zerknął na dwóch pijaków na ziemi. – Czeka nas wiele pracy.

– Władziuuu, nie daj mu się! – zawołał za odchodzącymi jeden z żuli, a potem, uznając, że spełnił swój obowiązek dobrego kolegi, zasnął.

– Co teraz, panie? – zapytał Blank, z trudem nadążając za strażnikiem.

– Najpierw musisz znaleźć nowe ciało. – Mężczyzna zmierzył wzrokiem starego pijaka. – Starszy, elegancki pan. W kapeluszu i z laską, jakby wyjęty z poprzedniej epoki.

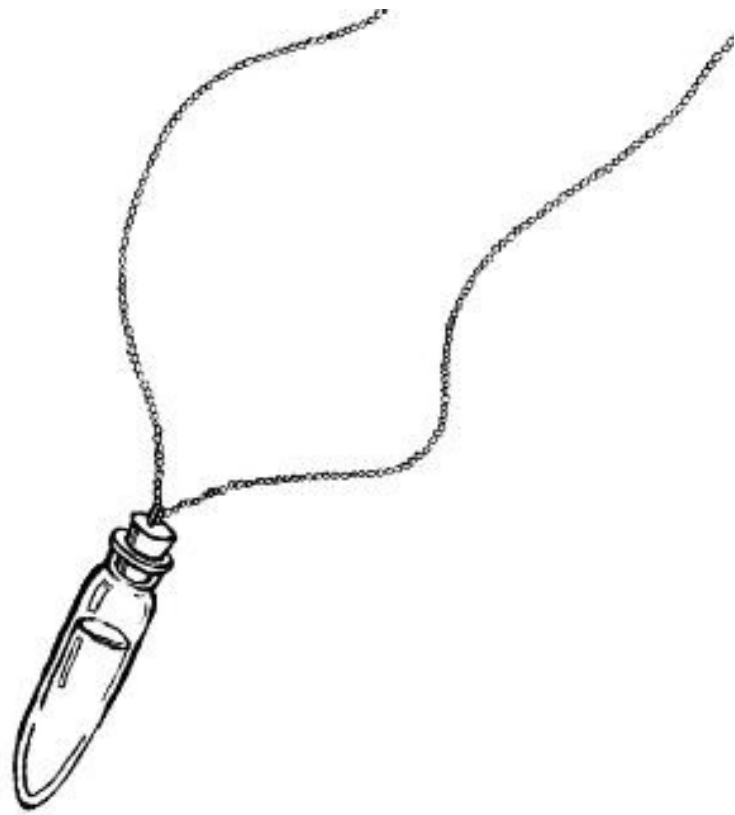
Blank gorliwie pokiwał głową. Choć Pierwszy zniknął z tego świata na wiele lat, czerpał wiedzę z obecnego ciała.

– A co potem?

– Potem znajdziemy pole krwi.

– Tak jest. Znam pewne takie miejsce – odparł Blank, a w jego sercu pojawiła się nadzieja. Już nic nie będzie takie, jak do tej pory.

# Rozdział 2



Ponura, deszczowa jesień zamieniła się w mroźną i śnieżną zimę. Magda świętowała Boże Narodzenie oraz Nowy Rok wraz z liczną rodziną, a potem wracała do zimnego, pustego domu Feliksa. Martwiła się. Minęły już ponad trzy miesiące od momentu, kiedy wujek umarł, raniony przez upiora. Osiemdziesięcioletnia ciotka Jadwiga, która znała go najdłużej, mówiła, że jeszcze nigdy nie szukał nowego ciała przez tyle czasu.

*A co, jeśli tym razem nie wróci?* – zastanawiała się dziewczyna. Każdy wiedział, że przychodzi taki dzień, gdy żniwiarz umiera i nie wraca już do świata żywych, lecz nikt nie miał pojęcia, kiedy i dlaczego tak się dzieje.

Co wtedy miałyby ze sobą zrobić? Nikt nie rozumiał jej tak, jak Feliks, który był dla niej kimś w rodzaju drugiego ojca. To właśnie z nim spędzała długie godziny w dzieciństwie, gdy jej rodzice nabrali już pewności, że Magda widzi nawich. Gdy nie polował, opiekował się nią, uczył, opowiadał o niestworzonych dziwach, zabierał do lasu i na pola. Pokazał, które zioła mają moc odstraszenia upiórów, które zabezpieczą dom, oraz te, które przyciągają pewne stwory. Pod jego czujnym okiem bawiła się w ogrodzie, opowiadając własne, wymyślone historyjki. Całymi godzinami leżała na podłodze w salonie jego ponurego domu i czytała książki o dawnych wierzeniach, poznając historię swoich przodków oraz okolicy, w której mieszkała.

Żałowała, że wcześniej wciąż denerwowała się, że był zbyt nadopiekuńczy i nie pozwalał jej się nawet zbliżyć do bardziej niebezpiecznych stworów. W pamięci co i rusz przywoływała ich ostatnie spotkanie, kiedy nawet nie życzyła mu powodzenia i mamrocząc pod nosem, trzasnęła drzwiczkami od samochodu.

Gdy wracała z księgarni do dużego, starego domu, czuła samotność napierającą na nią z każdej strony. Wieczorami dopadał ją strach, że już nigdy nie zobaczy osoby, która miała przy niej trwać do jej śmierci, być jedynym pewnym i stałym elementem w jej życiu. Usiłowała wtedy oglądać filmy na komputerze zamknięta w swojej sypialni, a dom trzeszczał i hałasował niczym żywa istota. Często, nawet w środku nocy, zabierała się za porządki, żeby tylko zająć czymś myśli. Wysprzątała strych będący istną skarbnicą starych śmieci, cennych przedmiotów oraz – przede wszystkim – kurzu. Pomalowała ściany w kuchni, namówiła tatę, żeby pomógł jej naprawić rozklekotane szafki, skatalogowała i uporządkowała całe mnóstwo książek znajdujących się w domu, a i tak wciąż znajdowała nowe. Z jednej ze skrytek w piwnicy wyjęła stary naszyjnik, który – tak jak pozostała biżuteria i stare monety – znalazł się w posiadaniu Feliksa na przestrzeni całego jego długiego życia. Spotkała się ze znajomym kolekcjonerem z Przyjaźni i wymieniła naszyjnik na gotówkę, za którą kupiła nową mikrofalówkę i mikser.

Czasem dopadały ją obawy, co powie wujek, gdy już wróci. Pewnie się wścieknie, że wydawała jego pieniądze na rzeczy, bez których potrafił się obyć przez wiele lat i panoszyła się w jego domu, ale przecież tak naprawdę ten dom nie należał do niego.

Za każdym razem, gdy Feliks umierał, znajdował nowe ciało. Dla ludzi z zewnątrz stawał się zupełnie nową osobą. Jeśli już miał jakiegokolwiek dokumenty, to najczęściej podrobione. Najłatwiej było, aby na papierze dom należał do kogoś z rodziny. Obecnie jego właścicielką była dość wiekowa ciotka Jadwiga. Ale od kilku lat w jej testamencie stało, że po jej śmierci dom przejdzie na Magdę. To rozumiało się samo przez siebie. Dziewczyna była przecież najmłodszą pełnoletnią osobą w rodzinie Wojnów. Poza tym każdy widział, że między nią, a Feliksem nawiązała się szczególna nić porozumienia. Jeszcze nigdy nikt wśród jego bliskich nie był tak wyczulony na obecność nawich jak ona i choć sam wujek nigdy się do tego nie przyznawał, Magda doskonale wiedziała, że nie tylko ją kocha, ale też ma do niej pewną słabość, którą bez skrupołów wykorzystywała za każdym razem, kiedy zachodziła taka potrzeba.

Samotna latarnia na końcu ulicy już od dawna nie świeciła, przez co zarośnięty ogród starego domu stojącego tuż za tablicą z przekreśloną nazwą Wiatrołomu całkowicie pogrzyżył się w mroku. W oknach nie paliło się światło, co nadawało posesji nieco upiornego wyglądu.

Po przeciwnej stronie ulicy stały dwie sylwetki, wpatrując się w budynek.

– To co wiesz o tym lokalnym żniwiarzu? – zapytał Pierwszy.

– Jest młody i głupi. Z łatwością sobie z nim poradzisz – zapewnił Blank, który tym razem wyglądał jak starszy, elegancki pan, dobrotliwy dziadek gromadki dzieci. – Rozmawiałem z sąsiadami. Mówią, że nie widzieli go od kilku tygodni. Przypuszczam, że miał jakieś problemy i zginął.

Pierwszy skinął głową. Nie miał powodów, aby nie wierzyć słowom sługi. Chociaż Blank pozostawiony sam sobie staczał się na dno przez ostatnie dziesięciolecia, to nadal wiedział to i owo, a jego umysł – teraz już niezamroczonego alkoholem – wciąż był bystry. Szybko znalazł im dom w zabitej dechami wsi, za którą w głębokim lesie znajdowało się pole krwi idealne do ich celu.

– Miejscowi wiedzą, że jest stare, ale nie mają pojęcia, jak bardzo – powiedział, gdy przechodzili się po małej, zarośniętej polanie pełnej wzniesień i dołków. – Praktycznie nikt tu nie zagląda, a we wsi żyją tylko dwie rodziny z czego jedna to para emerytów, a druga to dwóch braci, starych pijaków. Zajmiemy się nimi?

– Nie ma takiej potrzeby – odparł Pierwszy. – Emerycy pewnie są ślepi i głusi, a pijakom można wmówić wszystko. Pozbędziemy się ich dopiero, kiedy będą nam przeszkadzać.

Tak więc teraz, stojąc naprzeciwko opuszczonego domu, Pierwszy zaczął powoli planować najbliższą przyszłość.

– A co z nim zrobimy, gdy wróci? – zapytał Blank. – Pójdzie na pierwszy ogień?

Pierwszy zamyślił się.

– Tylko jedna osoba na tym świecie, oprócz nas, wie, jak mnie zabić – powiedział powoli.

– Gerard?

– Owszem, Gerard.

– Ale on jest cwany! Tak się gdzieś zaszył, że nie sposób będzie go znaleźć. Tym bardziej, że bardzo dobrze nas zna.

– Dlatego będziemy potrzebowali kogoś, kogo nie zna, komu będzie skłonny zaufać.

– Masz na myśli Feliksa? Ale on...

– Skoro nie jest aż tak bystry, na razie możemy spokojnie działać pod jego nosem. Zabić innych żniwiarzy, a jego zostawić na sam koniec. Gdy wreszcie zorientuje się, co jest grane, gdy zostanie całkiem sam, podsunie mu pomysł odszukania Gerarda. Doprowadzi nas do niego, a wtedy pozbędziemy się ich obu. Już nikt mi nie zagrozi, nikt nie będzie potrafił mnie zabić.

Blank pokiwał głową. To był całkiem niezły plan. Spojrzał kątem oka na swojego pana i poczuł bijącą od niego moc oraz pewność siebie.

– Cieszę się, że jestem po twojej stronie – powiedział, wywołując nieznaczny uśmiech na wargach Pierwszego.

– A to kto? – zapytał starszy żniwiarz, patrząc na osobę zbliżającą się po przeciwnej stronie ulicy.

Młoda dziewczyna szła przed siebie pewnym krokiem, nucąc pod nosem i wymachując torebką.

– Zdaje się, że to jego bratanica – odparł Blank. – Sąsiedzi mówili, że niedawno wprowadziła się do tego domu.



Pierwszy uśmiechnął się szeroko.

– Ona i Feliks zaprowadzą nas do Gerarda – powiedział. – Chcę, aby zarówno ona, jak i jej wujek, jak już powróci, byli obserwowani przez całą dobę.

Blank skinął głową.

Pierwszy patrzył, jak dziewczyna, znika w zarośniętym ogrodzie, wciąż podśpiewując pod nosem, a potem ruszył ulicą w stronę miasta.

– Pora obudzić potępieńców – powiedział. – Będziemy potrzebowali naprawdę wielu.

¢

Nadeszła wiosna, a Feliks nadal nie dawał znaku życia. Magda przyzwyczała się już do samotnego mieszkania w jego wielkim, upiornym domu, co nie zmieniało faktu, że wciąż się martwiła. Nie tylko o wujka, ale i o zwykłych ludzi z Wiatrołomu i okolic, którzy nawet nie wiedzieli, jakie niebezpieczeństwa im grożą, kiedy nie chroni ich żniwiarz.

Magda wypakowała wilgotną pościel z pralki i wyszła do ogródka. Ścieżką wydeptaną w wysokiej trawie dotarła do linek, które luźno zwisały nad ziemią.

– I znowu muszę prosić o pomoc ojca – mamrotała, szukając w zielonej gęstwinie kija. – Nawet jeśli chodzi o pożyczanie kosiarki, bo inaczej sama w życiu sobie nie poradzę z tymi chwastami.

Ostatnio stwierdziła, że mniej martwi się o wujka, jeśli się na niego wścieka.

– Jest facetem, skosiłby trawę, naprawił coś w domu, ale nie, nigdy nie ma czasu na te „bzdury” – narzekała, mocno akcentując ostatnie słowo. – Człowiek cywilizowany powinien dbać o miejsce swojego zamieszkania, a nie tak je zapuścić, że od pół roku tylko sprzątam i jeszcze końca nie widać.

Gdy znalazła odpowiedni, rozdwojony na końcu kij, podparła nim linki na środku i zaczęła wieszać na nich kolorowe prześcieradła. Przedpołudnie było ciepłe i słoneczne, z lekkim wiatrem, który kołysał delikatnie praniem. Owady bzycały pracowicie w kwitnących trawach, a sroka szczebiotała między gałęziami kwitnącej akacji. Cały ogród oszałamiał zapachami wiosny.

Magda przypięła klamerkami ostatnie prześcieradło i schyliła się po miskę, chcąc wracać do domu, gdy kątem oka ujrzała ciemny kształt przy pniu brzozy. Powoli, nie patrząc w tamtą stronę, wyprostowała się. Była przekonana, że cień zaraz się rozpułynie, ale sekundy mijały, a on ani drgnął. Dziewczyna obserwowała go dyskretnie, udając, że zapatrzyła się na srokę i jej gniazdo. Czarny kształt wciąż tkwił nieruchomo i zdawało się, że na nią patrzy. Tego już było za wiele.

Magda odwróciła gwałtownie głowę i spojrzała prosto na niego. Był niematerialny, zbudowany jakby z ciemnego dymu, który zachował postać szczupłego mężczyzny w obszernym płaszczu.

Magda nie bała się. Nie pierwszy raz ujrzała jednego z cienistych, jednak ten zachowywał się inaczej. Zazwyczaj można było zobaczyć ich zaledwie kątem oka, a gdy człowiek chciał bliżej się im przyjrzeć, rozwiewali się w powietrzu, nie pozostawiając po sobie żadnego śladu. Czasem, gdy człowiek budził się w środku nocy wyrwany gwałtownie z koszmaru, mógł dostrzec podejrzanego ciemny kształt stojący w kącie pokoju. Wiele razy zdarza się, że to zwykłe przywidzenie, ale czasem jednak to coś więcej, coś czego nie można wytłumaczyć zwykłymi, sennymi omamami. Tak samo, gdy w wieczornej szarówce idzie się przez park, a między drzewami majaczy cień, którego tak naprawdę nie powinno tam być. Cieniści zdecydowanie woleli pokazywać się nocą lub o zmierzchu, choć zdarzały się przypadki, że zaobserwowano ich w biały dzień.

Fascynowali Magdę od zawsze. Tym bardziej, że dla wszystkich stanowili pewną zagadkę. Nawet żniwiarze nie wiedzieli, skąd pochodzą cieniści, ani w jakim celu istnieją. Nie wydawali się bytami

złymi, jak upiory czy duchy, choć nie sprawiali również wrażenia postaci całkowicie życzliwych ludziom.

– Ja nie zawracam sobie nimi głowy – oświadczył kiedyś Feliks. – Egzorcyzmy na nich nie działają, tylko stoją, gapią się i nic innego nie robią. Jak będą czegoś ode mnie chcieli, to sami wykonają pierwszy krok.

I ten właśnie wyglądał, jakby miał ochotę „wykonać pierwszy krok” w stronę Magdy.

Uniósł nagle głowę, odsłaniając czerwone oczy, którymi prześwidrował dziewczynę na wylot.

– Witaj – powiedziała, bo nic innego nie przyszło jej na myśl.

Cienisty otworzył usta i choć nie wydobył się z nich żaden słyszalny dźwięk, wszystkie włoski na ciele Magdy stanęły dęba. Wyciągnął rękę przed siebie, kierując w nią oskarżycielsko palec. A potem ruszył w jej stronę. Z początku wolno, lecz już po chwili coraz szybciej. I wtem do dziewczyny dotarł zapach. Nie smród, ale też nie do końca przyjemny i tak charakterystyczny, że z niczym innym nie można było go pomylić.

– Czego chcesz?! – zapytała trochę wyższym tonem, niż planowała.

Cienisty sunął po ziemi coraz szybciej, a niematerialny płaszcz z czarnego dymu powiewał za nim niczym skrzydła. Znow otworzył usta, a mózg Magdy zaczął wibrować od dźwięku, którego uszy nie potrafiły usłyszeć.

Nie cofnę się! – postanowiła dziewczyna i to była jej ostatnia myśl, zanim cienisty na nią wpadł.

Odruchowo zasłoniła ręką twarz, a kiedy zderzyła się z istotą zbudowaną z cienia – choć zdawałoby się to niemożliwe – została odrzucona i upadła w miękką trawę. Zaś cienisty rozwiął się niczym dym na wietrze.

– Co to u diabła było?! – wybuchła po chwili. – Przecież tak się nie zachowujecie!

Podniosła się z ziemi i stanęła na drżących nogach, lecz była zupełnie sama w ogrodzie. Do jej nozdrzy dotarł zapach prania suszącego się na słońcu. Po cienistym nie został nawet ślad, lecz Magda w swoim życiu widziała zbyt wiele niesamowitych rzeczy, żeby usiłować sobie wmówić, że to wszystko było tylko przywidzeniem.

¢

Blank zaparkował samochód przy leśnej drodze. Ostatni raz siedział za kierownicą dawno temu, ale i tak uważał, że poradził sobie całkiem nieźle. Szczególnie, że nigdy jeszcze nie jechał z przyczepą do przewozu zwierząt. Prawo jazdy, tak samo jak dokumenty samochodu i przyczepy, było podrobione. Musiał wydać na to sporo pieniędzy, ale zależało mu na czasie. Poza tym zdobycie fałszywych dokumentów w tych czasach było jeszcze prostsze niż dawniej – w Internecie znalazł mnóstwo firm trudniących się produkcją „kolekcyjnych” dowodów. Najlepsze, że cały ten proceder był całkowicie legalny.

Schował kluczyki do kieszeni, kierując się do przyczepy. Otworzył zasuwę i ostrożnie wyprowadził ze środka przestraszoną krowę, którą ukradł z oddalonej wsi.

– No chodź – zachęcił zwierzę, prowadząc je w las.

Nie opierała się, tylko co jakiś czas szarpała łbem, żeby chwycić zębami mijane krzaki.

Blank już z daleka dostrzegł sylwetkę Pierwszego, który przysiadł na zniszczonym nagrobku na zapomnianym, przedwojennym cmentarzu.

– Nie spieszyłeś się – mruknął Pierwszy.

– Wybacz, krowę zabrałem z daleka, żeby nikt nas nie podejrzewał. Już i tak zbyt wiele zwierząt

ukradliśmy z okolicy.

– Nikt cię nie widział?

Blank pokręcił głową.

– Pasły się na polanie daleko od wsi. Nie było tam nikogo.

– Dlaczego jest żywa?

– Bo łatwiej taką tu przyprowadzić. Pamiętaj, że mam już swój wiek i nie uśmiechało mi się targanie pół tony mięcha na cmentarz w lesie.

Pierwszy uniósł nieznacznie kącik ust.

– Czyń honory – powiedział i wskazał dłonią zwierzę.

Blank westchnął ciężko.

– Ilu ich jest? – zapytał.

– Pięciu.

– Nieźle jak na tak mały cmentarz.

– Nie ociągaj się, mamy jeszcze mnóstwo pracy – powiedział Pierwszy, wręczając swojemu podwładnemu młotek i długi, ostry nóż.

Krowa zamuczała z niepokojem, jakby spodziewając się, co ją czeka. Blank przywiązał ją do drzewa i z całej siły uderzył młotkiem w czaszkę. Zwierzę na moment zamroczyło, a wtedy zniwiarz poderżnął mu gardło. Krowa osunęła się na kolana. Blank podsunął pod jej gardło miskę, która bardzo szybko zapełniła się krwią.

Nie minęło nawet pięć minut, gdy zwierzę padło martwe na ziemię, choć wciąż rzucało się w konwulsjach.

W międzyczasie Pierwszy nasypał do metalowego pojemnika wysuszonego kolcowoju i podpalił go. Kiedyś wierzono, że roślinę tę szczególnie upodobały sobie czarownice i wykorzystywały, aby szkodzić zwykłym ludziom, zaś owoce podrzucały nieświadomym ich trującego działania. Gdy ogień wygasł, zniwiarz z popiołów usypał okrąg na skrawku uprzednio oczyszczonej gleby. Potem wziął miskę napełnioną krwią krowy i ostrożnie wylał szkarłatny płyn, rysując na ziemi przyzywający symbol.

– Zaklinam was i wzywam, abyście pojawili się przede mną w widzialnej postaci – odezwał się Pierwszy. Jego głos był mocny i wyraźny. – Rozkazuję wam spełnić wszystkie moje polecenia, z których jesteście w stanie się wywiązać. Dlatego też przybądźcie tu w postaci pozbawionej zniekształceń, niechaj głosy wasze będą czyste, a mowa zrozumiała i uczynicie to, co zostało wam polecane.

Przez chwilę nic się nie działo, aż w końcu ziemia tuż obok kręgu z popiołów poruszyła się i wyrzuciła w formie małego kopca, z którego wylazł stwór nie większy od dorodnego szczura. Blank przypatrywał mu się z obrzydzeniem. Już zapomniał, jak paskudne były te bestie – łyse, niekształtne, na czterech patykowatych kończynach.

Potępieńiec rozejrzał się, wciągając powietrze małym nosem. Czerwone ślepia najpierw spoczęły na wciąż mówiącym Pierwszym, a potem skierowały się na martwą krowę.

Pierwszy rzucił jedno przyzwalające słowo, a ohydny stwór popędził do martwego zwierzęcia, które wierzgnęło kopytami. W niemożliwie szybkim tempie wgryzł się w brzuch krowy, w którym całkowicie znikł, a po chwili, cały umazany krwią i wnętrznościami, wylazł na zewnątrz, ciągnąc za sobą kawał wątroby.

Blank odwrócił wzrok. W ciągu minionego półrocza Pierwszy obudził już całe mnóstwo potępieńców na kolejnych cmentarzach, ale obecne ciało Blanka miało naprawdę delikatny żołądek.

– Pójdę po ubrania – stwierdził, zatykając usta i nos chusteczką.

– Idź. Nie chcemy, żebyś się rozchorował – powiedział niemal z rozbawieniem Pierwszy.

Blank czym prędzej się oddalił. Dopiero przy samochodzie nabrał w płuca duży haust świeżego

powietrza. Stwory z cmentarza były ohydne, mieszkają pod ziemią, kopiąc tam niezliczone tunele, aby tylko dorwać się do nieboszczyków. Zżerały mięso, ubrania, nawet kości. Prawie nigdy nie wychodziły na powierzchnię, chyba że zostały wezwane przez pierwszego żniwiarza, który już dawno temu odkrył sposób, jak zmusić je, aby mu służyły. Nazywali siebie nijami, od imienia Nija – słowiańskiego boga, pana podziemi. Jednak Pierwszy od zawsze zwał ich potępieńcami.

Minęło pół godziny, zanim Blank wziął z bagażnika pięć kompletów ubrań i wrócił między groby.

– Ominęła cię cała zabawa – powiedział Pierwszy, nawet na niego nie patrząc.

Blank zmierzył wzrokiem czterech nagich, muskularnych i bardzo podobnych do siebie mężczyzn, stojących przed jego panem.

– Ubierzcie się – rozkazał Pierwszy. – I będziecie musieli się wykąpać – dodał po chwili, marszcząc nos.

Blank rzucił ubrania na ziemię, odsuwając się od mężczyzn, którzy jeszcze przed godziną byli ohydnymi szcurami, hienami cmentarnymi siedzącymi głęboko pod ziemią. Nadal załatywało od nich surowym mięsem.

– A gdzie piąty? – zapytał Blank, gdy na ziemi został jeden komplet ubrań. Pierwszy się uśmiechnął, zerkając na ostatniego potępieńca, który siedział kilka metrów dalej.

– Dla niego mam specjalne zadanie...

¢

Jak każdego ranka, Magda wstała wcześniej i jedząc śniadanie, włączyła komputer, żeby przejrzeć lokalne wiadomości.

– „Podpalacz w Wiatrołomie”? – przeczytała na głos nagłówek jednego z portali z lokalnymi wiadomościami. – Hmm – mruknęła, przewijając stronę. – Tydzień temu spłonęła firma Fischera – czytała, przeżuując kanapkę. – Właściciel magazynu ocenił straty na co najmniej kilkaset tysięcy złotych. Uuu, nieźle. Spłonęły maszyny oraz dwie ciężarówki. W sobotę ogień ogarnął dom mieszkalny w Polanach, małej wsi pod Wiatrołomem, a w środę kompleks budynków wypoczynkowych nad jeziorem Kamiennym. Policja prowadzi śledztwo i szuka powiązań między kolejnymi podpaleniami... Jasne.

Odchyliła się na krzesło, wyciągając ręce do góry.

– Nie wierzę, że to zwykły podpalacz – stwierdziła.

Opuściła dłonie i założyła je za głowę, wciąż wpatrując się w monitor.

Z opowiadań Feliksa wiedziała, że niegdyś podpalenie było jednym z najcięższych grzechów przeciwko wspólnocie. Domy zbudowane z drewna, dachy pokryte gontem lub słomą były nadzwyczaj łatwopalne. A gdy zajął się jeden budynek, zazwyczaj płonęła też reszta: dom, chlew, stajnia, obora... W ciągu kilkunastu minut można było stracić cały dobytek. Wierzono, że człowiek, któremu spłonął dom, może przynosić pecha i mało kto był skory przyjąć go oraz jego rodzinę pod swój dach. Dlatego nikt nie miał litości dla podpalaczy. Jeśli przyłapano takiego na gorącym uczynku, często wrzucano delikwenta do ognia, który rozniecił, aby zginął w męczarniach. A potem jego dusza błąkała się po świecie jako spaleniec.

Magda wypiła łyk chłodnej już herbaty. Gdyby Feliks tu był, na pewno potrafiłby powiedzieć, czy pożary wzniecała potępiona dusza, czy jakiś piroman. Wiedziałyby też, jak go dorwać.

Po chwili zastanowienia dziewczyna sięgnęła po telefon i zadzwoniła do seniorki rodu Wojnów, osiemdziesięcioletniej ciotki Jadwigi. Kobieta była nieco zdziwaczała, ale stanowiła istną skarbnicę wiedzy.

– Halo? – usłyszała po dziesięciu sygnałach.

– Cześć ciociu, to ja.

– Jaka ja?

Magda westchnęła.

– Ja, Magda.

– Jaka Magda?

– A ile Magd nazywa cię „ciocią”?

– Ach, no tak. Tylko jedna. A więc, co chcesz dziecko? Tylko mów szybko, bo zaraz zaczyna się mój serial.

– Ciociu, ty wiesz wszystko, co się dzieje w okolicy – zaczęła Magda, chcąc połechtąć jej ego.

– Oczywiście – odparła ciotka mniej zniecierpliwionym tonem.

– A słyszałaś o tych podpaleniach w naszej gminie?

– A kto o nich nie słyszał?

– To co o nich sądzisz?

– Hm... – Ciotka zamyśliła się. – A ty?

– Ja myślę, że to spaleniec, ale od ostatniego pożaru upłynęło już za dużo czasu, żeby się przekonać.

– Ano jo.

Magda usłyszała w słuchawce melodię z ulubionego serialu ciotki. Jak zwykle Jadwiga oglądała telewizję podkrecając głos tak, że w kuchennych szafkach drżały filiżanki. I jak zwykle nie do końca słuchała tego, co się do niej mówiło.

– I tak sobie myślałam, ciociu, że ty zawsze masz informacje z pierwszej ręki, więc gdyby coś jeszcze działo się w tej sprawie... Zadzwoń do mnie?

W słuchawce zaległa cisza przerywana odgłosami kłótni głównych bohaterów serialu. Magda nie potrafiła nawet określić języka, którym się porozumiewali.

– Co? – odezwała się ciotka. – Tak, tak, oczywiście, moje dziecko. Muszę kończyć. Do zobaczenia.

Ciocia Jadwiga rozłączyła się.

– Super – westchnęła Magda, kończąc śniadanie. – Mam nadzieję, że chociaż zapamięta, o co prosiłam.

Po śniadaniu założyła skórzaną kurtkę, wokół szyi zawiązała kolorową apaszkę i – z jak zwykle wypchaną torbą – pojechała do pracy.

Tego dnia w księgarni był taki ruch, że nie usiadła nawet na chwilę, a po południu twarz zaczęła ją boleć od ciągłego uśmiechania się do klientów.

Za każdym razem, kiedy miała choć minutę wolnego czasu, odświeżała stronę internetową lokalnej gazety, na wszelki wypadek, gdyby miała przeczytać o nowych podpaleniach. Jednak prasa wciąż milczała.

Przed osiemnastą pościerała kurze z półek, zmiotła i umyła podłogę, aby zamknąć o pełnej godzinie.

Z przyzwyczajenia zerknęła na telefon, mając nadzieję, że jakimś cudem nagle zadzwoni do niej Feliks. Ale jedyne co zobaczyła, to godzina i data, gdy nagle uruchomiły się wibracje, a na ekranie pojawiło się zdjęcie ciotki Jadwigi z wytkniętym językiem.

– Cześć, ciociu!

– Chciałaś wiedzieć o tych podpaleniach – zaczęła Jadwiga.

– Tak?

– No to w tej chwili pali się stodoła Rowińskich w Pasiece.

– Naprawdę? Skąd wiesz?

– Nie wierzysz mi?! – oburzyła się ciotka.

– Oczywiście, że wierzę! – zapewniła. – Ale w tej chwili?

– Nie, jutro – mruknęła ironicznie Jadwiga.

– Bomba! – ucieszyła się Magda. – To znaczy bardzo źle – zaczęła się tłumaczyć. – Muszę to w takim razie sprawdzić. Na wszelki wypadek.

W słuchawce na chwilę zapadła cisza.

– Ciociu? Tylko nie mów rodzicom, dobrze?

– Nie powiem im, jeśli ty nie powiesz, że wiesz to ode mnie.

– Umowa stoi! – ucieszyła się dziewczyna. – To trzymaj się i do zobaczenia!

Magda rozłączyła się i zaczęła czym prędzej przeglądać zawartość swojej torebki, a kiedy tylko upewniła się, że ma przy sobie wszystko, czego potrzebuje, zamknęła księgarnię i wsiadła do samochodu. Nie miała zamiaru pytać mamy o radę, bo doskonale wiedziała, jaką usłyszałaby odpowiedź. Jednak ktoś musiał zająć się spaleńcem. Ktoś, kto potem będzie mógł wytknąć Feliksowi, że potrafi poradzić sobie w trudnej sytuacji... Oczywiście jeśli tylko wujek powróci.

Pasieka była niewielką wsią znajdującą się pięć kilometrów za Wiatrołomem. Magda już z daleka zobaczyła na niebie kłęby czarnego dymu. Nie musiała wiedzieć, kim są ci Rowińscy, żeby bezbłędnie trafić na miejsce.

Samochód zostawiła na leśnym dukcie w bezpiecznej odległości od płonącego gospodarstwa. Resztę drogi przebyła pieszo, a gdy dotarła na miejsce, ujrzała grupkę gapiów. Większość z nich nagrywała pożar na telefonach komórkowych. Nikomu nie przeszło przez myśl, że gospodarze mogą potrzebować pomocy.

Magda przecisnęła się przez niewielki tłumek i stanęła na jego czele. Ujrzała ogień, który pochłonawszy stodołę, powoli zaczął zamierać, choć ze szkieletu budowli wciąż buchały płomienie.

Strażacy polewali wodą nie dogasający budynek, a dom znajdujący się obok stodoły oraz chlew z drugiej strony.

– Nikomu nic się nie stało? – zapytała Magda najbliższego stojącego mężczyznę.

– Nie, nikogo nie było w stodole – odparł ten, nie przerywając filmowania.

– A zwierzęta?

– Też żadnych. A świnię wyprowadzili z chlewa jak tylko stodoła zaczęła się palić.

Magda pokiwała głową, ciesząc się, że i tym razem nikt nie padł ofiarą pożaru.

Przez minutę jeszcze wpatrywała się w dogasające płomienie, ale potem oderwała od nich wzrok. W końcu nie była tu po to, żeby przypatrywać się pożarowi. Przyjechała, aby pozbyć się sprawcy podpalenia.

Odłączyła się od grupki gapiów i ruszyła wzdłuż stodoły, zachowując bezpieczną odległość. Zresztą od zgliszcz tak buchało gorącem, że nawet nie zamierzała się do nich zbliżyć.

Wkrótce zobaczyła to, czego szukała – wąską ścieżkę wypaloną w trawie, wiodącą na pola znajdujące się poza wsią. Teraz już nabrała pewności, że sprawcą pożarów nie był człowiek, a mściwy duch.

Wciąż idąc wzdłuż czarnej ścieżki, wyciągnęła z torby metalowy pręt i garść suszonego bagna – rośliny rosnącej na podmokłych terenach i doskonale przydającej się podczas polowania na spaleńca.

Droga powiodła ją przez pole uprawne, z którego nieśmiało wystawały zielone kielki żyta. Słońce wkrótce skryło się za pobliskim lasem, a temperatura gwałtownie obniżyła się, choć Magda wcale nie czuła chłodu. Zachód pokolorował niebo na najróżniejsze odcienie różu, które szybko zaczęły blednąć.

– Znajdę cię – obiecała sobie Magda, dotarwszy do granicy między polem a lasem. – Znajdę i wypędzę.

Powoli wkroczyła między drzewa, gdzie już od dłuższego czasu panował półmrok. Stąpała cicho po poszyciu, wciąż kierując się zwęgloną ścieżką. Im bardziej oddalała się od wsi, tym mocniej biło jej serce. Wiedziała to, czuła całą sobą, że nawi jest coraz bliżej.

Tylko raz w życiu widziała spaleńca. Zdarzyło się to kilka lat wcześniej, ale wtedy była pod opieką



wujka, który nie pozwoliłby, żeby coś jej się stało. Sama w gęstym lesie o zmroku poczuła się słaba i bezbronna, ale nie potrafiła się cofnąć. Coś kazało jej iść naprzód i pozbyć się nawiego tak, aby już nie skrzywdził żadnego człowieka.

– Najgorsze u spaleńców jest to, że nigdy nie wiadomo, kiedy zaczną podpalać znowu – powiedziała kiedyś Feliks. – Dawno temu pozbyłem się jednego niedaleko Przyjaźni, a potem znalazłem informację w lokalnych kronikach, że dwieście lat wcześniej przyłapano tam podpalacza na gorącym uczynku. Miejscowi szybko dokonali osądu i wrzucili w płomienie. Po śmierci skubany trzy razy atakował pobliskie gospodarstwa na przestrzeni tych dwustu lat, aż w końcu go dopadłem.

Nagle Magda ujrzała w oddali mały płomyk. Na chwilę zatrzymała się, a jej stopy zdawały się wrastać w ziemię. Płomyk krążył między pniami drzew, jakby niezdecydowany, w którą stronę iść dalej.

Dziewczyna sięgnęła lewą dłonią do kieszeni i nabrała całą garść suszonego bagna. Prawą mocniej ścisnęła żelazny pręt.

Powoli, niczym zahipnotyzowana, szła w kierunku płomyka. Do jej nosa dotarł okropny swąd palonej skóry i włosów.

*Dasz radę – przekonywała się w myślach. Poradzisz sobie z nim.*

Wreszcie stanęła przed płomieniem, który niespodziewanie rozgorzał aż do białości. Magda przymknęła oczy, odruchowo zasłoniła ramieniem twarz, a gdy tylko opuściła rękę, w miejscu, w którym przed chwilą znajdował się ogień, ujrzała spaleńca.

Stwór był obrzydliwy, a jego niegdyś człowiecze ciało powyginane i poskręcane w niemal komiczny sposób, zwęglona skóra miejscami zaczęła odchodzić od kości. Na głowie sterczały mu kępki spalonych, poczerniałych włosów. Nie miał oczu ani ust i patrzył na nią czarnymi, wypalonymi oczodołami, szczerząc odsłonięte zęby w groteskowym uśmiechu.

Magda stanęła jak wryta. Strach sparaliżował ją tak, że nie była w stanie drgnąć. Nie mogła oderwać oczu od spalonego, wychudzonego ciała, któremu brakowało nawet uszu. Smród spalenizny drażnił jej nozdrza i przyprawiał o mdłości.

Patrzyła na obrzydliwe ciało, które zaczęło skwierczeć i rozjaśniło się nieco, a gdzieś tam buchnęły z niego małe płomyki.

Dziewczyna zapomniała, po co tu przyszła i co chciała zrobić. Mogłaby zatonać w czarnych oczodołach, na dnie których jarzyło się blade światło.

Spaleniec przez chwilę stał, wpatrując się w nią, jakby zastanawiał się, czy stanowi dla niego zagrożenie, po czym nad jego dłonią rozgorzał jasny płomień.

Magda przypatrywała się temu jak zauroczona, dopóki nie zdała sobie sprawy, że spaleniec machnął ręką, a płomień – niczym ognista kula – poleciał prosto na nią.

Rzuciła się w bok. Za późno – ogień ugodził ją w lewe ramię, dotkliwie parząc. Krzyknęła, upadając na miękkie poszycie, ale ból ją otrzeźwił. Prawą dłonią poklepała się po ramieniu, gasząc płomyki, które rozlały się po rękawie kurtki.

– Niech cię piekło pochłonie – mruknęła, podnosząc się na klęczki.

Miotnęła w spaleńca resztką bagna, które pozostało jej w garści. Stwór natychmiast zaczął skwierczeć, a jego ciało trzaskało niczym wilgotne gałęzie w ognisku.

– *Exorcizámos te, ómnis immúnde spíritus, ómnis satánic potéstas!* – wykrzyczała Magda.

Spaleniec cisnął w jej stronę kolejną kulę ognia, ale uchyliła się przed nią, choć poczuła lekki swąd palonych włosów.

Im bliżej była końca egzorcyzmu, tym słabszy wydawał się być spaleniec. Wyglądał, jakby zapadł się w siebie, jego skóra jeszcze bardziej pociemniała, na dodatek zaczął nieludzko skrzeczeć. Magda ledwie stała na drżących nogach, ale jej głos pewnie niósł się po lesie:

– *Recéde ergo in nómine Patris, et Fílii, et Spíritus Sancti!* – zakończyła, rzucając się na ziemię, aby uniknąć ostatniego płomienia lecącego w jej stronę.

Spalenię zaskowyczał dziko. Jego czaszka i klatka piersiowa zapadły się do środka, a kończyny zaczęły łamać się z trzaskiem. Nawy nie przypominał już istoty ludzkiej, stał się bezkształtną masą spalonego ciała i kości, która zajaśniała gorącym płomieniem, aż w końcu wybuchła. Fala uderzeniowa rozniosła się po lesie, rozrzucając wokół zwęglone resztki ciała spaleńca, przyginając do ziemi chwasty i krzewy. Nieco ogłuszona Magda przez chwilę leżała na ziemi, dochodząc do siebie. Spojrzała w górę na korony wysokich sosen i ciemne niebo między nimi, a potem bez słowa pozbierała się z ziemi, strzepnęła z kurtki kawałek zwęglonego mięsa i ruszyła w kierunku samochodu. Przynajmniej tak jej się wydawało.

Oparzenie na ramieniu bolało jak oszalałe. Żałowała, że nie wzięła na nie żadnej maści oraz że nie ubrała gorszej kurtki, bo ta, którą miała na sobie, nadawała się już tylko do wyrzucenia. Delikatnie przyłożyła prawą dłoń do oparzenia, ale każdy, nawet najmniejszy dotyk, powodował ból.

– Jeszcze tego brakowało, żebym się zgubiła – mruknęła do siebie, idąc przez pogrążający się w ciemności las.

Wujek pewnie by się wściekł, gdyby usłyszał, że sama uganiała się za spaleńcem, ale ktoś przecież musiał go wypędzić. Gdyby nie ona, byłyby kolejne pożary, w końcu zginęliby ludzie.

Magda wyjęła z kieszeni telefon. Jeszcze chwila, a będzie dwudziesta druga. Dobrze, że nie mieszkała już z rodzicami i nikt nie pilnował, o której godzinie wraca do domu. Ale znaczyło to również, że nikt nie zauważył jej zniknięcia co najmniej do jutrzejszego południa, co nie było zbyt pocieszającą myślą, gdy poparzona i obolała szła przez las, mając nadzieję, że odnajdzie swój samochód.

Nagle Magda zobaczyła jakiś cień przemykający między drzewami. Zatrzymała się gwałtownie i nie patrząc w tamtą stronę, usiłowała dostrzec kątem oka, kto jej towarzyszył. Skupiła wszystkie zmysły i dopiero po kilku sekundach ujrzała czarną sylwetkę utkaną z dymu. Tylko jej oczy jarzyły się krwistoczerwono.

– Czego chcesz?! – Dziewczyna gwałtownie odwróciła się do cieniowego. – Dlaczego za mną łazisz?! Nie odpowiedział, a tylko rozpląnął się między pniami drzew.

– Czego chcesz? – szepnęła zmęczonym głosem.

Cień zmaterializował się przed nią. Wyciągnął do niej rękę i otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć, a potem zaczął pędzić w jej stronę. W głębi ducha przeczuwała, co się zaraz stanie, ale i tak poleciała na plecy, kiedy tylko cieniowy na nią wpadł. Poczowała charakterystyczny zapach i nawet zdało jej się, że coś słyszy, kiedy cień rozpląnął się na wietrze.

– Dlaczego mnie prześladujesz? – zapytała Magda.

Odpowiedziała jej cisza.

– Niech cię diabli! – krzyknęła, wstając z ziemi.

Las zageścił się – musiała przedrzeć się przez rozrośnięte krzaki, z których większość miała ostre kolce zahaczające o jej spodnie i kurtkę.

W końcu dotarła do drogi. Opadła na kolana i zaśmiała się radośnie, dotykając dłonią twardej, czarnej powierzchni.

– Tylko w którą stronę teraz? – zawahała się, patrząc to w jedną, to w drugą stronę.

Przedzierając się przez las, zupełnie straciła orientację i nie miała pojęcia, gdzie był samochód, a wcale nie uśmiechał się jej pięciokilometrowy spacer do Wiatrołomu.

– Głupia! – wyrzucała sobie, wciąż siedząc na asfalcie.

Jak mogła myśleć, że da sobie radę bez Feliksa? Mało co nie zginęła! A przecież był to zaledwie spalenię! W życiu nie poradzi sobie z groźniejszymi nawymi. Nie bez wujka. Ukryła twarz w dłoniach.

Nagle usłyszała cichy warkot, ale była przekonana, że to dźwięk w jej głowie. Uniosła wzrok dopiero wtedy, gdy dotarł do niej pisk opon.

Samochód gwałtownie skręcił tuż przed nią i zahaczył jednym kołem o pobocze. Obróciło nim wokół własnej osi. Zatrzymał się na bocznej drodze, oświetlając reflektorami siedzącą na środku drogi Magdę.

Ze środka ktoś wysiadł, ale oślepiąca dziewczyna widziała tylko ciemną, barczystą postać. Pożałowała, że nie zapakowała do torby gazu pieprzowego, ale przecież nic by jej nie dał w starciu ze spaleńcem.

– Nic ci nie jest?! – usłyszała.

*I co ja mam mu powiedzieć?* – zastanowiła się nieprzytomnie.

– Prawie cię rozjechałem!

Młody chłopak przyklęknął przed nią, ale jego twarz wciąż pozostała skryta w cieniu.

– Miałaś wypadek? – drążył. – Wszystko w porządku?

– Co? T-tak. – W końcu odzyskała głos. – Zatrzymałam się... – Przez chwilę gorączkowo szukała w głowie jakiegokolwiek powodu, dlaczego tkwi samotnie na drodze w środku lasu w nocy. – Zatrzymałam się na... kurki. Tak, mówią, że w tym lesie rosną piękne kurki. – Machnęła ręką w bliżej nieokreślonym kierunku. – I poszłam ich poszukać. Ale się zgubiłam. Gdzieś niedaleko powinien być mój samochód...

Chłopak spojrzał najpierw w jedną, potem w drugą stronę.

– Nie widzę żadnego samochodu – powiedział.

– Ja też nie – mruknęła Magda. – I stąd mój problem.

Chłopak wyprostował się i podał Magdzie dłoń.

– Dzięki – sapnęła, wstając.

– Wiesz choć mniej więcej, gdzie jest ten samochód? – zapytał.

– Jakieś pół kilometra przed Pasieką.

– No to daleko się zapędziłaś. Pasiekę minąłem trzy kilometry temu.

– Och – jęknęła Magda. Ramię pulsowało tęnym bólem.

– Mogę cię podwieźć, jak chcesz – zaproponował po chwili namysłu chłopak.

Magda rozważyła opcje, jakie miała i uznała, że nowy znajomy jest jej jedyną szansą na to, żeby tej nocy położyła się spać we własnym łóżku.

– Naprawdę? – zapytała. – To byłoby bardzo miłe.

– Chodź. – Złapał ją za rękę, prowadząc do swojego samochodu.

Magda syknęła cicho, gdy kurtka na lewym ramieniu przesunęła się, drażniąc oparzoną skórę.

– W porządku? – zapytał, odwracając się do niej.

– Ta...

– Napędziłaś mi strachu – powiedział, patrząc na nią.

Stał właśnie bokiem do światła rzucanego z reflektorów samochodu tak, że w końcu mogła zobaczyć jego twarz, opaloną cerę, kwadratową szczękę, ciemne włosy i niemal czarne oczy.

– Uwierz, że ty też mnie przestraszyłeś. – Uśmiechnęła się słabo.

– Nie dość, że rozjechałbym cię, to jeszcze rozbił auto wujka – kontynuował.

– Okropne.

– Żebyś wiedziała. Nie wypłaciłbym mu się do końca życia.

Spojrzeli sobie w oczy i wybuchnęli śmiechem.

– Jestem Magda. – Wyciągnęła rękę.

– Mateusz. – Uścisnął jej dłoń.

Wsiedli do jego samochodu, zawrócili na pustej drodze i powoli pojechali w stronę Pasieki.

- Skąd jesteś? – zapytał Mateusz.
- Z Wiatrołomu.
- Ja też.
- Naprawdę? – zdziwiła się. – Jeszcze nigdy cię nie widziałam.
- Bo jestem tu nowy. To twoje auto? – Zwolnił, gdy mijali samochód porzucony na leśnej drodze.
- Tak – odparła z westchnieniem ulgi.

Mateusz zjechał na pobocze.

- Dziękuję ci za podwózkę. – Magda spojrzała mu w oczy. – Uratowałeś mi dziś życie.
- Bez przesady... – Uśmiechnął się nieco speszony.
- Naprawdę, dziękuję. – Zaczęła gramolić się z samochodu. – Do zobaczenia.
- Cześć.

Na pożegnanie pomachała nowemu znajomemu, a potem usiadła za kierownicą własnego auta. Gdy tylko położyła dłonie na kierownicy, zacisnęła mocno oczy, odpędzając łyzy bólu i zmęczenia. Odpaliła silnik i – nie spiesząc się – wróciła do domu.

Gdy tylko zamknęła drzwi na klucz, delikatnie zrzuciła z siebie kurtkę nadającą się już tylko do wyrzucenia. Oparzenie na ramieniu nie wyglądało tak źle, jak jej się wydawało – skóra była zaledwie zaczerwieniona, ale i tak w piwnicy odszukała słoik z wywarem z młodych pędów czarnego bzu i zrobiła z niego opatrunek. Zaś gdy tylko stanęła przed lustrem w łazience, jęknęła na widok twarzy usmarowanej ziemią i czymś obrzydliwym, co mogło być zwęglonymi resztkami spalenca. Jeden kosmyk włosów był znacznie krótszy niż pozostałe, a jego poskręcane końcówki śmierdziały spalenizną.

– Mam nadzieję, że było na tyle ciemno, że ten Mateusz nie widział, jak okropnie wyglądam – mruknęła.

Po szybkim prysznicu padła na łóżko i spała twardo do samego rana.

¢

Następnego dnia nałożyła kolejny okład na wciąż zaczerwienione ramię i ubrała bluzkę z długim rękawem, żeby mama nie zauważyła poparzenia i nie zaczęła dopytywać się, co się stało.

Jeszcze przed obiadem Magda zadzwoniła do ciotki Jadwigi pochwalić się, że odesłała spalenca do Nawii.

- To bardzo dobrze, moje dziecko – powiedziała ciotka. – A teraz muszę już kończyć, bo...
- Bo zaczyna się twój serial? – dokończyła Magda, słysząc w telefonie charakterystyczną muzykę.
- Właśnie tak.
- Miłego oglądania – powiedziała dziewczyna i rozłączyła się.
- Z kim rozmawiałaś? – zapytała mama wchodząca do księgarni.

– Z ciotką. Koniecznie musiała mi opowiedzieć o skandalicznych wydarzeniach w jej serialu – skłamała bez zmrżenia oka. – Ktoś tam zdradził swoją żonę z jej siostrą i te sprawy.

– Ach, no cóż, to bardzo poważne przewinienie – uznała z udawaną powagą Emilia. – Chciałabym, żebyś dziś pojechała do stolarni Wilka i odebrała tę szafkę, którą zamówiłam do domu.

Tak więc popołudniu Magda pojechała na obrzeża miasta, gdzie wśród wielu innych zakładów mieściła się stolarnia Krzysztofa Wilka. Przed dużym, parterowym budynkiem stało kilka większych aut, a z boku znajdował się zsypana na trociny. Przez otwarte okna słyszała warkot maszyn. Pchnęła ciężkie drzwi i weszła do środka. Pachniało tam drewnem i trocinami, a żółtawy pył pokrywał każdą powierzchnię pomimo tego, że drzwi na halę były szczelnie zamknięte.

Dziewczyna od razu skierowała się do otwartego biura. Tam, za potężnym, drewnianym biurkiem zawalonym stertą papierów, siedział właściciel stolarni – potężny mężczyzna po czterdziestce.

– Dzień dobry – przywitała się Magda. – Przyjechałam odebrać szafkę dla Emilii Wojny.

Krzysztof Wilk podniósł na nią wzrok i uśmiechnął się szeroko.

– Oczywiście, jest już zapakowana i gotowa do drogi.

Magda zapłaciła za mebel, a potem wyszła na zewnątrz, aby otworzyć bagażnik i zaczekać, aż ktoś przyniesie szafkę.

Kilka chwil później ze stolarni wyszedł dobrze zbudowany, ciemnowłosy chłopak, niosąc zapakowane w karton elementy szafy z taką łatwością, jakby nic nie ważyły.

Włożył je do bagażnika, a samochód obniżył się nieco pod ich ciężarem.

– Gotowe – powiedział chłopak, prostując się.

Magda spojrzała na niego i zmarszczyła nieco brwi, na co on się uśmiechnął.

– Entuzjastka grzybobrania? – zapytał.

– Cześć! Kurczę, ale niespodzianka... – Dziewczyna usiłowała przywołać w pamięci imię nowego znajomego. – Eee...

– Mateusz – podpowiedział.

– Miło cię znowu widzieć – wydukała.

Spojrzała na parking, gdzie stał samochód, który poprzedniego wieczoru omal jej nie potracił i potrzebowała tylko kilku sekund, żeby skojarzyć wszystkie fakty.

– Krzysztof Wilk jest twoim wujkiem? – zapytała.

– Uhm. – Mateusz skinął głową.

Magda siłą zmusiła się, żeby nie zmierzyć go wzrokiem od stóp do głów w poszukiwaniu blizn. Wiatrołom był małym miastem i jak w każdym małym mieście huczało w nim od plotek. A jedna z nich dotyczyła młodego chłopaka, którego prześladował okrutny pech. Jego rodzice zmarli, gdy był dzieckiem, a przed kilkoma tygodniami cudem przeżył wielki pożar, w którym zginęli jego dziadkowie. Po ich śmierci przeprowadził się do Wiatrołomu, do swojej jedynej rodziny – Wilków.

– Och... – wyrwało jej się z ust. – Dziękuję za przyniesienie szafki.

– Nie ma problemu.

– I za podwiezienie wczoraj. – Zatrzasnęła bagażnik i otworzyła drzwiczki od strony kierowcy.

Mateusz skinął głową i powoli ruszył w stronę stolarni.

Magda była już jedną nogą w samochodzie, kiedy pomyślała sobie, jak ciężko po takiej tragedii musi się mieszkać w nowym mieście, bez przyjaciół i znajomych.

– Mateusz! – zawołała, prostując się.

– Tak? – Odwrócił się.

– Za to, że mnie nie rozjechałeś, powinnam cię zaprosić na kawę albo pizzę – powiedziała, przeklinając w duchu własną impulsywność. Większość chłopaków z Wiatrołomu od razu by jej odmówiło, nieważne, jak bardzo by się im podobała. Wujek Feliks skutecznie potrafił odstraszać wszystkich samą swoją obecnością.

*Ale Feliksa tu nie ma* – pomyślała Magda, przygryzając lekko dolną wargę. *A Mateusz jest tu nowy i nic o nas nie wie.*

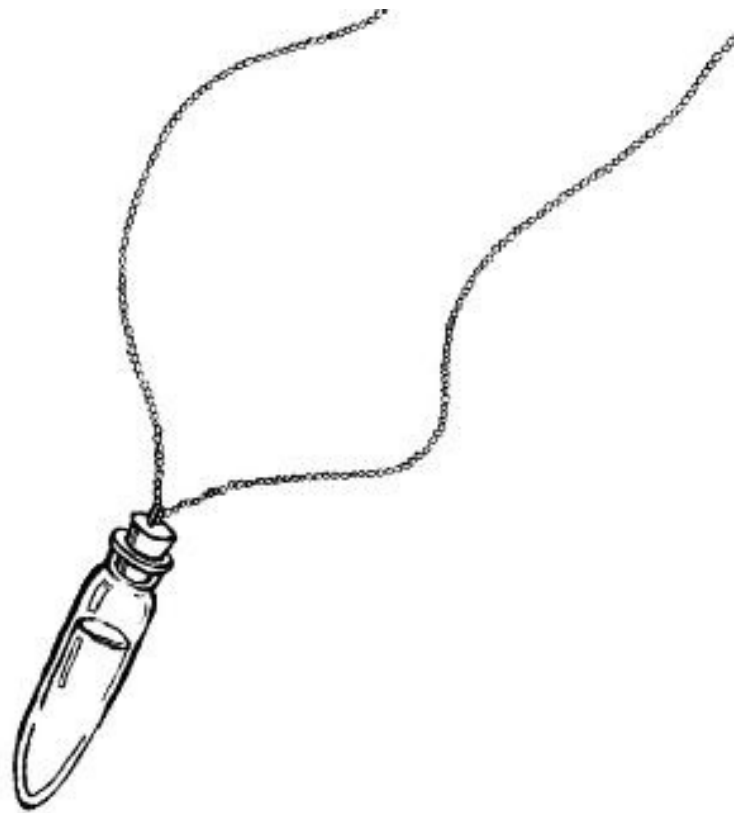
– Z przyjemnością. – Uśmiechnął się.

– Jutro? – Magda kuła żelazo póki gorące.

Mateusz skinął głową, więc wyciągnęła z torebki kawałek kartki i nabazgrała na nim swój numer telefonu, po czym wręczyła świstek chłopakowi.

– To do jutra! – Pomachała mu ręką i wsiadła do samochodu.

# Rozdział 3





Mateusz mieszkał w Wiatrołomie od niedawna i wciąż miał wrażenie, że wszyscy się tu znają. Nigdy nie wyróżniał się z tłumu i nigdy też nie obchodziło go, co tłum o nim myśli. Jak się okazało, w dużym mieście było to łatwe. Tak prosto było zniknąć wśród setek innych anonimowych twarzy. A tutaj? Miał wrażenie, że już pierwszego dnia po jego przeprowadzce połowa miasta wiedziała, że nie ma nikogo poza ciocią i wujkiem, który w zamian za pomoc w stolarni zaproponował mu skromne mieszkanie nad garażem.

– Jak tam w pracy, chłopcy? – zagadnęła ciocia przy kolacji.

Mateusz kiwnął głową i gdy po paru sekundach kobieta doszła do wniosku, że nic więcej od niego nie wyciągnie, spojrzała na męża.

– Było trochę roboty – odparł. – Dobrze mieć dodatkową parę rąk do pracy. Słowo daję, nie miałem pojęcia, że Mateusz jest taki dobry przy drewnie. Gdybym wcześniej to wiedział, już dawno temu bym go tu ściągnął. Tylko jak następnym razem wpadniesz na jakiegoś klienta, postaraj się być miłszy – zwrócił się do bratanka. – Wiesz, tutejsi ludzie nie bardzo lubią być traktowani przedmiotowo...

– Krzysiek, daj mu czas! – oburzyła się ciocia. – Nikogo jeszcze tu nie zna, trudno traktować jak znajomych ludzi, których spotyka się po raz pierwszy w życiu.

Mateusz wymienił porozumiewawcze spojrzenie z kuzynem Alekssem. Ale ten tylko wzruszył ramionami, robiąc przeproszającą minę zdającą się mówić: „to nie moja wina, oni tacy już są”.

Chłopak zajął się kolacją, pozwalając, by dyskusja wujostwa dotycząca głównie jego i jego stosunków towarzyskich przelatywała gdzieś obok.

– Powinieneś gdzieś wyjść, poznać ludzi w twoim wieku – zakończyła ciocia, patrząc wyczekująco na Mateusza. – Tylko pracujesz w stolarni albo przesiadujesz nad garażem.

– Tam mieszkam – przypomniał jej.

– No tak, ale jesteś młody, nie możesz zamykać się na cały świat.

Mateusz przeżuł ostatni kęs, spojrzał najpierw na wujka, potem na ciocię. I tak musiał im powiedzieć. W tym przekłętym miasteczku prędzej czy później by się dowiedzieli.

– Jutro nie będzie mnie na obiedzie, bo wychodzę – oznajmił.

Miał nadzieję, że tym zdaniem utnie całą dyskusję, ale był w błędzie.

– Naprawdę? – ucieszyła się ciocia. – Z kim? Gdzie? Co będziecie robić?

– Z taką dziewczyną. Magdą jakąś tam. Była u nas dziś po szafkę.

Atmosfera przy stole nagle się zwarzyła.

– Wychodzisz gdzieś z dziewczyną Wojnów? – zapytał wujek.

Chłopak wzruszył ramionami.

– Może to nie jest najlepszy pomysł? – odezwała się ciocia.

– Dlaczego?

– To jest... ekhem... porządna rodzina, ale wiesz... – zaczął wujek.

– Nie, nie wiem.

Wujostwo wymieniło spojrzenia, jakby szukając jakiegokolwiek wymówki, ale nic nie przychodziło im do głów.

– Jesteś pewien, że chcesz iść akurat z nią? – upewniła się ciocia.

Skinał głową, na co kobieta głośno westchnęła.

– Tylko uważaj na siebie – poprosiła.

Mateusz pomógł posprzątać po kolacji, a potem wrócił do swojego pokoju i rzucił się na łóżko. Spojrzał na sufit i zmarszczył brwi. Spotkał Magdę dopiero dwukrotnie, ale wcale nie sprawiała

wrażenia, że należy do typu dziewczyn, przy których trzeba „uważać na siebie”.

¢

– Dzięki za podwózkę.

– Nie ma sprawy, powodzenia. – Uśmiechnął się kierowca.

Nadia zatrzasnęła drzwi samochodu i stała przez chwilę nieruchomo, patrząc jak auto znika za zakrętem. Założyła plecak na ramię i raźno ruszyła przed siebie. Kierowca wysadził ją na obrzeżach Brzeźnicy, ale to dobrze, bo wcale nie zmierzała do centrum. Wolała stare, opuszczone i zaniedbane dzielnice.

Mijała ludzi wracających z pracy, bądź spieszących na drugą zmianę. Młodą kobietę pchającą wózek, grupkę chłopców z plecakami większymi od nich, dwoje staruszków odpoczywających na ławce. Z przyzwyczajenia uważnie przyglądała się każdemu. Uśmiechała się do ludzi i patrzyła im prosto w oczy. A kto tylko odwzajemnił jej spojrzenie, szybko odwracał wzrok, nie mogąc znieść pustki w jej oczach.

Po drodze zatrzymała się przy kiosku, kupiła lokalną gazetę i usiadła na ławce w parku, przeglądając ją. Wkrótce znalazła to, czego szukała. „Brakuje pieniędzy na wyburzenie?” – głosił nagłówek jednego z artykułów. Czytając go, Nadia dowiedziała się, że niedaleko ogródków działkowych znajduje się stary blok nadający się tylko do rozbiórki. Miejscowi narzekali, że zamieszkują go „ćpuni i pijacy”, że strach obok niego przechodzić, a działkowcom nie podoba się widok starej ruiny.

Nadia uśmiechnęła się pod nosem. Wszędzie zdarzały się takie miejsca, których nie znosili porządni mieszkańcy, ale gdzie bezdomni mogli znaleźć dach nad głową w deszczową noc.

Pierwszego napotkanego przechodnia zapytała o drogę do ogródków działkowych i już po półgodzinie stanęła przed masywną, szarą bryłą poznaczoną okropnym graffiti. Czarne okna szczyrzyły się resztkami powybijanych szyb, gdzieś tam powiewała brudna, porwana firanka. Drzwi nie było – wyglądało na to, że już dawno temu ktoś wyrwał je z zawiasów wraz z kawałkami elewacji. Nad wejściem ktoś z wyobraźnią napisał sprayem: „blok cuduw”.

Przestępując nad gruzem, Nadia weszła na klatkę schodową. Zajrzała do mieszkań na parterze, które – jak się spodziewała – były zasłane papierkami, potłuczonymi butelkami i cuchnęły moczem. Stara winda miała wyłamane drzwi, a jak się później okazało, stalowe liny, które niegdyś wciągały ją na górę, były zerwane. Dziewczyna weszła schodami na piętro, gdzie sytuacja wyglądała nieco lepiej, a w jednym z pokoi odnalazła zwinięte koce i karton z najróżniejszymi śmieciami – prawdopodobnie dobytkiem jakiegoś bezdomnego. Im wyżej szła, tym w coraz lepszym stanie były mieszkania. Na ostatnim, piątym piętrze znajdowało się jedno mieszkanie z drzwiami i, choć zamki były wyrwane, nadawało się idealnie na kilkudniową kryjówkę.

W środku nie było absolutnie nic cennego – gruz, potłuczone kafelki, kawałki drewna, ale to wcale nie przeszkadzało Nadii. Wiele razy mieszkała w gorszych warunkach i tak naprawdę niewiele potrzebowała do życia. Oczywiście mogłaby wynająć pokój w tanim hostelu – w końcu miała ukrytych trochę pieniędzy – ale po co? Tutaj nikt nie będzie patrzył na nią podejrzliwym wzrokiem, kiedy w środku nocy wyjdzie na miasto.

– Nada się – stwierdziła.

Ułożyła w kącie plecak i przykryła go śmieciami oraz gruzem, a potem ruszyła do centrum Brzeźnicy. Zrobiło się chłodniej – musiała zapiąć swoją sportową kurtkę pod samą szyję, upewniwszy się przedtem, że nikt nie zauważy noża przy pasku. Teoretycznie prawo nie zabraniało noszenia go, ale nie było co kusić

losu.

Długie życie nauczyło ją, że zawsze powinna mieć przy sobie broń, chociażby w postaci krótkiego noża. Nigdy nie rozstawała się również z ciepłą kurtką i wygodnymi sportowymi butami. Inne rzeczy mogła ukraść, kupić, albo po prostu obejść się bez nich.

Skończyły się jej zapasy jedzenia, a poza tym musiała nieco dostosować swoje nowe lokum, najpierw więc wybrała się do sklepu metalowego, gdzie kupiła garść gwoździ, potem w nieco obskurnych delikatesach nabyła chleb, wodę i konserwę. A po chwili wahania do zakupów dorzuciła jeszcze tabliczkę czekolady. W końcu raz na jakiś czas można zaszaleć. Sprzedawczyni pozwoliła jej zabrać ze składowiska za sklepem kilka kartonów.

Zanim się ściemniło, Nadia znalazła na drugim piętrze „bloku cuduw” kawał dykty i za pomocą kamienia zasłoniła nim wybite okno, wyłożyła kawałek podłogi czystymi kartonami, a na nich rozłożyła śpiwór. Wewnętrzne drzwi wyjściowe wisiały tylko na jednym zawiasie, więc zdjęła je i oparła o ścianę. Z kolei zewnętrzne zastawiła na korytarzu resztkami starej komody z innego mieszkania, zostawiając przejście tylko dla osoby tak chudej, jak ona. W przedpokoju rozsypała potłuczone szkło, a na wysokości golenia rozpięła linkę hamulcową. Jeśli ktoś zechciałby ją niepokoić, to nie będzie miał zbyt łatwej przeprawy, a poza tym narobi przy tym tyle hałasu, że obudziłby nawet martwego.

Przy wątłym świetle świeczki zjadła kolację i umyła się za pomocą wilgotnych chusteczek. Później zawinęła się w śpiwór i z rękoma założonymi za głowę wpatrywała się w ciemny sufit. Przez okno zabite dyktą nie przedostawało się do pokoju żadne światło. Wszystkie latarnie w okolicy były potłuczone, a chudy sierp księżycy skrył się za gęstymi chmurami.

Pomimo zmęczenia, Nadia nie mogła usnąć. Coś ją męczyło.

Z rozdrażnionym westchnięciem podniosła się na łokciach i rozejrzała po pokoju. W ciemnościach widziała lepiej niż zwykli ludzie, lecz wciąż nie mogła odgadnąć, co było przyczyną irytacji. Dopiero po chwili jej wzrok spoczął na zamkniętych drzwiach od pokoju. No tak, dziewczyna, do której jeszcze całkiem niedawno należało to ciało, cierpiała na klaustrofobię. Nigdy nie spała w pomieszczeniu z zamkniętymi drzwiami.

Nadia w pierwszym odruchu wstała, chcąc je otworzyć, ale powstrzymała się. Na początku stare przyzwyczajenia ciała są bardzo silne, ale to nie powód, by im ulegać. Z powrotem usiadła na śpiworze i nieświadomie postawiła przewróconą butelkę z wodą, a potem wpatrywała się w nią przez dobrą minutę.

Do tego dziewczyna była pedantką. Ale to akurat nie tak źle. Miała swój harmonogram dnia, codziennie chodziła biegać, w weekendy spotykała się z koleżankami na siłowni. Była wysportowana i dobrze się odżywiła.

Nadia znów się położyła, patrząc na sufit. Rozmyślanie o tej dziewczynie doprowadziły ją do odtworzenia w pamięci ostatnich chwil jej życia. Tamtego dnia miała zamiar uczyć się do egzaminu, ale koleżanka wyciągnęła ją na zlot motocyklowy. Spotkała tam kilku starych znajomych, poznała kilku nowych, trochę wypiła, dobrze się bawiła i nie żałowała, że wyszła z domu. A potem wjechał w nią pijany chłopak na motorze kolegi. Okrutnie poturbowana zmarła na miejscu. Jej ciało było w takim stanie, że nie można było nawet zostawić otwartego wieka trumny podczas różańca.

Dusza Nadii odnalazła jej ciało nad ranem, tuż przed pogrzebem. Energia, jaka uwalnia się podczas wcielania w nowe naczynie, pozwoliła na zaleczenie ran, połamane kości zrosły się, a rozerwane organy wróciły do dawnego stanu. Pozostawało wymknąć się z zamkniętej kaplicy. W grobie zaś spoczęła tylko pusta trumna.

Nadia autostopem dotarła do swojej najbliższej kryjówki, gdzie trzymała pieniądze, kupiła nowe ubrania, wyjechała na drugi koniec kraju i już po kilku dniach podjęła pracę, choć nowe ciało wciąż

ciągnęło do starych przyzwyczajęń.

Na wspomnienie rodziny oplakującej dziewczynę i koleżanki, która do końca życia będzie miała wyrzuty sumienia, po policzku Nadii spłynęło kilka łez. Początki w nowym ciele były najgorsze. Jego wspomnienia mieszały się ze wspomnieniami wszystkich innych wcieleń, powodując prawdziwy chaos w głowie. Ponoć rozmowa i przebywanie wśród ludzi z poprzedniego wcielenia pomagało, ale Nadia nie wiedziała, czy to prawda. Była sama już od tak dawna. Jej prawdziwa rodzina nie żyła od dziesiątek lat. Nowej nie szukała. Lubiła być sama, samotnie stawiała czoła nawet, nie musiała się martwić, że jej działania zaszkodzą jej bliskim. Podróżowała z miasta do miasta, starymi metodami szukała zjaw i wypędzała je. Czasem zatrzymywała się w jakimś miejscu jedynie na dwa, trzy dni, gdzie indziej zostawała na dłużej – kilka miesięcy, może nawet rok, znajdowała pracę, odkładała pieniądze na przyszłość.

Było późno w nocy, kiedy zasnęła, a mimo to wstała o świcie. Ukryła pod gruzami plecak, a potem ostrożnie przeszła przez przedpokój zasypany tłuczonym szkłem i ruszyła na miasto.

†

Magda wspięła się na betonowe schodki do domu, gdy z ogrodu dobiegł ją hałas. Ostrożnie wychyliła się nad murkiem i przyjrzała krzakom, które lekko drżały. Ktoś lub coś w nich buszowało.

Dziewczyna zmarszczyła brwi i zaczęła się zastanawiać, jaki oręż ma w torebce, gdy w zaroślach błysnęło na zielono dwoje oczu, a chwilę potem ujrzała dużego psa.

– Głupie psisko, nastraszyłeś mnie – syknęła, wyjmując z murku obłuzowaną cegłę, pod którą znajdował się klucz i wsunęła go do zamka w drzwiach. Weszła do ciemnego korytarza i zmarszczyła nos. Czyżby coś się zepsuło?

Nie zapalając światła, skierowała się do kuchni, lecz tu zapach był słabszy. Zajrzała do lodówki, ale ta świeciła pustkami. No tak, ostatnio nie miała nawet czasu, żeby zrobić porządne zakupy, choć wydawało jej się, że powinna mieć jeszcze trochę resztek z poprzedniego obiadu. Jednak brudny i, co gorsza, pusty garnek stał w zlewie. Musiała zapomnieć, że sama wszystko zjadła. Ostatnio mama wciąż kazała jej przesiadywać w księgarni, zarządziła inwentaryzację i generalne porządki.

Dziewczyna zeszła do piwnicy. Musiała zapalić w piecu, jeżeli chciała wziąć gorącą kąpiel tego wieczora. Gdy skończyła, wytarła brudne dłonie o spodnie i wróciła na górę.

– Wciąż coś tu śmierdzi – orzekła i zaczęła krążyć po parterze, szukając źródła nieprzyjemnego zapachu.

Nagle usłyszała łomot na piętrze. Nie była strachliwa, ale zbyt dobrze zdawała sobie sprawę z tego, co mogło włamać się do domu. Wzięła do rąk metalową rurkę, która leżała na szafce w korytarzu.

Uspokoiła oddech i zaczęła bardzo powoli wspinać się po schodach. Hałas więcej się nie powtórzył, co wcale nie było dobrą wiadomością, bo teraz trudniej będzie zlokalizować włamywacza.

Staneła na szczycie schodów i nasłuchiwała przez chwilę. Do jej uszu dotarło ciche szuranie w jednym z pokoi. Bezszelestnie ruszyła w jego stronę. Serce biło jej coraz szybciej.

*A jeśli rurka nie wystarczy?* – pomyślała z przestraszaniem. Byli tacy, na których taka broń nie wywarłaby żadnego wrażenia. *Może to jednak zwykły złodziej, który nie wie, że do pewnych domów w okolicy lepiej się nie włamywać?*

Korytarz tonął w półmroku. Większość pokoi była zazwyczaj zamknięta, a okienko znajdujące się na samym końcu dostarczało niewiele światła.

Magda mocniej zacisnęła palce na metalowym drążku. Uniosła go, gotowa do zadania ciosu. Powoli

stawiała stopę za stopą na parkiecie, modląc się, żeby nie zaczął skrzypieć. Zbliżyła się do drzwi, które nagle się otworzyły.

Dziewczyna spięła mięśnie i w ostatniej chwili zatrzymała rurkę pędzącą w kierunku głowy intruza. Gdyby tego nie zrobiła, roztrzaskałaby mu czaszkę.

– Co ty tu robisz?! – zapytała wojowniczo.

Na twarzy młodego, chudego chłopaka odmalowało się zaskoczenie. Zmierzył wzrokiem ją, a potem rurkę

– Odłóż to, dziecko, bo jeszcze sobie krzywdę zrobisz – powiedział.

Magda nabrała powietrza w płuca i wtedy spojrzała prosto w jego zielone oczy. Były innego koloru, ale zionęły tak dobrze znaną jej pustką. Za nimi nie było już nic. Tak wyglądały oczy martwego człowieka, gdy dusza uleciała z jego ciała.

– Wujek? – zapytała, a potem skrzywiła się, zdając sobie sprawę, jak dziwacznie to brzmi w odniesieniu do tego chudzielca.

– A niby kto inny? – odparł z przekąsem.

Wyminął ją i skierował się ku schodom.

Właśnie dlatego nie zadzwoniła po ojca, ani na policję – istniała niewielka szansa, że włamywaczem okaże się Feliks.

Dziewczyna zajrzała do jego pokoju. Na ziemi leżały brudne ubrania – to one musiały być przyczyną tego smrodu, który czuła już na parterze. Przez chwilę patrzyła jeszcze na rozgrzebane łóżko, a potem pobiegła za krewniakiem.

– Teraz już przynajmniej wiem, kto zjadł mój obiad – powiedziała, gdy dogoniła go w kuchni.

– Twój obiad? Myślałem, że jesteśmy w moim domu.

– Jeśli już o tym mowa, to wprowadziłam się do ciebie – wypaliła.

– Słucham?!

– Ktoś przecież musiał tu posprzątać, przepalić w piecu, zająć się ogródkiem.

– Wciąż jednak nie godzę się na to, abys ze mną mieszkała. To po prostu nie wypada. Szczególnie teraz.

– Ja ci nie kazałam wybierać sobie takiego ciała! – Machnęła ręką, wskazując na niego.

– Jak dobrze wiesz, niewiele pozostaje w mojej gestii, gdy coś mnie zabije.

Chłopak westchnął ciężko i usiadł przy stole. Jego dawne ubrania były na niego zbyt szerokie i za krótkie. Nogawki spodni mocno ściśniętych paskiem kończyły się kilka centymetrów nad kostkami.

– Moje zaniedbanie – odezwał się po chwili. – Przeklęty upiór mnie zaskoczył. A miałem takie dobre ciało...

Spojrzał na swoje szczupłe dłonie, które prawdopodobnie nie przepracowały ciężko ani jednego dnia. Ale przecież nie tak łatwo znaleźć odpowiednie ciało. Przede wszystkim musiało być puste, bez duszy. A że człowiek zawsze umiera z jakiejś przyczyny i choć kopniak, który dusza żniwiarza daje takiemu pustemu naczyniu wystarcza, aby je ożywić, żniwiarz musi dalej działać z tym, co ma, a przyzwyczajenie się do nowego ciała zabiera dużo czasu.

Magda opadła na krzesło. Choć wujek był teraz w jej wieku i wyglądał jak zagłodzony informatyk, żył i to było najważniejsze. Kamień, który ciążył jej przez pół roku, w końcu spadł jej z serca.

– Trochę długo zajął ci powrót do domu – przyznała z przekąsem.

– Nie wiem, dlaczego tak długo mnie nie było – westchnął. – Ten chłopak – powiedział i spojrzał po sobie – utonął w rzece. Wyrzuciło jego ciało na brzeg pośrodku niczego. W samych bokserkach! Ty wiesz, jak mi było zimno, zanim ukradłem komuś ubrania? A poza tym, trochę czasu zajmuje przedostanie się w takich warunkach na drugi koniec kraju! Także nawet nie próbuj mnie rugać, młoda damo!

Magda parsknęła głośno.

– To ty nawet nie próbuj tak do mnie mówić! Teraz mamy tyle samo lat i nie myśl sobie, że będę mówiła do ciebie „wujku”!

Feliks zasępił się.

– Wiedziałem, że ten dzień kiedyś nadejdzie – mruknął niezadowolony. – Możesz mówić ludziom, że jesteś moją kuzynką.

– W końcu – ucieszyła się dziewczyna.

Feliks spojrział krzywo na Magdę, lecz wtedy kątem oka zobaczył własne odbicie w ciemnym oknie. Teraz, jako jej kuzyn, musiał się przyzwyczaić do takiego traktowania.

*Nie trzeba było dawać się ugryźć* – pomyślał z żalem.

– A pamiętasz coś, co się działo po twojej śmierci? – zapytała. – Może tym razem?

Feliks pokręcił głową.

– Ile razy mam ci powtarzać, że dusza zniwiarza ma własną wolę? – odparł zmęczonym głosem. – To ona wybiera nowe ciało, a jak już w nim jestem, nic z tych poszukiwań nie pamiętam.

– Oj dobra, tak tylko pytałam – mruknęła. – Zadzwońię do rodziców i powiem im, że będziesz jutro u nich na obiedzie.

– U nich? – Feliks zmarszczył brwi. – A ty?

– Ja jutro wychodzę.

– Gdzie?

Magda spojrzała na niego i uśmiechnęła się złośliwie.

– Nie muszę ci się tłumaczyć. A teraz wybac, ale muszę iść do jakiegoś całodobowego, bo nie mamy nic do jedzenia.

– Jeszcze nie zgodziłem się na to, żebyś ze mną mieszkała! – zawołał za nią.

Magda cofnęła się kilka kroków i zajrzała do kuchni.

– Jeszcze – powiedziała, a potem wyszła.

– Ta dziewczyna wszelkie autorytety ma za nic – stwierdził, gdy został sam. – Jest nieznośna, bezczelna i krnąbrna. Będę musiał porozmawiać jutro z jej ojcem.

Feliks znów spojrział na swoje odbicie w szybie.

– Jeśli w ogóle będzie chciał mnie słuchać – dodał.

W rodzinie Wojnów wszyscy wiedzieli, że za każdym razem, gdy zniwiarz zmienia ciało, tak naprawdę pozostaje tą samą duszą, choć często ma zupełnie inny charakter. Problem polegał na tym, że nie zawsze ich podświadomość to akceptowała. Gdy tylko zobaczą tego zagłodzonego dziewiętnastolatka, będą go traktować jak dziewiętnastolatka, choć wszyscy dobrze wiedzą, że tak naprawdę był starszy od nich wszystkich razem wziętych.

¢

Mateusz przyszedł pod księgarnię przed czasem. Usiadł na ławce nieopodal i patrzył na mijających go ludzi. Wszyscy byli odświętnie ubrani. No tak, niedziela w małym miasteczku, każdy szedł do kościoła niczym na rewię mody. Wśród nich krążył duży, szary wilczur, niuchając w powietrzu, czy ktoś czasem nie ma przy sobie czegoś do zjedzenia.

Chłopak już z daleka zobaczył Magdę. Dziewczyna była ładna i zgrabna, musiał to przyznać. Jej ciemne, lekko kręcone włosy falowały na wietrze. Na szczupłej, wręcz dziecięcej twarzy zagościł szczerzy, radosny uśmiech. Pomachała do niego i przyspieszyła kroku.

– Mam nadzieję, że się nie spóźniłam – powiedziała.

Spojrzał w jej brązowe, ciepłe oczy i pokręcił głową. Wyciągnął w jej stronę rękę, ale ją zignorowała i go uściskała.

– Co powiesz na pizzę? – zapytała. – Za mną pizza chodzi już od kilku dni. A znam miejsce, gdzie podają ją naprawdę świetną. No, może nie świetną, ale jak na standardy naszego miasta jest w porządku.

– Zatem prowadź.

Podczas drogi Magda opowiedziała mu o swojej pracy w księgarni, ponarzekła na to, jak trudno czasem pracuje się z własną matką, a potem wypytała Mateusza na temat tego, co robi w stolarni wujka.

Lokal, do którego go zaprowadziła, pozostawiał wiele do życzenia. Gdyby Mateusz sam tędy przechodził, w życiu nie zwróciliby na niego uwagi. Przed drzwiami dwóch pijaczków kłóciło się o to, który wypił ostatnią puszkę piwa. Magda, mijając ich, uśmiechnęła się promiennie.

– Dzień dobry – przywitała się.

Nagle przestali się kłócić i zerknęli na nią.

– Dzień dobry – odparli równocześnie, a jeden nawet zdjął czapkę z głowy.

Mateusza zaskoczył trochę ten nagły objaw kultury i szacunku, ale co on tam wiedział na temat małomiasteczkowych uprzejmości.

Gdy weszli do środka, Magda machnęła ręką do kelnerki stojącej za barem, po czym usiedli do stolika.

Mateusz wziął do rąk wystrzępioną i brudną kartę dań.

– Nie, na to nie patrz – powiedziała dziewczyna.

– A na co mam patrzeć? – zapytał, ale ona uśmiechnęła się tajemniczo.

– Co podać? – zapytała kelnerka.

– Klaudio, czy możemy prosić o pizzę z ananasem i kurczakiem?

– Jasne – powiedziała dziewczyna i odeszła.

– Ej, nie patrz tak na mnie – odezwała się po chwili Magda. – To nie jest tak, że mam tu jakieś szczególne traktowanie, po prostu czasem głównego kucharza ponosi wyobraźnia, a te perełki, które wychodzą mu najlepiej, nie znajdują się w menu.

– Aha.

– To opowiadaj, jak ci się podoba w naszym mieście!

Oparła łokcie na stole, a na splecionych dłoniach ułożyła brodę i zapatrzyła się na niego wyczekująco.

– Mam wrażenie, że wszyscy się tu znają. – Rozejrzał się po pustym lokalu, jakby szukając potwierdzenia swoich słów, a gdy go nie znalazł, wzruszył ramionami.

Magda przypuszczała, że nonszalancją usiłuje zatuszować to, że jest zestresowany, a może nawet nieco zagubiony.

– Bez przesady – zaśmiała się. – Może nie ma nas zbyt wielu i siłą rzeczy większość ludzi się zna, ale uwierz mi, że nie mam pojęcia, kim jest wielu z nich.

– Tam, gdzie mieszkałem wcześniej, nie znałem nawet osób mieszkających na tej samej ulicy.

– A co cię w takim razie skłoniło do przyjechania tutaj? – zapytała Magda, zanim ugryzła się w język.

– Praca – odparł krótko. – Wujek potrzebował kogoś do pomocy, a ja zajęcia i mieszkania. I tym oto sposobem pracuję w stolarni i mieszkam nad jego garażem. A ty? Nie chciałaś nigdy się stąd wyrwać?

Magda zmieszała się, gdy podstępna pamięć podsunęła jej obrazy ze studiów i tego, jak to wszystko się skończyło.

– Wyrwać? Coś ty, uwielbiam Wiatrołom! – wydusiła w końcu z siebie. – Czasem oczywiście ludzie strasznie mnie wkurzają, ale nigdzie indziej nie mogłabym zamieszkać. Poza tym mam tutaj całą rodzinę, a u nas to naprawdę ważne.

Feliks przeszedł przez wiecznie otwartą furtkę i skierował się do domu rodziców Magdy, lecz w połowie drogi zawahał się. Czegoś mu brakowało. Zaciśnął dłonie i rozprostował je.

– No tak – westchnął. – Trochę nie wypada z pustymi rękoma.

W poprzednim wcieleniu nie zapomniałby o kwiatkach dla Emilii i butelce dobrego alkoholu dla jej męża, Jakuba. Pewnie przyniósłby też coś dla Magdy, ale nie dość, że dziewczyna wyprowadziła się od rodziców do niego, to jeszcze wolała spotykać się na mieście z jakimś chłopakiem, a nie z rodziną.

Stanął przed drzwiami i podniósł zaciśniętą dłoń, aby w nie zapukać, kiedy nagle otworzyły się szeroko.

– Feliks! – zawołała Emilia.

Zmierzyła go wzrokiem, a potem uściskała. Tuż za nią stała Jadwiga, a jeszcze dalej tłoczyli się pozostali członkowie rodziny, wszyscy ciekawi nowego ciała zniwiarza.

Feliks przywitał się głośno, mając nadzieję, że na tych grzecznościach się skończy i przejdą do jadalni. Niestety droga do stołu okazała się prawdziwym torem przeszkód pełnym uścisków, klepania po plecach i tarmoszenia za policzki.

– Ale ty marnie wyglądasz! – oceniła Jadwiga, kiedy w końcu zasiedli do obiadu. – Taki chudy i zagłodzony!

– Za to ty, Jadziu, wyglądasz, jakbyś ostatnio trochę sobie pofolgowała i jadła tyle, co mały wół – powiedział, zanim ugryzł się w język.

Cała rodzina zamilkła, wpatrując się to w niego, to w starszą panią. Nikt nigdy nie ważył się mówić do niej w taki sposób.

– Dla ciebie ciocia Jadwiga – powiedziała twardo staruszka, przerywając chwilę niezręcznego milczenia. – Widzę, że tym razem będziesz małym, złośliwym gnojkiem.

I roześmiała się głośno, a pozostali członkowie rodziny odetchnęli z ulgą.

– Ciocia jak chce, to też potrafi przysolić – mruknął Feliks, mając wrażenie, że jeszcze chwila, a sam obrazi się jak mała dziewczynka.

– Bo ja, mój drogi, mam wiek i prawo za sobą.

– A ja to nie?

Jadwiga zmierzyła go spojrzeniem.

– Nie – pokręciła głową. – Zdecydowanie nie.

Feliks westchnął ciężko. Choć żył już tak długo, własna śmierć była dla niego zawsze ciężkim przeżyciem. Umierając, cierpiał tak samo, jak zwykli ludzie, a kiedy budził się w nowym ciele, za każdym razem było to dla niego wielkim szokiem. Po części był sobą, a po części zupełnie inną osobą. Feliks wiedział, że tylko dzięki temu nie mówi już staropolszczyzną, choć nawet teraz zdarzało mu się używać archaizmów, i potrafił pojąć działanie otaczającego go świata. Czyli był w stanie posługiwać się telefonem komórkowym oraz nie gorszył się na widok kobiety w krótkiej spódniczce czy stroju kąpielowym.

Chłopaka, do którego kiedyś należało to ciało, najwyraźniej cechowała uszczypliwość, odrobina egoizmu i totalny brak umiejętności śmiania się z samego siebie. Jadwiga, która widziała Feliksa już w wielu wcieleniach, trafiła w samo sedno – był złośliwym, małym gnojkiem.

*Wychodzi na to, że czeka mnie wiele pracy nad sobą – pomyślał zniwiarz. Ale nie z takimi rzeczami sobie radziłem.*



Gdy skończyli pizzę, kelnerka zabrała talerze, a Mateusz zaczął się zastanawiać, czy powinni już wyjść. Nie miał pojęcia, o której godzinie wypadało odprowadzić dziewczynę do domu.

Magda rozejrzała się po sali, a jej wzrok zatrzymał się na stole do bilardu.

– Zagramy? – zaproponowała.

– Czemu nie? – Mateusz uśmiechnął się zadowolony z takiego rozwoju sytuacji. – Dobra w to jesteś? – zapytał, układając bile.

– Gdzie tam, beznadziejna. Jeżeli będziesz chciał być dżentelmenem i pozwolić mi wygrać, to przed tobą nie lada wyzwanie.

Położyła telefon komórkowy na rogu stołu, wycelowała kijem w białą bilę i uderzyła.

Pięć minut później Mateusz stwierdził, że rzeczywiście jest beznadziejna albo nawet i gorzej. Ale za to dużo się przy tym śmiała, dawała z siebie wszystko i nie przejmowała się, gdy jej bile robiły, co chciały.

Chłopak z lekkim uśmiechem obserwował, jak Magda przygryza dolną wargę, pochyła się nad stołem i celuje. Wtem rozległ się dzwonek. Mimowolnie spojrzał na ekran.

– Jakiś Feliks dzwoni – powiedział, podając jej telefon.

Magda zrobiła wielkie oczy.

– Przepraszam na chwilę – wydusiła z siebie i stanęła w kącie.

Starła się mówić półgłosem, ale mimo to Mateusz wszystko słyszał.

– Mówiłam ci, że wychodzę – odezwała się do słuchawki. – Tak... tak... Nie czekaj na mnie. Odezwę się później... Pa.

Magda wyłączyła telefon i rozejrzała się dookoła, jednak knajpa była prawie pusta. Kelnerka siedziała za barem i bazgrała coś na kartce papieru, a Mateusz kontemplował ułożenie bil na stole. Wydawało się, że nikt nie zwrócił uwagi na jej rozmowę.

Podeszła do stołu, a Mateusz bez słowa wręczył jej kij. Nie zapytał, kto dzwonił ani czego chciał. I dobrze, bo Magda nie miała pojęcia, jak mogłaby mu wytłumaczyć, że jej nadopiekuńczy wujek... a raczej kuzyn wciąż usiłuje ją kontrolować.

Zagrali kilka partii i wypili po piwie.

– Już późno. – Mateusz zerknął na zegar wiszący na ścianie.

Nie miał ochoty na powrót do pokoju nad garażem, ale zbliżała się już dwudziesta trzecia.

– Masz rację – westchnęła. – Jutro rano muszę stawić się w księgarni.

Mateusz podał jej kurtkę i wyszli na zewnątrz.

– Odprowadzę cię do domu. Wskaż tylko, gdzie mamy iść – powiedział chłopak.

Magda stanęła jak wryta. Do domu?! Przecież on nie może dowiedzieć się, gdzie ona mieszka! Jedyne dziecko w mieście, które uważa ją za normalną, nie może zobaczyć tego upiornego domu Feliksa!

*Dobrze, że nie zabrałam wszystkich swoich rzeczy z domu rodziców – pomyślała z niespodziewaną ulgą. Niech lepiej myśli, że mieszkam z nimi, a nie ze zdziwaczalym wuj... kuzynem. A poza tym do domu rodziców jest bliżej.*

– Tędy – powiedziała i ruszyła przed siebie.

Wieczór był chłodny i orzeźwiający. Wiatr całkowicie się uspokoił, ale powietrze wciąż pachniało wiosenną świeżością. Po ulicach krążyło niewielu ludzi. Większość siedziała w domach przed telewizorami.

– Musimy jeszcze przejść przez torowisko i będziemy prawie na miejscu. – Magda machnęła ręką w stronę pograżonej w ciemności doliny znajdującej się tuż przed nimi.

– Jesteś pewna? – zapytał. – Tam, gdzie wcześniej mieszkalem, nikt nie zapuszczał się w takie miejsca po zmroku. Można za to oberwać.

– Coś ty, od dziecka chodzę tędy o każdej porze dnia i nocy i jeszcze nigdy nic mi się nie stało. – Magda zlekceważyła jego obawy.

Zeszli z chodnika na pobocze, a dalej wąską ścieżką w dół zbiega.

– Podnoś nogi wysoko – odezwała się Magda w pewnej chwili.

Mateusz poczuł pod butami ostre kamienie, którymi zazwyczaj były podsypane tory.

– Jak byłam mała, to często przychodziliśmy tutaj się bawić – kontynuowała dziewczyna, wchodząc na jedną z szyn. – Wtedy jeszcze jeździły tu pociągi. Kładliśmy monety na torach, bawiliśmy się w chowanym w opuszczonych budynkach lub po prostu całymi godzinami przesiadywaliśmy na zamkniętych torach.

W końcu weszli na zalaną wieczornym światłem latarni ulicę, gdzie trzech młodych chłopaków z entuzjazmem kopało metalowy kosz na śmieci stojący tuż przy przystanku autobusowym. I zanim Mateusz zdążył się zorientować, co się dzieje, Magda ruszyła w ich stronę z gniewną miną.

– Co wy wyprawiacie?!

Nagle znikła gdzieś wesoła, beztroska dziewczyna.

Chłopcy w pierwszej chwili się przestraszyli. Z minami niewiniątek odsunęli się od kosza, a gdy tylko zobaczyli, że zabawę przerwała im niewiele starsza od nich dziewczyna, rzucili kilka przekleństw i na znak, że mają ją gdzieś, jeden z nich wziął do rąk duży kamień i wycelował w szklaną ściankę przystanku.

Magdy wcale to nie zraziło.

– Gdyby wasze matki teraz was zobaczyły, spaliłyby się ze wstydu!

Zrobiła jeszcze krok naprzód i stanęła w kręgu światła. Mateusz zatrzymał się obok niej i złapał ją za ramię, gotów zaraz ją stamtąd odciągnąć. I wtedy stało się coś, czego się nie spodziewał.

Trzech młodocianych wandalów spojrzęło prosto na twarz Magdy i powoli zaczęło się cofać. Kamień upadł na ziemię i potoczył się w bok.

Jeden z chłopaków chrząknął nerwowo, inny zamruczał coś pod nosem.

– To my tego... spadamy – zdecydował trzeci.

Cofnęli się jeszcze kilka kroków, a potem odwrócili się i uciekli.

Magda z zadowoleniem kiwnęła głową, a Mateusz zerkał to na nią, to za uciekającymi chuliganami.

– Co się właśnie tu stało? – zapytał po chwili.

– To zaleta małych miasteczek – odezwała się Magda.

Odwróciła się do niego, spojrzęła mu w oczy i uśmiechnęła się promiennie.

– Jak spotkasz jakiegoś wandala, to jest całkiem duże prawdopodobieństwo, że albo chodziłeś z nim kiedyś do klasy, albo twoi rodzice pracują z jego rodzicami, albo znacie się w jeszcze jakiś inny pokrętny sposób.

Spojrzęła w dół i Mateusz zdał sobie sprawę z tego, że wciąż mocno ściska jej ramię. Puścił ją z ociąganiem. Skierowali się w dół ulicy.

– Mam dwa pytania – odezwał się. – Ile masz lat, żeby takich łebków straszyć ich matkami?

Magda zaśmiała się.

– Coś takiego zawsze działa.

– Nie zawsze, zapewniam cię. – Pokręcił głową. – Twoja rodzina należy do jakiejś mafii, czy coś?

Dziewczyna roześmiała się jeszcze głośniej.

– Coś ty! Moja mama jest z wykształcenia bibliotekarką, a tata weterynarzem. Myślę, że mafia raczej nie poszukuje takich ludzi.

Wkrótce dotarli na miejsce. Dom jej rodziców nie wyglądał jak siedziba mafii. Był biały,

jednopiętrowy, z czerwonym dachem i zadbanym ogródkiem. Z salonu wylewała się na zewnątrz kolorowa poświata rzucana przez telewizor.

– Dziękuję ci za miły wieczór – odezwała się Magda, gdy zatrzymali się na chodniku. – Musimy jeszcze kiedyś to powtórzyć.

Przez chwilę zawahała się, co robić, przecież dawno nie była na żadnej randce.

*Raz kozie śmierć* – postanowiła. Stała na palcach, pocałowała Mateusza w policzek, a potem ruszyła do domu, odprowadzona zamyślnym spojrzeniem chłopaka. Na progu odwróciła się i pomachała mu, a potem znikła za drzwiami.

– Żono, nasza córka marnotrawna powróciła – oświadczył głośno Jakub.

Magda stanęła w progu salonu i wyróciła oczyma. Miała nikłą nadzieję, że rodzice zapomną, że już z nimi nie mieszka. I to na własne życzenie.

– Madzia? – Mama podniosła się z fotela. – Stało się coś? Co ty tutaj robisz o tak późnej porze?

– Byłam na randce, a chłopak uparł się, żeby mnie odprowadzić do domu. Wolałam pokazać mu wasz idealny domek, a nie upiorne domiszcze Feliksa – powiedziała, siadając obok taty na kanapie.

– Rozsądny wybór. – Ojciec pokiwał głową i wrócił do oglądania filmu.

– Mam tylko nadzieję, że jeszcze nie zamieniliście mojego pokoju w podręczny składzik i będę miała gdzie spać?

– Myślę, że znajdzie się jakieś miejsce – odparła mama.

– A jak wam podoba się nowe wcielenie Feliksa?

Tata spojrzał na Magdę znacząco.

– Widziałem go już w wielu ciałach – powiedział. – Ale w takim to jeszcze nigdy.

†

Nadia zerknęła na zegar na wieży kościelnej. Dwudziesta – a więc miała jeszcze kilka godzin. Zmory wychodziły na polowanie w środku nocy, kiedy większość ludzi była pogrążona w głębokim śnie. Najważniejsze to znaleźć je, nim dopadną jakiegoś nieszczęśnika i nasycą swój głód. W całym mieście było czuć ich smród, szczególnie nad ranem, kiedy kryły się w jakiejś wilgotnej, zatęchłej norze i zasypiały na cały dzień.

Po dłuższej chwili zastanowienia Nadia skręciła do najbliższego pubu. Nie było sensu wracać do jej tymczasowego schronienia, a samotna dziewczyna siedząca w nocy na ulicy zawsze zwracała na siebie uwagę.

Zamówiła kawę, aby przynajmniej nie wyróżniać się wśród gości lokalu – choć powinna była wziąć piwo – i usiadła przy małym, okrągłym stoliku w rogu, skąd mogła widzieć zarówno drzwi, jak i bar. Dokładnie zbadała otoczenie, na chwilę zawiesiła też wzrok na telewizorze, ale szybko powróciła do oglądania żywych ludzi. Odkąd pojawiła się telewizja, zawsze drażniła Nadię. Była bezsensowna, krzykliwa, zabierała mnóstwo czasu, nie dając w zamian nic oprócz wątpliwej jakości rozrywki. Czasem zastanawiało ją, jak to możliwe, że choć współczesnym ludziom tak bardzo brakowało czasu, to całe godziny siedzieli przed ekranem. Miała wrażenie, że nikt już nie potrafił docenić chwili spędzonej na pozornie beczynnym siedzeniu, kiedy to można było zajrzeć w głąb siebie, zastanowić się nad różnymi problemami, albo poobserwować innych ludzi bądź przyrodę. Ludzie patrzyli, ale nie widzieli, dlatego coraz mniej osób dostrzegało nawich.

Poprzednia właścicielka tego ciała była zupełnie inna. Co prawda nie wierzyła w upiory, ale za to miała w sobie olbrzymie pokłady cierpliwości, była spokojna i zrównoważona. Na myśl o niej do umysłu

Nadii zaczęły napływać wspomnienia, które do tej pory starała się blokować. Rozpamiętywanie życia dziewczyny, a tym bardziej jej śmierci, nic nie dawało.

– Podać coś jeszcze?

Nadia zamrużyła oczyma i spojrzała na kelnerkę.

– Nie, dziękuję – odparła, wskazując na prawie pełną filiżankę.

Kelnerka przez chwilę stała jakby niezdecydowana, a potem odwróciła się i ruszyła w stronę baru.

– Zmora – szepnęła Nadia, chcąc skupić się na tym, co czekało ją tej nocy, zamiast na wspomnieniu zmarłej dziewczyny.

Znacząca różnica pomiędzy zmorą a upiorem polegała na tym, że zmora nie powstawała ze zmarłych i nie zabijała swoich ofiar. Dostrzec można było ją tylko wtedy, gdy krążyła po ulicach, węsząc za krwią. Gdy już ją wyczuła, trudno było ją zatrzymać. Potrafiła przenikać przez drzwi i ściany. Wchodziła do sypialni śpiącego człowieka, siadała mu na klatce piersiowej i wtedy stawała się niewidzialna. Oстрыm, cienkim szponem nacinała skórę i zaczynała pić. Ludzie różnie na nią reagowali. Niektórzy rzucali się przez sen, jęczeli i stękali. Często śniło im się wtedy, że próbują biec, ale powietrze stawało się gęste jak kisiel, utrudniając ruch. Inni z kolei rozbudzali się i zawieszani pomiędzy jawą a snem nie mogli nawet drgnąć, ich kończyny były sparaliżowane. Pewien mężczyzna, który opisywał Nadii swoje spotkanie ze zmorą, mówił, że coś go przyduszało na piersi i był tak przerażony, że chciał krzyknąć, ale z jego gardła nie wydostawał się nawet szept. Dopiero gdy zmora nasyciła się jego krwią, odeszła, a on mógł odetchnąć.

Niestety ludzie coraz częściej zaczęli wyśmiewać takie wierzenia, a lekarze mieli własne teorie na temat drętwiejącego ciała oraz duszności podczas snu.

Nadię zawsze to bawiło. Kiedyś najróżniejsze stwory i potwory stanowiły wyjaśnienie niemal każdego zjawiska atmosferycznego czy zachodzącego w ludzkim ciele. Dziś z kolei chcieli wszystko udowodnić nauką – a tak się po prostu nie dało!

Dziewczyna zakręciła pustą już filiżanką. Zegar nad barem wskazywał kwadrans po dwudziestej trzeciej. Latarnie rozświetlały mrok nocy.

– Pora na mnie – westchnęła Nadia, zapłaciła za kawę i wyszła z pubu, odprowadzana podejrzliwymi spojrzeniami kelnerki oraz kilku gości.

Po drodze kupiła najtańsze wino i ruszyła do parku. Odkręciła korek i schowała go do kieszeni, a trunek wylała na trawnik, bo tak naprawdę potrzebowała tylko pustej butelki. Do paska przypięła pochwę z nożem, a obie dłonie owinęła bawełnianym sznurem, który zdobyła kilka lat wcześniej, gdy wypędzała wisielca.

Ludzie nigdy nie godzili się z czymś samobójstwem – wisielca nie można było grzebać w poświęconej ziemi, a odcięcie go przynosiło pecha jego sąsiadom. Dlatego wielokrotnie zdarzało się, że samobójca wisiał na drzewie w oczekiwaniu na przejeżdżającego obcego. Zaś sznurowi, na którym się powiesił, przypisywano niezwykle właściwości. Uważano, że przynosi szczęście, a niektóre kobiety były nawet przekonane, że kawałek sznura noszony w woreczku na szyi pomoże spotkać ukochanego. Co prawda Nadia nie posunęłaby się aż tak daleko, aby potwierdzić skuteczność tych opowieści, ale jak każdy żniwiarz wiedziała, że gdy w pobliżu miejsca swojej śmierci bądź pochówku pojawi się duch wisielca, sznur zdjęty z jego szyi okazuje się bardzo przydatny. Owinięty wokół dłoni pozwalał pochwytać niektóre z niematerialnych zjaw. A jedną z nich była zmora.

Zmory preferowały zaludnione, ale ciemne dzielnice, a Nadia już za dnia odnalazła tę, w której smród potwora był nie do zniesienia. Zwykli ludzie nie potrafili go nawet zidentyfikować, ale gdy go poczuli, często ogarniał ich niepokój. Zupełnie inaczej było ze żniwiarzami, którzy zmorę potrafili wyczuć na kilometr.

Nadia przeszła się wzdłuż ulicy, zachowując czujność. Jeśli przegapi moment, a zmora napije się czyjejś krwi, cały wieczór czekania pójdzie na marne. Zegar na wieży kościelnej wybił północ. Ulica była spokojna i uśpiona, tylko gdzieś dalej kilku kibiców wracało z baru, wykrzykując hymny swojej drużyny, ale Nadia nie zwracała na nich większej uwagi.

Wtem poczuła silniejszy smród padliny i starych ubrań. Do jej uszu dotarło ciche szuranie oraz klekot. Zmora wyruszyła na łowy.

Nadia wyjęła nóż i nacięła skórę na zewnętrznej stronie lewego przedramienia. Gdy chowała ostrze, na ziemi rozprysły się pierwsze krople krwi. Odgłosy stawały się coraz silniejsze. Zmora wyczuła krew.

Nadia ujrzała ją pędzącą po ulicy prosto na nią. Była wyjątkowo paskudnym stworem o przeraźliwie chudym ciele. Nienaturalnie długie kończyny, sprawiające wrażenie tak delikatnych, jakby za chwilę miały się połamać, nadawały potworowi karykaturalny, pokraczny wygląd. Jasna, sucha skóra naciągnięta na patykowate ciało była cienka jak pergamin i niemal zupełnie przezroczysta. Z małej, okrągłej twarzy wystawały ostre kości policzkowe i podbródek. Na niemal łysej głowie rosło kilka strąków ciemnych, tłustych włosów, a w wielkich oczodołach kryły się białe oczy, teraz wlepione w Nadię.

Zmora pędziła na zniwiarza, wyginając się dziwnie i kiwając na zbyt długich kończynach. Nadia nie mogła pozwolić, aby ta dobrała się do jej krwi. Jeżeli zacznie pić, nie dość, że stanie się niewidzialna, to wpuści do jej żył środek paralizujący.

Nadia wciąż trzymała rękę w powietrzu, by zmora rzuciła się na krwawiącą ranę. A gdy to zrobiła, dziewczyna chwyciła ją za gardło. Długie kończyny zaczęły śmigać wokół. Zmora pochyliła głowę do przodu. Dysząc ciężko, chłoneła powietrze przepelnione zapachem krwi. Raz czy dwa zraniła Nadię ostrymi, długimi szponami.

– *Exorcizámos te* – zaczęła Nadia – *ómnis immúnde spíritus, ómnis satánic potéstas...*

Stwór zaczął się rzucać i szarpać w stalowym uścisku dziewczyny. Krew z przedramienia kapiała na ziemię. W końcu zmora złapała przednimi łapami za ramię Nadii i usiłowała przyciągnąć je do pomarszczonych, cienkich ust. Z jej gardła wciąż wydobywał się klekot.

– ...*ómnis inférnalis adversárii, ómnis légio, ómnis congregátio et sécta diabólica...* – kontynuowała dziewczyna.

Trzymanie zmory kosztowało ją sporo wysiłku. Na jej czoło wystąpił pot, którego pierwsze krople zaczęły spływać po twarzy.

– ...*in nómine et virtúte Dómini nóstri Jésu Chrísti!*

Tylko centymetry dzieliły już paszczę zmory od krwawiącej rany zniwiarza. Serce Nadii zaczęło bić coraz szybciej ze strachu. Jeśli stwór dobierze się do rany, Nadia straci przytomność i ocknie się dopiero za godzinę, kiedy potwór będzie już daleko. Spróbowała wyszarpnąć zranione przedramię z silnych szponów. Jednak to rozproszyło ją na ułamek sekundy i palce jej prawej dłoni ześlizgnęły się z gardła zmory.

Stwór zamachnął się długą łapą, uderzając Nadię w klatkę piersiową. Całe powietrze uleciało z płuc dziewczyny, która padła na ziemię.

Zaślepiona żądzą krwi zmora rzuciła się do ataku. Nadia kopnęła ją z całych sił, odturlała się i stanęła na chwiejnych nogach. Potrzebowała odpoczynku, choć chwili wytchnienia, ale nie miała nawet pięciu sekund, bo stwór wciąż parł naprzód. Tym razem Nadia zacisnęła obie dłonie na jego gardle.

– *Non últra áudeas, sérpens callidíssime, decípere humánum genus Dei Ecclésiam pérsequi, ac Dei eléctos excútere et cribráre sicut tríticum* – kontynuowała przez zaciśnięte zęby.

Zmora siekła ostrymi pazurami na wszystkie strony. Nadia, ledwo stojąc na nogach, ostatnim wysiłkiem podcięła jej tylne łapy i powaliła na ziemię. Przycisnęła kolano do jej klatki piersiowej.

Krew zaczęła spływać po ręce Nadii. Jeśli choć jedna kropla wpadnie do pyska zmory, to koniec.

Potwór zyska na tyle siły, aby strącić z siebie żniwiarza.

– *Ímperat tibi Deus altíssimus!*

Zmora rozdziawiła paszczę, a klekot zamienił się w hałaśliwe, urywane wciąganie powietrza.

– *Recéde ergo in nómine Patris!* – Zmora zaczęła się wykręcać i kurczyć. – *Et Fílii, et Spíritus Sancti!*

Zmora zmniejszyła się, mieszcząc się obecnie w dłoni Nadii, która czuła, jakby trzymała czystą, skumulowaną energię. Miała tylko kilka sekund na uwięzienie jej, zanim stwór wróci do normalnych rozmiarów.

Uważając, aby przypadkowo nie kapnąć na zmore krwią, wyjęła z kieszeni kurtki butelkę po winie i wepchnęła stwora do środka, szybko zakręcając naczynie.

Nadia sapnęła głośno, wierzchem dłoni otarła pot z czoła, po czym uniosła lekko butelkę i nią potrząsnęła. W środku znajdowała się odrobina szarego dymu, a gdy przyłożyła do niej ucho, usłyszała cichy klekot. Niedługo, kiedy zmora spuści z tonu, zacznie kwilić niczym małe dziecko.

Nadia zakończyła zadanie. Do swojego tymczasowego lokum miała spory kawałek drogi. Jednak spacer w rześką, chłodną noc nie był wcale taki zły. Jak się okazało, gorsze było jego zakończenie.

Gdy tylko dotarła pod blok, zobaczyła błyskające światła na parterze.

Westchnęła z irytacją, przeklinając pod nosem żuli, którym akurat w tę noc zachciało się urządzać tutaj imprezę.

Weszła na klatkę schodową, mając nadzieję, że pijane i rozbawione towarzystwo jej nie dostrzeże, gdy nagle ktoś błysnął jej latarką po oczach.

– Ej, patrzcie! – zakrzyknął wielki łysy chłopak w dresie.

– Co tu robisz, dziunia? – zapytał jego kolega, wytaczając się na klatkę schodową.

– Zgubiłaś się? – rzucił oblesnie uprzejmym tonem trzeci.

– Nie – burknęła, chcąc ich wyminąć.

– Ej, poczekaj! Chodź do nas, napijemy się razem – zaproponował pierwszy. – W okolicy pełno zbrojeńców. Niebezpiecznie samej... – obniżył głos.

– Właśnie widzę. – Nadia nie mogła powstrzymać się od krzywego spojrzenia.

– Patrzcie, jaka księżniczka się znalazła! – Łysy w dresie złapał ją za ramię, podczas gdy jeden z jego kolegów stanął w drzwiach, a drugi zastawił schody.

– Nie radzę – powiedziała dziewczyna, patrząc na wielkie łapsko zaciśnięte na jej ramieniu.

– Bo co? – zaczął dres, gdy Nadia błyskawicznym ruchem złapała go za dłoń i wykręciła nadgarstek, zmuszając go do klęknienia.

Kiedy zaczął jęczeć z bólu, jego kolega stojący w wyjściu ocknął się z szoku i ruszył w stronę dziewczyny. Nadia – nawet na niego nie patrząc – wymierzyła mu kopniak prosto w splot słoneczny. Chłopakowi zabrakło tchu, cofnął się poza budynek.

– Puść – jęknął ten na ziemi, gdy po jego policzkach płynęły łzy. Odrobina nacisku więcej, a Nadia wyrwałaby mu bark.

– Zwariowałaś?! – krzyknął ostatni.

Dziewczyna była zmęczona poszukiwaniami zmory, siedzeniem do późna w barze, a potem łapaniem stwora. Nie miała najmniejszej ochoty bawić się w jakiegokolwiek dyskusje. Uderzyła dresiarza w nos, a po jego twarzy i torsie połała się krew.

– To może was nauczy, żeby nie zaczepiać dziewczyn – mruknęła, wymijając ich. Wtedy łysy złapał ją za połę kurtki, a z kieszeni wypadła butelka po winie.

Nadia widziała, jak butelka leci ku ziemi. Spróbowała ją złapać, ale ta roztrzaskała się na betonie.

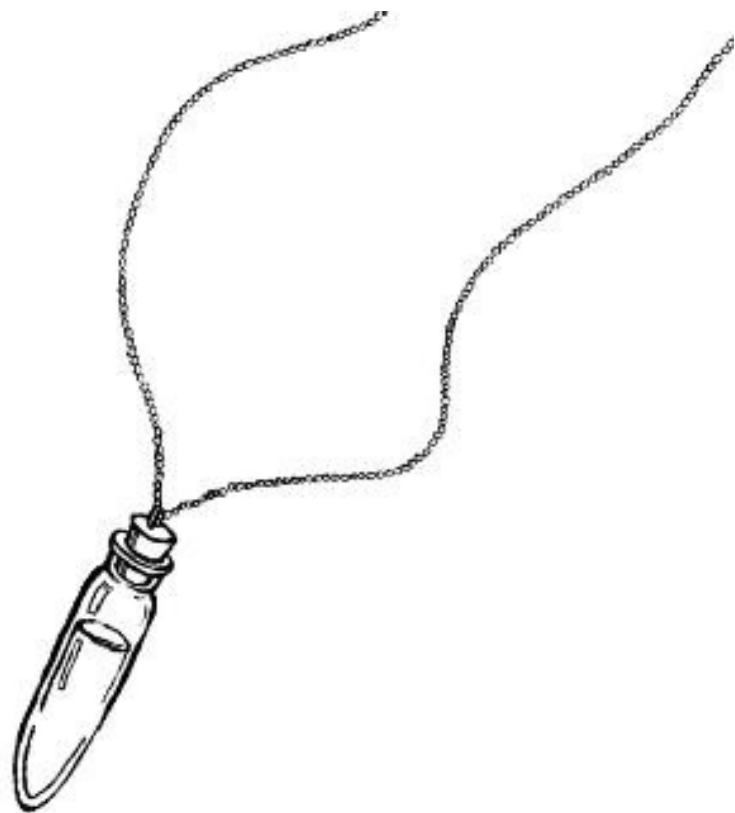
Zmora uwolniła się z dzikim wrzaskiem i pod postacią obłoku szarego dymu przeleciała przez chłopaka, który pozbierał się z ziemi i stanął w drzwiach. Dres padł zamoczony na glebę.

Nadia ze złością spojrzała w ślad za zmorą. Cały trud tego wieczoru zdał się na nic. Stwór schowa się gdzieś i nie wylezie przez następnych kilka nocy.

– Niech was szlag – mruknęła w stronę chłopaków, którzy, przeklinając na czym świat stoi, próbowali się pozbierać z ziemi i uciec jak najprędzej.

Nadia wspięła się po schodach i zamknęła w swojej kryjówce. Umyła się w misce z wodą, którą zakupiła kilka dni wcześniej i zjadła w spokoju kolację. Wiedziała, że tamtych trzech nie będzie próbowało wziąć na niej odwetu – nie będą mieć odwagi. Nie wezwą też na pomoc kolegów, bo jak mieliby im powiedzieć, że pobiła ich dziewczyna?

# Rozdział 4





Feliks wstał równo ze świtem i poszedł biegać. Nie dotarł nawet do połowy swojej zwykłej trasy, kiedy niemal padł twarzą na drogę. Do domu musiał wrócić spacerem i nie miał nawet siły myśleć o zejściu do piwnicy, gdzie dawno temu urządził niewielką siłownię. Nowe ciało było do niczego. Chude, niewysportowane, słabe... Jak miał poradzić sobie z czymkolwiek, gdy ledwie panował nad własnymi kończynami?

Z zalem uznał, że musi minąć trochę czasu, nim wybierze się na polowanie.

Kiedy tylko odpoczął, wybrał się do księgarni. Magda nie wróciła do domu na noc i choć nie martwił się o nią zbytnio – w końcu w tym mieście nikt nie zrobiłby jej krzywdy – to wolał się upewnić, że nic jej nie jest. Pewnie wciąż była na niego wściekła za to, że nie skakał z radości, gdy dowiedział się, że zamieszkała w jego domu.

Szedł przez miasto i z pewną dozą zadowolenia podziwiał znajome widoki. Wiatrołom budził się ze snu. Ludzie otwierali sklepy, pędzili do pracy, grupka małych dzieci z olbrzymimi, kolorowymi tornistrami zmierzała do szkoły. W ciągu ostatnich kilku dziesięcioleci miasto zmieniło się. Wiele budynków zniknęło, ale jeszcze więcej powstało. Niemniej wciąż miało swój urok, który pociągał Feliksa.

Pchnął szklane drzwi, a jego słuch poraził ten irytujący dzwoneczek. Księgarnia była o tej porze pusta. Za ladą, wpatrzona w monitor swojego komputera, siedziała Magda. Podniosła wzrok i skinęła mu głową z uśmiechem.

– Dzień dobry – powiedziała, po czym wróciła do swojego zajęcia.

Feliks westchnął ciężko. Minie jeszcze dużo czasu, zanim bliscy na powrót się do niego przyzwyczają.

– Cześć – powiedział, podchodząc do niej.

– Ach, to ty! Cześć – mruknęła.

A więc się gniewa.

Wbrew sobie i dobremu wychowaniu, Feliks podskoczył i usiadł na ladzie, zerkając na monitor. W poprzednim wcieleniu nigdy nie zrobiłby czegoś takiego, ale każde ciało ma swoje przyzwyczajenia. Nieważne czyja dusza w nim się znajduje.

– Co robisz?

– Pracuję – mruknęła Magda, podczas gdy jej palce śmigają po klawiaturze.

– Nad czym?

Dziewczyna spojrzała w ciemne oczy Feliksa i na chwilę zapatrzyła się w ich pustkę.

– Patrz, założyłam nam stronę internetową. – Odwróciła monitor w stronę wujka. – Mam tu forum o różnych niewyjaśnionych zjawiskach.

– Tak? – Feliks zmarszczył brwi, co przy jego poprzednim wcieleniu wyglądało groźnie, zaś teraz mogło jedynie wywołać śmiech.

– Ludzie piszą tu o zjawach, duchach, wisielcach i innych stworach, które ponoć widzieli. Dzięki temu łatwiej będzie nam je namierzyć. Jest to znacznie prostsze, niż te twoje metody.

– Bez sensu – ocenił Feliks i zeskoczył z lady. Jego metody zawsze działały. Codziennie czytał klepsydry pogrzebowe i gazety, gdzie mógł znaleźć informacje o czyjejś śmierci. Jeżeli była ona gwałtowna, od razu wybierał się do domu zmarłego i na cmentarz. Rozmawiał z ludźmi, a przede wszystkim wciąż miał oczy i uszy szeroko otwarte.

Nadię obudziło ciche sapnięcie. Natychmiast postawiła wszystkie zmysły w stan gotowości. W pokoju panował półmrok, sugerujący, że słońce wstało już dawno temu. Przez chwilę pustostan pogrążony był w absolutnej ciszy. Jednak nie tak łatwo było zwieść zniwiarza.

Nadia bezszelestnie położyła na stercie kartonów plecak i przykryła go śpiworem. Jeśli ktoś nie przyjrzy się bliżej temu tobołkowi, może pomyśli, że dziewczyna nadal śpi. Potem podniosła z ziemi metalową rurkę wyrwaną ze ściany i stanęła tuż przy drzwiach pokoju, przyciskając plecy do ściany. Odległe dzwony kościelne wybiły południe, a intruz wykorzystał ich dźwięk do zrobienia kolejnych kilku kroków. Pod butem zachrząściło szkło. Czyżby tamte dranie chciały się zemścić za to, co zrobiła im w nocy?

Obcy przeszedł już cały przedpokój. Nadia coraz wyraźniej słyszała ciężki oddech oraz czuła silny zapach męskiego dezodorantu wymieszany ze smrodem lekko nadpsutego mięsa, co dawało mieszankę przyprawiającą o mdłości. Intruz zatrzymał się tuż przed zamkniętymi drzwiami od pokoju, najwyraźniej nasłuchując. Dziewczyna wstrzymała oddech.

W końcu drzwi drgnęły i w ślimaczym tempie zaczęły się otwierać, zasłaniając Nadię. Nieproszony gość prawie bezszelestnie przestąpił próg i przystanął, przypatrując się stercie kartonów, na której leżał plecak przykryty śpiworem. Był potężnym mężczyzną o krótko przystrzyżonych blond włosach odsłaniających niekształtną czaszkę. Na sobie miał czarny kombinezon roboczy. W prawej dłoni ścisnął drewnianą pałkę. Z całą pewnością nie należał do pechowej trójki poznanej w nocy. A więc kim był?

– Hej – szepnęła Nadia. – Mnie szukasz?

Mężczyzna odwrócił się błyskawicznie. Nadia zamierzała wytrącić mu z ręki pałkę i obezwładnić w kilku ciosach, a na koniec dowiedzieć się, kim był i czego od niej chciał. Jednak to wszystko wyleciało jej z głowy, gdy tylko spojrzała mu prosto w oczy. Metalowa rurka wypadła jej z ręki i potoczyła się po ziemi. Mężczyzna był martwy. Tak przynajmniej sugerowały jego oczy przepełnione pustką.

Dopiero widok leżącej w kierunku jej skroni pałki otrzeźwił Nadię. W ostatniej chwili uchyliła się, a drewno uderzyło w ścianę, krusząc brudny tynk. Ciosy w brzuch i podbródek nie zrobiły na mężczyźnie żadnego wrażenia, więc Nadia odepchnęła go silnym kopniakiem, a potem przypadła do ziemi, sięgając po rurkę. Zamachnęła się z całej siły, uderzając go w kostkę. Intruz z dzikim wrzaskiem uniósł stopę, wyciągając ręce w jej stronę. Nadia wyprowadziła cios w szczękę, a potem jeszcze przyłożyła mu rurką w brzuch. Mężczyzna z głuchym łomotem padł na beton.

Nadia miała dosłownie kilka sekund na podjęcie decyzji, co zrobić, zanim intruz się podniesie. Uciekać? Dowiedzieć się, kim jest i czego chce?

Wtem usłyszała hałas dobiegający z korytarza. Najwyraźniej obcy nie był sam. Nie zastanawiając się nad tym, jak dziwaczna była cała ta sytuacja, przeszła przez ciemny przedpokój usłany potłuczonym szkłem. Drzwi wyjściowe były otwarte dużo szerzej, niż je zostawiła, a odgłos szurania dochodzący z klatki schodowej sugerował, że kolejny przeciwnik – lub przeciwnicy – właśnie odsuwał z przejścia starą komodę.

Nadia odczekała do momentu, aż szuranie ucichnie, po czym – wkładając w to całą siłę – kopnęła w drzwi, które otworzyły się z impetem.

Nie dając napastnikowi wiele czasu do zastanowienia, wypadła z mieszkania i zderzyła kolejnego mężczyznę rurką w głowę. Jednak źle wycelowała i broń tylko ześlizgnęła się po jego czaszce. Mężczyzna prysnął w jej kierunku jakimś gazem, prawdopodobnie pieprzowym, ale i on nie trafił dziewczyny prosto w twarz. Skutek był taki, że oboje zaczęli kasłać i się dusić.

Przeciwnik był potężny, umięśniony i wysportowany. Z jednym takim Nadia umiałaby sobie poradzić,

ale obawiała się, że lada chwila ocknie się ten z mieszkania, albo w bloku pojawi się kolejny intruz.

Odepchnęła go od siebie jak najdalej i rzuciła się w kierunku schodów, lecz ten w ostatniej chwili chwycił ją za kaptur bluzy. Materiał boleśnie wbił się jej w szyję, po czym Nadia z impetem uderzyła plecami o posadzkę. Zanosząc się kaszlem, ledwie widząc przez zażawione od gazu pieprzowego oczy, odczołgała się od mężczyzny, który za wszelką cenę nie chciał dopuścić jej do schodów. Stała na chwiejnych nogach i odsunęła się w głąb korytarza.

Nie tak postępowali żniwiarze. Starali się nie krzywdzić ludzi, a tym bardziej ich nie zabijali, o ile obcy w ogóle byli ludźmi, lecz w tej chwili Nadia myślała tylko o tym, jak się stąd wydostać w jednym kawałku. Wyprostowała plecy i spojrzała wyzywająco w martwe oczy.

Mężczyzna rzucił się w jej stronę, warcząc. Wystarczyło, że dziewczyna zeszła mu z drogi i wykorzystując przeciw niemu jego własny rozpęd, popchnęła go na ścianę. Napastnik spróbował się wykręcić i chwycić Nadię za ramię. Jednak dziewczyna machnęła ręką, a mężczyzna stracił równowagę i zatoczył się w stronę szybu windy.

Nadia spróbowała go złapać, ale znalazł się zbyt daleko. Wyraźnie zaskoczony zachwiał się i spróbował sięgnąć framugi. Sekundę później spadł w ciemną otchłań szybu. Krótco potem na dole rozległ się głuchy łomot.

Nadia zakłęta pod nosem, ale nie sprawdziła, czy przeżył, ani jak ma się ten z mieszkania, tylko pędem rzuciła się w dół schodów.

Na trzecim piętrze wpadła do mieszkania znajdującego się nad wejściem do bloku i wyjrzała przez okno. Na dole zobaczyła duży, biały samochód dostawczy i zwalistego mężczyznę, stojącego tuż przed drzwiami. Przeczucie mówiło jej, że to kolejny martwy człowiek, ale nie miała zamiaru tego sprawdzać.

Zbiegła na pierwsze piętro, podeszła do okna po drugiej stronie budynku, wspięła się na parapet i skoczyła.

Łądowanie nie należało do najprzyjemniejszych – coś strzeliło jej w kostce, a poza tym wpadła w niewysokie krzewy, które podrapały jej ręce, lecz zignorowała ból. Musiała dotrzeć do schowka za miastem, w którym ukryła pieniądze i komplet ubrań na zmianę, znaleźć jakieś bezpieczne schronienie i dopiero wtedy zastanowić się, co robić dalej. Nie miała ani chwili, żeby przemyśleć, co się właśnie stało.

Przebiegła przez ogródki działkowe i ruszyła dalej ulicą, co chwilę bacznie się rozglądając.

Już wiele razy Nadii zdarzało się uciekać – przed policją, milicją, żołnierzami. Ale jeszcze nigdy nie musiała ratować się ucieczką przed kimś takim. Nie wiedziała, czego od niej chcieli, jak ją znaleźli, ani jak daleko się posuną, żeby ją dopaść. Czy śmierć towarzysza sprawi, że zaprzestaną pościgu, a może wręcz odwrotnie?

Obejrzała się za siebie i skręciła w ciemną uliczkę, którą przemierzała niemal każdego dnia przez ostatni tydzień. Mniej więcej w połowie drogi zatrzymała się, żeby choć minutę odetchnąć. Kostka była cała, ale wciąż bolała, podrapane ręce krwawiły, na szczęście niezbyt obficie, a twarz pewnie była brudna i zapuchnięta od gazu.

Nagle usłyszała warkot silnika. Zerknęła przez ramię i ujrzała samochód, który nie zmieścił się w wąskim zaułku i z piskiem opon ruszył gdzieś dalej. Do końca uliczki było nie więcej niż pięćdziesiąt metrów.

Nadia zebrała w sobie wszystkie siły i biegła dalej, lekko utykając. *Jeszcze tylko kawałek – przekonywała samą siebie. Kawałeczek!*

Im bliżej było do końca, tym uliczka stawała się coraz jaśniejsza. Nagle jednak zablokował ją bus.

Jeden z napastników wyskoczył zza kierownicy. Nadia kopnęła go w przyrodzenie, w wyniku czego zgął się wpół i już miała się odwrócić, żeby uciekać dalej, gdy silne ramiona oplotły ją i uniosły

w powietrze. Próbowwała kopać, gryźć i szarpać się, ale wtedy kierowca furgonetki otworzył tylne drzwi, złapał ją za wierzgające stopy i wraz z kompanem bezceremonialnie wrzucił Nadię do samochodu, racząc ją jeszcze wiązaną przekleństw.

Gdy zatrzasnęły się drzwi, zapadła ciemność. Nadia przez kilka minut usiłowała dojść do siebie, robiąc szybki przegląd obrażeń. Usłyszała warkot silnika i poczuła, że samochód rusza z miejsca. Poderwała się z podłogi i zaczęła walić pięściami w ścianę pojazdu, w nadziei, że ktoś ją usłyszy.

Nie usłyszał nikt.

¢

Zrobiło się gorąco, słońce grzało jakby był środek lipca, a nie maj, na niebie nie było ani jednej chmurki, na dodatek żaden podmuch wiatru nie mącił nieruchomego powietrza. Magda ledwo utrzymywała równy oddech i miała wrażenie, że na twarzy zrobiła się już zupełnie czerwona.

*Trzeba było iść na spacer do parku – wyrzucała sobie, z trudem naciskając pedały. Ale nie, tobie zachciało się wycieczek rowerowych!*

– Może zrobimy sobie przerwę? – zaproponował Mateusz, gdy po całej wieczności dogoniła go i zatrzymała rower na szczycie góry.

– Nie, spoko – odparła, starając się nie dyszeć jak lokomotywa. – To jeszcze tylko kawałek.

Magda szczyła się tym, że jak na zwykłego śmiertelnika ma całkiem niezłą kondycję. Przynajmniej tak zawsze było na tle jej znajomych, bo przecież nigdy nie dorównałaby Feliksowi. Jednak teraz Mateusz – który nawet się nie spocił! – sprowadził ją na ziemię.

Przejechali kolejny kilometr leśną drogą i choć Magda zdążyła trochę odsapnąć w cieniu drzew, z wielką radością powitała zardzewiałą, przekrzywioną tablicę z napisem „Grzmiąca”.

Dalej zaczynała się dziurawa i nierówna brukowana droga. Po obu jej stronach stały stare, zniszczone domki, otoczone zarośniętymi ogrodami i zardzewiałymi metalowymi lub zbutwiałymi drewnianymi płotami.

– Co to za miejsce? – zapytał Mateusz, zatrzymując rower.

– Dawno temu Grzmiąca była zwykłą, małą wsią – odparła Magda, zeskakując z siodełka. Ruszyli powoli, prowadząc rowery. – Potem wybudowano wielki ośrodek wczasowy kawałek dalej, nad jeziorem, ale nastąpiła wojna, potem komunizm, ośrodek zamknięto, ludzie zaczęli się wyprowadzać. Teraz na stałe mieszka tu chyba tylko jedna, czy dwie rodziny. Reszta domów jest opuszczona, nawet nie wiem, czy do kogoś należą, czy po prostu wszyscy o nich już zapomnieli.

– Uwielbiam takie zapomniane miejsca!

– A najlepsze jest to, że do najbliższego miasta, czyli Wiatrołomu jest ponad dziesięć kilometrów, więc nikomu nie chce się tu przyjeżdżać. A droga, jak sam widziałeś, nie należy do najlepszych.

Minęli właśnie długi i wysoki budynek wzniesiony z desek. Choć niektóre z nich wyglądały, jakby były zupełnie przegnite, sama budowla wydawała się dość solidna.

– Co tam jest? – zapytał Mateusz.

– Jakiś magazyn, nigdy nie udało mi się zajrzeć do środka.

Chłopak badawczo przyjrzał się budowli i oderwał od niej wzrok dopiero, gdy znalazła się za ich plecami.

Minęli tablicę z przekreśloną nazwą wsi i stanęli na szczycie wysokiej góry. W dole między drzewami prześwitywały srebrnobłękitne refleksy tworzone przez promienie słońca odbite od tafli jeziora.

Wszędzie wokół pachniało rozgrzaną ściółką i żywicą. Strzeliste sosny rosnące na zboczu góry stały

nieruchomo, rzucając cień na zielone poszycie, w którym aż tętniło życie. Pszczoły zbierały pyłek, muchy bzyczały, mrówki wędrowały do mrowiska, a dwa żuki machały chudymi nóżkami w stronę nieba.

– Nie schodzimy nad wodę? – zapytał zawiedziony Mateusz, maszerując drogą tuż za Magdą.

– Nie, zaraz pokażę ci coś znacznie lepszego.

Jak tylko minęli koniec jeziora, Magda ustawiła rower na poboczu, opierając go o pień drzewa, i wolnym krokiem weszła w las.

– Jesteś pewna, że nikt nam ich nie ukradnie? – zapytał Mateusz, oglądając się na rowery.

– Daj spokój, nikt tu nie przychodzi.

Dziewczyna kroczyła pewnie przed siebie, zgrabnie mijając chaszczę, lecz jej towarzyszowi nie szło już tak dobrze. Najpierw zaplątał się w wyjątkowo złośliwy krzew jeżyny, a gdy spróbował się uwolnić, poparzył rękę o pokrzywy.

– Jestem stuprocentowym mieszczuchem – mruknął, wywołując uśmiech na twarzy Magdy.

Minęli zardzewiałą siatkę leżącą na ziemi i znaleźli się na starym cmentarzu. Wszędzie było pełno małych kopczyków, prostokątnych dołów i strzaskanych płyt nagrobnych porośniętych mchem. Gdzieś tam stał przekrzywiony, zardzewiały krzyż. Cała okolica emanowała spokojem i ciszą – nie było w niej nic upiornego, jak można by się spodziewać po starym cmentarzu.

– Większość grobów jest pustych – odezwała się cicho Magda. – Kiedyś lubiłam tu przychodzić i składać stare, rozbite płyty. Czyściłam je z mchu i próbowałam odczytywać nazwiska oraz daty.

– A twoi rówieśnicy przesiadywali wtedy na placu zabaw – zażartował Mateusz.

Dziewczyna przemilczała jego komentarz, odwróciła się i skierowała w głąb cmentarza.

Mateusz przez chwilę patrzył zamyślony na jej plecy, a gdy tylko zniknęła mu z oczu, ruszył za nią.

– Poczekaj! Nie gniewaj się! – zawołał, przedzierając się przez krzaki.

Gdy ją dogonił, stała nieruchomo przed leżącą na ziemi figurką przedstawiającą aniołka. Dawno temu ktoś ułamał mu skrzydło i strzaskał połowę głowy. Było coś niepokojącego i bezdennie smutnego w tej rzeźbie. To, jak leżała zapomniana, porośnięta mchem, z jednym smutnym okiem zapatrzonym w nicość. Najgorsze zaś było to, że aniołek przedstawiał postać dziecka.

– Spójrz tutaj. – Magda wskazała na roztrzaskaną tabliczkę, którą ktoś poskładał niczym puzzle i starannie ułożył na trawie. – Ja to zrobiłam. Chciałam zobaczyć, co było napisane na nagrobku. Niektóre kawałki znalazłam prawie na drugim końcu cmentarza.

– *Auf wiedersehen* – przeczytał na głos Mateusz.

– Nie wiem dlaczego, ale prawie się popłakałam, kiedy skończyłam to układać – kontynuowała, wciąż stojąc nieruchomo zapatrzona na aniołka. – Zrobiło mi się tak smutno.

– Wiesz, takie rzeczy zawsze są przygnębiające. – Mateusz chwycił ją za rękę.

– Nie gniewam się na ciebie. To, co powiedziałaś, było prawdą, nie mogę mieć o takie rzeczy pretensji. Zawsze byłam trochę inna niż moi rówieśnicy.

– Nie przejmuj się, ja też zawsze robiłem wszystko na opak. W szkole nigdy nie interesowały mnie rzeczy, które były akurat na lekcjach. Kiedy moi koledzy przerabiali starożytność, ja fascynowałem się drugą wojną światową. Gdy wszyscy uczyli się do testów, ja majstrowałem przy starym motorze. A kiedy oni szli na piwo, ja zaczytywałem się podręcznikami do fizyki.

– Widzę, że była z ciebie dusza towarzystwa – zażartowała Magda.

– Moja babcia zawsze obawiała się, że wyrosnę na dziwaka – odparł z uśmiechem, który już po chwili szybko znikł.

– Przykro mi. – Dziewczyna położyła mu dłoń na ramieniu.

– Wiesz, co się stało?

Pokiwała głową.

– Czasem mam wrażenie, że słyszę trzask ognia, pękające ściany, tłukące się szkło – powiedział, a jego wzrok zamglił się lekko. – Najczęściej w nocy. Budzę się wtedy cały zlany potem, choć w moim pokoju jest zimno. Przeszarżała instalacja gazowa, tak mi powiedzieli po wszystkim. Wiedzieliśmy, że trzeba ją wymienić, zbieraliśmy na remont... ale zawsze to odkładaliśmy. „W następnym roku, w tym było krucho”, mówiła babcia. A potem... – Głos Mateusza zadrżał. – Potem kupiłem samochód. Gdybym tylko przeznaczył te pieniądze na remont...

Przetarł dłońmi twarz.

– To ja ich zabiłem – szepnął.

Magda obróciła się do niego, mocno złapała za ramiona i spojrzała mu prosto w oczy.

– Nie waż się tak mówić! – powiedziała bardziej ostro, niż zamierzała. – To nie twoja wina. To był wypadek. Nie mogłeś wiedzieć, że to się tak skończy.

Mateusz odwrócił wzrok i westchnął cicho, robiąc krok w tył.

– Spójrz.

Ku zaskoczeniu Magdy, gwałtownym ruchem ściągnął z siebie koszulę. Rozległa blizna ciągnęła się od przedramienia prawej ręki poprzez całe ramię, bark i część torsu. Lewe ramię wyglądało podobnie. *To dlatego zawsze chodzi w długim rękawie* – pomyślała dziewczyna, przyglądając się zniekształconej, ściągniętej skórze.

– Wiesz, dlaczego wstydzę się tych blizn? – zapytał. – Bo wyszedłem z pożaru tylko z nimi. Poza tym, nic mi nie było. A ludzie, którzy mnie wychowali, moja najbliższa rodzina, oni odeszli. Powinienem być zginąć razem z nimi. Nawet nie wiem, jakim cudem jeszcze żyję.

– Nie możesz winić siebie – powiedziała pewnie Magda, wywołując u niego gorzkie westchnienie. – I nie wstydź się blizn. – Podeszła do niego i opuszkami palców dotknęła delikatnie śladów pozostawionych na skórze przez ogień. – Teraz są częścią ciebie, twojej przeszłości. I nie wierzę, że dziadkowie mają ci za złe, że przeżyłeś. Jeżeli kochali cię tak, jak mówisz, gdziekolwiek teraz są, są szczęśliwi, że nic ci nie jest.

Mateusz wzruszył ramionami ze zrezygnowaniem i założył koszulę, a po sekundzie wahania podwinął rękawy do samych łokci.

– Chodź, pokażę ci coś – powiedziała Magda, po czym złapała go za rękę i poprowadziła dalej w gąszcz.

Minęli leżący na ziemi płot, ale nie opuścili terenu cmentarza. Tutaj ziemia również była naznaczona dołami, a wszędzie wokół leżały szczątki po płytach nagrobnych, choć te wydawały się uboższe.

– Wiesz, gdzie jesteśmy? – zapytała, a gdy pokręcił głową, mówiła dalej. – To miejsce zwali polem garncarza lub polem krwi. Kiedy Judasz zdradził Jezusa za trzydzieści srebrników, wrzucił pieniądze do świątyni i powiesił się. Kapłani chcieli przeznaczyć te pieniądze na jakiś zbożny cel, ale były one splamione krwią. Dlatego zakupili kawałek ziemi, z którego garncarze czerpali czerwoną glinę i zaczęli na nim „grzebać obcych”, jak pisał ewangelista Mateusz. A potem przyjęło się, że na polu garncarza obok cmentarza dla chrześcijan grzebano niewiernych.

– Skąd o tym wiesz? – zainteresował się Mateusz. – I że to właśnie to miejsce?

– Wuj... kuzyn mi o tym powiedział. A on zna się na historii jak nikt inny.

Mateusz pokiwał głową i rozejrzał dookoła.

– A to co? – zapytał, patrząc na coś kolorowego leżącego w trawie. – Chyba jednak ktoś inny też tu przychodzi. – Podniósł resztkę wosku z wypalanej świeczki.

– Założę się, że grupka nastolatków chciała wypróbować, jak to jest zrobić sobie imprezę na cmentarzu przy świetle świec. – Magda wzruszyła ramionami.

– Być może – odparł w zamyśleniu.

Huczący ogień, trzeszczenie desek, pękający beton. Kłęby dymu, krzyki, błagania o pomoc. Swąd palonych włosów, skóry i ból przenikający do samych kości.

Mateusz gwałtownie otworzył oczy. Potrzebował ułamka sekundy, by jego wzrok przyzwyczał się do ciemności, a on sam zorientował się, gdzie się znajduje. Nabrał w płuca haust czystego, chłodnego powietrza. Ciocia ciągle narzekała, że nie ogrzewa swojego mieszkania, że jest u niego zimno jak w psiarni, ale on lubił chłód. Zimno go hartowało i pozwalało na dłużej zachować trzeźwość umysłu.

Usiadł na łóżku i przecesał ręką gęste, ciemne włosy. Zapalił lampę i z obojętnością zerknął na blizny na swoich ramionach. Rany po oparzeniach były paskudne i rozległe, a lekarze nie mogli wyjść z podziwu, jak szybko się goiły, lecz mimo to ślad po pożarze pozostał i miał towarzyszyć mu do końca życia. Cóż, nie robi kariery modela, ale przecież nie taki miał plan.

Była druga w nocy, ale Mateusz nie czuł się zmęczony. Ubrał się i poszedł do łazienki. Pomieszczenie było w surowym stanie, a w kącie stały kartony z kafelkami. Nie miał ochoty na sen, równie dobrze mógł zabrać się do pracy.

Mierzył, ciął, kleił i fugował, ciesząc się spokojnym, wyciszającym zajęciem oraz własną sprawnością. Nie spieszył się, na wykończenie pomieszczeń nad garażem miał mnóstwo czasu. O siódmej rano poszedł do domu wujostwa wykąpać się, a gdy wyszedł z łazienki z jeszcze mokrymi włosami, na stole czekało na niego śniadanie.

– Tobie chyba nigdy nie zdarza się zaspać, co? – zapytał wujek, zerkając na niego, a potem na swojego syna, który – zaspany, poczochrany i w wymiętych ubraniach – usiadł przy stole, co chwila ziewając.

Mateusz lekko skinął głową.

– Przyznaj się, tak naprawdę wcale nie spałeś – powiedziała oskarżającym tonem ciocia, szykując stertę kanapek. – O czwartej rano, jak szłam do łazienki, widziałam u ciebie zapalone światło.

– Nie mogłem spać, to zabrałem się za kafelkowanie – przyznał chłopak.

Ciocia i wujek wymienili spojrzenia.

– Nie musicie się zamartwiać, nigdy nie lubiłem dużo spać – dodał.

Magda wyszła ze sklepu i stanęła na chodniku z reklamówką w ręku, zastanawiając się, co robić dalej. Rano została wysłana na zakupy i teoretycznie powinna już wracać do pracy, ale tego dnia ruch był znikomy i wcale nie miała ochoty siedzieć w księgarni wciąż przesłuchiwana przez mamę, która chciała wiedzieć dosłownie wszystko na temat jej nowego znajomego. Bo choć Magda starała się, jak tylko mogła, to nie udało jej się ukryć faktu, że całe sobotnie popołudnie spędziła z Mateuszem na wycieczce rowerowej.

Może by tak przejść się jeszcze po sklepach? Kupić jakąś bluzkę lub nowy kosmetyk? A mamie zawsze może powiedzieć, że w supermarkecie była duża kolejka.

Zadowolona z nowego planu ruszyła przed siebie. Minęła potężnego mężczyznę, który stał oparty o murek i zawzięcie wpatrywał się w swój telefon. Dezodorant było od niego czuć na kilka metrów. Nagle podniósł wzrok, a Magdę przeszły ciarki. Coś było nie tak z jego oczami. Zrobiła jeszcze dwa kroki i obejrzała się za siebie, ale mężczyzny już tam nie było. Zatrzymała się i powiodła wzrokiem

wokół, ale nie zauważyła niczego podejrzanego.

– Hmm, dziwne – mruknęła. – Miałam wrażenie, jakby spojrzął na mnie nieboszczyk... Pewnie mi się wydawało.

– Co robisz? – zapytał ktoś tuż za jej plecami.

Dziewczyna wyskoczyła w powietrze, odwróciła się błyskawicznie i klepnęła Mateusza w ramię.

– Nie można się tak zakradać do ludzi! – zbeształa go.

– Wybacz. Co słychać?

Magda jeszcze raz obejrzała się za siebie, ale nigdzie nie widziała podejrzanego mężczyzny.

– Założę się, że śledziłeś mnie, bo chciałeś mnie zaprosić na wypasioną kawę z całym mnóstwem śmietanki – powiedziała.

Mateusz zmarszczył brwi i zerknął za siebie, ale już po chwili z uśmiechem wziął od niej reklamówkę i podał jej ramię.

– Oczywiście.

Dziesięć minut później usiedli w miękkich fotelach przy drewnianym stoliku. Z ogródka kawiarni rozciągał się widok na wybrukowany kostką rynek.

– Jak można nazwać kawiarnię „Mufinka”? – zastanawiał się Mateusz, gdy kelnerka przyjęła zamówienie.

Magda wzruszyła ramionami.

– To Wiatrołom. Nie wymagaj od ludzi zbytnej kreatywności.

– Masz rację. Ciągle zapominam, że nie mieszkam już w mieście – rzucił sarkastycznie.

– Szanowny panie, nawet nie waż się tak obrażać mojego rodzinnego miasteczka! – Magda pogroziła mu palcem.

– Wybacz, moja droga, nie mogłem się powstrzymać.

Magda uśmiechnęła się bardziej do własnych myśli, niż do swojego towarzysza. A musiała przyznać, że towarzystwo Mateusza coraz bardziej jej odpowiadało. Był odcytany, dowcipny i potrafił zachować się praktycznie w każdej sytuacji. Miał w sobie coś z dawnego dżentelmena, za czym Magda wręcz szalała. Gdy zapadało między nimi milczenie, wcale nie czuła się skrępowana, a jednocześnie miała wrażenie, że jemu mogłaby opowiedzieć o wszystkim. Dosłownie.

Gdy podeszła do nich kelnerka z filiżankami, Magda miała okazję, aby przyjrzeć się jego dłoniom, którym ciężka praca była nieobca. Podciągnął rękawy koszuli po same łokcie, jakby zaraz miał zabrać się do roboty. *To dobrze, że już nie ukrywa blizn* – uznała dziewczyna. *Że się ich nie wstydzi.*

W zamyśleniu powędrowała wzrokiem wyżej, ku jego ostrym rysom twarzy, opalonej skórze, ciemnym włosom i brązowym oczom. Podobał jej się jak diabli.

Kelnerka odeszła, a Mateusz rozparł się wygodnie w fotelu.

– Czasem lubię patrzeć na innych ludzi i zgadywać, kim są lub czym się zajmują – powiedział, patrząc na starszą parę zbierającą się właśnie do wyjścia. – Oni są ze sobą od ponad pięćdziesięciu lat. I założę się, że co najmniej raz w tygodniu przychodzą tu na ciasto i traktują te wypady jak wyjątkowe święto.

Magda pokiwała głową i odprowadziła starszusków wzrokiem aż do wyjścia.

– A ja założę się, że one są na wagarach. – Spojrzała na dwie dziewczyny siedzące w rogu kawiarni.

– Skąd ta pewność?

– Nie wyglądają na pełnoletnie, więc na pewno chodzą jeszcze do szkoły. Spójrz na te ich wielkie torby na ziemi, pewnie pełne książek. Co chwilę też zerkają na swoje telefony. A poza tym jest jedenasta. O tej porze na kawę mogą iść tylko emeryci lub bezrobotni. No właśnie. Ja urwałam się z księgarni, żeby zrobić zakupy, a ty?

– Nic nie było dziś do roboty, więc dostałem wolne.



Telefon jednej z nastolatek nagle zapiszczał.

– Kurczę, będzie sprawdzian – powiedziała po przeczytaniu wiadomości.

Dziewczyny odstawiły niedokończone koktajle, pospiesznie pozbierały z podłogi torby, rzuciły kilka monet na ladę i niemal wybiegły z kawiarni.

– Brawo, Sherlocku! – Mateusz uniósł lekko kąciki ust.

– Mówiłam – odparł zadowolona z siebie Magda, gdy zostali sami w kawiarnianym ogródku. – Znam się na ludziach.

– Czy ty nie powinnaś czasem być w pracy? – Magda usłyszała za plecami oskarżający ton.

Obejrzała się i zobaczyła chudego, wysokiego chłopaka w zbyt krótkich spodniach, z rozczochraną czupryną i brązowozielonymi oczyma, w których kryła się pustka.

*Och, nie!* – pomyślała. *Błagam, idź sobie, Mateusz to jedyny chłopak, który mnie lubi.*

– Ty chyba też, co? – mruknęła.

– Oczywiście – odparł i przeszedł nad płotkiem odgradzającym rynek od ogródka. – Feliks... kuzyn Magdy. – Wyciągnął rękę do Mateusza.

– Mateusz... jej kolega. – Magda była niemal pewna, że celowo się zająknął, przedrzeźniając Feliksa.

Najwyraźniej nie tylko ona to zauważyła, bo żniwiarz skrzywił się nieznacznie.

– A więc to ty jesteś winien temu, że zostawiła biedną matkę samą w pracy? – Feliks oparł się o płotek i bezczelnie chwycił za filiżankę Magdy.

Przyjrzał się z uwagą szklance, a potem wypił duży łyk.

– Paskudna – ocenił.

– Myślę, że Magda zasłużyła na chwilę przerwy – odparł Mateusz, przyglądając się uważnie kuzynowi dziewczyny.

Feliks odstawił filiżankę na stół i również spojrzał Mateuszowi prosto w oczy. Magda miała wrażenie, że atmosfera nagle zgęstniała. *Idź sobie, no idź!* – powtarzała intensywnie w myślach, mając nadzieję, że jakimś cudownym sposobem te słowa dotrą do Feliksa. Jednak on zdawał się głuchy i ślepy, a do tego nie poczuł nawet kopnięcia w kostkę.

– Ty jesteś tym chłopakiem od Wilków – bardziej stwierdził niż zapytał Feliks.

*No nie!* – jęknęła w duchu. Nie znosiła, kiedy ludzie mówili o niej „dziewczyna od Wojnów” i Feliks doskonale o tym wiedział. Czyżby nazwał tak Mateusza celowo? Żeby mu dopiec? Nawet go dobrze nie poznał, a już był złośliwy!

– Tak, jestem – odparł pewnym tonem Mateusz. Skrzyżował ręce na klatce piersiowej i wciąż patrzył na Feliksa.

Magda straciła cierpliwość. Jedyny chłopak w mieście, który nie uważał jej za dziwaczkę, a ten idiota usiłuje go obrazić, albo odstraszyć. Pewnie ta technika podziałałaby, gdyby miał swoje poprzednie ciało, ale w tym był po prostu irytujący.

– Feliks – warknęła. – Idź sobie i nam nie przeszkadzaj.

Wujek prychnął cicho i uniósł w uśmiechu kącik ust.

– Na razie – powiedział.

Zwinął ciasteczko z talerza Magdy i przeszedł nad ogrodzeniem.

– Przepraszam cię za niego – powiedziała dziewczyna, patrząc na oddalającego się żniwiarza. – Nie wiem, co w niego wstąpiło.

– Nie przejmuj się – odparł swobodnie Mateusz. – Rodziny się nie wybiera.

– Niestety – westchnęła. – A najgorsze jest to, że ja z nim mieszkam.

Skoro poznał już Feliksa, nie było sensu ukrywania przed nim prawdy... A przynajmniej tej jej części, która nie mówiła nic o nawich i świecie umarłych.

– Tam, gdzie odprowadziłem cię tydzień temu?

– Nie, to jest dom moich rodziców. Ja z Feliksem mieszkam w takim starym domu po wujku na drugim końcu miasta.

– Aha.

Spodziewała się wszystkiego, ale nie tego, że Mateusz tak szybko zaakceptuje ten fakt.

– Na mnie chyba już czas. – Dopiła kawę i spojrzała z żalem na zegarek. – Jak ten konfident doniesie mamie, że szlajam się po mieście w godzinach pracy, to będę musiała do końca roku zamykać księgarnię.

– A tego byśmy nie chcieli. – Mateusz uśmiechnął się, wstając od stolika.

¢

Nadia podciągnęła kolana do klatki piersiowej, próbując przykryć się kocem, na którym jednocześnie leżała. Niewiele to pomogło – wciąż było jej zimno, miała dreszcze i w żaden sposób nie potrafiła opanować drżenia dłoni i stóp. Na dodatek jej ciało trawiła gorączka.

Jęknęła cicho, otwierając oczy. Wciąż otaczała ją smolista ciemność, która nie pozwalała w pełni oddychać, uciskała klatkę piersiową, lepiła się do ciała. Zimne i ciche piekło, w którym się znalazła, śmierdziało wilgocią, stęchlizną i zepsuciem.

Pod pokrwawionymi palcami o połamanych paznokciach czuła zimny, gładki kamień. Pora wstać, rozruszać zeszywniałe mięśnie, przekonać organizm, że jeszcze żyje. Walcząc z zawrotami głowy, podźwignęła się na czworaka. Wzięła kilka głębszych oddechów, spokojnie wypuszczając powietrze z płuc. Po czwartym wdechu zaniósła się kaszlem i przez dłuższą chwilę próbowała nad nim zapanować. Splunęła na ziemię, zaklęła głośno i wspierając się o ścianę, stanęła chwiejnie na nogach.

Dziesięć małych, niepewnych kroków wzdłuż jednej ściany, dziesięć wzdłuż kolejnej, dwa kolejne i duża, metalowa beczka. Sięgnęła do niej i nabrała w drżącą dłoń odrobinę śmierdzącej, zimnej wody. Na samym początku nawet przez myśl jej nie przeszło, żeby pić coś tak obrzydliwego, lecz każdego w końcu dopadnie pragnienie. Kolejne kroki, kolejny róg, który służył jej za toaletę, i ostatnia ściana. Żadnych drzwi, żadnej przerwy w gładkich, wilgotnych ścianach z kamienia. Żadnej drogi ucieczki.

Nadia знаła już swoje więzienie na pamięć. Znała każdy kamień, każdą rysę wyznaczoną przez starą, wapienną zaprawę. Przemierzała tę przekłętą piwnicę już dziesiątki, jeśli nie setki razy. Na początku robiła to po to, by móc sprawnie się po niej poruszać nawet w absolutnej ciemności, gdy ci, którzy ją uwięzili, w końcu tu zejda. W myślach ułożyła każdy możliwy scenariusz, jak może obezwładnić swoich oprawców i się stąd wydostać. Nie przewidziała jednego – że świat łącznie z porywaczami o niej zapomni. Ile tu już tkwiła? Miała wrażenie, że wieczność. Kiedyś jeszcze starała się odliczać upływające minuty, godziny, może nawet dni, ale szybko straciła rachubę. Zapas sucharów, który wcześniej wydawał się tak wielki, skończył się. Kiedy? Może kilka godzin temu, może dzień. Przestała już odczuwać głód.

Powoli zapominała, że gdzieś tam u góry życie toczy się swoim rytmem. Dla niej istniała jedynie ta piwnica. Wydawało jej się, że egzystuje już tylko z przyzwyczajenia, że gdyby wystarczająco się skupiła, mogłaby przestać oddychać, zatrzymałaby serce, a jej udręka wreszcie dobiegłaby kresu. Jednak na samym dnie umysłu tliła się coraz słabsza iskierka, że musi się dowiedzieć, kto i po co ją tu trzyma, że musi ostrzec innych. Jeśli zginie w ciemnej i zimnej piwnicy, jej dusza uleci gdzieś daleko, minie mnóstwo czasu, zanim odnajdzie nowe ciało i Nadia już nigdy nie pozna prawdy.

¢

Magda zamknęła księgarnię i pojechała do domu. Myślała, że do wieczora przejdzie jej złość na Feliksa. Niestety, gdy tylko pomyślała, że jej głupi wujek usiłował odstraszyć od niej Mateusza, znów wzbierała w niej wściekłość.

Weszła do domu, trzaskając drzwiami.

– Feliks! – zawołała, lecz nie usłyszała odpowiedzi.

Z piwnicy doszły do niej stłumione hałasy. Zeszła więc na dół, gdzie żniwiarz urządził sobie kiedyś małą siłownię.

– Cześć – stęknął, unosząc hantle. – Matko, ależ słaby jestem w tym wcieleniu.

– Do tego jeszcze głupi i złośliwy! – warknęła.

Odstawił hantle na podłogę.

– Że co proszę? – zdziwił się.

– Dlaczego byłeś dziś taki niemiły dla Mateusza?! – naskoczyła na niego.

– Bo mi się nie spodobał. – Feliks wzruszył ramionami, po czym wytarł koszulką pot z czoła.

– Nie tobie ma się podobać!

– Nie histeryzuj – mruknął. – Możesz sobie znaleźć kogoś lepszego.

– Twoim zdaniem nikt nie jest dla mnie wystarczająco dobry! Wiesz, ilu moich chłopaków już przepędziłeś?!

– Nie przesadzaj. Aż tak piękna to ty nie jesteś, żeby wciąż ustawiały się do ciebie kolejki.

Magda otworzyła usta, lecz zabrakło jej słów.

Feliks napił się wody z butelki i spojrzał na nią.

– Chyba posunąłem się za daleko, co? – Skrzywił się nieco.

Magda – wciąż w szoku – pokiwała głową.

– Przepraszam. – Wstał z ławki i podał jej dłoń na zgodę. – Nadal nie do końca panuję nad tym ciałem. Ostatnio powiedziałem Jadwidze... to znaczy cioci Jadzi – poprawił się – że je jak mały wół. W tym chłopaku – mruknął i spojrzał po sobie – było mnóstwo złości i goryczy. Miał niewyczerpane pokłady drobnych złośliwości.

– W to akurat mogę uwierzyć – mruknęła Magda.

– Obiecuję się poprawić – zapewnił, ale w jego głosie nie było ani odrobiny skruchy.

Magda skinęła głową. Trochę tęskniła za dawnym Feliksem – poważnym, troskliwym wujkiem.

¢

Wszystko szło zgodnie z planem. Oczywiście zdarzały się pewne trudności, ale i z nimi Pierwszy potrafił sobie poradzić. Miał cierpliwość osoby, która podczas setek lat spędzonych w Nawii przewidziała każdy możliwy scenariusz, więc nic nie mogło go zaskoczyć.

Miejsce, które wybrał Blank, było idealne pod każdym względem, a szczególne z tego powodu, że znajdowało się pod samym nosem tego nieudolnego żniwiarza. Nikt nawet nie szukał tu Pierwszego, nikt nie zwrócił na niego uwagi. Plan w swej prostocie był iście genialny.

W ciągu kilku tygodni zebrał armię potępieńców. Co prawda wciąż musieli kupować albo kraść mięso, ale byli bardzo przydatni. Pierwszy rozlokował ich w innych miastach, aby na bieżąco informowali go o poczynaniach pozostałych wrogów, dzięki czemu miał wszystko pod kontrolą. Lecz wojna, w której przeciwnik nawet nie zdawał sobie sprawy z tego, że jest atakowany, była z góry skazana na sukces. Może nie należała do honorowych ani sprawiedliwych, ale która wojna taka jest?

Nawet to pole krwi ukryte w lesie z dala od ludzi, a jednocześnie wystarczająco blisko opuszczonej osady, gdzie mógł się zaszyć, było idealne. Miało swoją moc i historię, o której nie wiedzieli nawet miejscowi.

– Zanim się spostrzegą, zostanie ich jedynie garstka, niezdolna do podjęcia jakiegokolwiek walki – rzucił w przestrzeń, spacerując między porośniętymi mchem nagrobkami. – Oby tylko Gerard zbyt szybko nie wyszedł z ukrycia. Bo jeśli połączą siły...

– Od dziesiątek lat nie nawiązał z nikim kontaktu, nie zdradził swoich, ani twoich tajemnic. Sądzę, że pod tym względem jesteś bezpieczny – odparł Blank, podążając za Pierwszym. – Kazałem potępieńcom porzucić stary samochód i znaleźć nowy. Przekreślił też tablice rejestracyjne. Twierdzą, że nikt ich nie widział, ale lepiej dmuchać na zimne.

Najstarszy żniwiarz pokiwał głową z aprobatą.

– Dziewczyna niedługo zginie, kto będzie następny? – zapytał Blank.

– Muszę się nad tym zastanowić.

– Jesteś pewien, że Feliks niczego się nie domyśla? W końcu od chwili, kiedy wróciłeś do świata żywych, pałęta się po nim coraz więcej nawich.

– Cóż, tego nie unikniemy. Ale Feliks jest zbyt młody i głupi. Dzięki temu, że wciąż siedzi w tym Wiatrołomie, łatwo go kontrolować i mieć na niego oko.

– Nie tylko na niego, co? – zażartował Blank.

Pierwszy zmroził spojrzeniem zastępcę, który spuścił głowę i wymamrotał krótkie przeprosiny.

¢

Feliks spokojnie zjadł kolację, przy czym okazało się, że w tym ciełe uwielbia wątróbkę ze śmietaną. Brudne naczynia oraz patelnię wstawił do zlewu i zalał wodą. Patrząc na strumień wody płynący z kranu, przemknęło mu przez myśl, że Magda się wścieknie, jeśli znów zostawi jej zmywanie... Lecz przecież nie kazał jej się wprowadzać do swojego domu.

Nieźle go opieprzyła poprzedniego wieczoru, ale nie potrafił być miły dla tego jej nowego chłopaka. Coś mu się w nim nie spodobało. Ta jego pewna siebie postawa, głupi uśmieszek i – co najgorsze – sposób, w jaki patrzył na Magdę.

– Jadwiga miała rację, jestem bardziej złośliwy niż kiedyś – stwierdził, a po chwili, ku własnemu zdumieniu, odkrył, że nieszczególnie mu to przeszkadza.

Narzucił na siebie skórzaną kurtkę, teraz zbyt szeroką i z przykrótkimi rękawami. Z wieszaka w korytarzu wziął kluczyki i wyszedł z domu, gotów stawić czoła kolejnej istocie, która nawiedzała las niedaleko małej wsi pod Wiatrołomem.

Jeszcze dzisiejszego poranka Magda zadzwoniła do niego, twierdząc, że jakiś internauta pisał na jej forum o błędnych ognikach widzianych we wspomnianym lesie.

– Pewnie ktoś wymyśla bajki – skwitował.

– Nie chcesz to nie, nie musisz tego sprawdzać – zachnęła się dziewczyna. – Gdyby nie to, że jestem umówiona, sama bym tam pojechała.

– Jak to „umówiona”? – zdziwił się.

– Dziś po pracy idę z Mateuszem na kawę – oznajmiła.

– Znowu? – mruknął. – A tak nawiasem mówiąc, on wcale mi się nie podoba.

– Tobie nikt się nie podoba – skwitowała Magda. – Poza swoją rodziną ty nikogo nie lubisz! Ani ludzi, ani żniwiarzy! A w tym ciełe najwyraźniej i mnie nie znosisz.

– Nie pleć głupstw! – zachnął się. – To co z tymi ognikami?

Magda powiedziała o tym, co znalazła w sieci, a Feliks dla świętego spokoju obiecał, że to sprawdzi.

Dojechał na miejsce przed zmierzchem. Wieś była spokojna i senna. Przy dziurawej drodze chodziły kury, usiłując wygrzebać z pobocza coś smacznego. Na murku wygrzewał się kot, a w oddali zaszczekał pies.

Żniwiarz podszedł do pierwszego płotu, za którym dostrzegł mężczyznę pracującego w ogrodzie.

– Dzień dobry – przywitał się.

– Dobry. – Miejscowy podejrzliwie skinął mu głową.

– Nazywam się Olszewski i jestem współautorem witryny o zjawiskach paranormalnych... – zaczął cytować słowa wypowiedziane przez Magdę.

– Znaczący takiej strony dla czubków?

– Nie tak bym to ujął, ale owszem. – Skinął głową. – Słyszałem, że poza tą wsią straszy?

– Tak mówią, ale kto by w to wierzył? – Mężczyzna wzruszył ramionami.

– Wie pan, w którym miejscu?

– A tam gdzieś. – Machnął ręką za siebie. – W lesie za krzyżem.

– Bardzo dziękuję za pomoc – powiedział żniwiarz i ruszył drogą dalej przed siebie. Wiedział, że od tego sceptyka więcej informacji nie wyciągnie, ale znał miejsce, w którym na pewno czegoś się dowie.

Zatrzymał się przed małym sklepem, który spełniał również rolę pubu i punktu zgromadzeń mieszkańców. Co dziwne, o tej porze siedziało tam tylko dwóch mężczyzn. Feliks przedstawił się im, ale dopiero kiedy obiecał postawić piwo, starsi panowie okazali się bardziej rozmowni.

– Ano widziałem tego ducha! – zapewnił niski, wysuszony staruszek w czerwonych adidasach i czapce moro.

– Ducha?

– Tak, ducha, taka zjawa, niby biała, a jednak przeźroczysta.

– Ty, Stachu, głupot nie pieprz! – ofuknął go kolega w niebieskich adidasach i koszuli w kratę. – To wcale nie zjawa była, a błędne ogniki!

– Błędne ogniki występują tylko na bagnach, a to było w środku lasu! – pouczył go Stachu.

– No to jak w końcu było? – zapytał Feliks.

– Panie, my pewni nie jesteśmy, bo to już ciemno było, a my mieli trochę w czubie. Wie pan, Staszewski wnuk się urodził, trzeba było uczcić. Ale coś tam w lesie siedzi. Licho jakie!

– Tylko pan nie mówi głośno, że to my powiedzieliśmy, bo tu we wsi się z nas śmieją, że widy jakieś mamy – dodał ściszym głosem Staszek.

– A gdzie dokładnie to się stało? – zapytał Feliks, czując, że jego cierpliwość powoli się wyczerpuje.

– Jak postawisz pan nam po dwa piwa, to pokażemy! – obiecał mężczyzna w niebieskich adidasach.

– Zatem chodźmy.

Mężczyźni żwawo ruszyli przed siebie. Po drodze na zmianę opowiadali o tym, co widzieli, a za każdym razem ich wersja odrobinę różniła się od poprzedniej.

– Nie notujesz pan? – zapytał niespodziewanie Staszek, patrząc znacząco na Feliksa.

– Nie muszę, mam świetną pamięć – zapewnił żniwiarz.

Mężczyzna zmierzył go podejrzliwym wzrokiem, nie do końca wierząc jego słowom.

– To tu. – Jego kolega zatrzymał się. – Przysnęliśmy sobie pod tym o świerkiem, a tam – powiedział i wskazał ręką na las – pokazały się te światełka.

– Jesteście panowie pewni?

– Taa. To co z tym piwem? – zapytał Staszek, nerwowo przeskakując z nogi na nogę. – Zimno tu jakoś

i tak nieprzyjemnie...

Feliks sięgnął do kieszeni i podał mężczyznom banknot dziesięciozłotowy. Nawet nie narzekali, że to za mało na cztery piwa w wiejskim sklepie, tylko pospieszyli ku drodze, aby znaleźć się jak najdalej od nawiedzonego miejsca.

Żniwiarz uśmiechnął się. Przecież jeszcze we wsi byli mężnymi pogromcami duchów, opowiadającymi, czego by oni nie zrobili z takim lichem, gdyby znów je zobaczyli.

Kiedy miał pewność, że panowie są już daleko, a on został w lesie sam, pokręcił się wokół, szukając jakichkolwiek śladów lub naruszonej ziemi. Nie znalazł nic, ale też i nie miał na to zbyt wielkich nadziei. W końcu światełka pojawiają się w tej okolicy od wielu miesięcy.

Położył się na miękkim mchu pod świerkiem, założył ręce za głowę i przymknął oczy, wsłuchując się w odgłosy lasu. Dawno temu ukrywał się pod podobnym drzewem przed pościgiem niemieckich żołnierzy przekonanych, że jest dezserterem.

Po niedługim czasie usnął, śniąc o innym, odległym życiu. Zbudził go dopiero wieczorny chłód. Zrobiło się ciemno, a zwierzęta zaczęły wychodzić na łowy. Wysoko między gałęziami drzew prześwitywały gwiazdy i sierp księżyca.

Wkrótce ujrzał to, na co czekał – mgliste, delikatne światełka. Były bardzo niewyraźne, ale szybko ustalił, pod którym drzewem krąży. Po lesie echem rozlegał się szloch.

Feliks wstał z ziemi i ruszył w kierunku światełek, które natychmiast zgasły. Płacz urwał się. Żniwiarz zatrzymał się przed brzozą, pod którą znajdowało się niewielkie wzniesienie.

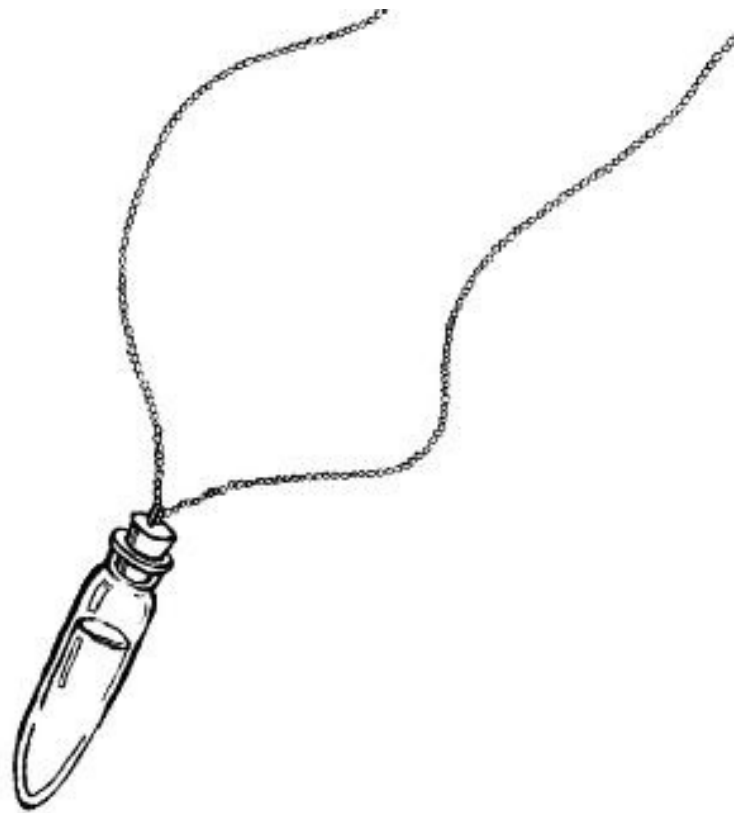
– Jeśliś chłopiec, nadaję ci imię Adam – powiedział głośno Feliks. – Jeśliś dziewczynka, nadaję ci imię Ewa. – Wyjął z kieszeni małą buteleczkę i skropił ziemię wodą święconą.

– Żegnaj, maluchu – westchnął i wrócił na mech pod świerkiem, lecz już nie usłyszał płaczu, ani nie ujrzał światełek.

Ludzie od zawsze twierdzili, że żyją w czasach bardziej cywilizowanych niż poprzednia epoka. Lecz niektórych rzeczy woleli po prostu nie zauważać. Na przykład tego, że sąsiad zagroził córce, że wyrzuci ją z domu, jeśli będzie miała nieślubne dziecko. A młoda dziewczyna bała się tak bardzo, że nawet nie chciała szukać szansy na życie dla swojego maleństwa. I choć światełka nad tajemnymi miejscami pochówku świeciły coraz rzadziej, dla Feliksa nadal było to zbyt często.

– Wciąż żyjecie w ciemności – powiedział, przechodząc przez milczącą wieś.

# Rozdział 5



Magda wracała do domu niepocieszona. Przed południem Feliks narzekał na jej metody poszukiwania zjaw, potem mama chciała tysiąc rzeczy na raz i goniła ją po całym mieście, żeby je załatwiała. Magda miała nadzieję, że popołudniowe spotkanie z Mateuszem poprawi jej humor, ale ledwo usiedli w kawiarni, a rozdzwonił się jego telefon.

– Wujek wzywa mnie do pracy – jęknął chłopak. – Coś się im popsulo... Wybaczysz mi?

– Jasne, ale jutro będziemy musieli to nadrobić – odparła z wymuszonym uśmiechem.

– Oczywiście. Jeszcze raz bardzo cię przepraszam, że muszę cię tak zostawić.

Pocałował ją w policzek i już go nie było, a Magda musiała zjeść dwa zamówione kawałki ciasta w samotności.

Teraz zapadała już wieczorna szarówka, a dziewczyna wracała pieszo przez miasto, bo przecież Feliks zabrał jej samochód, aby sprawdzić, czy tajemnicze światełka rzeczywiście są, jak sugerowała, porońcem.

Właśnie zastanawiała się, czy nie zadzwonić do Mateusza i zapytać, jak idzie mu naprawa, gdy zdała sobie sprawę z tego, że gdy kilka godzin wcześniej mama wysłała ją po coś do domu, zostawiła tam swój telefon.

– Niech to szlag! – Zatrzymała się na środku chodnika i rozejrzała bezradnie.

Do domu Feliksa miała już niecałe pięćset metrów, a powrót po telefon oznaczał ponowne przejście przez całe miasto.

– Mogłam nie dawać Feliksowi samochodu – mruknęła ze złością i zawróciła.

Normalnie nawet nie przeszłoby jej przez myśl, żeby wracać taki kawał drogi po telefon, ale istniała szansa, że wieczorem zadzwoni do niej Mateusz, a tego nie chciała przegapić. A nie daj Boże, gdyby telefon odebrało któreś z rodziców.

Na tę myśl jeszcze bardziej przyspieszyła kroku.

Nagle kątem oka ujrzała ciemny kształt w parku. Czarniejszy niż noc, stał pod drzewami, gdzie nie docierało światło lamp ulicznych. Magda gwałtownie zatrzymała się i wpatrzyła w postać utkaną z ciemnego dymu. Jej serce zabiło szybciej. Przez ostatnie dni niemal zapomniała o cienistym i jego dziwnym zachowaniu.

Nie spuszczała z niego wzroku, bojąc się, że jeśli chociażby mrugnie, czarny dym rozwieje się. Zrobiła kilka kroków w jego stronę. Weszła na ulicę i wciąż szła przed siebie. Mijający samochód zatrąbił na nią przeciągle, ale nie zwróciła na niego najmniejszej uwagi. Cienisty patrzył, jakby oczekiwał, że dziewczyna zaraz stanie z nim twarzą w twarz. I tak rzeczywiście zamierzała zrobić.

Gdy wkroczyła do parku, zrobiło się jakby chłodniej, a na rękach pojawiła jej się gęsia skórka. Od ciemnej postaci dzieliło ją zaledwie kilka metrów – już czuła charakterystyczny zapach.

Cienisty przeszył ją spojrzeniem czerwonych oczu, powoli uniósł rękę z dymu i wskazał na coś z boku. Magda z niechęcią oderwała od niego wzrok i zerknęła we wskazanym kierunku, ale nie zauważyła tam nic szczególnego. Ot, tylko parkowe alejki.

– Nie rozumiem. Co chcesz mi pokazać? – zapytała szeptem.

Cienisty otworzył usta, z których nie wydobył się żaden dźwięk, ale Magda miała wrażenie, jakby jej mózg zaczął wibrować. Nie było to bolesne, ale z całą pewnością nieprzyjemne. Zatkąła uszy dłońmi, lecz niewiele to pomogło.

– Przestań! – rozkazała.

Stwór zamknął usta, opuścił rękę i przesunął się w stronę dziewczyny.

– Nawet nie próbuj! – Magda zatrzymała go gestem dłoni.



Cienisty zaczął tracić kształt – rozwiewał się na wietrze, a po sekundzie nie było po nim nawet śladu.

Magda miała wrażenie, że w parku zrobiło się jaśniej i cieplej.

– Czego ode mnie chcesz? – rzuciła w pustkę, lecz nie doczekała się odpowiedzi.

Wzruszyła więc ramionami i poszła do domu. Nie zastała rodziców – zapewne wybrali się w odwiedziny do ciotki Jadwigi, więc wzięła tylko telefon i wyszła. Jak zwykle skróciła sobie drogę, idąc przez stare, pogrążone w ciemności torowisko.

Na jego skraju w wysokich chaszczach buszował pies, który wyruszył na nocne łowy. W oddali można było dostrzec czerwony wiadukt biegnący nad torami. O tej porze szedł po nim zaledwie jeden przechodzień, samochodu nie było żadnego.

Magda wspięła się na niski nasyp, wskoczyła na pokrytą rdzą szynę i, wystawiając dla równowagi ręce na boki, powoli ruszyła przed siebie. Po lewej stronie ujrzała duży budynek z czerwonej, lekko pokruszonej cegły. Dawniej należał do całego kompleksu pięknych budowli kolei, ale odkąd zamknięto dworzec, a pociągi przestały jeździć przez Wiatrołom, niszczał w zastraszająco szybkim tempie.

Okna zwieńczone łukami powybijano, większość drewnianych posadzek zerwano, meble poniszczono lub ukradziono, a każdy możliwy do wyniesienia metalowy element sprzedano na złom. Teraz przychodzili tu jedynie bezdomni i wagarujący uczniowie. Władze co jakiś czas zamykały wszystkie wejścia, ale zawsze znalazł się ktoś, kto forsował je ciemną nocą.

Magda szła po szynie, usiłując dojrzeć tak dobrze znane jej graffiti, gdy nagle zobaczyła ciemną, chudą sylwetkę na tle ściany. W ciemnościach zamajaczyła blada twarz. Dziewczyna nie wystraszyła się jednak – pewnie był to jakiś nastolatek, który umówił się tu z kolegami. A poza tym w torebce, oprócz wielu innych przydatnych rzeczy, miała gaz pieprzowy oraz paralizator, bo choć w Wiatrołomie nikt nie miałby odwagi jej skrzywdzić, to lubiła być przygotowana na każdą ewentualność, włączając w to nagły wyjazd poza miasto. Szła dalej, nie zwracając na niego uwagi, kiedy poczuła słabą woń rozkładającego się mięsa. Z niczym nie mogłaby jej pomylić. Serce podeszło jej do gardła, straciła równowagę i musiała zeskoczyć z szyny. Spod jej stóp osunęło się kilka ostrych kamieni.

– O żesz... – szepnęła.

Uważnie powiodła dookoła wzrokiem, ale nic jeszcze nie dostrzegła. A smród dochodził od strony mostu, czyli dokładnie tam, dokąd się wybierała. Przez chwilę stała niezdecydowana, co robić. Sięgnęła do torebki w poszukiwaniu telefonu, kiedy woń zepsutego mięsa nasiliła się.

Dziewczyna obejrzała się na budynek z czerwonej cegły. Ktokolwiek tam był, musi go ostrzec, zabrać z tego przeklętego miejsca...

Smród stawał się coraz silniejszy, do tego usłyszała w oddali toczący się z nasypu kamień.

Magda – wciąż grzebiąc w torebce – najszybciej i najciszej jak potrafiła, ruszyła w stronę opuszczonego budynku. Niemal czuła zimny oddech potwora na karku, ale usiłowała przekonać samą siebie, że to tylko wyobraźnia, że gdyby stwór ją wyczuł, już leżałaby martwa.

Stanęła przed budowlą i rozejrzała się, ale nikogo nie dostrzegła. Smród nie zelżał. Księżyc skrył się za chmurami, nadając im srebrzystą poświatę. Magda zadrżała, choć wieczór był ciepły. Serce biło jej głośno, krew szumiała w uszach, a po plecach spłynęła kropla lodowatego potu. Najchętniej uciekłaby stąd, ile sił w nogach, wróciła do rodzinnego domu i ukryła się w swoim starym pokoju. Ale była tutaj, w ciemnościach, zdana jedynie na siebie i musiała ostrzec chłopaka, który wymknął się z domu tylko po to, aby spotkać się z kumplami.

Idąc wzdłuż ściany budynku, żałowała, że metalowy drążek, który został w jej sypialni, był za duży, by nosić go w torebce. Poczuła się odsłonięta i bezbronna, ponieważ ani gaz pieprzowy, ani paralizator nie pomógłby jej w starciu z nawim. Dla zachowania równowagi w ciemnościach przyłożyła dłoń do porowatych, wykuszonych cegieł, które zdawały się promieniować własnym ciepłem.

Dotarła do rogu, zakreśliła i niemal wpadła na młodego, wychudzonego chłopaka. Ten spojrzął na nią przerażonymi oczyma i już otworzył usta do krzyku.

– Tylko nie krzycz! – poprosiła szeptem Magda, unosząc przed siebie dłonie.

Chłopak przez chwilę stał nieruchomo, jakby zastanawiając się, co robić. W końcu zamknął usta i nerwowo rozejrzał się dookoła.

– Coś tu jest – szepnął. – Coś wielkiego, a śmierdzi jak...

– Popsute mięso – dokończyła za niego. – Musimy stąd uciekać, zanim nas wywęszy.

Magda złapała chłopaka za rękę, gdy usłyszała szelest w trawie, stanowczo zbyt blisko. Smród nasilił się jeszcze bardziej, wywołując mdłości.

– Cholera! – syknęła dziewczyna. – Za późno.

Przestraszona powiodła wokół wzrokiem. W ciągu ułamka sekundy podjęła decyzję.

Szarpnęła dłonią chłopaka, ustawiając go na starych płytach chodnikowych.

– Nie ruszaj się – nakazała, wygrzebując z torebki woreczek z solą.

Kiedyś wierzono – całkiem słusznie zresztą – że cenna sól odstrasza upiory. Dlatego Magda usypała z niej krzywy okrąg wokół chłopaka.

– Co ty... co ty robisz? – zapytał drżącym głosem.

– Nie wyczuje nas, jak będziemy w środku – odparła, stając w kręgu.

Spojrziała jeszcze raz na towarzysza i choć sama była prawie sparaliżowana ze strachu, spróbowała się uśmiechnąć, aby dodać mu otuchy. Chłopak nie mógł mieć więcej niż piętnaście lat i był przerażony.

– Jestem Magda. – Podała mu dłoń.

– Aleks – odpowiedział odruchowo.

– Nie bój się, wszystko będzie w porządku – zapewniła, natrafiając w końcu w torebce na telefon.

Dłonie tak jej drżały, że musiała użyć obu, aby wybrać numer Feliksa.

– Odbierz – poprosiła ledwie słyszalnym szeptem.

Długi sygnał przeciągał się w nieskończoność. Smród zepsutego mięsa wywoływał mdłości. Wtem coś wielkiego wyszło zza rogu. Chmury odsłoniły księżyc i w jego świetle mogli dojrzeć olbrzymiego potwora wielkości konia. Poruszał się na czterech chudych, długich łapach, upodabniających go do pająka. Jego workowate cielsko zwieszało się tuż nad ziemią. Nie miał oczu, a zamiast nosa na środku twarzy ziały dwie poszarpane dziury. Szeroka paszcza była naszpikowana ostrymi zębami. Na razie jego ciało odznaczało się przerażającą bladością, ale gdy napełni się ludzką krwią, stanie się czerwone. Kiedyś ludzie wierzyli, że w zwalistym cielsku nie ma ani jednej kości i tylko skóra wypełniona krwią trzyma potwora w jednym kawałku.

– Tak? – odezwał się głos w słuchawce, lecz Magda nie usłyszała go zapatrzona w stwora.

Nawi zwolnił kroku i głośno wciągał powietrze nozdrzami. Dziewczyna zobaczyła czarne, ostre szpony wieńczące jego cztery długie palce u każdej łapy.

– Magda? Co jest? – dopytywał się Feliks.

– Torowisko... Bezkost... – zdołała wydusić.

Wiedziała, że stwór nie może jej ani wyczuć, ani usłyszeć, dopóki jest w kręgu, ale niewiele to pomagało. Drżała, a jej oddech był szybki i płytki. Aby dodać otuchy zarówno sobie, jak i Aleksowi, złapała go za lodowatą dłoń i mocno ścisnęła. Bezkost był coraz bliżej. Nieco uniósł łeb i w księżycowym świetle mogli dobrze się przyjrzeć jasnej, pomarszczonej skórze na jego czasce. Nozdrza rozdymały się, chwytając powietrze, a spomiędzy zębów ściekała ślina.

– Nie mogę... – jęknął Aleks, wyrwał rękę z uścisku Magdy i odbiegł w mrok.

– Nie! Czekaj! – krzyknęła za nim.

Gdy tylko przekroczył granicę z soli, bezkost natychmiast go wyczuł i gwałtownie zwrócił łeb w jego

stronę. Potem ruszył za chłopakiem z zaskakującą prędkością.

– Ty idioto! – zawołała Magda, a potem, przeklinając na czym świat stoi, pobiegła za chłopakiem i potworem.

Gdy dotarła do rogu budynku, zwolniła i ostrożnie wyjrzała zza niego. Zobaczyła, jak pokraczny nawi wchodzi do środka głównymi drzwiami. Modląc się, aby Feliks dotarł na czas, zrobiła krok w stronę wejścia.

Bezbronne dłonie aż swędziały, a kosmyki włosów kleiły się do czoła. Weszła do budynku, przewyciężając paraliżujący strach. Na szczęście jej oczy były przyzwyczajone do ciemności, a przez wysokie okna do środka wlewała się słaba księżycowa poświata. Rozejrzała się po przestronnym holu, ale nikogo tu nie było. Wtem do jej uszu dotarł hałas dobiegający z piętra.

Upuściła na ziemię torbę, powoli podeszła do starych, drewnianych schodów i zaczęła się ostrożnie wspinać.

Dotarła na piętro i ostrożnie ruszyła w głąb korytarza, rozważnie stawiając kroki na przegniłej podłodze. Budynek pograżył się w ciszy, którą nagle rozdarł przeraźliwy krzyk.

Magda zerwała się do biegu. Przestała już myśleć o sobie i bezpieczeństwie. Nie potrafiła uciec, zostawiając młodego chłopca na tak okrutną śmierć.

Wpadła do pomieszczenia, skąd dobiegł ją krzyk. Przed sobą ujrzała plecy potwora, który powoli zbliżał się do Aleksa skulonego pod ścianą. W panice rozejrzała się za jakąkolwiek bronią, ale pokój był wyczyszczony do cna. Zerknęła na bezkosta, który powoli lecz nieubłaganie kroczył w stronę chłopaka. Jeszcze raz rozejrzała się po pomieszczeniu i jej wzrok zatrzymał się na pręcie wystającym z podłogi. Natychmiast do niego dopadła i zaczęła nim szarpać na wszystkie strony.

– No już! – stęknęła, napierając na niego całym ciałem. Jej stopy ślizgały się po betonie.

W końcu pręt ustąpił. Magda szybko odwróciła się do bezkosta, który właśnie podniósł łapę, aby zadać ostateczny cios. W górze zaśniły czarne pazury.

– Nie!!! – krzyknęła Magda, rzucając się na potwora.

Z trudem uniosła nad głowę pręt zbrojeniowy, którego trzymał się jeszcze kawałek betonu, i uderzyła bezkosta po grzbiecie. Stwór wrzasnął z bólu. Na ziemię posypał się gruz.

Potwór opadł na cztery łapy i odwrócił się w stronę dziewczyny. Powoli ruszył na nią, gwałtownie wdychając powietrze.

Magda cofnęła się o kilka kroków. Wzięła głęboki wdech, zdzieliła bezkosta w łeb, a potem – wkładając w to całą swoją siłę – wbiła pręt w jego klatkę piersiową.

Stwór zawył dziko i zaczął wierzgać patykowatymi kończynami, usiłując wyrwać raniącą go stal. Na podłogę polala się szara posoka.

Magda spróbowała go wyminąć, żeby dopaść do wciąż skulonego Aleksa, lecz nawi machnął łapą, odrzucając ją na bok. Magdę na chwilę zamroczyło – straciła orientację, musiała potrząsnąć głową i przetrzeć dłonią oczy, aby odzyskać ostrość widzenia. Na czworakach dotarła do chłopaka.

– Nic ci nie jest? – Klepnęła go w policzek i dopiero wtedy Aleks oderwał pełne grozy spojrzenie od szamoczącego się na środku pokoju bezkosta. – Uciekamy!

Stała na nogach i szarpnęła chłopca w górę. Razem ominęli nawiego i wybiegli na korytarz. Nie patrzyli, gdzie stawiają stopy, i nagle jedna z przegniłych desek ustąpiła pod ciężarem Magdy. Dziewczyna runęła na podłogę.

Aleks z rozpędu zrobił jeszcze kilka kroków, lecz kiedy zobaczył leżącą Magdę, zawrócił i pomógł jej się pozbierać. Wtem usłyszeli za sobą dziki skowyt i uderzenie metalowego pręta o beton.

– W nogi! – sapnęła Magda.

Aleksowi nie trzeba było tego powtarzać dwa razy. Razem zbiegli na dół i skierowali się do wyjścia.

Jednak bezkost wyszedł na piętrze przez okno i niczym pajak zszedł po ścianie, po czym stanął w drzwiach i rozdziawił paszczę. Kilka nitek szarej śliny ściekało z jego rozwartej paszczy.

Magda struchlała. Zabrakło jej już pomysłów na obronę, więc tylko stanęła ramię w ramię z Alekssem i ze zgrozą patrzyła na stwora, gdy nagle ktoś niespodziewanie przebiegł obok nich i zdzielił jakimś podłużnym przedmiotem bezkosta dużo silniej, niż była to w stanie uczynić Magda. Potwór zawył, wznosił łapę w górę, odsłaniając przy tym klatkę piersiową. Człowiek wbił swój pręt prosto w serce potwora.

Bezkost wycofał się z budynku i znikł z pola widzenia.

Chudy mężczyzna wyjrzał za nim, ale już po chwili wrócił do dwójki niedoszłych ofiar nawiego.

– Nic ci nie jest? – Najpierw dopadł do Magdy i ujął w dłonie jej bladą twarz, dokładnie jej się przyglądając.

– N-nie – odparła słabo.

– A tobie? – zwrócił się do Aleksa.

Chłopak nie był w stanie wydusić z siebie słowa, więc tylko pokręcił głową.

– Feliks... on... – zaczęła Magda.

– Wiem, wróci. – Żniwiarz obejrzał się za siebie. – Trafiłem go tylko w jedno serce. – Spojrzał na łom, który trzymał w ręku.

Kiedys ludzie wierzyli, że upiory powstają z martwych ludzi, którzy za życia mieli dwa serca. Nie było to prawdą. Żaden człowiek, ani upiór nie miał dwóch serc, ale bezkost owszem. I trzeba było przebić oba serca, aby go zabić.

Magda zobaczyła swoją torebkę leżącą na ziemi i odruchowo ją podniosła.

– Uwziął się na chłopaka – odezwała się.

– Aleks?!

Wszystkie trzy głowy zwróciły się w stronę wyjścia, gdzie stanęła barczysta postać.

– Mateusz? – powiedzieli równocześnie Magda i Aleks.

– Co ty... Co wy tu robicie? – Podeszedł do nich szybkim krokiem. – Twoi rodzice się denerwowali – zwrócił się do chłopaka. – A słyszałem, że umówiłeś się z kimś na torowisku i obiecałem cię znaleźć.

– Wy się znacie? – Dla Magdy tego było za wiele.

– To mój kuzyn – oświadczył Mateusz. – Czy to jest krew?! Jak ty wyglądasz?! Co tu się stało?!

Aleks wodził bezradnym wzrokiem pomiędzy kuzynem, a Magdą.

– Bo... ten potwór... był olbrzymi i...

– Jaki potwór?! Co ty wygadujesz? Co wy mu zrobiliście?! – Mateusz zwrócił gniewne spojrzenie Magdę i Feliksa.

– Ja... Mateusz... – zaczęła dziewczyna, ale nie miała pojęcia, jak się z tego wszystkiego wytłumaczyć.

– Zabieram cię do domu. – Mateusz chwycił kuzyna za ramię i pociągnął w stronę wyjścia.

– Nie! – krzyknęła Magda. – Nie możesz! On za wami pójdzie.

– Jaki on? Co ty wygadujesz?!

– Bezkost – jęknęła, lecz Mateusz i Aleks byli coraz bliżej wyjścia.

– Wytropi was i zabije – powiedział cicho Feliks.

Magda spojrzała w jego puste oczy. Wiedziała, że żniwiarz mówi prawdę. Znał się na rzeczy. Jeśli bezkost z jakiegoś względu uwziął się na Aleksa, nie odpuści, dopóki go nie dopadnie, nawet gdy zostało mu tylko jedno serce.

Westchnęła ciężko, po czym wyjęła z torebki paralizator i ruszyła szybkim krokiem za odchodzącymi. Nie zdążyli dojść do drzwi, gdy w holu błysnęło niebieskie światło, a Mateusz zwałił się głucho na ziemię. Zanim zrozumiał, co się stało, Magda usiadła na nim, wykręciła mu ręce za plecy i sprawnie

skuła trytką, którą również nosiła w torebce. Szybko przesunęła się do tyłu i na wszelki wypadek unieruchomiła mu również nogi.

– Przepraszam – szepnęła z wyraźną skruchą.

Złapała go za kostki i z wysiłkiem przeciągnęła pod ścianę. Resztę soli, jaka jej została, wysypała w okrąg wokół niego.

– Co ty wyprawiasz?! – pieklił się Mateusz. – Natychmiast mnie rozwiąż!

Lecz Magda nie zwracała już na niego uwagi. Teraz liczyło się jedynie zabicie bezkosta, który wciąż im zagrażał. Spojrzała na Feliksa.

Żniwiarz podał jej łom i z kieszeni wyjął własny woreczek z solą. Na środku holu wyrysował przerwany okrąg.

– Wejdźcie do niego – nakazał. – Szybciej!

Magda pociągnęła Aleksa do środka.

– Kiedy tylko bezkost się do was zbliży, zamknij okrąg, dobrze? – zwrócił się do dziewczyny.

Skinęła głową.

– I pod żadnym pozorem z niego nie wychodźcie! – ostrzegł Aleksa. – Chyba że chcesz, żeby bezkost wytropił cię w twoim własnym łóżku.

Chłopiec stanowczo pokręcił głową.

– Zbliża się, czuję go – szepnął Feliks, po czym usunął się w cień.

Magda ledwo stała na nogach. Wszystko ją bolało, czuła się wykończona. Najchętniej położyłaby się na ziemi, skuliła w kłębek i niech się dzieje, co ma się dzieć.

Znów poczuła dobrze jej znany smród rozkładającego się mięsa. Bezkost wrócił. Stał w drzwiach i wyszczerzył zęby. Z lewej strony klatki piersiowej widniała głęboka, sącząca się rana. Powoli wszedł do holu, węsząc.

– Porąbało was?! Co wy wyprawiacie! – krzyczał Mateusz do czasu, aż w polu jego widzenia pojawił się nawi.

Jego oczy zrobiły się wielkie jak spodki. Przestał się szarpać i tylko wpatrywał się w stwora.

– No chodź tu – szepnęła Magda.

Czuła, jak Aleks, z którym stykała się ramieniem, drży.

– Jeszcze kawałek – namawiała łamiącym się głosem.

Bezkost ruszył w ich stronę. I gdy znalazł się w połowie odległości pomiędzy nimi, a wyjściem, Magda zamknęła okrąg.

Stwór drgnął nerwowo, gdy przestał wyczuwać ludzi. Zaczął obracać głowę to w jedną, to w drugą stronę, wciąż węsząc.

Wtem z cienia za nim wybiegł Feliks, wyskoczył w górę i wylądował na grzbiecie nawiego. Uniósł wysoko dłonie zaciśnięte na rękojeści długiego noża. Ostrze błysnęło w świetle księżyca, po czym wbiło się w ciało bezkosta, naruszając kolejne warstwy grubej skóry.

Bezkost zawył rozdzierająco, łapy się pod nim ugięły, a potem runął na ziemię. Feliks zgrabnie z niego zeskoczył, zanim nawi znikł, chlustając na podłogę litrami szarej krwi.

Aleks opadł na kolana, wciąż wpatrując się w ciemną kałużę.

Mateusz znów zaczął się szarpać w więzach.

– Co to do cholery było?! – krzyczał.

Magda spojrzała na niego zmęczonym wzrokiem i dopiero po dłuższej chwili podeszła do niego.

– Spokojnie, nic nikomu się nie stało, tak? – Przyklękła przy Mateuszu, który wodził wzrokiem pomiędzy nią, Feliksem i Alekssem. – Teraz nie ruszaj się, a cię uwolnię, dobrze?

Mateusz zastygł w bezruchu, kątem oka bacznie ją obserwując. Przez chwilę przypominał dziewczynie

dzikie zwierzę złapane w pułapkę, które tylko czeka do momentu, aż zostanie mu zwrócona wolność, aby rzucić się do gardła swojemu wybawcy.

Magda wzięła głęboki wdech i przecięła nożem trytkę na kostkach chłopaka, a potem na nadgarstkach. I gdy tylko go uwolniła, Mateusz poderwał się na równe nogi, odskakując od niej.

– Młody, w porządku? – zapytał, nie odrywając czujnego spojrzenia od Magdy i Feliksa.

– Uhm – wydusił z siebie nastolatek.

– Chodź tu – rzucił Mateusz, wyciągając rękę w jego stronę.

– Mateusz, ja... – zaczęła Magda.

– Zamknij się – warknął. – Nie odzywaj się do mnie, ani do niego. W ogóle się do nas nie zbliżaj! Ty i ten twój szurnięty kuzyn!

Dziewczyna patrzyła z żalem, jak jej niedoszły chłopak wychodzi na zewnątrz, podtrzymując kuzyna za ramię.

– A miało być tak pięknie – westchnęła.

– I tak go nie lubiłem – rzucił Feliks, zanim ugryzł się w język.

Magda spojrzała na niego nie z wyrzutem, lecz bezdennym smutkiem. Żniwiarz wiedział, że naraziła własne życie, chcąc pomóc chłopakowi, lecz ci dwaj nigdy nie docenią jej starań, ani ryzyka, które podjęła.

Wyszedł z budynku na torowisko i odetchnął świeżym powietrzem. Noc była rześka, a gwiazdy na niebie wciąż zimne i odległe.

¢

– Co to, do cholery, było?! – dopytywał Mateusz w drodze do domu.

– Nie wiem – odparł cicho Aleks.

– Co to był za potwór? Dobrze go widziałem, prawda?

– Nie wiem. On był... straszny. I okropnie cuchnął.

Wąską ścieżką wspięli się na skarpe. Mateusz wciąż czuł ból w miejscu, gdzie Magda przyłożyła ten przeklęty paralizator. Bolały go mięśnie, miał wrażenie, że nie końca jest w stanie zapanować nad własnym ciałem, co dodatkowo go drażniło. Co ona sobie myślała, żeby tak go potraktować?!

– No idź – powiedział, popchnął kuzyna na chodnik w pomarańczowe światło latarni i po raz ostatni obejrzał się za siebie, ale przekroczył już tę niewidzialną granicę pomiędzy opuszczonym torowiskiem, a cywilizacją, skąd nie mógł już dostrzec ani torów, ani starych budynków.

¢

Feliks nie odzywał się przez całą drogę do domu, ani nawet wtedy, gdy jedli późną kolację, za co Magda była mu naprawdę wdzięczna. Nie zniosłaby pogadanki w stylu „wszystko będzie dobrze, pogodzicie się”, bo wiedziała, że tak nie będzie. W najlepszym razie Mateusz już nigdy się do niej nie odezwie. W najgorszym naśle na nich policję. Jakby nie było, ich związek – który nawet dobrze się nie rozpoczął! – właśnie się zakończył.

Dziewczyna spokojnymi, metodycznymi ruchami pozmywała naczynia, a potem poszła się myć. Cisza dzwoniła jej w uszach, a każdy dźwięk był obcy i nie na miejscu. Gdy odkręciła kran, woda zaszumiła w rurach, a potem ciepłym strumieniem poląła się jej na ciało, zmywając kurz, brud i krew. Magda

chciała płakać, wściekać się, ale była zbyt zubożona. Który to już raz straciła kogoś, na kim jej zależało, przez to, czym zajmowała się wraz z Feliksem? Nawet nie chciało jej się liczyć.

A gdy cała obolała kładła się spać, przed oczyma nie widziała wcale paszczy bezkosta pełnej ostrych zębów, tylko wyrzut w oczach Mateusza. I wiedziała, że to spojrzenie będzie ją prześladować jeszcze długi czas.

Rano wstała zmęczona. Nic jej się nie chciało, ale nastał kolejny dzień, musiała się pogodzić z tym, co się stało, bo nie miała na to już żadnego wpływu. Ubrała się w spodnie i bluzkę, które leżały na krześle i – nawet nie próbując zapanować nad niesfornymi włosami – zeszła na dół.

– Co ty robisz? – zapytała z zaskakującym jak u niej spokojem, rozglądając się po kuchni wyglądającej, jakby przeszedł przez nią kataklizm.

– Śniadanie – odparł Feliks, dmuchając na palce oparzone gorącym tostem. – Masz ochotę na jajecznicę? – Wcisnął jej w rękę olbrzymi talerz.

Magda usiadła za stołem i zaczęła grzebać widelcem w jajecznicy z co najmniej pięciu jaj, żółtego sera, całego mnóstwa skwarków i szczypiorku.

– Żyję na tym świecie wystarczająco długo – odezwała się, wywołując ironiczne prychnięcie u Feliksa – żeby wiedzieć, że nie zrobiłbyś śniadania o tak.

– Jak możesz?! – oburzył się. – Klnę się na... No dobrze, okazało się, że nie znoszę jajecznicy.

Magda prychnęła śmiechem. W jednym wcieleniu żniwiarz mógł uwielbiać rzeczy, których nie znosił po zmianie ciała. Wzięła do ust mały kęs. Oczywiście, jajecznica była przesolona, ale gdy dziewczyna sama nie musiała przygotowywać sobie śniadania, mogła się zadowolić i takim posiłkiem.

– Dobrze nam wczoraj poszło – odezwał się Feliks, siadając naprzeciw niej.

– Dobrze? Chyba żartujesz.

– Dzieciakowi nic nie jest, zdążyliśmy zabić bezkosta. I gdyby nie ta niespodziewana wizyta twojego chłopaka...

– Już nie mojego chłopaka – mruknęła, zajmując się na powrót śniadaniem.

Feliks chciał jeszcze coś powiedzieć, ale rozmyślił się i wgrzył w swoje tosty.

Po dłuższej chwili Magda zerknęła na zegarek i skrzywiła się. Umówiła się z mamą, że tego dnia weźmie popołudniową zmianę w księgarni, ale najchętniej poszłaby tam już teraz, żeby tylko zająć czymś myśli i nie widzieć wciąż oskarżającego wzroku Mateusza.

– Co będziesz dziś robił? – zagadnęła, odsuwając od siebie na wpół zjedzoną jajecznicę.

– Mam trochę zaległości, więc nudzić się nie będę. – Feliks zerknął na stos gazet leżących na szafce.

Magda pokręciła głową na samą myśl o przeglądaniu całej tej makulatury. Już dawno temu darowała sobie przekonywanie Feliksa, że dużo szybciej i sprawniej znajdzie potrzebne mu informacje w sieci. Niechęć żniwiarza do Internetu była tak głęboko zakorzeniona, że nawet zmiana ciała nie mogła na nią wpłynąć. Poza tym według niego były tam same kłamstwa i choć w gazetach też kłamano, znał je na tyle dobrze, że potrafił wyłowić z nich prawdę.

– A ty? – zapytał.

– Idę do księgarni. Ty sprzątasz.

Magda wstała od stołu, przejrzała się w lustrze w korytarzu, rozczesła palcami włosy, zarzuciła na ramiona kurtkę i skierowała się do wyjścia. Jedną ręką zawijała apaszkę na szyi, a drugą sięgnęła do klamki, gdy nagle rozległo się pukanie. Na chwilę zamarła, obejrzała się na Feliksa, który wzruszył ramionami. Pewnie ktoś z rodziny – nikt inny ich nie odwiedzał.

Przywołała na twarz uśmiech i z rozmachem otworzyła drzwi, lecz na progu znajdowała się ostatnia osoba, której mogłaby się spodziewać. Przez dłuższy czas stała nieruchomo, ze sztucznym uśmiechem przyklejonym do twarzy, wpatrując się w Mateusza.

– Cześć – odezwał się, tak samo speszony jak ona.

– Cześć.

– Mogę wejść?

– Pewnie – zająknęła się i szerzej otworzyła drzwi. – Chodź do... – powiedziała i zerknęła na brudną kuchnię i Feliksa w dresie – salonu.

Mateusz ze skrępowaniem wymalowanym na twarzy rozejrzał się po pokoju i po chwili namysłu usiadł na kanapie. Położył dłonie na udach, potem splótł palce razem i na koniec skrzyżował ręce na klatce piersiowej.

Magda przysiadła na oparciu starego fotela, a pod jej wyczekującym spojrzeniem Mateusz zaczął nerwowo stukać stopą o podłogę.

– Niech cię diabli, mówże wreszcie! Po coś tu przyszedł?

Oboje drgnęli nerwowo, słysząc Feliksa.

– Mniemam, że twojemu kuzynowi nic nie jest, więc zapewne nie przyszedłeś po pomoc. Chcesz nam grozić? Nie radzę, nikt ci nie uwierzy...

– Przyszedłem porozmawiać – przerwał mu Mateusz. – Aleks w domu opowiedział mi, co stało się na torowisku. Mówił, że tamto coś... go zaatakowało. A wy mu pomogliście.

– Chłopaka zaatakował bezkost i tyle – rzucił Feliks.

Magda posłała mu karcące spojrzenie za tak brutalną szczerość.

– Jaki bezkost?! Skąd to się w ogóle tam wzięło?

– Spokojnie, wszystko ci wyjaśnię. – Dziewczyna przesiadła się na kanapę i nieznacznie wyciągnęła dłonie w stronę Mateusza, ale on gwałtownie cofnął ręce. – Ciężko w to uwierzyć, ale istnieją na świecie różne... rzeczy, które dość trudno wytłumaczyć. Czasem zdarza się, że zmarli wracają na ziemię w postaci duchów, widów czy upiorów. Przecież ludzie wierzą w to od zarania dziejów. Inne stwory mają nie do końca wyjaśnione pochodzenie, jak taki bezkost na przykład.

– To dlaczego niby nie widziałem czegoś takiego wcześniej? – zapytał chłopak podejrzliwie.

– Na pewno słyszałeś o ludziach twierdzących, że widzieli duchy.

– Tak, ale to zwykli wariaci.

– To, że ktoś lepiej dostrzega rzeczy niewidoczne, nie znaczy, że jest wariatem – odpowiedziała twardo Magda. – Wczoraj wiedziałeś, że coś było na torowisku, coś, co zagroziło Aleksowi. I dlatego to dostrzegłeś.

Mateusz przetarł dłońmi twarz. Wydawał się bardzo zmęczony.

– A wy? Co tam robiliście?

– Ktoś musi zabijać bądź wypędzać te stwory, bo świat żywych nie jest ich miejscem. Zajmują się tym żniwiarze. Feliks jest jednym z nich.

– Zaraz, chcesz mi powiedzieć, że jest jakaś specjalna organizacja od egzorcyzmów?

– Nie. Oni są raczej jak wolni strzelcy.

– I co Kościół na to wszystko? Bo Kościół wie o żniwiarzach, prawda?

– Tak naprawdę tylko niektórzy księża o nich wiedzą – przyznała powoli. – Jednak wolą udawać, że żniwiarze nie istnieją. I na własną rękę zajmują się egzorcyzmami.

– Każdy może zostać tym żniwiarzem?

– Wielkie nieba, nie! – Uśmiechnęła się Magda.

– Tylko tego by nam brakowało – mruknął Feliks.

– Żniwiarze są duszami zmarłych...

– Takimi, które mogą zawładnąć człowiekiem?

– Oczywiście, że nie. Żniwiarze nie wcielają się w żyjące osoby, nie zabierają innym życia.



– Kiedy ktoś umrze, a jego dusza odejdzie, ciało jest niczym puste naczynie, w którym może zamieszkać żniwiarz. A gdy się w nie wciela, daje ciału takiego kopniaka energii, że wszelkie rany się goją, a choroby ustępują.

Mateusz machnął w powietrzu palcem wskazującym, zmarszczył brwi, po czym wzniósł skupione spojrzenie ku sufitowi.

– Chwila, muszę to wszystko przemyśleć – powiedział w końcu i przyłożył dłoń do ust.

Magda skinęła głową.

– Jak będziesz miał jeszcze jakieś pytania, mów.

Mateusz nagle przeszył wzrokiem Feliksa, który już jakiś czas temu stracił zainteresowanie rozmową i zaczął układać stare gazety leżące na stole.

– Jak zabić takiego potwora?

– Na każdego nawiego istnieje inny sposób. Bezkost ma dwa serca, które trzeba przebić. Jeśli chodzi o upiora, to czeka się, aż opuści swój grób i trzeba przebić czoło umarlaka metalowym prętem, zmore zamyka się w butelce. Na duchy najlepiej działa egzorcyzm.

Dziewczyna podeszła do komody i z pierwszej szuflady wyjęła starą, pożółkłą kartkę.

– To jest egzorcyzm po łacinie. – Podała ją Mateuszowi.

– Taki długi? – zapytał zdumiony chłopak, patrząc na kartkę wypełnioną drobnym pismem.

– To Wielki Egzorcyzm napisany przez papieża Leona XIII – wyjaśniła Magda. – Teoretycznie mogą używać go tylko księża.

– A w praktyce?

– Żniwiarze też z niego korzystają. Na odwrocie strony masz skróconą wersję, której używa Feliks i ja.

– A to? – zapytał Mateusz, wskazując palcem inny fragment tekstu. – Przecież to jest...

– Modlitwa do Michała Archanioła – dokończyła Magda. – Czasem nazywana Małym Egzorcyzmem, który mogą używać laicy. Możesz sobie je wszystkie przeczytać, a ja w międzyczasie zrobię herbatę.

Chłopak zaczął mamrotać pod nosem słowa, które nic mu nie mówiły.

– *Exorcizámos te, ómnis immúnde spíritus, ómnis satánic potéstas, ómnis infernális adversárii, ómnis légio, ómnis congregátio et sécta diabólica...*

Słyszał, jak Magda krzątała się w kuchni.

– *Recéde ergo in nómine Patris, et Fílii, et Spíritus Sancti* – zakończył czytanie Mateusz.

I w tej samej chwili Feliks z hukiem zwałił się na ziemię.

– Co ty...? – Chłopak skierował wzrok na żniwiarza. – Hej, w porządku?

Jednak Feliks nawet nie drgnął. Zdawało się też, że nie oddycha.

– Przecież to nie mogło podziałać na ciebie – szepnął Mateusz, spoglądając na kartkę ściszaną w dłoni.

– To niemożliwe! Magda?! – zawołał.

Przykucnął przy żniwiarzu i przyjrzał się jego twarzy, zdawało mu się, że mięsień na policzku drgnął.

– Bu! – powiedział cicho Feliks, a Mateusz gwałtownie się wyprostował, zaczerpując duży haust powietrza.

Żniwiarz zaczął się śmiać tak bardzo, że nie był w stanie podnieść się z podłogi.

– Działa za każdym razem – powiedział, jedną ręką trzymając się za brzuch, a drugą ocierając łzę z policzka.

– Odbiło ci?! – wybuchnął chłopak.

– Co się dzieje? – zapytała Magda, wchodząc do pokoju.

– Porąbało go! – Mateusz wskazał oskarżycielsko palcem na Feliksa. – Myślałem już, że go zabiłem tym egzorcyzmem!

– Żniwiarza nie można wypędzić jak jakiegoś ducha – wyjaśniła Magda.

Odsunęła krzesło od stołu i zachęcająco spojrzała na Mateusza.

– Jesteś nienormalny – mruknął chłopak, zerkając na Feliksa.

– Masz jeszcze jakieś pytania? – zapytała dziewczyna, żeby odwrócić jego uwagę od głupiego kawału wujka.

– Czy ten bezkost na pewno nie żyje? Tak naprawdę tylko po to przyszedłem. Żeby się dowiedzieć, czy nic już nie grozi mojemu kuzynowi.

– Nic mu nie będzie – potwierdził Feliks. – Bezkost nie żyje.

Mateusz odetchnął z ulgą. Upił łyk herbaty i spojrzął na Magdę, która uśmiechała się do niego nieśmiało.

– Hmm – mruknął. – W takim razie myślę, że chyba należą się wam przeprosiny, że wczoraj na was nawrzeszczałem... I podziękowania za uratowanie Aleksa.

– Nie ma problemu, tym się zajmujemy – powiedziała, mając nadzieję, że ich znajomość wróci do normy. A może nawet będzie jeszcze lepiej teraz, skoro Mateusz już wiedział.

– Ale ty jesteś normalna, prawda? – zapytał.

– Tak, jestem zwykłym człowiekiem, takim jak ty. I przepraszam za ten paralizator wczoraj.

– Nie ma sprawy, teraz już wiem, dlaczego to zrobiłaś. – Mateusz skinął głową.

¢

– Hej, ty! Żyjesz?

W kwadratowym otworze w drewnianym suficie pojawił się odrobinę ciemniejszy niż tło zarys głowy i ramion. Światło latarki padło na bladą, brudną i nieruchomą twarz Nadii. Dziewczyna nawet nie drgnęła. Snop światła powędrował wzdłuż jej ciała, na dłużej zatrzymując się na klatce piersiowej. Żadnej oznaki życia.

– Cholera.

– Złaz tam i zobacz, czy nic jej nie jest. Blank niedługo przyjedzie, a jak dziewczyna będzie martwa, to dopiero się wścieknie.

Odgłos czegoś ciężkiego ciągniętego po podłodze, głucho stęknięcia, kilka przekleństw, głośne lupnięcie drewnianej drabiny uderzającej w posadzkę piwnicy. Szybkie kroki i trzeszczenie uginających się szczebli.

Mężczyzna z latarką stanął niezdecydowany na środku piwnicy, świecąc na wciąż nieruchome ciało.

– Jak niby mam sprawdzić czy żyje? – krzyknął w górę. – Nie jestem lekarzem.

– Z tej odległości na pewno tego nie stwierdzisz, idioto! – odpowiedział mu kolega.

– A jak się obudzi? Pamiętasz, jaka była silna?

– Niech cię szlag!

Ponowne trzeszczenie szczebli.

– Dawaj mi to!

Snop światła zatańczył na ścianach, żeby ponownie spocząć na twarzy Nadii.

Drugi z mężczyzn, wstrzymując oddech, powoli podszedł do leżącej. Wciąż świecąc na jej twarz, sięgnął ręką do nadgarstka. Przewycięzając obawy, dotknął palcem wskazującym i środkowym szyi dziewczyny z boku, tuż pod szczęką.

– Chyba coś...

Nadia nagle otworzyła oczy, a jej pięść wystrzeliła w górę, łamiąc mężczyźnie nos. Latarka potoczyła się po ziemi, oświetlając szare, gładkie kamienne ściany.

Wkładając w to resztkę siły, jaką w sobie miała, zerwała się z koca, przykucnęła, szarpnęła przeciwnikiem i otoczyła jego szyję ramieniem, jednocześnie drugą dłonią sięgając do jego kieszeni. Dureń miał przy sobie składany nóż sprężynowy.

– Kurwa! – zaklął pierwszy z mężczyzn, wciąż stojąc na środku piwnicy.

Nie oglądając się na kolegę, odwrócił się do drabiny i zaczął wspinać.

Nadia odzyskała trochę siły – jeszcze żyła, a więc mogła walczyć. W ciemności rozświetlanej przez latarkę widziała lepiej niż kot. Nie odwracając wzroku od mężczyzny, który poślizgnął się na drabinie i spadł dwa szczeble niżej, a potem w panice kontynuował wspinaczkę, jedną ręką otworzyła nóż, poderznięła trzymanemu porywaczowi gardło, odrzuciła na bok drgające ciało i ruszyła do drabiny.

Wiele wysiłku kosztowało ją wspięcie się na górę, ale nie zamierzała się poddać, będąc tak blisko wolności.

Na szczęście ten idiota tak spanikował, że nawet nie myślał o tym, żeby zamykać za sobą włącz do piwnicy.

Nadia stanęła na chwiejnych nogach w małym pokoju. Panował w nim półmrok, a za oknem zapadał zmierzch. Trzasnęły jedne, a potem drugie drzwi. A więc nawet nie zamierzał stawiać jej czoła. Tym lepiej. Oby tylko nie sprowadził innych. Wiedziała, że jest ich co najmniej kilku i – choć nie miała pojęcia, kim, ani czym tak naprawdę są – była pewna, że to nie ludzie. Byli niezbyt bystrzy, ale za to silni i zawsze zalatywało od nich odorem surowego mięsa wymieszanym z ciężkim, duszącym zapachem dezodorantu.

Ostrożnie podeszła do drzwi i zaczęła nasłuchiwać. Jakiś szmer w pokoju obok? A może tylko jej się wydawało? Powoli sięgnęła do klamki.

Wtem drzwi otworzyły się gwałtownie, odrzucając ją na bok. Bardziej poczuła niż usłyszała chrupnięcie w lewym przedramieniu, a przed oczami rozblęsnęło jej światło. Potem wszystko pograżyło się w ciemności.

– Wstawaj! – usłyszała jak przez mgłę.

Ktoś szarpnął nią w górę, trzymając za bluzę tuż pod szyją. Gdyby ją puścił, osunęłaby się na ziemię. Lewą rękę przycisnęła do boku, a prawą oparła o przedramię napastnika. Dopiero gdy poczuła zimne ostrze na szyi, była w stanie otworzyć oczy.

O ironio, zaraz podetnie jej gardło nożem, którym przed chwilą sama zabiła.

A więc to koniec. Tajemnica, kto i po co ją porwał, zostanie pochowana wraz z tym ciałem. Poczuła ulgę – już nic od niej nie zależało. Nie musiała się już starać, nie musiała walczyć. Szkoda tylko, że odejdzie w tak paskudny sposób.

– Nie możesz mnie zabić – szepnęła, dusząc się w silnym chwycie.

– Mogę, aż się zdziwisz – odpowiedział. Wbrew oczekiwaniom miał przyjemny i ciepły głos, ale ton, jakim to powiedział, przyprawiał o dreszcze.

Nadia podniosła wzrok i spojrzała w ciemne, niemal czarne oczy. Było w nich coś przerażającego. Nie należały ani do martwego, ani do żyjącego człowieka.

Mężczyzna cofnął nóż i pchnął Nadię do dziury w podłodze. W locie udało jej się chwycić drabiny, co nieznacznie złagodziło upadek na beton. Zanim odzyskała oddech, drabina została wciągnięta do góry, a włącz w suficie zamknięty. Latarka wciąż leżała na ziemi, świecąc na ścianę.

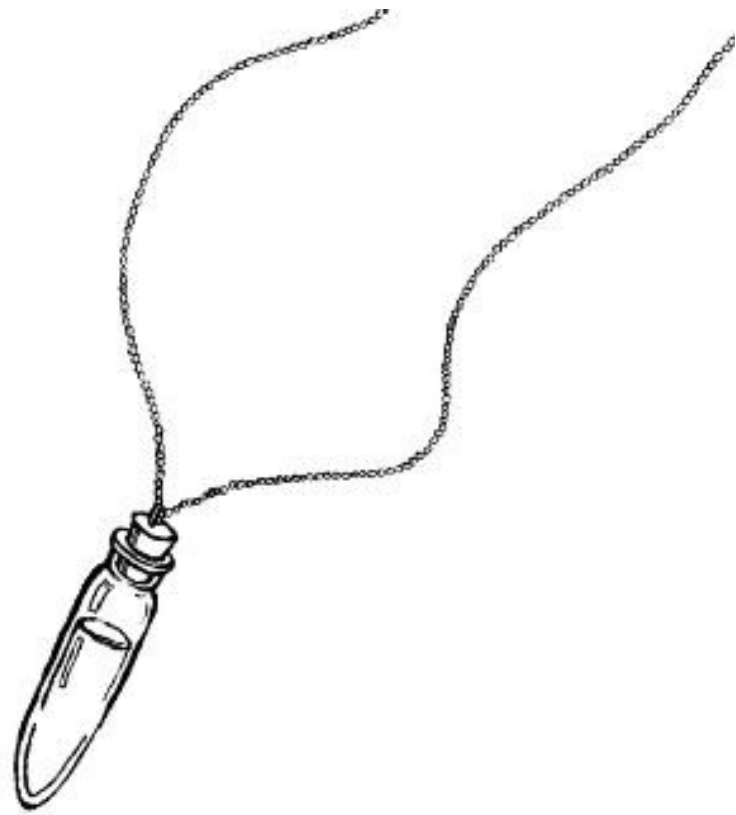
Szlochając z bólu i żalu, Nadia podczołgała się do swojego koca w rogu pomieszczenia i zwinęła się w kłębek obok ciała mężczyzny, któremu poderznięła gardło.

Wciąż widziała to puste, zimne spojrzenie czarnych oczu. I wiedziała, że mówił prawdę. Może ją zabić. Definitywnie.

Nadia była zniwiarzem od ponad stu lat. I po raz pierwszy w życiu ogarnął ją głęboki, pierwotny strach

przed śmiercią.

# Rozdział 6



Do zamknięcia księgarni została już niecała godzina, co Magda przyjęła z ulgą. Tego dnia trafiali się wyłącznie niezdecydowani i marudni klienci. Najpierw dziewczyny szukające prezentu i czekające przed regałami na objawienie, potem facet, który chciał zwrócić książkę, bo stwierdził po przeczytaniu, że jednak mu się nie podoba, kobieta z dwoma rozwrzeszczanymi dzieciakami i cała reszta, która mogła spowodować tylko ból głowy.

Lecz gdy dzwonek przy drzwiach cicho zabręczał, a na progu stanął Mateusz, Magda uśmiechnęła się szeroko i od razu zapomniała o uciążliwych klientach. Jej serce zabiło szybciej.

- Cześć – przywitał się. – Po pracy przechodziłem obok księgarni i postanowiłem cię odwiedzić.
- Przecież pracujesz na drugim końcu miasta – wytknęła mu, porządkując książki na regałach.
- No to stwierdziłem, że jak skończysz pracę, to odprowadzę cię do domu.

Oparł się tyłem o ladę ze skrzyżowanymi na piersiach rękoma, pokazując światu blizny po oparzeniach. Wodził za Magdą zamyślonym wzrokiem.

- Są żniwiarze-kobiety? – zapytał.
- Pewnie – odparła dziewczyna, wkładając na półkę ostatnią książkę.
- Co więc decyduje o ich...

– Płci? Feliks był kiedyś zwykłym człowiekiem. Gdy umarł, jego dusza nie przeszła na drugą stronę, tylko instynktownie znalazła puste naczynie. Oczywiście płci męskiej. Najgorsze były początki... Był zagubiony, nie wiedział, kim jest, ani co ma robić. Był w zupełnej rozsypce i w takim stanie znalazł go inny żniwiarz, Antoni. Wyjaśnił mu, co się z nim stało i nauczył egzorcyzmów.

Magda zabrała się do ścierania kurzy z półek, a Mateusz wciąż ją obserwował.

– Od tamtej pory miał wiele wcieleń – kontynuowała. – Chyba nawet sam nie umie ich wszystkich zliczyć. I zawsze był mężczyzną. Taki się urodził, taką ma mentalność, tak jest mu najłatwiej. Wyobrażasz sobie, jakbyś nagle miał stać się kobietą i być nią przez wiele lat, aż do kolejnej śmierci? Myślę, że większość ludzi byłaby wtedy naprawdę zagubiona. A poza tym... pewnych rzeczy po prostu się nie robi.

– A jak się zostaje takim żniwiarzem?

– Na pewno nie w nagrodę – zaśmiała się Magda, na co Mateusz zmarszczył brwi. – Tak naprawdę nikt nie wie, skąd pochodzą żniwiarze, nawet oni sami. Nie mają pojęcia, dlaczego ich dusza nie odeszła gdzieś dalej, a znalazła sobie nowe ciało. Kiedyś, gdy byłam mała, podsłuchałam, jak Feliks powiedział mojej ciotce, że to jest jego pokuta.

– Pokuta? Za co?

Magda pokręciła głową.

– Tego nigdy mi nie powiedział. I nie wiem, czy kiedykolwiek się dowiem, co nabroił te sto pięćdziesiąt lat temu. Ale na pewno nie było to nic dobrego.

Mateusz w zamyśleniu pokiwał głową.

– A czy on się w ogóle starzeje? Może zachorować, zostać ranny?

– Oczywiście, że tak. Żniwiarze są silniejsi, szybsi i sprawniejsi niż zwykli ludzie. Oczywiście w granicach rozsądku. Żaden z nich nie jest jakimś supermanem. I tak jak ludzie starzeją się, krwawią i umierają. Wtedy muszą znaleźć nowe ciało. Dlatego ich dusza instynktownie szuka takiego, które jest w miarę młode, żeby móc być w nim jak najdłużej się da, bo nikt nie lubi umierać. Poza tym trochę czasu zajmuje im przyzwyczajenie się do nowego ciała. Obecnie ma zaledwie od kilku tygodni i dlatego ostatnio jest takim irytującym kretynem.

– I nikt nigdy nie przeprowadzał na nich żadnych eksperymentów? Chodzi mi o to, że naukowcy byliby chyba przeszczęśliwi, jakby trafił im się taki na stole operacyjnym.

– Nie słuchasz mnie. – Odwróciła się do niego ze szmatką w dłoni. – Są silniejsi, ale w granicach rozsądku. Ich ciała nie różnią się od naszych. Nawet gdyby naukowcy dorwali się do jednego z nich i pokroili go na kawałeczki, nie znaleźliby nic niezwykłego. Duszy nie da się zobaczyć. I zostaliby ze zwykłym, pustym ciałem, a zniwiarz odszedłby, szukając nowego.

– Nie denerwuj się. Słucham cię, tylko trudno przyswoić takie wiadomości.

– Rozumiem. Ja się wychowałam w przekonaniu, że każdy ma takiego dziwnego wujka jak ja. – Magda podeszła do Mateusza i oparła się o ladę. Czuła ciepło bijące od chłopaka. – Zresztą chyba po nim odziedziczyłam to, że od urodzenia widzę nawich.

– Ale ja też zobaczyłem tego... Jak mu tam było?

– Bezkosta – odpowiedziała. – Musiałeś go zobaczyć, bezpośrednio ci zagrażał, a ja widzę i czuję ich od zawsze. Zresztą jestem pełna podziwu, że nie zrzuciłeś winy na żadne omamy, jak robi większość ludzi.

Mateusz powoli pokiwał głową.

– Uwierz mi, że przez całą noc usiłowałem sobie wmówić, że to wszystko było tylko snem, ale mam na plecach oparzenie od paralizatora, a młody jest cały posiniaczony. No i przy śniadaniu wciąż zerkał na mnie znacząco. Słowo daję, on stanowczo za szybko przeszedł z tym wszystkim do porządku dziennego.

Magda uśmiechnęła się.

– Im młodszy umysł, tym bardziej elastyczny. Niektórzy nawet twierdzą, że wszystkie małe dzieci widzą nawich.

– Skąd się wziął ten termin?

– Kiedyś oznaczało to trupa, umarlaka. Teraz mówimy tak na każde stworzenie, które nie jest żywe, a jednak istnieje, jak bezkost. Przy okazji... Wiesz czym jest Nawia?

Mateusz pokręcił głową.

– Słowianie wierzyli, że to miejsce, do którego odchodzą umarli. Podziemne królestwo, którym rządził Nija. Coś jak Hades z mitologii greckiej. To smutne, że tyle wiemy o obcych wierzeniach, a tak niewiele o własnych. Mogliby choć trochę wspomnieć o tym na lekcjach historii albo religii.

– Religii? Co ty wygadujesz? – zdziwił się Mateusz.

– Przecież Polska nie zaistniała ot tak w chwili, kiedy przyjęła chrzest. Na tych samych terenach działo się wiele ciekawych rzeczy, żyli ludzie, którzy wierzyli w starych bogów oraz najróżniejsze demony. Mieli swoje święta, własne tradycje. Chrześcijaństwo, nie mogąc tego wszystkiego wyplewić z umysłów ludzi, zaczęło przejmować niektóre ze starych zwyczajów.

Do osiemnastej nie pojawił się żaden klient, więc cały ten czas rozmawiali, a kiedy Magda zamknęła księgarnię, Mateusz odprowadził ją do domu.

– A jak podziałałby na Feliksa na przykład osinowy kołek wbity prosto w serce? – dopytywał się po drodze.

Magda stłumiła śmiech.

– Śmiertelnie, jak dla każdego człowieka – odparła.

– Ale jego dusza spokojnie odleci i znajdzie innego żywiciela?

– Uhm.

– A wampiry istnieją?

– Nie do końca – odparła Magda. – Przynajmniej nie takie, jakie pokazują w filmach. W sumie upiór, inaczej wampir jest swego rodzaju wampirem.

Skręcili i teraz szli przez osiedle pełne zadbanych, jednorodzinnych domków. Chodniki, choć stare, były czyste, bez śmieci, a między płytami nie rosły chwasty.

– Upiorna dzielnica – stwierdził Mateusz, rozglądając się.

– Słucham? – zdziwiła się Magda.

– Tu wszystko jest tak idealne, że aż podejrzane. Spójrz chociażby na tamten trawnik. – Wskazał palcem przed siebie. – Założę się, że jest przycinany w każdą sobotę.

– I co w tym złego?

– Bo to jest zbyt piękne, żeby było prawdziwe.

– Przesadzasz. Ludzie w Wiatrołomie są po prostu dość ze sobą zżyci, a że lubią konkurować o to, kto ma ładniejszy ogródek... Cóż, można mieć gorsze hobby.

– I nic nie mają przeciwko waszemu domowi?

Daleko na końcu ulicy, z dala od innych budynków, kilka metrów za przekreśloną tablicą z nazwą miejscowości, z zarośniętego ogródka wyrastał szaro czerwony szczyt dachu domu Feliksa.

– Przyzwyczaili się. To jest niczym element krajobrazu, bez niego byłoby tu pusto. A jak ci się w ogóle udało rano tam trafić? – zainteresowała się dziewczyna.

Mateusz wzruszył ramionami.

– Nie było to zbyt trudne, wystarczyło popytać ludzi. Każdy wiedział, o kogo mi chodzi.

Zatrzymali się przy zardzewiałej metalowej furtce powyginanej w fantastyczne wzory, podobnie jak reszta ogrodu, które lata świetności miało dawno za sobą.

– Wpadniesz na chwilę coś przekąsić? – zaproponowała Magda.

Mateusz przez chwilę udawał, że się zastanawia, a potem ochoczo pokiwał głową.

¢

– Ach, to znowu wy – mruknął Feliks, kiedy weszli do domu.

– Też się cieszę, że cię widzę – odparła wesoło dziewczyna. Mateusz skinął mu głową, po czym oboje poszli do kuchni.

Feliks usiłował przekonać sam siebie, że jego mała Magda powinna spotykać się z innymi ludźmi, ale dlaczego akurat z tym chłopakiem? Mateusz po prostu go drażnił. Tyle. Choć trzeba było przyznać mu, że dość szybko i łatwo przetrwał ostatnie rewelacje.

– Aż to trochę podejrzane – mruknął żniwiarz.

Spróbował skupić się na lekturze gazety, ale myślami wciąż błądził gdzieś daleko. Już po raz dziesiąty czytał to samo zdanie, gdy nagle z kuchni dobiegł go wybuch śmiechu, co już w ogóle go zirytowało. Rzucił gazetę na stół, wstał z fotela i podszedł do okna.

Dwie godziny później wciąż nie dowiedział się niczego nowego, a Magda wciąż siedziała w kuchni ze swoim chłopakiem, gdy ktoś uderzył pięścią w drzwi frontowe.

– Kogo o tej porze diabli nadali? – zdziwił się Feliks, z pewną ulgą wychodząc z salonu.

Z rozmachem otworzył drzwi i – choć często zarzekał się, że nie tak łatwo zaskoczy żniwiarza – zamurowało go.

Na progu stała młoda, zgrabna dziewczyna o kruczoczarnych włosach i orzechowych oczach tchnących pustką. Kiedyś może była ładna, lecz teraz wyglądała okropnie – brudna od błota, krwi, a włosy pozlepiane w strąki sterczały w różne strony. Ubranie roztaczające nieprzyjemny zapach było porwane. Zsiniałą rękę kurczowo przyciskała do boku.

– Feliks? – Postąpiła krok w jego stronę.

– Mój Boże! – szepnął i złapał ją, by nie runęła na podłogę.

– To ja, Nadia – powiedziała, po czym zanosła się kaszlem.



– Chodź. – Poprowadził ją w głąb domu. – Magda! Dawaj apteczkę! – wrzasnął.

– Czarujący jak zwykle. – Dziewczyna ledwie szła. A raczej wisiła w ramionach żniwiarza, ciągnąc stopy po podłodze.

Feliks posadził ją na kanapie w salonie.

– Co się stało? – zapytał, przyglądając się jej twarzy, a potem przeprowadzając szybką ocenę stanu jej zdrowia.

Do salonu wpadła Magda. Wystarczył jej tylko rzut oka na ranną Nadię.

– Feliks, tu żadna apteczka nie pomoże! Dzwonię na pogotowie.

Wyjęła z kieszeni telefon i zerknęła wyczekująco na Feliksa.

Żniwiarze nie przepadali za służbą zdrowia. Większość z nich nie była ubezpieczona, nie znosili też pytań typu: „co się stało?”.

– Dzwon. – Skinął głową.

– Nie – szepnęła Nadia, łapiąc go za dłoń. Z każdą chwilą była coraz słabsza. – Oni nas... mordują...

Jej oddech stał się płytszy i rzęzący, a wzrok stracił ostrość.

– Kto? Nadia, kto? Co się dzieje?

Feliks pogłaskał ją delikatnie po twarzy.

– Każdego po kolei... – mówiła coraz ciszej, a jej powieki opadły niżej. – Wiedzą, jak zabić... żniwiarza...

– Przecież to niemożliwe – szepnął.

– Feliks... pole... krwi...

Nadia nagle rozszerzyła oczy, nabrała głęboko tchu, po czym jej spojrzenie zmętniało. Powieki z długimi, czarnymi rzęsami opadły. Wydała z siebie ostatnie westchnienie i zwiotczała. Jej lewa ręka opadła bezwładnie na kanapę.

– Halo! Jest tam kto? – dopytywała kobieta w słuchawce.

– Pomyłka, przepraszam – powiedziała Magda, nie odrywając oczu od młodej, skatowanej kobiety leżącej nieruchomo na kanapie.

– Szlag by to trafił! – warknął Feliks, podnosząc się z klęczek.

Umazaną od krwi i błota rękę wytarł w spodnie.

– O czym ona mówiła? – zapytała drżącym głosem Magda.

– A skąd ja to mogę wiedzieć? Trzeba będzie ją pochować... – Wyrzał przez okno. – Dobrze, że jest ciemno.

Znów przyklęknął przy Nadii i zaczął przeszukiwać jej kieszenie. Żniwiarze tak się nie zachowywali. Gdy jest z nimi naprawdę źle, szukają pomocy u zwykłych ludzi, lekarzy, dopiero potem zastanawiają się, jakie kłamstwo im powiedzą. Nikt nie przepadał za bólem opuszczania ciała, w którym żył przez wiele lat. Przyzwyczajanie się do nowego też nie należało do najprzyjemniejszych rzeczy. Co więc zmusiło Nadię, żeby zamiast na pogotowie, ledwie żywa doczołgała się do jego domu?

– I co? – zapytała Magda, przerywając jego zadumę.

– Nic nie ma w kieszeniach. Tylko to. – Pokazał zgnieciony papierek.

Dziewczyna przelotnie zerknęła na świstek będący paragonem ze sklepu i spuściła wzrok, starając się ukryć łzy spływające jej po policzkach.

– Przynies jakieś prześcieradła. – Feliks złapał ją za ramiona i obrócił w stronę drzwi, w których stał szokowany Mateusz. – Zajmę się nią. A ty powinienes już iść do domu – zwrócił się do chłopaka.

– Trzeba wezwać pogotowie – szepnął Mateusz.

– Już nie. – Feliks pokręcił głową.

– To policję! Ktoś skatował tę dziewczynę na śmierć!

Feliks stanął przed Mateuszem, patrząc mu wyzywająco w oczy.

– Ona jest żniwiarzem i nie życzę sobie, żebyś mieszał się w nasze sprawy – warknął.

Przez chwilę mierzyli się wzrokiem. Magda, chcąc załagodzić sytuację, złapała Mateusza za dłoń i odciągnęła od Feliksa.

– Idź – powiedziała cicho. – Odezwę się do ciebie jutro.

Chłopak stał przez chwilę niezdecydowany w korytarzu, a potem skinął głową i wyszedł.

Feliks spojrzał z żalem na ciało Nadii. Nie mógł zadzwonić na policję, ani pogotowie, mówiąc, że obca kobieta zmarła u niego w domu – to przykułoby niepotrzebną uwagę. Dziewczyna o kruczoczarnych włosach, do której kiedyś należało to ciało, nie żyła już od dawna, jej rodzina ją pochowała, nie warto rozdrapywać ich ran. Z kolei dla Nadii, która powinna niedługo znaleźć nowe ciało, nie miało ono już znaczenia. Można zakopać je w miejscu, gdzie nikt już go nie znajdzie.

Feliks chciał uporać się z tym sam. Nie miał zamiaru wciągać w to Magdy, dla której śmierć miała zupełnie inne znaczenie, ale dziewczyna była uparta. Gdy uznała, że musi mu towarzyszyć, nie było siły, która zmieniłaby jej zdanie.

– Długo ją znałeś? – zapytała, gdy jechali przez ciemne miasto rozświetlane pomarańczowymi latarniami.

– Nie przekraczaj szybkości – upomniał ją Feliks. – Jak nas zatrzymają, to nie wytłumaczymy się z ciała w bagażniku.

– Przecież wiem – mruknęła, zwalniając profilaktycznie. – Długo?

– Prawie sto lat – odparł po chwili milczenia. – Ale nie widywaliśmy się często. Nie przepadaliśmy za sobą.

Magda prychnęła cicho, nie odrywając wzroku od drogi.

– Miała rodzinę? Kogoś, kogo powinniśmy powiadomić o tym, co się stało?

– Nie wiem.

Wyjechali poza miasto. Dziewczyna włączyła długie światła, które oświetliły tunel z drzew rosnących przy wąskiej drodze. Poza nimi panowała absolutna ciemność. Silnik buczał cicho.

– Zauważyłaś, jaka młoda była? – Feliks przerwał milczenie. – Musiała znaleźć to ciało całkiem niedawno. Jeszcze się do niego nie przyzwyczaiła, była słabsza niż normalnie.

– Myślisz, że ktoś mógł to wykorzystać?

– To nie jest film. Kto niby miałby to wykorzystać? Musiała trafić na wyjątkowo silnego upiora.

– Jesteś pewien? Bo Nadia wydawała się mówić o czymś zupełnie innym.

Feliks zapatrzył się na ciemność za oknem.

– Nadia może szukać nowego ciała przez długie tygodnie. W tym czasie dowiem się, kto lub co jej to zrobiło – powiedział tak cicho, że Magda ledwie go usłyszała.

Magda zerknęła na jego pobielale knykie zaciśnięte na uchwycie przy drzwiczkach. Feliks mógł zachowywać się jak ostatni dupek, którego nic nie obchodzi, ale dobrze wiedziała, że to, co stało się z Nadią, wstrząsnęło nim. A jutro z samego rana wyruszy na poszukiwania prawdy, aby pomścić koleżankę, której nawet nie lubił.

Skręcili z głównej drogi i wjechali głęboko w las.

Magda zgasiła silnik, wyłączyła światła i wysiadła z samochodu, zaczerpując haust świeżego powietrza. Przez cały czas wydawało jej się, że czuje przykry zapach i miała wyrzuty sumienia, że się go brzydzi.

Feliks otworzył bagażnik.

– Chodź, mała – szepnął, pochylając się. – Twój ból się już skończył.

Magda pomogła mu wyjąć ciało. W gardle zaczęła dławić ją wielka gęł, kiedy odkryła, że jest jeszcze

ciepłe.

Feliks wziął zmarłą na ręce.

– Weź latarkę i szpadel – polecił.

Ruszyli przez las i wkrótce znaleźli się na niewielkiej polance. Odnaleźli odpowiednie miejsce i Feliks zaczął kopać. W międzyczasie Magda ułamała kilka świerkowych gałęzi, którymi chciała wyłożyć grób.

Zanim żniwiarz skończył, dziewczyna nieźle zmarzła, dlatego uparła się, że to ona zasypie mogiłę. Praca ta pozwoliła jej się wyżyć, uwolnić nadmiar dręczących ją emocji i choć na chwilę zapomnieć o widoku młodej, zakrwawionej dziewczyny w ich domu.

*Będzie trzeba wyczyścić kanapę* – pomyślała, drżąc lekko. A potem znów dopadły ją wyrzuty sumienia, że nie powinna myśleć o czymś takim z obrzydzeniem.

Zaczęła machać szpadlem dwa razy szybciej.

– Już wystarczy. – Feliks złapał ją za ramiona. – Daj, ja ułożę darń.

– Nie powinniśmy postawić tu żadnego krzyża, albo czegoś takiego?

– Nie, tyle wystarczy.

– Feliks, dlaczego ona powiedziała, że ktoś was zabija? – zapytała po chwili Magda, patrząc, jak kuzyn pracuje.

– Była ranna i chora, coś musiało jej się ubzdurać.

– A jeśli nie? – Dziewczyna nie odpuszczała.

– To poczekamy, aż znajdzie nowe ciało i powie nam, o co jej chodziło.

– A jak nie znajdzie?! Jeśli nic jej się nie ubzdurało? Kiedy ostatni raz widziałeś innego żniwiarza?! No właśnie. Nie utrzymujecie ze sobą kontaktu! Równie dobrze możesz być ostatni!

– Nie przesadzaj – burknął. Magda najwyraźniej wciąż była wstrząśnięta nagłą śmiercią Nadii.

Ułożył darń i tylko kilka grudek świeżej ziemi świadczyło o tym, że ktoś tu kopał. Za kilka dni ślady ich obecności w tym miejscu zupełnie znikną.

– Wróć do nas szybko – poprosił po raz ostatni Feliks, zerkając na miejsce, gdzie pochowali Nadię.

¢

Pierwszy był wściekły. Najwyraźniej otaczali go sami idioci.

– Nie wymagam od potępieńców nadmiernej inteligencji, ale ci kretyni mogli się domyślić, że dziewczyna nie podda się bez walki – warknął.

Najpierw zabiła jednego w piwnicy i gdyby Pierwszy nie interweniował, uciekłaby. Potem kazał Blankowi przydzielić kolejnych potępieńców do pilnowania jej, mając nadzieję, że ci nie zaważą sprawy. Przecież była ledwie żywa, chora, wycieńczona, z połamaną ręką. Zdawałoby się, że przewiezienie jej z tej przekłetej piwnicy na oddalony o dwa kilometry cmentarz nie będzie wielkim wyzwaniem i trzech potępieńców sobie z tym poradzi.

A jednak sobie nie poradzili. Dziewczyna wyskrobała ze ściany piwnicy kamień, którym powaliła jednego z jego podwładnych, a drugiemu zgruchotała nos. Trzeci wyszedł bez szwanku. Ale dziewczyna uciekła na dobre.

– Rozesłałem nijów po całej okolicy, czekają na twój sygnał. – Blank zakończył zdawać raport.

Pierwszy zabębnił palcami w stół.

– Nie możesz nazywać ich potępieńcami? – zapytał z rozdrażnieniem.

– Przecież nie są potępieńcami...

– Ale te hieny cmentarne nie zasługują na miano nijów!

Blank wzruszył ramionami. Według dawnych wierzeń Nija miał być panem zaświatów. I cóż, nije jako stworzy żywiące się trupami miały coś wspólnego ze swoim pierwowzorem, ale Pierwszy od zawsze wolał nazywać ich potępieńcami.

– Myślisz, że ta dziewczyna szybko znajdzie nowe ciało? – zapytał Blank, wracając do tematu.

– Oczywiście – odparł Pierwszy. – A potem spróbuje jak najszybciej skontaktować się z innymi.

– A jak jej się to uda?

– Nie zdąży. Będę wiedział, gdy tylko znajdzie nowe ciało i wtedy wyślemy potępieńców. Napsuła mi już dość krwi.

Blanka zawsze fascynowało to, jak Pierwszy bezbłędnie wyczuwał, kiedy i gdzie żniwiarz znajdzie ciało. Później co prawda metaforycznie tracił go z oczu, stąd te czasochłonne poszukiwania, ale w momencie zajmowania nowego ciała widział go jak na dłoni.

– Dobrze, że umarła, zanim powiedziała cokolwiek Feliksowi – odezwał się po chwili.

– Co ty nie powiesz? – Pierwszy uniósł ironicznie brwi, na co jego zastępca nieco się speszył.

– On jeszcze niczego się nie domyśla, prawda?

– Oczywiście, że nie. – Pierwszy odchylił się na krześle i założył ręce za głowę. – Zaparz mi kawę. Gdyby się czegokolwiek domyślał, już kręciłby się po okolicy.

Blank wstał z krzesła i wstawił wodę w czajniku.

– Ile potępieńców obserwuje Antoniego?

– Czterech.

– Niech uważają. To stary i cwany żniwiarz. Mamy jeszcze dwie puste noce przed sobą, dziś już nie zdążymy nic przygotować, ale jutro osobiście się nim zajmę, a ty mi pomożesz. Jak nikt potrafisz wzbudzić w innych ufność.

Blank postawił filiżankę z kawą na stole. Nic dziwnego, że ludzie mu ufali – jego ciało należało do starszego, poczciwego mężczyzny.

– A co z nimi? – zapytał Blank, zerkając na drzwi, za którymi czekało trzech potępieńców, którzy pozwolili Nadii uciec.

– Zabij ich powłoki. Ich mięso jest już stare, do niczego się nie przyda. Każ je zakopać. Tylko głęboko, żeby psy go nie wykopały.

Blank skinął głową.

– Potem wybierz jednego i każ pozostałym dwóm zabić jego ludzką powłokę.

Starszy pan wzdrygnął się na samą myśl o walce na śmierć i życie trzech paskudnych stworów.

– Jak sobie życzysz – powiedział, wychodząc.

Pierwszy został sam w zakurzonej sypialni śmierdzącym stęchlizną. Przynajmniej Blank nigdy nie zawodził. Dobrze było mieć takiego pomocnika.

¢

Feliks swoim dawnym zwyczajem wstał równo ze słońcem. Nie potrzebował ani budzika, ani nawet zegarka – przez wiele lat radził sobie bez nich. Najpierw poszedł biegać. Pokonując kolejne kilometry, uznał, że ma coraz lepszą kondycję. Potem wziął szybki prysznic, zjadł śniadanie i wyszedł z domu. Po raz ostatni zerknął na pomięty skrawek papieru, po czym schował go do kieszeni i wsiadł do samochodu. Magda nie będzie zachwycona, że go zabrał, ale w Wiatrołomie mogła wszędzie dojść na piechotę, a on musiał wybrać się poza miasto.

Jechał trzy godziny, zanim zaparkował przed nieco obskurnymi delikatesami w Brzeźnicy. Do sklepu

wchodziło się przez szklane drzwi, do których poprzyklejano taśmą kartki z nabazgranymi promocjami dnia. Gwałtownie szarpnięty dzwonek nad wejściem zabrzączał głośno.

Feliks powiódł wzrokiem po zakurzonych regałach wypełnionych kolorowymi produktami i zatrzymał się na ladzie, za którą stała pulchna kobieta w średnim wieku z farbowanymi na kasztanowy kolor włosami i okularami na nosie. Miała na sobie przybrudzony fartuch z logo jakiejś popularnej marki.

– Dzień dobry – przywitał się żniwiarz.

– Dobry. – Sprzedawczyni uśmiechnęła się dobrotliwie, jakby tego dnia był jej pierwszym klientem. – Co podać?

– Niecałe dwa tygodnie temu była tu moja siostra – powiedział, rozprostowując na ladzie paragon. – Młoda dziewczyna, niezbyt wysoka, z czarnymi włosami...

– Tak?

– I prawdopodobnie gdzieś w okolicy zgubiła portfel. Pał sześć pieniędzy, niewiele ich miała, ale był tam jej dowód, paszport i prawo jazdy.

– A to pech. – Kobieta pokręciła głową.

– Ano pech – przyznał Feliks. – Porozwieszaliśmy ogłoszenia na słupach, lecz nikt się nie zgłosił. Staramy się więc odtworzyć trasę, jaką tamtego dnia zrobiła...

Sprzedawczyni poprawiła okulary i wzięła paragon do ręki. Gdy mu się przyglądała, w zamyśleniu zmarszczyła nos.

– Przykro mi, nawet jej nie kojarzę – powiedziała w końcu. – Chleb, kiełbasa, pomidory... Dziesiątki ludzi robi u nas codziennie takie zakupy.

– Siostra była... jest ładna, nie maluje się, a w tamten dzień miała na sobie bodajże czarną bluzę.

Kobieta pokręciła głową, przygryzając wargę.

– Szlag – mruknął Feliks i bezradnie rozejrzał się wokół. Jego wzrok zatrzymał się na kamerze wiszącej pod sufitem.

– A może coś się nagrało? – zapytał. Wstąpiła w niego nowa nadzieja.

Sprzedawczyni pochyliła się nad ladą w jego stronę i szepnęła konspiracyjnym tonem:

– Przykro mi, chłopcze, ale to tylko atrapa.

Feliks podupadł na duchu. Jedyne wskazówka, jaką miał, okazała się ślepym zaułkiem.

– W każdym razie bardzo dziękuję za rozmowę – powiedział, chowając paragon do kieszeni. Z drugiej zaś wyjął kawałek kartki i ołówek. – Gdyby jednak coś się pani przypomniało, bardzo proszę zadzwonić.

– Zapisał numer telefonu Magdy.

– Oczywiście.

Żniwiarz wyszedł na zewnątrz i stanął niezdecydowany, co dalej robić.

– I trzy godziny jazdy na nic – westchnął.

Nie wsiadł jeszcze do samochodu, lecz ruszył w prawą stronę wzdłuż ulicy, rozglądając się w nadziei, że coś przykuje jego uwagę.

Droga tutaj była jednostronna, ruch znikomy, a po chodniku snuło się tylko kilku przechodniów. Z jednej i drugiej strony stały stare, bure kamienice.

Przeszedł jakieś pół kilometra, wrócił pod delikatesy i ruszył w drugą stronę.

Z przyzwyczajenia skinął głową starszej pani wyglądającej przez okno, wywołując u niej śmieszny grymas, jakby nie spodziewała się, że ktoś obcy się z nią przywita.

Dotarł do końca ulicy i nie zobaczył absolutnie nic, co mogłoby mu podpowiedzieć, co robiła tu Nadia i w którą stronę poszła. Zresztą, czego się spodziewał? Po dwóch tygodniach ślad po koleżance po fachu – nawet jeśli jakikolwiek tu był – znikł.

Im bardziej zbliżał się do samochodu, tym bardziej zwalniał kroku, nie mogąc pogodzić się z porażką.

Pani w oknie przyglądała mu się coraz bardziej podejrzliwie. Znów skinął jej głową, uśmiechając się na widok poduszki leżącej na parapecie, na której opierała łokcie. Tuż obok drzemał spasiony kot. *Dwoje strażników miasta* – pomyślał. *No przecież!* – olśniło go.

Starsza pani w oknie, wyglądająca niemal jak część krajobrazu, codziennie obserwująca ulicę, na pewno musiała dostrzec obcą dziewczynę, jeśli ta akurat tędy przechodziła.

– Dzień dobry. – Feliks stanął pod oknem, przywołując na twarz uśmiech.

Kobieta z rezerwą skinęła mu głową.

– Jakies dwa tygodnie temu mogła przechodzić tędy moja znajoma. Niezbyt wysoka, jasna cera, czarne włosy, czarna bluza...

– Wiedziałam! – Staruszka wyprostowała się i uderzyła dłonią w poduszkę. Kot leniwie zerknął na nią jednym okiem.

– Wiedziałam, że te wałkonie z posterunku zawałą sprawę!

W Feliksie znów zapłonęła nadzieja.

– To znaczy?

– Wie pan, ja to stara jestem, chodzić za bardzo nie mogę, telewizji nie trawię, to siedzę w oknie i pilnuję, czy w okolicy wszystko jest jak trzeba. Widziałam kilka razy taką dziewczynę. Czasami robiła zakupy w delikatesach, zawsze ładnie się do mnie uśmiechała. Przychodziła z tamtej uliczki. – Kobieta wskazała palcem na wąską drogę między kamienicami. – To taki skrót... Miejscowi z niego korzystają.

– A co jest dalej?

– Bloki. – Wzruszyła ramionami. – Tak jak tu. Nic szczególnego. I szła tamtędy pewnego popołudnia. Już z daleka ją zobaczyłam, bo ja wzrok, tak jak i pamięć, mam dobry. A tu nagle podjeżdża taki duży biały samochód. Wskoczyło z niego dwóch drabów. Chwycili ją i zapakowali do środka przez tylne drzwi!

– Pamięta pani, jak wyglądali? – zapytał Feliks, ledwie tłumiąc emocje.

– Wysocy, barczyści. Jeden łysy, drugi blondyn, ale bardzo krótko przystrzyżony, no i nos miał wielki i płaski, jakby nie raz mu go połamali.

– A ten samochód?

– Biały, taki dostawczy, z lodówką, to znaczy z chłodnią. Wie pan, takie jak dostarczają mięso do sklepów. Nie miał okien z tyłu.

– A rejestrację pani widziała?

– Niestety. Odjechali w tamtą stronę. – Machnęła ręką w lewo.

– Co tam jest?

– Nic. Kilka bloków, potem osiedla z domkami, a dalej koniec miasta. Wie pan, jak tylko to zobaczyłam, to od razu zadzwoniłam na policję. Ale ani nie wiedziałam, jak się ta dziewczyna nazywa, ani nie mogłam podać rejestracji samochodu. Nic! To mundurowi pokręcili się w okolicy, popytali ludzi, ale nikt inny nic nie widział. Mówili, że nikt nie zgłosił zaginięcia takiej dziewczyny... No właśnie? – Przeszyła Feliksa wzrokiem.

– Koleżanka miała zacząć niedaleko pracę. – Żniwiarz nie dał zbić się z tropu. – Często zdarzało jej się nie odbierać telefonu przez tydzień, więc wszyscy z jej rodziny myśleli, że wszystko jest w porządku, ale potem zaczęli się martwić. Jej siostra poprosiła mnie o pomoc. Szukaliśmy jej na własną rękę i dopiero niedawno zgłosiliśmy sprawę na policję, ale dalej kontynuujemy poszukiwania...

– Wiedziałam, że te młotki z policji nie będą pamiętać o moim zgłoszeniu! – mruknęła ze złością starsza kobieta. – Myśleli pewnie, że sobie to wszystko ubzdurałam. No bo kto porywa dziewczyny w biały dzień?! A poza tym tu taka spokojna okolica jest... Ale żeby takie rzeczy się działy! – Pokręciła głową.

– Coś jeszcze pani pamięta?

– Nic więcej.

– I tak dziękuję, bardzo mi pani pomogła. A jakby coś jeszcze się pani przypomniało, bardzo proszę zadzwonić do jej siostry. – Podał jej numer Magdy.

– Powinniście porozwieszać plakaty z jej zdjęciem.

– Tak zrobimy. Jeszcze raz dziękuję.

Podniesiony na duchu ruszył w stronę wąskiej uliczki. Jednak gdy znalazł się w cieniu obdrapanych budynków, dopadły go czarne myśli. Znalazł nowy trop, ale zrodził on jeszcze więcej pytań, niż dał odpowiedzi. Do tej pory był przekonany, że Nadia zginęła, bo nie poradziła sobie z jakimś nawim. Dokładnie jak on sam pół roku wcześniej. Czego tamci ludzie mogli chcieć od Nadii? Czyżby komuś aż tak podpadła? Zapakowali ją do samochodu i odjechali. Nie tak łatwo zrobić coś takiego żniwiarzowi. Feliksowi przychodziły do głowy tylko dwa rozwiązania: albo Nadia była w nowym ciele tak krótko, że w ogóle nad nim nie panowała, albo byli to nawii, o których żadne z nich jeszcze nie słyszało. A może ktoś rzeczywiście polował na żniwiarzy?

Feliks kilkanaście razy przeszedł wzdłuż wąskiej uliczki, uważnie przyglądając się wszystkiemu, ale nie znalazł żadnej poszlaki.

Staruszka mówiła, że ten skrót znają tylko miejscowi. A więc Nadia musiała zatrzymać się gdzieś blisko.

Wyszedł z uliczki i odetchnął świeżym powietrzem.

Tak jak twierdziła staruszka, po drugiej stronie znajdowały się bloki oraz trochę trawników i skwerków. Feliks z braku lepszego pomysłu szedł przed siebie, uważnie rozglądając się na boki. Może i Nadia była samotniczką, może nie znosiła ani Feliksa, ani sposobu życia, jaki wybrał, ale oboje byli żniwiarzami, widzieli i przeżyli to, czego nie zrozumiałaby żaden człowiek. Na dodatek w tej chwili Feliks był niemal pewien, że dowiedział się, jak funkcjonował umysł koleżanki po fachu.

W końcu wyszedł spomiędzy bloków i stanął na szczycie niewielkiego wzniesienia. U jego stóp rozciągały się ogródki. Podzielone wysokimi ogrodzeniami na małe działki, a każda z nich była pełna kolorów. Dalej zaś – niczym szrama na tym idealnym obrazku – górowała szara, paskudna bryła bloku. Nawet z tej odległości ktoś nieobdarzony wzrokiem żniwiarza z łatwością mógł odgadnąć, że budynek był opuszczony.

Feliks zbiegł wąską ścieżką w dół i minął kilku pracujących w ogródkach emerytów. Wszędzie wokół kwitły kwiaty, z czarnej ziemi wyrastały warzywa, a pszczoły poszukiwały nektaru. Lecz cały ten sielankowy obrazek burzyło uczucie niepokoju – coś czaiło się w pobliżu. Bało się wyjść z nory, ale jednocześnie było zbyt spragnione i głodne, aby dłużej się ukrywać.

Większość działkowiczów też to czuła. Winę zrzucali na zbyt niskie ciśnienie albo pogodę. Nie zastanawiali się, co było przyczyną tego, że psy były niespokojne, chowały się po kątach i męczyły je koszmary.

Feliks odczuwał to jako niewyraźny zapach rozkładającej się krwi i starych szmat. Doskonale wiedział, co czai się w pobliżu, ale to musiało poczekać do nocy.

Idąc najkrótszą drogą między ogródkami, wkrótce stanął przed „blokiem cuduw”.

– Ludzie nigdy nie przestaną mnie zadziwiać – stwierdził i wszedł do środka.

Budynek wyglądał tak samo, jak jego odpowiednik w każdym innym mieście – gruzy, śmieci, graffiti i okropny smród.

Feliks, podobnie jak Nadia, potrafił obejść się bez wielu rzeczy. Zdarzyło mu się wiele razy ukrywać w lesie przez kilka miesięcy zaledwie z nożem i krzesiwem, ale nie rozumiał, dlaczego Nadia celowo wybierała takie życie.

„Stajesz się miękki i słaby” – powiedziała mu kiedyś. Cóż się dziwić, miał wtedy swoje lata, był

po sześćdziesiątce i nie uważał herbaty i ciepłego obiadu za zbyt wygodę. Według Nadii rozpuścił sam siebie.

*Pomijając fakt, że niedługo potem ona zmarła na zapalenie płuc – westchnął, zaglądając do kolejnych mieszkań. – A mnie zaskoczył wyjątkowo wredny martwiec i wbił mi nóż w plecy. Dosłownie.*

Na ostatnim piętrze na samym środku korytarza leżała zniszczona komoda. Feliks poświęcił jej tylko chwilę uwagi, a potem wyminął i wszedł do mieszkania, które jako jedyne w bloku miało drzwi. Co prawda wiszące na jednym zawiasie, ale zawsze to coś.

Przestąpił próg, lecz jego stopa w porę zawisła w powietrzu.

– Nadia i te jej alarmy antywłamaniowe – mruknął, odgarniając butem rozbite szkło.

Zrobił krok nad potykaczem i wszedł do większego pokoju. Z powodu okna zabitego sklejką wewnątrz panował półmrok, lecz żniwiarzowi to nie przeszkadzało. Dokładnie rozejrzał się po pokoju, próbując wyryć w pamięci każdy szczegół, zanim kucnął przy śpiworze niedbale rzuconym na posłanie z kartonów. Pod nim leżał plecak, w którym Feliks znalazł ubranie na zmianę, mapę Polski, zapalniczki, kompas i apteczkę. Obok posłania była plastikowa miska, pięciolitrowa butla z wodą, pół bochenka spleśniałego chleba i siatka ze śmieciami, z której pierzchła przestraszona szara mysz.

Feliks na chwilę usiadł na śpiworze i wziął do ręki lokalny dziennik sprzed dwóch tygodni. Przejrzał go, ale nic nie odpowiedziało mu, co Nadia tu robiła. A może zamierzała tylko odpocząć?

Jednak w pokoju było coś jeszcze – na samym środku podłogi Feliks zauważył kilka kropel krwi. Ślady na grubej warstwie kurzu i tynku sugerowały, że leżał tu ktoś słusznego wzrostu i postawy. Tuż obok znajdowała się metalowa rurka, również zakrwawiona. Feliks uśmiechnął się pod nosem. Ktokolwiek wdarł się do mieszkania dziewczyny, miał ciężką przeprawę. Taką przynajmniej żniwiarz miał nadzieję – że krew nie należała do Nadii.

Zwinął śpiwór i spakował go do plecaka. Gdy Nadia znajdzie nowe ciało, odzyska swoje rzeczy.

Gdy tylko o tym pomyślał, poczuł ukłucie strachu. A jeśli ona nie wróci?

– Bzdura – prychnął, ganiąc siebie samego za takie nierozsądne myśli.

Zarzucił plecak na jedno ramię i wyszedł do przedpokoju. Na drzwiach wyjściowych widniał odcisk podeszwy. Feliks obejrzał je dokładnie również z drugiej strony, gdzie dostrzegł kolejne plamy krwi.

Pomimo wszelkich wysiłków na korytarzu znalazł niewiele śladów. Zajrzał do szybu windy, lecz pięć pięter niżej panowała taka ciemność, że nawet dla żniwiarza ciemne plamy na dole mogły być czymkolwiek – krwią, smarem, albo jeszcze czymś innym.

Nagle wyczulony słuch żniwiarza zarejestrował szuranie butów na parterze.

Mogła być to grupa uczniów, którzy urządzili sobie wagary lub ktoś bezdomny. Feliks nie miał zbyt wielkich nadziei na to, że intruzi będą wiedzieli cokolwiek na temat Nadii, ale nie mógł przepuścić takiej okazji.

Bezgłośnie zszedł na pierwsze piętro. Nieproszeni goście najwyraźniej zajęli jedno z mieszkań na parterze, nieświadomi obecności Feliksa.

Po chwili nasłuchiwania odgłosów otwieranych puszek z piwem, żniwiarz zszedł na parter i zajrzał do mieszkania po lewej. Trzech młodych, rosnących mężczyzn rozsiadło się na siedziskach z cegieł. Każdy miał w ręku puszkę z piwem i najwyraźniej świętowali zakup samochodu. No może nie do końca zakup, gdyż pojazd zabrali komuś, kto był dłużny im pieniądze. Poza tym dyskutowali o wynikach ostatniego meczu i o dziewczynach.

Feliks postanowił zacząć rozmowę po przyjacielsku, odwołując się do przemocy tylko wtedy, jeśli zajdzie taka potrzeba. A wiedza, że choć miał nowe ciało, to i tak był sprawniejszy od nich i poradzi sobie z całą trójką, sprawiała, że był naprawdę spokojny. Stał w drzwiach i oparł się o framugę. Chwilę trwało, zanim został zauważony.



– Te, patrzcie. – Drab w obcisłej skórzanej kurtce szturchnął kolegę w ramię.

– Masz jakiś problem? – zapytał Feliksa szturchnięty. Wyglądał jakby całkiem niedawno ktoś połamał mu nos.

– Owszem, dziękuję za troskę. – Żniwiarz skinął głową i zanim przeszło im przez myśl zerwać się na nogi, wszedł do pokoju i sam usiadł.

– A co nas to, kurwa, obchodzi?! – mruknął trzeci, łysy jak kolano.

– Jeśli mi pomożecie, następną kolejkę stawiam ja – kontynuował niezrażony Feliks.

Zwykła ciekawość lub ochota na darmowe piwo zwyciężyła i wpatrzyli się w niego z umiarkowanym zainteresowaniem. „Jak nam się to nie spodoba, zawsze możemy ci przywalić” – zdawały się mówić ich spojrzenia.

– Dwa tygodnie temu mieszkała tu pewna dziewczyna...

– Powaliło cię?!

Dwóch chłopaków zerwało się na równe nogi.

– Wnoszę, że mieliście przyjemność ją spotkać. – Uśmiechnął się Feliks.

Łysy postąpił krok w jego stronę.

– Nie radzę – powiedział lodowatym głosem Feliks.

W chłopaku obudziły się wspomnienia sprzed dwóch tygodni. Tamta dziewczyna też wyglądała niepozornie, a niemal strzaskała mu wszystkie kości w ręce. Złapał za kaptur kolegę ze złamanym nosem, który nie uczył się tak szybko i posadził go z powrotem na ceglach.

– To co z nią? – zapytał ponuro.

– Kiedy ją spotkaliście?

Łysy skupił się przez chwilę.

– Jakies dwa tygodnie temu, w sobotę.

– Popieprzona suka – mruknął ten ze złamanym nosem.

Feliks naprawdę się starał, żeby się nie uśmiechnąć.

– Idiotka połamała mi nos! – wyznał z żalem.

Jego koledzy byli bardziej powściągliwi w dzieleniu się wstydnymi wspomnieniami z obcym, ale Feliks i tak wiedział, że całej trójce Nadia nie tylko napędziła strachu, ale i spuściła solidny łomot.

– I co się stało? – zapytał.

– Nic – burknął łysy. – Pogadaliśmy na klatce, a potem poszła na górę. Więcej jej nie widzieliśmy.

Żniwiarz westchnął z rozczarowaniem i sięgnął do kieszeni. Bandydzi, złodzieje, męty społeczeństwa – jakkolwiek by ich nie nazwać, obiecał im kolejkę.

– A potem nie działo się w okolicy nic podejrzanego? – zapytał, zaciskając dłoń na banknocie.

Cała trójka wymieniła znaczące spojrzenia, ale zamilkli.

– Nie będziecie mieli żadnych kłopotów... – zaczął Feliks.

Łysy prychnął.

– Myślisz, że się ciebie boimy?

– Ale jednak kogoś się boicie?

– Dwa dni potem, jak ta laska nas pobi... jak ją spotkaliśmy, ktoś tu był...

– Kto?

– Dwóch koleś... Ja pieprzę, byli ogromni, nawet my byśmy do nich nie podskakiwali.

*Nie, wy zaczepialibyście tylko drobne dziewczyny* – pomyślał z przekąsem żniwiarz.

– Oni... Oni wynosili stąd trupa – dodał ten ze złamanym nosem.

*A więc jednak szyb od windy.*

– Baranie, mówiłem ci, że to żaden trup! – zdenerwował się łysy. – To był po prostu kawał mięcha...

Z krowy, albo czegoś. Ale cuchnął na kilometr.

– Oni byli naprawdę podejrzani – odezwał się ten w obcisłej skórzanej kurtce.

Feliks zamyślił się. To wszystko było coraz dziwniejsze, a żył na tym świecie swoje lata i widział już różne odmiany dziwności. Ta jednak zaczęła go naprawdę martwić.

– Jak wyglądali? – zapytał.

– Trochę jak cyngle mafii – powiedział łysy. – Byli wielcy. Jeden miał płaski nos, jakby połamali mu go kilka razy. – Tu zerknął wymownie na kolegę.

– Byli tu po tę dziewczynę, prawda?

Feliks niemal mógł zobaczyć, jak w ich mózgach tworzy się wizja Nadii – dziewczyny, może i nawet córki wielkiego mafiosa.

– Nie mówcie nikomu o tym, co widzieliście, dobrze? – poprosił. – Ani o naszej rozmowie.

Mężczyźni wymienili spojrzenia. To zabawne, jak bardzo wydawali się być jednym mózgiem w trzech ciałach.

– Nie no, spoko, szefie – odezwał się ten w za małej kurtce.

– Dzięki za pomoc. – Feliks wręczył łysemu banknot.

– Nie ma problemu.

Żniwiarz wyszedł z budynku. Takie rzeczy działy się w filmach, które czasem oglądała Magda. Nie w prawdziwym życiu. Nikt nie polował na żniwiarzy. Żadna mafia nie miała z nimi zatargu.

*Czy aby na pewno?* – zastanowił się.

Coś się zmieniło. Czuł to. Nie chciał dopuścić tego do siebie, ale odkąd wrócił do świata żywych, coś było nie tak. I nie chodziło tylko o to, że nawi stali się ostatnio podejrzanie aktywni.

– Ja wam mówię, to był płatny zabójca! – usłyszał niezbyt dyskretny szept.

– Dobrze, że ta dziewczucha już się stąd wyniosła. Nie potrzebujemy tu takich.

Feliks uśmiechnął się pod nosem. Był obecnie przeraźliwie chudym dziewiętnastolatkiem, a mimo to potrafił wzbudzić strach w lokalnych dresiarzach.

Ruszył w stronę ogródków działkowych i wyjął z kieszeni telefon. Naprawdę rzadko dzwonił. Tak po prawdzie to używał go tylko po to, żeby kontaktować się z Magdą.

– Cześć – przywitał się.

– Ukradłeś mój samochód!

– Nie ukradłem, a pożyczyłem – wyjaśnił spokojnie. – Poza tym poranny spacer do księgarni na pewno dobrze ci zrobił...

– I nawet nie zapytałeś, czy będę go potrzebować!

– A potrzebowałaś?

– Nie, ale to nie znaczy...

– Owszem, znaczy. Poza tym to ty wprowadziłaś się do mojego domu bez mojej zgody.

Magda nabrała tchu, szykując się do tyrady na temat tego, jak bardzo Feliks jej potrzebuje.

– Wiem, gdzie przebywała Nadia tuż przed tym, nim została porwana. – Żniwiarz uprzedził jej kazanie.

Zapadła cisza.

– Gdzie?

– W Brzeźnicy.

– Nie mam pojęcia, gdzie to jest...

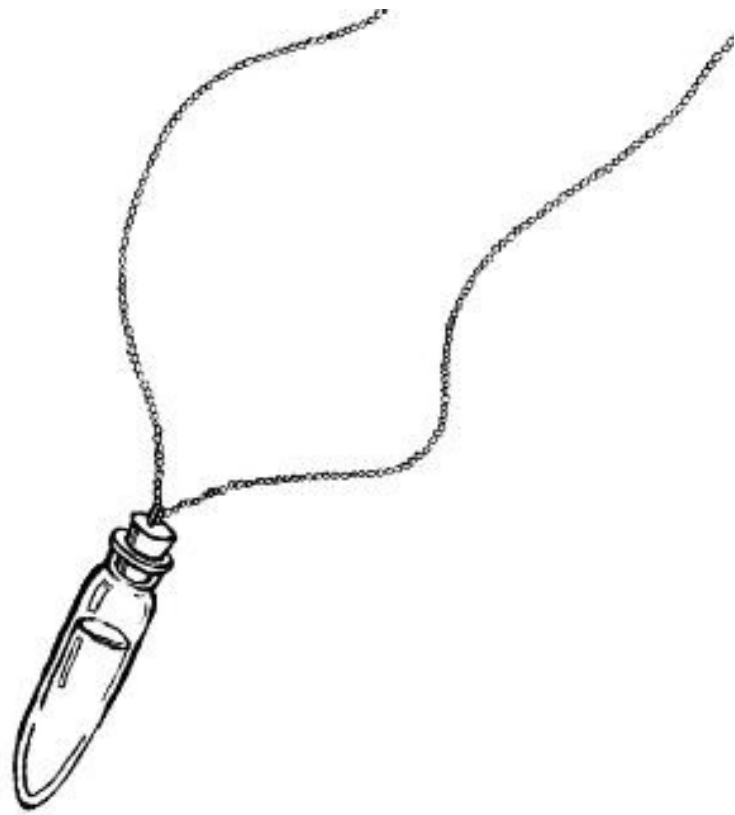
– Sprawdź wszystko na temat zgonów i dziwnych wypadków w tym mieście w ciągu ostatniego miesiąca.

– Nie cierpię cię, wiesz?

– Wiem, a teraz zabieraj się do pracy. Ja w nocy idę na polowanie.

Feliks nie znosił ani telefonów komórkowych, ani Internetu. Choć nawet on musiał przyznać, że czasem okazywały się przydatne, szczególnie, gdy Magda w ciągu kilku minut potrafiła wyszukać w sieci potrzebne mu informacje.

# Rozdział 7



– Nienawidzę go – mruzczała Magda, wklepując do wyszukiwarki najróżniejsze hasła.

– Co się dzieje, kochanie? – zapytała mama, zerkając w monitor przez ramię córki.

– Ech, Feliks – mruknęła dziewczyna.

Emilia skinęła głową i wróciła do przeglądania rachunków. Kiedyś sama była całkiem nieźle wyczulona na nawich i to właśnie przez nich poznała Jakuba, swojego męża, który wszystko jej wyjaśnił oraz zapoznał ze swoim niezwykłym krewnym, czyli Feliksem. Jakub też był zafascynowany światem umarłych, wciąż chciał pomagać wujkowi, ale w końcu dopadła go rzeczywistość – studia, dziewczyna, praca. Miał coraz mniej czasu na kontakty ze zniwiarzem i pewnie dzięki temu dożył swoich lat. Jakby nie było, ci, którzy nie tylko widzą nawich, ale również ich szukają, nie cieszą się długim i spokojnym życiem.

Zaś Magda – nie dość, że urodzona w Noc Kupały, to jeszcze córka dwojga ludzi potrafiących dostrzec nawich i daleka potomkini Feliksa – z całej rodziny była najbardziej wyczulona na upiory. Ponadto bardzo się nimi interesowała. I to martwiło Emilię. Nie miała nic przeciwko wyszukiwaniu dla Feliksa różnych informacji w Internecie, ale bała się, że córka pewnego dnia wpadnie w prawdziwe kłopoty, z których zniwiarz nie zdoła jej wyciągnąć. *Dobrze, że zaczęła spotykać się z tym chłopcem* – pomyślała. – *Dzięki niemu nie będzie miała tyle czasu dla Feliksa.*

Tego dnia Magda przesiedziała przed komputerem kilka godzin, co jakiś czas dzwoniąc do Feliksa i informując go, czego się dowiedziała.

– Nie chcesz iść do domu? – zapytała Emilia, przynosząc córce herbatę.

Dziewczyna wciąż zajmowała fotel i stolik w rogu księgarni. Teoretycznie było to miejsce dla klientów, którzy chcieli bliżej przyjrzeć się jakiejś książce, ale Magda siadała tam tak często, że czasem sama wyglądała jak element wystroju.

– Co? Nie, dzięki. – Wzięła herbatę i znów zapatrzyła się w monitor.

– Kiedyś od tego oślepniesz – przestrzegła ją mama.

Magda machnęła lekceważąco ręką.

– Już po szesnastej...

– Tak, tak, niedługo kończę – zapewniła dziewczyna.

Zadzwiećczał dzwonek i w drzwiach pojawił się chłopak Magdy, bodajże Mateusz. Emilia otaksowała go wzrokiem. Był całkiem przystojny – wysoki, szeroki w ramionach i umięśniony. Miał gęste, ciemne włosy, opaloną cerę i sympatyczny uśmiech. Kobieta słyszała, że to dobre dziecko... a właściwie już mężczyzna. Choć przeżył naprawdę straszne rzeczy, o czym świadczyły blizny na rękach. Ale jego wujostwo naprawdę cieszyło się, że zamieszkał u nich.

– Magda, ktoś do ciebie – rzuciła do córki i podeszła do Mateusza.

– Dzień dobry. – Mateusz przywitał się ze skinieniem głowy. – Magda nadal pracuje? Miałem nadzieję, że uda mi się wyciągnąć ją na spacer.

– Niedługo powinnam skończyć. – Magda z żalem wodziła wzrokiem od komputera do chłopaka.

– Myślę, że Feliks ma dość informacji nawet na cały tydzień – oświadczyła Emilia. – A ty koniecznie musisz się przewietrzyć. I wiesz co? – zastanowiła się. – Zrobisz dla mnie zakupy na weekendowego grilla. – Sięgnęła po listę do torebki.

– Ale Feliks zabrał mi samochód – jęknęła Magda.

– A więc dobrze się składa, że przyszedł Mateusz. Pomoże ci nosić siatki.

Magdę na chwilę zatkało na tak bezczelne wrabianie kogoś w cudze zakupy, ale Mateusza jeszcze bardziej.

– Z przyjemnością pomogę... – wydukał w końcu.

– Świetnie, to uciekajcie mi stąd! – Emilia niemal siłą wypchnęła ich z księgarni. – Aha, i oczywiście

Mateusz również jest zaproszony na grilla – dodała, zamykając drzwi.

Magda posłała mamie spojrzenie, które – przynajmniej jej zdaniem – miało moc spopielenia, ale rodzicielka najwyraźniej tego nie zauważyła.

– Co to za grill? Jakies wielkie wydarzenie? – zagadnął Mateusz. Magda najpierw ucieszyła się, że chłopak wpadłby na tego grilla, a potem przeraziła się, bo to przecież była rodzinna impreza.

– Nie, tylko że zjedzie się cała rodzina...

– Wstydzisz się mnie? – zapytał lekko.

– Raczej ich. Potrafią być naprawdę przytłaczający. Ostatniemu chłopakowi, którego przyprowadziłam do domu, moja starsza ciotka kazała wstać z krzesła i obrócić się wokół własnej osi, żeby mogła go sobie obejrzeć.

– Poważnie?

– Myślałam już, że zajrzy mu nawet w zęby.

Mateusz zaśmiał się.

– Współczuję.

– Ciebie też to czeka. Oczywiście jeżeli odważysz się przyjść.

– A nie próbowałaś porozmawiać z ciotką na ten temat?

– Ciotka ma osiemdziesiąt lat i uważa, że wszystko jej wolno. A na dodatek wszyscy wybaczą jej takie wybryki.

– Wierzę, że ten grill może być niemałym wyzwaniem dla mnie. Jeżeli rzeczywiście chcesz, żebym przyszedł.

Magda zerknęła kątem oka na towarzysza. Nie uciekł po tym, jak usłyszał największą tajemnicę jej rodziny, choć nadal odrobinę dziwiło ją, jak szybko pogodził się z istnieniem nawich. Na pewno sprosta spotkaniu z ciotką Jadwigą.

– Bardzo bym się cieszyła, gdybyś przyszedł – powiedziała szczerze i złapała go za rękę.

Przez chwilę szli w milczeniu.

– Przepraszam cię za wczoraj, że musiałeś to widzieć – odezwała się dziewczyna.

– Mną się nie martw. Dzień, jak co dzień, co?

– Właśnie nie. Śmierć Nadii była... – Magda zająknęła się, gdy przed oczyma stanął jej widok wciąż ciepłego ciała zawiniętego w prześcieradło.

– Tak?

– Niepokojąca, nawet biorąc pod uwagę, że Nadia jest żniwiarzem.

– Przykro mi, że umarła... Co z nią zrobiliście?

– Jest takie miejsce daleko w lesie, gdzie kiedyś wywożono kości ze starej rzeźni. Jest tam ich tak wiele, że kilka dodatkowych i to głęboko zakopanych w ziemi nie sprawi żadnej różnicy – odparła, starając się przekonać samą siebie, że to wcale nie było tak niewłaściwe, jak jej się wydawało.

Nagle z kieszeni Magdy dobiegła wesoła melodyjka.

Dziewczyna wyjęła telefon i zerknęła na wyświetlacz. Nieznany numer.

– Przepraszam cię na chwilę – powiedziała, odbierając. – Tak?

– Dzień dobry, mam pani numer od Piotra Żaka... – usłyszała w słuchawce.

*Pięknie, a Feliksa jak zwykle nie ma, kiedy jest potrzebny* – pomyślała z przekąsem, słuchając relacji starszej, sądząc po głosie, kobiety, która kontynuowała swój długi wywód.

– Jak długo to już trwa? – przerwała jej po kilku minutach Magda, wlepiając wzrok w drzwi supermarketu. – Uhm. I co jeszcze się stało? Nie, nie sędzę... Niech mi pani jeszcze raz powie, gdzie

to dokładnie się znajduje? Nie ma problemu... Dziś... – zerknęła na zegarek na nadgarstku. – Tak, dziś wieczorem. Do widzenia.

Magda rozłączyła się i westchnęła ciężko.

– Coś się stało? – zapytał Mateusz.

– Nie... – zaczęła. – A właściwie to tak. Coś straszy w sklepie w Przyjaźni.

– Dzwonisz po Feliksa?

Dziewczyna wlepiała wzrok w telefon. Po kilku sekundach podjęła decyzję.

– Nie. I tak jest dziś zajęty. Sama sobie z tym poradzę.

– Jesteś przekonana, że to dobry pomysł?

– Uhm. – Skinęła głową.

– Ale to na pewno jest niebezpieczne.

– Dam sobie radę, potrzebuję tylko samochodu, bo ten złodziej zabrał mój – powiedziała i spojrzała wyczekująco na Mateusza.

– Eee... No wiesz, mogę pożyczyć od wujka.

– Super, dzięki. – Wspięła się na palce i pocałowała go w policzek. – To co, idziemy?

Mateusz przez chwilę stał nieruchomo w miejscu.

– A co z zakupami? – zapytał.

Dziewczyna wyjęła z kieszeni listę, która wyglądała dość podejrzanie. Przede wszystkim nie było na niej nic z jedzenia obowiązkowego na grillu. Za to pełna była środków czystości i mrożonek. Dodatkowo jej stan – powyginane rogi i wyrwany kawałek sugerowały, że poniewierała się w torebce mamy już od dłuższego czasu.

– Pał sześć zakupy – stwierdziła i wyrzuciła kartkę do mijanego kosza.

Szybko dotarli do domu wujostwa Mateusza.

Magda grzecznie przywitała się z rodziną chłopaka, a potem z ciekawością obserwowwała, jak Mateusz z olbrzymim trudem wymyśla historyjkę o zwiedzaniu przepięknych okolic Wiatrołomu z Magdą jako przewodnikiem.

– No nie wiem, to drogie rzeczy są – powiedział wujek, wyciągając z kieszeni kluczyki i machając nimi jakby od niechcienia.

– Krzysiek! – warknęła jego żona.

– Tylko wróćcie do domu przed roznoszeniem mleka. – Mężczyzna puścił do Mateusza oko i rzucił mu kluczyki.

Chłopak skinął głową i oboje czym prędzej wyszli z domu nieco zawstydzeni bezpośredniością Krzysztofa.

– To gdzie teraz? – zapytał Mateusz, siadając za kierownicą.

– Podjedźmy do domu Feliksa. Możesz tam zostać, a ja wrócę najszybciej jak się da – odparła Magda, przypinając się pasami.

– Chyba żartujesz. – Chłopak zgrabnie wycofał samochód i wyjechał na ulicę. – Nie myśl, że puszcze cię samą.

– Nie masz innego wyjścia. To zbyt niebezpieczne, nie będę cię w to wciągać. Wystarczy, że widziałeś już bezkosta, który prawie zabił twój kuzyna.

– Sama na pewno nie pojedziesz – oświadczył, zatrzymując samochód na poboczu.

– Nie ma mowy!

– Jak chcesz. – Mateusz założył ręce za głowę. – W takim razie nikt nie jedzie.

*Nie mogę go zabrać, to zbyt niebezpieczne. Poza tym znamy się dopiero od dwóch tygodni, nie powinnam wciągać go w polowania na nawich. Feliks by się wściekł...* – myślała gorączkowo Magda,

lecz Mateusz wyglądał, jakby nie zamierzał ustąpić.

Spojrzała na niego, wywróciła oczyma i nerwowo zabębniła palcami w podłokietnik.

– Niech ci będzie. Ale masz słuchać mnie na każdym kroku, zrozumiano?

Mateusz skinął głową i odpalił silnik.

– Mów, w którą stronę.

W drodze Magda jeszcze raz zadzwoniła do starszej kobiety, która potrzebowała ich pomocy i zapewniła, że już niedługo będą na miejscu.

– Z czym będziemy się mierzyć? – zapytał Mateusz, kiedy Magda zakończyła rozmowę.

– Podejrzewam, że to duch, ale pewności nabiorę dopiero na miejscu – odparła, wyglądając przez okno.

Czuła lekki dreszczyk emocji w obliczu nowego wyzwania; ukłucie niepokoju, czy sobie z nim poradzi, oraz strach przed reakcją Feliksa, gdy mu o wszystkim opowie.

– Jak?

– Słucham?

– Skąd będziesz to wiedziała?

– Niektórzy ludzie lepiej wyczuwają nawich od innych. To jest tak samo jak ze słuchem. Niektórzy potrafią usłyszeć infradźwięki albo ultradźwięki, a inni nie...

– Żaden człowiek nie jest w stanie ich usłyszeć – przerwał jej Mateusz.

– No dobra, widzę, że uważałeś na fizyce. Ale wiesz, o co mi chodzi. Słyszałeś kiedyś latające nietoperze?

– Nietoperze? – zdziwił się. – Nie, ale zbyt wielu też ich nie widziałem.

– Niektórzy ludzie słyszą je bardzo dobrze, inni wcale. Tak samo jest z nawimi, jedni je widzą i czują, inni nie.

– Wszyscy u ciebie w rodzinie je widzą?

– Większość osób. Wiesz, mamy to w genach.

– A można to w sobie wyrobić?

Magda zamyśliła się.

– Pewien facet z Przyjaźni, stróż na cmentarzu, porównał widzenie nawich do ekranu telewizora. Większość ludzi według niego jest jak stare odbiorniki, które wciąż śnieżyły, obraz w nich był zamazany, czasem w ogóle go brakowało. Jest też garstka osób, które są jak najnowsze telewizory. Mamy niemal idealny obraz bez żadnych zakłóceń. A jeśli ktoś raz zobaczy nawich, w pewnym sensie dostraja się do tego, by ich widzieć.

– Przed tym bezkostem nigdy nie widziałem żadnego nawiego – zastanowił się Mateusz. – Ale teraz mam wrażenie... i Aleks też...

– Że wciąż coś gdzieś widzicie, szczególnie w nocy? – dokończyła Magda.

– Młody się nie przyznaje, ale wiem, że ma koszmary w nocy.

– Przyrowadź go kiedyś do mnie, pogadam z nim, wyjaśnię to, czego jeszcze nie rozumie – poradziła. – Dam mu też trochę ziół, które odstraszą większość nawich. Będzie na pewno lepiej wtedy spał.

– A ja dostanę takie zioła? – zapytał, unosząc kącik ust.

– Jak ładnie poprosisz. – Puściła do niego oko. – A wracając do tematu, większość ludzi w ogóle nie wierzy w to, że istnieje taki świat, pełen zjaw i upiorów. I nawet jeśli takiego zobaczą, to ich umysły go ignorują. Ty i Aleks znaleźliście się w takiej sytuacji, że po prostu nie mogliście zignorować zagrożenia. Teraz już wiecie, że są rzeczy, o których nie śniło się filozofom – powiedziała z uśmiechem. – I będziecie doszukiwać się ich wszędzie, nawet tam, gdzie ich nie ma. Ale na pewno jesteście od tamtej pory bardziej wyczuleni na nawich.



Mateusz pokiwał głową z zadumą.

– A jak to jest z duchami? Skąd się tak naprawdę biorą? – zapytał.

Magda zastanowiła się chwilę, zanim odpowiedziała.

– Większość duchów, wbrew powszechnym wierzeniom, to wcale nie dusze, które nie poszły do nieba.

Wyobraź sobie, że duch to jakby echo po człowieku, na przykład zbrodniarzu lub osobie, która zmarła w drastyczny czy gwałtowny sposób. I nie wolno tu zapominać, że to tylko echo, a nie ta konkretna osoba.

Kiedyś Feliks wypędził ducha, który prześladował młodą dziewczynę w domu odziedziczonym po jej dziadku. Biedaczka nie mogła uwierzyć, że jej ukochany dziadek zepchnął ją ze schodów i omal nie zabił.

Ale to wcale nie był już on. O matko, naprawdę długo musiałam ją po wszystkim pocieszać. Płakała, że może dziadek miał jej coś bardzo ważnego do przekazania, a ten upadek to był zwykły przypadek...

– Czyli duchy nie mają żadnych informacji do przekazania?

– Nie. Te, które napotkałam do tej pory, nie miały. Po prostu musiały pozbyć się nadmiaru energii.

– Słucham? Jak to „pozbyć się nadmiaru energii”?

– Martwce pobierają energię z otoczenia. Dlatego, gdy się pojawiają, światła mrugają, robi się zimno, a elektronika zawodzi. To właśnie duchy ściągają te wszystkie fale. A im więcej ich ściągają, tym stają się silniejsze i lepiej widoczne. Ale nie są w stanie zbyt długo utrzymać tej energii... Słyszałeś o pojęciu entropii?

Mateusz w milczeniu powoli obrócił głowę w stronę Magdy, a po chwili znów wlepił wzrok w drogę przed nimi.

– Wnoszę, że nie – powiedziała lekko dziewczyna. – O, na tym skrzyżowaniu w – powiedziała i zerknęła na GPS w telefonie – prawo. Koło kościoła w lewo. I... jest. Chyba możesz tu zaparkować.

Mateusz zatrzymał samochód nad wielką kałużą.

– Dzięki – sapnęła ironicznie Magda, wyskakując ze środka tak, aby nie pomoczyć butów. – Sklep wielobranżowy – przeczytała olbrzymi szyld.

Mateusz stanął obok niej.

– I co teraz? – zapytał.

– Zobaczymy – odparła i wspięła się po kilku stopniach wiodących do przeszklonych drzwi.

Kiedy tylko je popchnęła, rozległ się cichy dźwięk dzwonka.

Sklep był duży, ale sprawiał wrażenie pustego, jakby nikomu nie chciało się zagospodarować nadmiaru przestrzeni. Przy przeciwległej ścianie ciągnęła się długa lada oraz lodówki z nabiałem i mięsem.

Na środku podłogi wyłożonej czarnobiałymi kafelkami stał – niczym bezludna wyspa na morzu – wysoki regał z owocami i warzywami. Pod ścianą po prawej stronie ułożono całe mnóstwo plastikowych skrzynek z alkoholem.

– Halo! Jest tu kto? – zawołała Magda, robiąc kilka kroków przed siebie.

Rozległo się szuranie i dźwięk przesuwanego po posadzce krzesła, a po chwili z pomieszczenia po lewej wyszła lekko przygarbiona kobieta sporo po sześćdziesiątce. Była ubrana w staromodną, ale elegancką garsonkę. Na łańcuszku na jej piersi wisały okulary.

– Pani Magdalena? – zapytała kobieta, zakładając okulary.

– Po prostu Magda. – Dziewczyna podeszła do niej uśmiechnięta, z wyciągniętą ręką.

Starsza pani, jakby nieprzyzwyczajona do takiego zachowania, ucisnęła jej dłoń.

– Maria Kościelska – przedstawiła się. – A to musi być pan Feliks? – Spojrzała na Mateusza, który wciąż trzymał się z tyłu.

– Nie, to mój kolega, Mateusz – sprostowała Magda. – Feliks był dzisiaj bardzo zajęty, ale my sobie poradzimy ze wszystkim.

*Przynajmniej mam taką nadzieję* – dodała w myślach.

Mateusz skinął kobiecie głową.

– A to jest właścicielka sklepu, pani Felicja. – Pani Maria odwróciła się.

Dopiero teraz Magda dostrzegła chudą, wysoką kobietę stojącą w drzwiach. Miała krótkie ciemnoszare włosy, ostre rysy twarzy, żylaste dłonie, a jej cała postawa zdradzała zmęczenie.

– Chodźmy do pokoju. Opowiemy o wszystkim, co tu się dzieje – zaproponowała pani Maria. – Napijcie się herbaty?

Mateusz pokręcił głową.

– Z przyjemnością. – Uśmiechnęła się Magda, sadowiac się na krzesło na zapleczu.

Szybkie ukradkowe spojrzenia na boki pozwoliły jej dojrzeć krzyżyk nad drzwiami, różaniec oraz Biblię na szafkach, nie wspominając o sporym krzyżu stojącym pomiędzy dwoma zapalonymi świecami na stole.

Pani Felicja z rezygnacją zapadła się w fotelu. Jej koleżanka, parząc herbatę, starała się zachowywać poważną minę osoby doświadczonej i wiedzącej, z czym ma do czynienia, choć w jej oczach krył się strach. Przez chwilę Magda zastanowiła się, czy nie wygląda czasem tak samo – na zewnątrz udająca profesjonalistkę, ale wewnątrz pełna niepokoju.

Z kolei Mateusz w ogóle nie ukrywał, że czuje się tu nieswojo i tak naprawdę nie ma pojęcia, jakim cudem dał się wciągnąć w tę kabałę. Przysiadł na skraju krzesła i nie miał pojęcia, co zrobić z własnymi rękoma.

– Mam nadzieję, że nie za mocna – powiedziała pani Maria, stawiając na stole cztery kubki. – Dla ciebie, kochana. zaparzyłam melisę. – Podsunęła największe naczynie pod nos pani Felicji. – Szóstą dzisiaj – dodała półgębkiem w stronę gości.

Właścicielka sklepu tylko pokiwała głową, wzięła kubek w ręce i położyła go na kolanach.

*Biedna kobieta. Wygląda, jakby dostała dzisiaj nie tylko melisę, ale i całkiem porządne środki na uspokojenie* – pomyślała Magda.

– Jak już mówiłam, dziecko, mam twój numer od Piotra Żaka – powiedziała pani Maria. – W ogóle co za historia z tym upiorem! Piotr mi opowiedział. Makabra. A u nas wszystko zaczęło się około dwóch tygodni temu. Na początku to były tylko mrugające lampy, Felicja myślała, że to wina elektrowni albo żarówek, ale z czasem było coraz gorzej. Potem pewnego ranka okazało się, że ktoś powyłączał wszystkie lodówki i mnóstwo jedzenia się zmarnowało. Kilka razy ktoś z klientów poślizgnął się, choć podłoga nie była mokra, a pan Śliwicki złamał rękę. Przez cały ten czas Felicja czuła czyjąś obecność, jakby ktoś ją obserwował. Kilka razy nawet stuknął ją w ramię, gdy była sama!

– Myślałam, że zaczynam wariować – wtrąciła poszkodowana, wpatrując się w pustkę. – Parę razy zdawało mi się, że widzę coś na granicy zmysłów. Czułam jego oddech na karku. A do tego jeszcze te lodówki się wyłączyły. Myślałam, że może mam demencję i sama je odłączyłam od prądu, ale poprosiłam Marię o pomoc i razem porządkowałyśmy sklep wieczorem, żeby rano znaleźć na podłodze rozsypaną mąkę, czy odkręcony kurek w łazience. Raz zapalił mi się czajnik elektryczny, choć nawet go nie włączałam. Miałam dwie pomocnice, które od tygodnia nie przychodzą do pracy, bo twierdzą, że są chore. Ale wiem, że się po prostu boją.

– Jeszcze rok temu poszłabym z tym do naszego proboszcza – wtrąciła pani Maria. – On na pewno by sobie z tym poradził, ale od jakiegoś czasu bardzo choruje, jest słaby, ledwo może odprawić mszę. Codziennie do niego wpadam, gotuję mu oraz sprzątam i po prostu nie mogę prosić go o pomoc w tej sprawie. Jeszcze, nie daj Boże, coś by mu się stało. Pożaliłam się Piotrowi, a on dał mi twój numer, obiecując, że wy się tym zajmiecie.

– Zrobimy, co w naszej mocy – obiecała Magda.

– Skąd to diabelstwo w ogóle się tu wzięło? – zapytała rozgoryczonym tonem pani Felicja. – Ja tego nie

rozumiem, jestem właścicielką sklepu od piętnastu lat i nigdy nic takiego nie miało tu miejsca!

– A wcześniej co tu było?

– Też sklep.

– Praktycznie od zawsze jest tu sklep – dodała pani Maria. – I nigdy nikt nie umarł w tym budynku.

– Martwce nawiedzają nie tylko miejsca swojej śmierci czy pochówku – wyjaśniła Magda. – Również takie, z którymi w jakiś sposób są związane, tam gdzie często przebywały bądź popełniały swoje zbrodnie.

– To może być każdy – powiedziała zrezygnowana właścicielka sklepu.

– Niech się pani nie martwi, to nie jest isto... – zaczęła Magda, ale jej wzrok nagle zatrzymał się na płomieniach świec, które zamrugały gwałtownie i odrobinę przygasły.

Dziewczyna poczuła niewielki spadek temperatury w pomieszczeniu. Lodówki za ścianą przestały buczeć, jakby pracowały na niższych obrotach.

– A może jednak przydałaby nam się wiedza, czym echem jest ten duch – stwierdziła Magda, czując na sobie badawcze spojrzenie Mateusza. – Niech panie idą teraz do domu, przypomną sobie o wszystkich dziwnych, czy podejrzanych sytuacjach, które miały tu miejsce i skontaktują się z poprzednim właścicielem sklepu, może on coś pamięta.

Magda wstała z krzesła, czekając aż kobiety zrobią to samo.

– My tu zostaniemy i zbadamy wszystko – zapewniła, niemal wypychając obie kobiety za drzwi.

Pani Felicja zawahała się w progu, jakby niepewna, czy może zostawić swój interes w rękach dwójki praktycznie obcych osób.

– Chodź, moja droga. – Pani Maria wyprowadziła ją na zewnątrz. – Powodzenia – powiedziała, zerkając przez ramię.

– Do zobaczenia później. – Magda pokiwała głową z wymuszonym uśmiechem, zatrzasnęła drzwi i przekręciła w nich klucz. – Zastłoń okna – poleciła Mateuszowi.

Chłopak bez słowa opuścił wszystkie rolety.

– Czy mi się wydaje, czy wszystkie światła jakby przygasły? – zapytał, stając obok Magdy na środku sklepu.

Dziewczyna skinęła głową.

– Zbiera energię. Zakręć kaloryfery – poleciła.

– Ale one są zimne.

– Już? Cholera. I tak zakręć, a potem znajdź korki i na mój sygnał wyłącz prąd.

Sama zaś przyklękła na posadzce niedaleko regału z warzywami i zajrzała do swojej torebki. Wyjęła z niej latarkę, woreczek z czarnym proszkiem, cztery metalowe miseczki i trzy kulki zrobione z czarnej, śmierdzącej spalenizną liny.

– Znalazłem. – Mateusz stanął w drzwiach prowadzących na zaplecze. – Co robisz?

– Musimy zwrócić jego uwagę i zadbać o to, żeby stanął tam, gdzie chcemy – odparła Magda, wsypując proszek do jednej z misek.

– Czy to czarny proch?

– Uhm.

Dziewczyna położyła naczynie pośrodku, a wokół niego postawiła miseczki z kulkami z liny, które załała podpałką do grilla.

– Kevlar – wyjaśniła. – Sam materiał jest niepalny, ale podpałka, którą jest nasączony, jak najbardziej płonie.

– I po co to?

– Ciepło i światło zwabią go w to miejsce.

Magda otrzepała brudne dłonie o spodnie i schowała latarkę do kieszeni. Wyczuwała ducha, wiedziała, że jest blisko, gdzieś na granicy światów i zbiera energię, by zaistnieć. Wszystkie lampy w sklepie przygasły. Zrobiło się naprawdę chłodno. Na skórze Magdy pojawiła się gęsia skórka.

– Przygotuj się! – Dziewczyna zwróciła się do Mateusza.

Obecność martwca była coraz bardziej natarczywa – jeszcze chwila, a uzyska widzialne kształty.

Magda po kolei zapaliła kevlarowe kulki, które najpierw zapłonęły słabym, niebieskim ogniem, lecz już po kilku sekundach płomień stał się mocny i żółty. W górę uleciały trzy stróżki ciemnego dymu. Magda kucnęła przed miseczką z prochem i wyciągnęła w jej stronę dłoń z zapalniczką.

– Teraz! – krzyknęła, zapalając proch.

Wszystkie lampy zgasły, zaś proch zajął się jasnym, gorącym płomieniem, syjąc na boki drobnymi iskierkami.

Magda natychmiast odsunęła się od jedyne go źródła światła w sklepie i stanęła przy ladzie. Sekundy wlekły się w nieskończoność, ale nic się nie działo. Dziewczyna wpatrzyła się w płomienie. Poza nimi sklep był pogrążony w absolutnej ciemności.

– No już – szepnęła z niecierpliwością.

Nagle płomień w środkowej miseczce przygasł lekko, choć było w niej jeszcze sporo prochu.

Serce Magdy przyspieszyło, mięśnie zaczęły drżeć, po plecach spłynął jej zimny pot. Wtem proch się wypalił i całkowicie zgasł. Płomienie nad kevlarowymi kulkami na sekundę wydłużyły się, a potem i one przygasły, jakby straciły moc. Nad nimi pojawił się szary cień, który jaśniał, gdy płomyki gasły, a po kilku chwilach uformował się w humanoidalną postać zawieszoną nad miseczkami. Jego niewyraźna twarz zdawała się należeć do młodego człowieka z zapadniętymi policzkami i cieniami pod czarnymi oczami.

Magda wzięła głęboki wdech i zaczęła recytować egzorcyzm:

– *Exorcizámos te, ómnis immúnde spíritus, ómnis satánic potéstas.* – Miała wrażenie, że cień zwrócił spojrzenie wprost na nią. – *Ómnis infernális adversáarii, ómnis légio, ómnis congregátio et sécta diabólica.*

Nagle usłyszała trzeszczenie. Z regału ze skrzynkami stojącego na środku sklepu zaczęły spadać na ziemię owoce i warzywa.

– *In nómine et virtúte Dómini nóstri Jésu Chrísti!* – kontynuowała, nie zważając na powstający bałagan.

Niespodziewanie w ciemnościach po lewej rozległ się huk i trzask tłuczonego szkła. Potem jeszcze raz. I znów. Magda zadrżała, ale nie przestała recytować.

– *Non últra áudeas, sérpens callidíssime, decípere humánum genus Dei Ecclésiam pérsequi...*

Całym sklepem wstrząsnął głuchy trzask, jakby sufit miał zaraz zwalić się na ziemię. Za plecami dziewczyny z półek zaczęły sypać się produkty.

– *...ac Dei eléctos excútere et cribráre sicut tríticum. Ímperat tíbi Deus altíssimus.*

– Uważaj! – usłyszała, a potem poczuła szarpnięcie i z głuchym hukiem wylądowała na posadzce.

Na chwilę ją zamroczyło, a w oczach stanęły łzy, gdy poczuła ból płynący z rozbitego łokcia.

Mateusz, który powalił ją na ziemię, pomógł jej usiąść.

Miała wrażenie, że cały sklep się trzęsie i jeszcze chwila, a zostanie zmieciony z powierzchni ziemi.

– *Recéde ergo in nómine Patris, et Fílii, et Spíritus Sancti!* – dokończyła słabiej, niż zamierzała.

Szary cień zawieszony nad kevlarowymi świeczkami znikł tak nagle, jak się pojawił. Płomienie pojaśniały i wydłużyły się.

Magda, wciąż siedząc na zimnych kafelkach, oparła się plecami o ladę.

– W porządku? – zapytał Mateusz.

– Uhm. Co się stało?

– Cisnął w ciebie słoikami...

– Dzięki – mruknęła. – Choć mogłeś być odrobinę bardziej delikatny – dodała z wyrzutem, rozmasowując łokieć.

– Następnym razem pozwolę, żebyś została zbombardowana słoikami z – powiedział i pochylił się do przodu, przypatrując się bezkształtnej masie leżącej na podłodze przed nimi – dżemem.

– Spoko, nie pierwszy raz – odpowiedziała, wysilając się na uśmiech.

– Zapalę światło. – Mateusz wstał i ruszył na zaplecze. Lampy zamrugały, a już po chwili zalały sklep ciepłym światłem.

– Ale bajzel – stwierdził chłopak, rozglądając się po sklepie.

Magda podążyła za jego spojrzeniem. Wszędzie wokół wały się owoce i warzywa, a dżem wraz z resztkami słoików pokrywał większość podłogi.

– Wysadził piwo! – krzyknął Mateusz, brodząc w kałuży przy skrzynkach z butelkami.

– To pewnie stąd ten huk – oceniła Magda. – Silny był, skubany. Silniejszy, niż mogłabym przypuszczać.

– A to? Było tu wcześniej? – zapytał Mateusz, wskazując palcem podłużne pęknięcie na ścianie.

Magda zaniemówiła na chwilę.

– Mam nadzieję, że tak – odparła.

– I co teraz?

Dziewczyna rozejrzała się bezsilnie po sklepie.

– Wypadałoby trochę posprzątać, żeby pani Felicja nie dostała zawału.

Magda z jękiem pozbierała się z podłogi i poszła na zaplecze szukać wiadra. Mateuszowi wręczyła miotłę i szufelkę.

Nie udało im się posprzątać nawet połowy całego bałaganu, kiedy rozległo się delikatne pukanie do drzwi. Spojrzeli po sobie z lekkim przestraczeniem, jakby przyłapano ich na czymś niewłaściwym.

W końcu Magda przekręciła klucz w zamku i uchyliła lekko drzwi. Na schodach ujrzała chudego, starszego mężczyznę, który – zanim przemówił – oblizwał wargi i głośno przełknął ślinę.

– Bo my wino chcieliśmy – powiedział nieśmiało, gniotąc w rękach czapkę.

Magda spojrzała ponad jego ramieniem, gdzie w świetle latarni stało dwóch innych panów. Choć stąd dobrze nie widziała, mogłaby przysiąc, że trzymają zaciśnięte kciuki.

– Pani Felicja jest?

Dziewczyna pokręciła głową.

– Aaa... Bo ona na pewno by nam sprzedała – zapewnił, ale chyba sam w to nie wierzył.

Magda obejrzała się za siebie. Kasa fiskalna była zamknięta, ale w sklepie i tak panował już taki bałagan...

– Won mi stąd, stare pijaki!!!

Drogą nadeszła pani Felicja, wymachując rękoma. Tuż za nią kroczyła pani Maria.

– Jeszcze czego! O tej porze nigdy nie otwieram sklepu!

Trzech panów uciekło, nie oglądając się za siebie.

Magda otworzyła szerzej drzwi przed właścicielką sklepu, mając nadzieję, że jej dobytek nie wygląda tak źle, jak się wydawało. I nie wiedziała, czy to, że pani Felicja stanęła jak wryta w progu, to dobry znak.

– Jezus Maria! Co za bałagan! – krzyknęła pani Maria.

– Czy to krew? – zapytała spokojnie właścicielka sklepu.

– Dżem. Wydaje mi się, że wiśniowy – odparł Mateusz, opierając się o miotłę.

– Ale to nic! Zaledwie jeden czy dwa słoiki – powiedziała wesoło Magda, mając nadzieję, że zabrzmi

to przekonująco. – Trochę narozrabiał ten martwiec...

– A więc wrócił?

– Tak, ale pozbyliśmy się go na dobre – zapewniła dziewczyna.

– My chyba wiemy, kto to był – powiedziała pani Felicja, wciąż wpatrując się w brudną podłogę.

– Tak. Dodzwoniłyśmy się do poprzedniego właściciela sklepu – wtrąciła pani Maria. – Nie chciał z nami z początku rozmawiać, strasznie się wykręcał, ale zapewnił nas, że za jego czasów nie było w sklepie żadnych dziwnych wypadków. To zapytałyśmy, czy takie normalne były i jakoś tak podejrzenie szybko zaprzeczył. Chyba przez pół godziny suszyłyśmy mu głowę, żeby powiedział nam prawdę. W końcu przyznał, że pewnego lata pracował u niego jego bratanek i wtedy utargi były niskie, nic się nie zgadzało, aż przyłapał chłopaka na kradzieży. Okazało się, że ten przez całe wakacje okradał wujka, a kiedy został przyłapany na gorącym uczynku, obraził się i wyjechał. Od tego czasu nie utrzymywali ze sobą kontaktów, ale mężczyzna przyznał, że na pogrzeb chłopaka miesiąc temu pojechał.

Pani Maria wyglądała, jakby spodziewała się okłasków, jednak gdy się ich nie doczekała, mówiła dalej:

– Chłopak, teraz już dorosły facet, zmarł w szpitalu po tym, jak go pobili na jakimś meczu. A kilka dni później zaczęły się problemy w sklepie. To musiał być on! Zmarł gwałtowną śmiercią, a teraz wrócił do miejsca swoich zbrodni! – dokończyła z dumą.

– Możliwe. – Magda pokiwała głową, choć teraz, gdy martwiec odszedł do Nawii, nie było to już istotne.

Wraz z Mateuszem chcieli jeszcze pomóc przy sprzątanii, ale pani Felicja stwierdziła, że już wystarczająco jej pomogli i po prostu wygoniła ich ze sklepu.

– Wracajcie do domu i odpocznijcie, należy się wam – powiedziała, wręczając Magdzie kopertę, kiedy wsiadali do samochodu. – Dziękuję za pomoc.

– Nie ma problemu. – Uśmiechnęła się dziewczyna, zatraskując drzwiczki.

– To co, kierunek Wiatrołom? – zagadnął Mateusz.

– Tak, marzę o gorącej kąpieli. We włosach mam pełno dżemu.

Chłopak uśmiechnął się i pociągnął nosem.

– Czuć, same wiśnie. – Pochylił się w jej stronę i wyjął owoc z jej włosów.

Magda zarumieniła się, a jej serce gwałtownie przyspieszyło. *Zachowuję się jak jakiś podłotek!* – zbesztła się w myślach.

W milczeniu wyjechali z miasteczka. Magda podkreśliła ogrzewanie i zwinęła się w fotelu. Kątem oka zerknęła na Mateusza. Wciąż nie wierzyła w swoje szczęście – poznała kogoś w swoim wieku, kto wie o istnieniu nawich i nadal chce się z nią spotykać. Gdy rzuciła studia i wróciła do Wiatrołomu, była pewna, że nigdy już nie nawiąże z nikim bliższej znajomości. Że do końca życia będzie skazana tylko na rodzinę.

– To jak to jest z tym pojęciem en... czegoś tam? – zagadnął Mateusz, wrywając ją z zamyślenia.

– Entropii – poprawiła Magda. – Wszystko w przyrodzie dąży do stanu energetycznie najniższego. – Z milczenia Mateusza wywnioskowała, że ten nie ma pojęcia, o czym mówiła. – Najprościej można to ująć w ten sposób: wszystko, co teraz stoi, kiedyś będzie leżało, bo tak jest łatwiej.

Mateusz powoli pokiwał głową.

– Każde drzewo, nawet to największe, kiedyś w końcu runie – kontynuowała dziewczyna. – Krople wody w przestrzeni kosmicznej przyjmują kształty kuliste...

– A co to ma wspólnego z duchami?

– Martwce czerpią energię z otoczenia. Ale nie są w stanie utrzymać jej przez dłuższy czas. Muszą się jej pozbyć, dążąc do stanu energetycznie najniższego. Stąd potrafią przesuwać przedmioty, poruszać

zasłonami, a w gorszych przypadkach nawet zepchnąć człowieka ze schodów czy zaproszyć ogień w domu. Gdy tracą całą energię, znikają, ale prędzej czy później wracają, dopóki ktoś ich nie wypędzi.

Magda spojrzała na drogę, gdy nagle coś dużego pojawiło się w strumieniu światła tuż przed samochodem.

– Uważaj! – krzyknęła.

Mateusz wcisnął hamulec i gwałtownie skręcił kierownicą – samochodem szarpnęło, rozległ się pisk opon i odgłos głuchego uderzenia.

Magda poleciała do przodu, a pas boleśnie wżął jej się w bark. Serce podeszło jej niemal do gardła.

– Jesteś cała? – zapytał Mateusz, zerkając na nią z troską.

– Tak, a ty?

– Też.

– Co to było, do cholery? – sapnęła Magda, prostując się i odgarniając włosy z twarzy.

– Nie wiem! Nagle wskoczyło mi pod koła. – Choć samochód stał już nieruchomo na poboczu, Mateusz wciąż mocno zaciskał dłonie na kierownicy.

– Uszkodziło auto?

– Muszę sprawdzić. – Zostawił zapalony silnik oraz światła i wysiadł z samochodu.

Magda przez chwilę mocowała się z klamrą od pasa i wkrótce dołączyła do chłopaka, który uważnie oglądał lekko wgnieciony zderzak.

– Wujek będzie niepokieszony – mruczał pod nosem.

W rowie po drugiej stronie ulicy rozległo się kwiczenie. Magda powoli ruszyła w stronę dźwięku. Jeżeli to potrącone zwierzę, trzeba mu pomóc lub zadzwonić po leśniczego.

Poza kręgiem światła rzucanym przez reflektory samochodu panowała ciemność, więc dziewczyna mogła dostrzec tylko zarys dużej, bezkształtnej masy.

– To chyba dzik – rzuciła przez ramię.

Mateusz stanął obok niej.

– Co z nim zrobimy?

Zwierzę oddychało ciężko i cicho kwiczało.

– Poczekaj, pójdę po telefon. – Dziewczyna skierowała się do samochodu.

Wyciągnęła rękę do uchwytu drzwiczek, gdy gdzieś w oddali rozległo się dzikie wycie i ujadanie. Serce Magdy zabiło szybciej. Odeszła od samochodu i stanęła na samym skraju drogi, wpatrując się w czarny las. Natarczywe ujadanie nie milkło, a do tego jeszcze doszedł tętent kopyt.

*W środku lasu? Może jest tam jakaś droga? Ale nikt o zdrowych zmysłach by nie... Nie o tej porze!*

– Mateusz? Słyszysz to? – zapytała, nie odwracając się do kompana, który wciąż stał nad rannym zwierzęciem.

– Co? Nie.

Nagle dzik zakwiczał głośno, zerwał się na równe nogi i chwiejnie odbiegł w las.

– Chyba nic mu nie było – stwierdził lekko Mateusz.

Jednak Magda już go nie słuchała. Ujadanie i tętent były coraz bliżej, odbijały się echem po lesie, sprawiały, że włoski na całym ciele stawały dęba. Znikąd zerwał się porywisty wiatr, który wył w koronach drzew, szarpał gałęziami i strącał na ziemię liście. A gdy tylko jego pierwszy powiew uderzył w Magdę, szarpiąc jej włosami i połami kurtki, dziewczyna już wiedziała, co pędzi przez las.

– Do samochodu! – krzyknęła.

– Co? – Chłopak odwrócił się do niej i zrobił kilka kroków do przodu, gdy nagle wichur uderzył ze zdwojoną siłą.

– Uważaj! – wrzasnęła Magda, wbiegając za samochód.

Raptem spomiędzy drzew wypadła sfora olbrzymich czarnych psów, które ujadły wściekle. Dziewczyna widziała ich długą, zmierzwioną sierść, białe zęby i czerwone, gorejące ślepia. Bestie minęły Mateusza, który zdawał się nie do końca świadom tego, co się wokół niego działo. I właśnie wtedy z lasu wyjechał jeździec. Czarny płaszcz załopotał na wietrze, ostrze włóczni błysnęło, a ciężkie kopyta zadudniły na asfalcie. Magda zasłoniła głowę niczym dziecko, mając nadzieję, że dziki myśliwy jej nie zauważy. Wtem Mateusz krzyknął, a potem zapadła cisza. Wicher przeminął wraz z diabelską jachtą i popędził dalej na północ.

– Mateusz? – Magda pozbierała się z ziemi, opierając się o samochód. – Mateusz?!

Jednak chłopaka nie było już na drodze. Zniknął razem ze sforą psów i dzikim myśliwym.

Magda stanęła na środku drogi, bezradnie wodząc wokół wzrokiem.

– Mateusz!!!

Poczuła nieprzyjemną pustkę w żołądku. Nogi się pod nią ugięły, kiedy z przerażeniem zdała sobie sprawę z tego, co właśnie się stało.

– Jasna cholera, zabrał go! – Przyłożyła dłoń do ust, gdy zrobiło jej się niedobrze. – Zabrał go!

*Co robić? Co robić?!*

Ręce jej się trzęsły, więc zacisnęła mocno pięści, wbijając sobie paznokcie w skórę.

– Nie zostawię go – powiedziała cicho i stanowczo. – Słyszysz?! – wrzasnęła w ślad za diabelską jachtą. – Nie zostawię!!!

W ułamku sekundy podjęła decyzję, co pozwoliło jej się nieco uspokoić. Dopadła do samochodu, gwałtownie otworzyła drzwiczki i zaczęła przetrząsać torebkę leżącą na siedzeniu. Chwilę trwało, zanim natrafiła na telefon i wybrała numer.

– Odbierz – warknęła do słuchawki. – Do diabła, odbierz. No już! – niemal krzyknęła, ale jedyne, co słyszała, to przeciągający się sygnał oczekiwania na połączenie.

– Niech cię szlag, Feliks!

Schowała telefon do kieszeni, zapaliła lampkę w samochodzie i na powrót zaczęła wyrzucać rzeczy z torebki.

– To nie, to też nie... – mruzczała pod nosem. – Mam! – W jednej kieszeni wylądował woreczek z suszonymi liśćmi ruty oraz sproszkowanym korzeniem czarnego bzu, a w drugiej torebka z solą. Za pasek spodni wsunęła patyk szakłaku, nie dłuższy niż jej ramię.

– Co jeszcze? – zastanawiała się głośno.

Wysypała zawartość torebki na siedzenie. Na tapicerce znalazły się resztki czarnego prochu, a na wycieraczkę potoczyły się kevlarowe kule. Magda gorączkowo rozgarnęła palcami wszystkie przedmioty, ale żaden z nich nie był użyteczny w tym przypadku.

– Szlag – mruknęła, wyjmując kluczyk ze stacyjki.

Trzasnęła drzwiczkami, po czym zajrzała na tylne siedzenie, ale i tam nie było nic przydatnego. Bez większych nadziei otworzyła bagażnik i zaczęła przeglądać wszystkie rzeczy, przyświecając sobie latarką.

– Trójkąt, apteczka, szmaty... – mamrotała.

Nagle jej palce wyczuły coś zimnego. Odruchowo zacisnęła je na metalowym, długim przedmiocie.

– Kto by pomyślał? – Uśmiechnęła się, wyjmując łom.

Zatrzasnęła bagażnik i rozejrzała się. Metr dalej, w rowie, leżała kłoda. Magda schowała pod nią kluczyki, wzięła głęboki wdech i ruszyła w stronę ciemności.

Zawahała się, gdy stanęła na skraju starego lasu, który najwyraźniej pomimo upływu setek lat wciąż należał do pradawnych stworzeń, w które niegdyś wierzyli ludzie.

– Muszę mu pomóc – szepnęła i jednym susem przesadziła rów.



Po kilku krokach otoczyła ją ciemność. Noc była bezksiężycowa, pochmurna, nie widziała nawet własnych stóp. Nie chciała zapalać latarki, bo wtedy byłaby widoczna z bardzo daleka, ale po prostu nie mogła iść dalej w tych ciemnościach. Snop światła oświetlił przed nią pas starego lasu. Im dalej zapuszczała się w gąszcz, tym dzikszy się stawał – natrafiała na coraz więcej przeszkód, takich jak krzewy jeżyn i malin, przewrócone pnie i wystające z ziemi korzenie.

Co kilkanaście kroków zatrzymywała się i uważnie nasłuchiwała, ale las milczał, a wycie i ujadanie psów dawno temu umilkło.

– Północ, muszę iść na północ! – szeptała do siebie. – Tylko gdzie, do diabła, jest ta północ?

Bez gwiazd i w ciemnościach miała nikłe szanse, żeby wyznaczyć kierunek, w którym prawdopodobnie udał się dziki myśliwy.

Chłodny metal trzymany w dłoni dawał jej odrobinę otuchy, ale Magda doskonale wiedziała, że nie ze wszystkim będzie potrafiła sama sobie poradzić. I wcale nie bała się ludzi czy zwierząt. Wbrew powszechnym opiniom, prawdopodobieństwo spotkania innego człowieka – i to takiego o złych zamiarach – w lesie o tej godzinie było znikome. A poza tym gdyby jednak na kogoś wpadła, pewnie byłby jeszcze bardziej przestraszony niż Magda. Zwierzęta też raczej nie stanowiły problemu – jeśli nie wejdzie bezpośrednio do gniazda i nie zagrozi młodym, to żadne stworzenie jej nie skrzywdzi. Niestety w przeciwieństwie do wielu ludzi Magda bardzo dobrze wiedziała, co jeszcze ukrywa się w ciemnych ostępach lasu. Przecież sama ściagała właśnie jednego z tych stworów.

Dziki myśliwy zawsze był pokutującą duszą, która za grzechy popełnione za życia nocami przemierzała konno gęste puszcze w otoczeniu sfory dzikich psów. Dawniej w niektórych wsiach wierzono, że porywa ludzi i wiezie ich na północ, w stronę morza, ale Magda jeszcze nigdy nie słyszała, żeby rzeczywiście coś takiego zrobił.

Jeśli wzrok jej nie zawodził, w oddali ujrzała drzewa o ton jaśniejsze od czerni. Od razu skierowała się w tamtą stronę i już po chwili znalazła się na niewielkiej, leśnej polanie. Spojrzała w niebo, które przejaśniło się nieco, ale te kilka gwiazd, które zobaczyła, nic jej nie powiedziało.

– Gdzie jestem? – zastanawiała się, gdy jedna z chmur przesunęła się, odsłaniając konstelację w kształcie litery „w”. – Nareszcie! – ucieszyła się.

Co prawda gwiazdozbiór Kasjopei nie był aż tak dokładnym wyznacznikiem północy, ale pozwolił Magdzie nieco skorygować kierunek. Mimo to im dalej zagłębiała się w las, tym większa rezygnacja ją ogarniała. Jaka była szansa, że znajdzie Mateusza w tych ciemnościach? I że on nadal żyje...

Na samą myśl o tym, że coś mogło mu się stać, odruchowo przyspieszyła kroku.

*Co ja powiem jego rodzinie?* – pomyślała z przestraszeniem.

Liście szeleściły pod jej stopami, a latarka oświetlała niewielki kawałek lasu. Nagle usłyszała gardłowe warczenie. Gwałtownie rozejrzała się wokół, ale nic nie dostrzegła. Warkot powtórzył się, a po nim rozległ się trzask łamanej gałęzi.

Magda jedną ręką rozwiązała tasiemkę na woreczku z suszonymi ziołami, wciąż nie wyjmując go z kieszeni, potem chwyciła garść soli. Dłoń coraz mocniej zaciskała się na łomie.

– Won! – usłyszała nagle.

– Mateusz? – zapytała, świecąc latarką wokół.

– Magda? Uważaj, te psy...

Zanim skończył mówić jeden z ogarów wyszedł z cienia i stanął naprzeciwko dziewczyny. Jego czerwone ślepia gorzały nienawiścią. Łeb trzymał nisko, obnażając wszystkie zęby. Kroczył ku niej powoli na długich łapach, a po chwili sprężył się do skoku.

Magda uderzyła łomem, jednak nie trafiła. Straciła równowagę i poleciała na ziemię. Zaskoczony pies wylądował na czterech łapach tuż przy niej. Dziewczyna – niewiele myśląc – sięgnęła do kieszeni

i wyjęła z niej garść soli, którą rzuciła prosto w wielki pysk. Pies zaskomlał, zaczął trzeć łapami łeb i tarzać się w liściach. Magda zerwała się na nogi i wbiła mu łom między żebra. Nawi zawył i znikł.

Jednak zanim dziewczyna zdołała wyszarpnąć łom z ziemi, usłyszała kolejny warkot. Wypuściła broń z rąk i sięgnęła do drugiej kieszeni. Sypnęła ziołami w kolejnego psa, który z wyciem odbiegł w las.

– Mateusz?!

– Tutaj. – Z olbrzymią ulgą ujrzała w końcu w ciemnościach potężną sylwetkę chłopaka. Wstąpiły w nią nowe siły.

– Trzymaj. – Wcisnęła mu w rękę gałąź szakłaku. – Jakby jakiś się jeszcze pojawił, dziel go tym.

– Tym? – zapytał z niedowierzaniem, spoglądając na gałązkę nie grubszą niż palec.

– To gałąź z drzewa szakłaku. Pomoże – odparła, odwracając się od Mateusza i świecąc latarką po ciemnych pniach drzew.

– Jak niby ma mi...

Nagle Magda usłyszała szelest liści i poczuła, jak Mateusz odsuwa się od niej. Rozległ się świst cienkiej gałązki i bolesny skowyt.

– To działa! – stwierdził odkrywczco chłopak.

– No co ty nie powiesz – mruknęła, zwracając snop światła w miejsce, gdzie przed chwilą uciekł ogar.

– Szakłak parzy nawich, gdy tylko ich dotknie. Gdzie dziki myśliwy?

– Ten facet na koniu? Nie wiem... ja...

Magda oparła się dłonią o pień drzewa i poczuła pod palcami coś gęstego i lepkiego.

– Co jest, do diabła? – Poświeciła latarką na rękę umazaną czymś czarnym.

Przesunęła słupek światła po otaczających ją pniach. Wszystkie były pokryte czarną mazią.

– Wracamy do samochodu – zdecydowała w końcu i powoli, wciąż nasłuchując, ruszyła przed siebie.

Mateusz zrobił krok za nią, ale nagle przyklęknął na ziemi.

– Co jest? – Magda odwróciła się w jego stronę.

Najpierw oświetliła jego bladą, lekko zdziwioną twarz, a potem przesunęła snop światła niżej, na jego zakrwawione dłonie.

– Jesteś ranny? – Przypadła do niego.

– Nie wiem...

Magda oświetliła go latarką i już po chwili ujrzała dziurę w spodniach na łydce. Materiał wokół niej był przesiąknięty krwią.

– Niech to! – sapnęła i rozejrzała się bezradnie. – Nie możemy tak iść do samochodu. Jeśli zostawisz za sobą krwawy ślad, myśliwy nas znajdzie.

Jednym ruchem odwiązała z szyi kolorową chustkę i zawiązała ją na łydce Mateusza, który syknął z bólu.

– Ciesz się, że tylko tak cię załatwił. No już, w górę.

Pomogła mu stanąć i zarzuciła sobie na barki jego ramię.

– Chodźmy, zanim wróci. Masz szakłak?

– Ten patyk? Tak.

Droga przez las zajęła im sporo czasu. Mateusz ledwo szedł, a pod Magdą uginały się nogi. Przystawali co chwilę, aby odpocząć i nasłuchiwać, czy dzikie psy nie wrócą. Oboje drżeli nerwowo za każdym razem, gdy usłyszeli jakikolwiek szelest. Z olbrzymią ulgą powitali widok stojącego na poboczu samochodu.

Magda wyjęła kluczyki spod kłody, posadziła Mateusza na siedzeniu pasażera, a sama usiadła za kierownicą, starając się uspokoić kołoczące serce. Przez chwilę siedzieli w milczeniu.

– Magda? Co to było? – zapytał Mateusz, przerywając ciszę. – Nic nie widziałem, dopóki tuż przede

mną nie pojawił się ten facet na koniu, a potem ocknąłem się w środku lasu.

Dziewczyna powoli spojrzała na chłopaka. Wpatrzyła się w jego bladą twarz i oczy, które w tej chwili wydawały się zupełnie czarne.

– Dziki myśliwy – odparła cicho. – Ja myślałam, że to ściema... Że on wcale się tak nie zachowuje... Ktoś musi opatrzyć twoją ranę.

– Nie musi, nie jest aż tak źle – zapewnił słabo. – A poza tym, co powiedzielibyśmy na pogotowiu?

– Nie mówiłam o pogotowiu. Jeśli zranił cię myśliwy albo użarł któryś z ogarów, zwykły lekarz może nie być w stanie pomóc.

Mateusz rozszerzył oczy.

– Oczywiście mogłeś zaczepić o jakąś gałąź, ale mimo wszystko nie chcę ryzykować – skłamała, usiłując go pocieszyć.

Uśmiechnęła się słabo, mając nadzieję, że chłopak nie wyczuje jej paniki.

Magda odpaliła silnik i ruszyła. Już wiedziała, do kogo udać się po pomoc. *Choć wcale nie będzie łatwo* – przemknęło jej przez myśl.

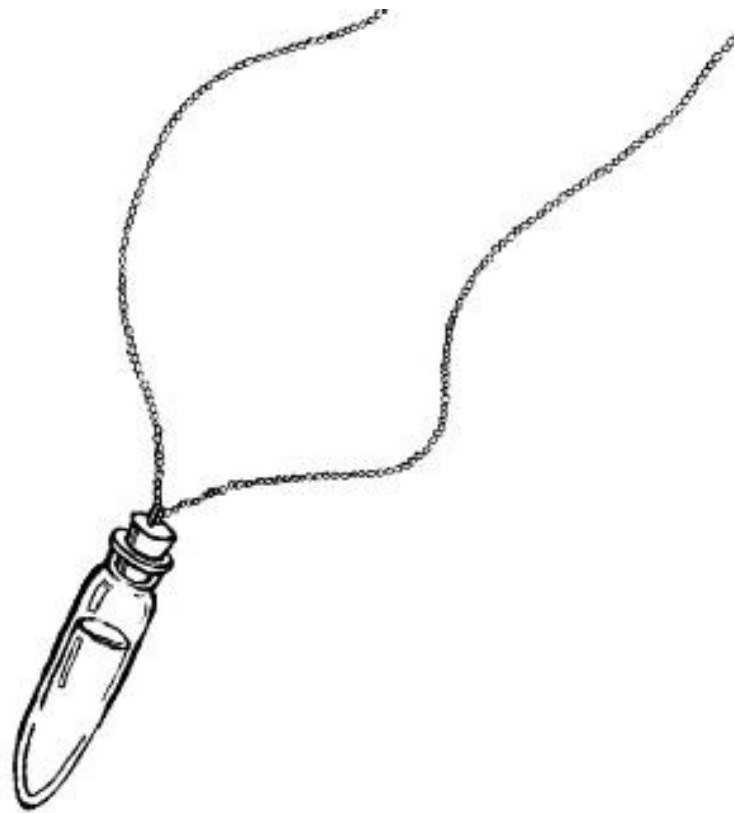
Zerknęła na zegarek. Pierwsza w nocy. Trochę późno, ale byli przecież w sytuacji kryzysowej.

– Gdzie jedziemy? – zapytał Mateusz.

– Do człowieka, który nam pomoże – odparła, na moment odrywając wzrok od ciemnej drogi. Jej towarzysz zdawał się blednąć z każdą chwilą, a gdy spojrzała na niego ponownie kilka minut później, miał przymknięte oczy, a szczękę mocno zaciśniętą.

– Wytrzymaj jeszcze trochę – szepnęła.

# Rozdział 8



Magda jechała nieprzepisowo. I to bardzo, ale zależało jej na czasie, bo obawiała się, że w żyłach Mateusza właśnie krąży trucizna. Nieustannie przekraczała prędkość i dwa razy przejechała skrzyżowanie na czerwonym świetle. Po dwóch godzinach zatrzymali się wreszcie przed niewielkim, zaniedbanym domkiem w miasteczku zwanym Czarną Wodą.

– Mateusz? – szepnęła, potrząsając jego ramieniem. – Jesteśmy na miejscu.

– Na miejscu? – powtórzył, wyglądając przez okno. – Jesteś pewna?

– Chodź. – Wysiadła z samochodu i otworzyła drzwi od strony pasażera. – Ostrożnie.

Stanęli na koślawym chodniku przed zmurszałym płotem.

– Magda, ja nie wiem... – zawahał się Mateusz. – Powinienem wracać do domu.

– Chodź i nie narzekaj. – Niemal siłą pociągnęła go w stronę furki, którą otworzyła kopnięciem, a gdy przez nią przeszli, także zamknęła ją stopą.

Przez zaniedbany ogród prowadziła wąska, wyłożona płytami ścieżka.

– Czasem mógłby skosić trawę – mówiła nieco nerwowo Magda, ciągnąc za sobą kulejącego chłopaka.

– Waldemar jest dość specyficzny – dodała głośniej – ale jestem niemal pewna, że w głębi duszy to naprawdę dobry człowiek.

Zapukała do podniszczonych drzwi pokrytych łuszczącą się farbą. Oczekała kilka sekund, a gdy nic się nie stało, zapukała ponownie.

Mateusz coraz bardziej się chwiał, jakby zaraz miał runąć na ziemię.

Magda nabrała duży haust powietrza i kilka razy łupnęła w drzwi pięścią.

W środku domku rozległ się hałas, a tuż za nim poleciała wiązanka kwiecistych przekleństw.

– Czy ci już zupełnie odbiło?! – rozległo się zza drzwi, w których, sądząc po odgłosach, ktoś właśnie przekręcał kolejne zamki. – Daj mi wreszcie spokój...

Magda i Mateusz spojrzeli po sobie. Ona z przepaszającym uśmiechem, on jakby żałował, że dał się wciągnąć w całą tę historię.

A przecież sam nalegał, żeby jechać.

– Nie ścigają cię żadne hordy piekielne! Jesteś po prostu schizofrenikiem! – Drzwi otworzyły się gwałtownie, a pierwsze co dwójka przyjaciół dostrzegła, to uniesiony wysoko pogrzebacz.

Trzymał go niski, szczupły mężczyzna ubrany w poplamiony podkoszulek i paskudne spodenki. Na widok przybyszów zmarszczył brwi i przyjrzał się im bliżej, mrużąc oczy – pogrzebacza nie opuścił.

– Dobry wieczór. To ja, Magda – odezwała się dziewczyna, ale mężczyzna wciąż przypatrywał się jej badawczo.

Potem przeniósł spojrzenie na Mateusza.

– Na Boga! Panie Waldemarze! – wybuchła w końcu Magda. – To ja i mój przyjaciel. Potrzebujemy pańskiej pomocy.

– Feliks?

– Nie, Mateusz.

Mężczyzna wciąż się wahał, ale dziewczyna po prostu zrobiła krok w jego stronę tak, że musiał cofnąć się w głąb przedpokoju.

– No dobrze już – mruknął. – Po co te nerwy? Chodźcie do salonu.

W domu śmierdziało stęchlizną, niepranymi ubraniami i przypalonym obiadem. Ciemny korytarz o brudnych ścianach oświetlała tylko jedna goła żarówka. Magdzie coś chrupnęło pod butem, ale jakoś nie miała ochoty sprawdzać, co to było.

Weszli do salonu, który prezentował się tylko odrobinę lepiej niż przedpokój. Tapety, podobnie jak

brązowa meblościanka i tandetny żyrandol, pamiętały jeszcze czasy komuny, a spod dywanu wystawało zielonkawe linoleum.

Magda posadziła Mateusza na starej wersalce i odwróciła się do Waldemara, który stanął w drzwiach.

– Żniwiarz? – zapytał, zapalając papierosa.

– Nie, człowiek. Zaatakował go dziki myśliwy.

– Myślałem, że on nie atakuje ludzi.

– Ja też – mruknęła dziewczyna. – Zajmie się pan nim?

Waldemar powoli skinął głową, a potem podszedł do Mateusza.

– Jak tam się trzymasz, chłopcze? – zapytał, odwiązuując chustkę z jego nogi.

– A jak wyglądam? – zapytał ponuro Mateusz.

– Żarty się go trzymają. – Waldemar z uśmiechem odwrócił się do Magdy. – Czyli nie jest źle. Podaj mi nożyczki, dziecko.

Magda bezradnie rozejrzała się po pokoju.

– Na stole – westchnął Waldemar.

Dziewczyna podeszła do stołu i zaczęła przesuwać śmieci, stare gazety, jakieś szmaty i brudne talerze, aż w końcu jej palce zacisnęły się na nożyczkach.

– Mam nadzieję, że to nie były markowe spodnie – powiedział gospodarz i rozciął porwaną i zakrwawioną nogawkę, nim Mateusz zdążył zaprotestować. – No ładnie, mnie to wygląda na psie zęby. Nieźle cię załatwiły te przekłete dranie. Mam nadzieję, że nie miały wścieklizny, co? – zerknął na Magdę.

– Przecież to były diabelskie psy. Wątpię, żeby miały wściekliznę, ale coś innego...

– Może trupi jad? – zasugerował Waldemar. Wciąż trzymając papierosa w ustach, z akademickim zainteresowaniem przyglądał się ranie na łydce Mateusza, który nagle poszarzał na twarzy. – Nie martw się, gdyby to był naprawdę trupi jad, już byś nie żył – zapewnił mężczyzna, klepiąc go w udo. – Tak przynajmniej mi się wydaje.

Magda skinęła głową.

– To ja pójdę umyć ręce czy coś – stwierdził Waldemar i wyszedł z pokoju.

– Co to za facet?! – syknął Mateusz, podnosząc się nieco na wersalce, tak jakby chciał stąd uciec. – Mogliśmy już jechać na to pogotowie, coś byśmy im ściemnili!

– Spokojnie, Waldemar to prawdziwy lekarz. Ma papiery i wszystko...

Lecz Mateusz wcale nie wyglądał na uspokojonego. Magda mogłaby przysiąc, że nawet odrobinę zzieleniał na twarzy.

– To znaczy miał papiery, zanim go zwolnili – dodała ciszej dziewczyna.

– Zwolnili?! Za co?

– Za bycie nieuprzejmym wobec pacjentów.

Waldemar wrócił i na stoliku obok wersalki zaczął rozkładać różne przedmioty. Kiedy skończył, wyprostował się i z zadowoleniem kiwnął głową, a potem nalał wódkę do kieliszka, który opróżnił jednym haustem.

– No i picie – dodała bezgłośnie Magda, po czym uśmiechnęła się przepraszająco.

Mateusz ze świstem wypuścił z płuc powietrze.

Waldemar ponownie napełnił kieliszek i wyciągnął go w stronę Magdy.

– Jestem kierowcą. – Pokręciła głową.

– No i? Co to szkodzi? – Mężczyzna wzruszył ramionami, po czym wcisnął kieliszek Mateuszowi. – Ty nie kierujesz, więc nie protestuj. Masz szczęście, że ostatnio zamówiłem nici chirurgiczne, bo inaczej musiałbym użyć wędkarskiej żyłki. Daję słowo, ten Internet to jedyna dobra rzecz w tych czasach. – Zaczął rozrywać opakowanie z nićmi.

– Może założy pan rękawiczki? – zasugerowała Magda.

Waldemar spojrzał na nią krytycznie.

– Dziecko, czy ja wtrącam się i mówię wam, jak mordować upiory? – zapytał niemal uprzejmie. – Nie?

A więc siadaj na fotelu i trzymaj tę śliczną buźkę zamkniętą.

– Trupi jad – powiedziała Magda, siadając.

Lekarz zawahał się, ale po chwili założył jednorazowe rękawiczki.

– Niech ci będzie. Przynajmniej się niczym nie zarazę.

Mateusz jęknął cicho i nieznacznie odsunął się od lekarza.

– A ty mi nie uciekaj. – Waldemar złapał go za nogę. – Nie ma sensu, żebym dawał ci znieczulenie.

To tylko kilka szwów, przeżyjesz.

Magda już otworzyła usta, żeby zaprotestować, ale lekarz uniósł ostrzegawczo wskazujący palec.

– Co ci mówiłem? – odezwał się, nawet na nią nie patrząc. – Masz siedzieć cicho. Te znieczulenia kosztują, a poza tym nie są wcale takie bezbolesne. Duży chłopak jesteś. I widzę, że masz na sumieniu niejedno. – Wskazał brodą blizny po oparzeniach na przedramieniu Mateusza.

Chłopak gwałtownie zsunął rękawy bluzy, zasłaniając ślady oparzeń.

– No i czego się krygujesz? Każdy jako dzieciak bawił się ogniem.

Magda przymknęła oczy, mając nadzieję, że Waldemar nie będzie ciągnął tematu.

– Mam znajomego, który mając trzy lata, wylał na siebie wrzątek – ciągnął Waldemar, pryskając jakimś sprejem na ranę Mateusza. – Cały oblażł ze skóry, na ramionach i klatce piersiowej. Teraz wciska dziewczynom, że jako dorosły facet ratował dziecko z pożaru.

Magda złapała się za czoło, zastanawiając się, jak przekazać lekarzowi, że to delikatny temat, ale na nic nie wpadła, a Waldemar ciągnął kolejne opowieści o poparzeniach, przygotowując nić połączoną z wykrzywioną igłą oraz dwa imadła chirurgiczne.

– Ale najgorszy to jest plastik – kontynuował lekarz. – Taki mocno rozgrzany potrafi wtopić się w ludzką skórę...

Magda dyskretnie przysunęła fotel do wersalki na tyle, aby mogła przypilnować, by lekarz nie zrobił krzywdy jej chłopakowi.

Mateusz zaś z mocno zaciśniętą szczęką, głuchy na opowieści lekarza, wpatrywał się w zaszywaną ranę.

– No, wystarczy! – ocenił Waldemar, wyjmując z ust resztki papierosa. – A te dwie mniejsze zakleję ci stripami.

– Czym? – zapytał nieco nieprzytomnie chłopak.

– Paskami do zamykania ran. Są tańsze, a też dobrze trzymają.

Uwinął się z nimi w minutę, a po skończonej pracy zdjął rękawiczki, które rzucił w kąt pokoju i ponownie napełnił wódką dwa kieliszki, jeden podając swojemu pacjentowi.

– Żeby się dobrze goiło! – Uniósł kieliszek w górę, a potem go opróżnił. – A, zapomniałbym. Masz krew świętego Jana? – zwrócił się do Magdy.

– Co? – zapytał Mateusz, ale został zignorowany.

– Nie mam. – Magda pokręciła głową.

– I że niby mam z własnych zapasów...?

– Jak będę miała chwilę, to przywiozę panu nową – obiecała znużona Magda.

– Niech ci będzie, ale tylko dlatego, że cię lubię. W przeciwieństwie do twojego pieprzonego wujka.

– Waldemar wyjął z szafki szklaną butelkę pełną przeźroczystego płynu.

– Teraz przedstawiam go jako mojego kuzyna – poprawiła odruchowo Magda.

– Co go załatwiło?

– Upiór i trupi jad – odparła z odrobiną mściwej satysfakcji.

Waldemar z obrzydzeniem wytarł ręce o spodenki, a potem napełnił jeden kieliszek płynem z butelki.

– Nie chcę już wódki – mruknął Mateusz.

– To nie wódka. Tego, chłopcze, nie uczą w żadnej szkole medycznej. A powinni – dodał, kiwając głową. – Kiedy kończyłem medycynę, nikt mi nie mówił, że bywają rany gorsze od tych, które zdarzają się na ostrym dyżurze. Pij.

Mateusz wychylił kieliszek.

– To tylko woda – powiedział zdziwiony.

– Woda wielkanocna wymieszana z krwią świętego Jana – poprawił lekarz. – Choć jest brudna, z bakteriami i zarazkami, może wyleczyć rany zadane przez te przekłete upiory. Szkoda, że nikt mi o tym nie powiedział, jak zaczynałem praktykę. Może bym uratował tamto dziecko...

– Przecież Feliks już panu tłumaczył, że na trupi jad nie ma lekarstwa – powiedziała Magda.

– A powinno być – mruknął Waldemar, po czym bezceremonialnie wylał trochę wody z butelki na rany Mateusza.

Chłopak syknął nieco zaskoczony i opuścił obie stopy na podłogę.

– My chyba powinniśmy już jechać, co? – Spojrzał błagalnie na Magdę.

Dziewczyna kiwnęła głową, choć nie miała pojęcia, jak powinna odstawić go do domu, ani co powiedzieć jego wujostwu.

– Poczekaj, dam ci jeszcze coś przeciwbólowego. – Waldemar wyjął z szafki pudełko z tabletkami i podał mu dwie. – A my powinniśmy się rozliczyć – zwrócił się do Magdy. – Oczyszczyłem mu rany, zszyłem, zakleiłem plastrami, dałem własną wodę...

– Oj nie, panie Waldemarze. – Dziewczyna pokręciła głową. – Nie tym razem.

– Niby dlaczego nie?! – oburzył się. – Usługa lekarska jak każda inna, tylko bez kłopotliwych pytań!

– Czyżby zapomniał pan już, jak rok temu Feliks zabił zmore, która męczyła pana prawie co noc?

Pomijając kwestię zaopatrywania pana w krew świętego Jana, wodę wielkanocną i suszone zioła.

Waldemar skrzywił się lekko.

– Miałem nadzieję, że nie powiedział ci o tej zmorze – mruknął zawiedziony.

– Przykro mi. – Uśmiechnęła się nieznacznie.

– Ten Feliks ma szczęście, że cię ma. – Lekarz również się uśmiechnął. – Ja nie wiem, jak on żył przed twoimi narodzinami.

– Z trudem. Mateusz?

Odwróciła się do przyjaciela, ale ten leżał na wersalce pogrążony w głębokim śnie.

– Mateusz? – Potrząsnęła jego ramieniem. – Co pan mu podał?!

– Tabletki nasenne. – Waldemar wzruszył ramionami. – Taki byczek, to dałem mu od razu dwie. I tak długo wytrzymał. Myślałem, że szybciej go poskłada.

– Ale dlaczego? – jęknęła Magda. – Jak ja mam zapakować go teraz do samochodu?

– Wcale. – Waldemar podszedł do stołu i odszukał na nim niedojedzony kawałek pizzy, który wsunął do ust i zaczął przeżuwać. – Nie wiem, co wy dzisiaj razem robiliście, ani po co ciągnęłaś go na polowanie, ale widziałas, jak ten chłopak wygląda? Jest poobijany, jakby cały ten myśliwy włókł go po ziemi przez dobrych kilka kilometrów.

Magda ponownie spojrzała na Mateusza pogrążonego we śnie.

– No trochę go sponiewierało... Ale to nie moja wina! Nie mogłam się spodziewać diabelskiej jachty! I sam chciał jechać. A poza tym te rany nie są aż takie poważne – dodała, próbując się usprawiedliwić.

– Wy to w ogóle nie macie sumienia – stwierdził Waldemar i wyszedł do kuchni.

– Słucham?! – Magda podreptała za nim. – I to mówi pan?!



– Kawy? – Lekarz wstawił czajnik na kuchenkę. – Wcześniej nic o nim nie słyszałem, więc mogę chyba założyć, że znacie się dopiero od niedawna, tak?

Magda niechętnie skinęła głową.

– A więc też dopiero wciągnęliście go do tego swojego świata... – kontynuował Waldemar, sypiąc kawę do kubków.

– To nie my, to był przypadek – odparła Magda, nagle zdając sobie sprawę, że stało się to zaledwie przed dwoma dniami. – Ratowałam jego kuzyna przed bezkostem.

– Jeszcze lepiej – mruknął mężczyzna. – Dziwię się, że ten chłopak chce jeszcze z tobą rozmawiać. Bo ja na przykład, gdybym na samym początku znajomości z wami wiedział, co mnie czeka, w życiu nie wpuściłbym was do mojego domu.

– Niech pan nie przesadza. – Magda z rezygnacją opadła na krzesło. – To nie nasza wina, że pana pacjenta dręczył upiór. A Feliks pomógł.

– Szkoda tylko, że nie tamtemu chłopakowi. Ale ty byłaś wtedy za młoda, żeby w tym uczestniczyć.

– I uważa, że nadal jestem.

– I ma rację. Pamiętaj, że nie jesteś nieśmiertelna. Ani ty, ani twój przyjaciel. – Waldemar zerknął na ścianę, za którą spał Mateusz. – Ostatnie, czego dziś jeszcze potrzebował, to jazda samochodem do domu, gdzie, nie daj Boże, jego rodzice zaczęłyby się wypytywać, co się stało.

– On nie ma rodziców – mruknęła Magda, a potem przy gorącej i mocnej kawie opowiedziała lekarzowi historię Mateusza, czując przy tym lekkie wyrzuty sumienia, że zdradza cudzą tajemnicę.

– No, to wiele wyjaśnia – uznał Waldemar, gdy jej wysłuchał.

– Słucham?

– Chłopak czuje się winny, więc karze teraz samego siebie. I jest gotów ryzykować życie w starciu ze stworami, których nawet nie rozumie, bo uważa, że powinien być zginąć razem z dziadkami.

Magda nic nie odpowiedziała, tylko zapatrzyła się w kubek z zimną już resztką kawy. Stary lekarz potrafił jednak dobrze odgadnąć, co kieruje ludźmi. Od kilku dni ona sama zastanawiała się, dlaczego właściwie Mateusz chce jeszcze ją znać. Nie dziwiło jej to, kiedy jeszcze myślał, że jest normalną dziewczyną. Ale teraz? Nie dość, że nie zerwał z nią kontaktu, to jeszcze z własnej woli chciał jej pomóc w walce z martwcem. Teraz już wiedziała, dlaczego.

– Ale trzeba mu przyznać, że twardy z niego zawodnik. – Waldemar wyrwał ją z zamyślenia.

– Czyli uważa pan, że powinnam zerwać z nim kontakt i pozostawić go w świecie bez nawich? – zapytała po chwili Magda.

– Dziecko, ty mnie w ogóle nie słuchasz – westchnął Waldemar. – Jedyne, co chciałem ci powiedzieć, to to, że ten chłopak potrzebuje porządnego snu w miejscu, gdzie nikt nie będzie zadawał mu zbędnych pytań. A co będziecie robić potem, razem ścigać upiory, zmory, czy inne cholerstwa, to już wasza sprawa. Nie jestem psychologiem. Możliwe, że wypędzanie duchów mu pomoże, ale daj mu choć trochę odsapnąć.

– Ma pan rację – przyznała Magda, kończąc kawę.

– Jak zwykle.

– Nie sędzę – odparła, wstając z krzesła.

– A ty dokąd?

– Muszę powiadomić jego wujostwo, dlaczego nie wrócił na noc do domu.

– A to jest akurat proste. Jest w końcu z dziewczyną, co nie? – Waldemar puścił do niej oko, na co Magda się zaczerwieniła.

Mateusz nadal twardo spał na wersalce. Wyjęcie telefonu z kieszeni jego bluzy nie stanowiło więc żadnego problemu.

Magda odblokowała go i ujrzała na wyświetlaczu dwa nieodebrane połączenia od jego cioci oraz smsa od wujka: „I jak? O której wracasz?” Do tego dodał buźkę puszcającą oko.

– Nie wierzę – powiedziała cicho.

*Co im napisać?* – zastanawiała się, a po chwili uznała, że Waldemar miał rację. Wymówka, że jest z dziewczyną, będzie najlepsza. I nawet nie było to kłamstwem, tylko pominięciem prawdy, że razem przepędzali martwca, a potem napadł na nich dziki myśliwy.

„Jestem z Magdą” – napisała. – „Pomogłem jej w przeprowadzce, a teraz rozmawiamy. Nie wiem, o której będę.”

– Jestem okropnym kłamcą – mruknęła, naciskając „wyślij”. – I nie wiem, jak ja spojrzę jego cioci w oczy.

Ponownie zerknęła na Mateusza pogrążonego we śnie.

– Przepraszam, że cię w to wciągnęłam – szepnęła.

Wzięła z fotela lekko zatęchły koc i przykryła nim chłopaka.

– Dobrych snów – powiedziała i pocałowała go w czoło.

W podłym nastroju wróciła do kuchni.

– Gdzie mogę spać? – zapytała.

– Na górze, pierwsze drzwi po prawej – odparł Waldemar.

– Dziękuję – odpowiedziała.

– Magda? – powiedział lekarz, zatrzymując ją w drzwiach.

– Tak? – Spojrzała na niego przez ramię.

– Ja się na tym nie znam, ale z tego, co kiedyś usłyszałem od Feliksa... Skoro chłopak zobaczył bezkosta, prędzej czy później i tak zacząłby zauważać te rzeczy. To nie twoja wina. Ma szczęście, że wchodzi w ten świat, mając ciebie u boku. A ta łydka to nic, przewróciłby się na szkło i miałby gorszą ranę.

– Dzięki, doktorze. – Uśmiechnęła się smutno. – Dobranoc.

Wspięła się na piętro i odszukała łazienkę. Odkręciła wodę w kranie i wsunęła dłonie pod ciepły strumień. Dopiero teraz zauważyła, że na palcach ma resztki czarnej mazi, którą były usmarowane drzewa w lesie.

– Co to było? – zastanowiła się, szorując dłonie mydłem.

Gdy doprowadziła się do porządku, poszła do pokoju i w ubraniach położyła na łóżku, przykrywając się starym kocem.

*Gdzie podział się dziki myśliwy?* – zastanawiała się, przysypiając. *A jeśli ta maź to były resztki po nim? Co mogło tak go załatwić?*

¢

Feliks przysiadł na krawężniku i czekał. Cała ulica cuchnęła zmorą. W takie noce, gdy potwór wychodził z ukrycia w poszukiwaniu krwi, człowieka ogarniały ciarki, zwierzęta się niepokoiły: psy chowały się w budach, bydło milkło w oborach, a koty zaprzestawały szwendania się po cudzych ogródkach. Nawet najbardziej nieczuła na nawich osoba wiedziała, że coś jest nie tak.

Było po północy, kiedy w ciemną uliczkę skręciło kilku rozbawionych imprezowiczów. Nagle zamilkli i przyspieszyli kroku, jakby podświadomie chcieli znaleźć się jak najdalej od tego miejsca. Choć Feliks był sam, zeszli na drugą stronę ulicy, żeby nie przechodzić tuż obok niego.

Wtem żniwiarz zobaczył jasny kształt w oddali. Imprezowicze mijali go w pośpiechu, w ogóle go nie

widząc.

– Czekałem na ciebie – powiedział Feliks, nożem przecinając sobie skórę na ramieniu.

¢

– Jeszcze raz, co robiliśmy wczoraj? – zapytała kierująca samochodem Magda.

– Wypędziliśmy... Jak ty go nazywasz? A, martwca – odparł Mateusz. – Potem napadł na nas dziki myśliwy z diabelską jachtą i poniósł mnie na północ...

– To nie jest zabawne – warknęła. – Co powiesz swojemu wujkowi?

– Pomagałem ci w przeprowadzce – odparł wyuczonym tonem. – Potem pojechaliśmy za miasto na taką wysoką górę, skąd było widać mój dom. Widok był niesamowity. Ale tobie wypadł telefon, więc skoczyłem naprzód, żeby go ratować, osunąłem się w dół i trafiłem na szkło. W ogóle co za ludzie mieszkają w Wiatrołomie i w takich romantycznych miejscach robią wysypiska śmieci... No i pocięło mi łydkę, więc zawiozłaś mnie na pogotowie. A że nie chciałem martwić cioci, to postanowiłem zostać u ciebie na noc i dopiero dziś na spokojnie wszystko im wyjaśnić.

Magda z aprobatą skinęła głową i skrzyła w lewo.

– Sama bym w to uwierzyła – uznała.

– A ten lekarz nie wścieknie się, że nie zapłaciliśmy mu za usługę? – zapytał Mateusz.

– Jak już mówiłam, to dobry człowiek, choć dość szorstki w obyciu. A poza tym zostawiłam mu na stole pięćdziesiąt złotych. Jak będzie robił porządki w tym swoim chlewie, to je znajdzie. Gdzie cię zostawić? Pod domem?

Mateusz zastanawiał się przez moment.

– Pod domem – oceniła Magda. – Przecież ledwie chodzisz.

– Bo to było ostre szkło. I miało wiele zębów – zażartował Mateusz, za co zgromiła go spojrzeniem. – Oj nie denerwuj się. Nic mi nie będzie, jutro już będę normalnie chodził. Powiesz mi, co znaczy: „przed roznoszeniem mleka”?

– Słucham?

– Wujek przecież kazał mi wczoraj wracać przed roznoszeniem mleka.

– Ach, to. Myślałam, że wszyscy tak mówią.

– Nie sądzę.

– Kiedyś roznosili w Wiatrołomie mleko między piątą a szóstą rano.

– Aha, więc jestem trochę spóźniony. – Mateusz zerknął na zegarek.

– Nie martw się, ja też – odparła Magda. – Ale mam wrażenie, że ani twoje wujostwo, ani moi rodzice nie będą nam robić z tego powodu wyrzutów.

Zaparkowała samochód przed garażem Mateusza.

– Dziękuję ci za pomoc – powiedziała, kiedy wysiedli. – I przepraszam za to. – Zerknęła na przeciętą nogawkę jego spodni, spod której wystawał bandaż.

– Nie ma problemu, a tym się nie przejmuj. – Objął ją ramionami i przyłożył policzek do jej głowy. – Naprawdę cieszę się, że cię spotkałem – powiedział, po czym pocałował ją w czoło.

– Ja też – szepnęła Magda, czując jak jej tętno przyspiesza, a na policzkach wykwitają rumieńce. – Wypocznij dobrze i uważaj na te rany – dodała, nie mogąc się powstrzymać.

– Dobrze – odparł Mateusz, uśmiechając się pod nosem. Magda jeszcze raz, choć na sekundę przywarła do niego, a potem szybko odeszła, mając nadzieję, że nie spotka przypadkiem jego wujostwa.

Odetchnęła dopiero, gdy znalazła się ulicę dalej i wtedy niemal zderzyła się z Alekssem.

– Co ty tu robisz?! – naskoczyła na niego.

– Wracam ze szkoły, wcześniej skończyliśmy lekcje – odparł nieco zaskoczony chłopak. – A ty?

– Odwiozłam Mateusza do domu – powiedziała cicho.

Aleks uśmiechnął się pod nosem.

– Co się tak cieszysz? – warknęła.

– Nie, nic, tylko dziś przy śniadaniu tata mówił, że Mateusz to... to taki obrotny chłopak.

Magda przymknęła oczy, mając nadzieję, że zaraz zapadnie się pod ziemię.

– Ale ja wiem, co wy robiliście – powiedział rezolutnie chłopiec.

– Tak?

– Walczyliście z upiorami. Takimi jak tamten na torowisku.

– Aha. Może zatrzymaj to dla siebie i nie mów nic rodzicom, dobrze?

Aleks pokiwał głową.

– Widziałeś jakichś nawich ostatnio? – zagadnęła, przypominając sobie słowa Mateusza, że chłopiec wciąż ma koszmary.

– Znaczą upiory, duchy i inne stwory? – zapytał, rozglądając się nerwowo. – Nie wiem. Kiedy jest ciemno mam wrażenie, że wszędzie czają się takie potwory, jak ten na torowisku. Mateusz mówi, że tylko mi się wydaje, że nie ma ich na świecie aż tyłu, żebyśmy wciąż je widzieli.

Magda uśmiechnęła się.

– Nie przejmuj się. To normalne, że wszędzie się ich doszukujesz.

– Czy to prawda, że będę widział je już do końca życia?

Dziewczyna pokiwała głową.

– Ale nie martw się, to nie jest takie straszne – zapewniła. – A w razie czego wiesz, gdzie szukać pomocy – powiedziała i puściła do niego oko. – Wpadnij kiedyś do mnie, dam ci zioła odstraszające nawich. Wiesz, gdzie Feliks i ja mieszkamy?

– Każdy wie. – Uśmiechnął się słabo chłopiec.

– To do zobaczenia.

– Cześć. – Nastolatek poprawił wypchany plecak i minął ją.

*Skubany! Szybko doszedł do siebie – pomyślała Magda. Co prawda skończyło się to dla niego koszmarami, ale przynajmniej nie wylądował w psychiatryku.*

Niektórzy ludzie, w szczególności ci młodzi, w zaskakującym tempie potrafią przejść do porządku dziennego nad takimi rzeczami, jak istnienie nawich.

– Albo to u nich po prostu rodzinne – mruknęła do siebie.

Minęły zaledwie trzy dni od wydarzeń na torowisku, a dwa od tego, gdy Mateusz był świadkiem śmierci Nadii, nie mówiąc już o poprzednim wieczorze. Trochę ją dziwiło, z jakim spokojem przyjęła to wszystko.

– Najwyraźniej muszę mu się bardzo podobać – powiedziała na głos, starając się nie myśleć o teorii Waldemara na temat Mateusza. Mimowolnie się uśmiechnęła. Dzień od razu wydał się ładniejszy i bardziej słoneczny.

– Jeśli nie ucieknie przed moją rodziną na jutrzejszym grillu, to znaczy, że jest tym jedynym – rzuciła pół żartem, pół serio.

Do księgarni dotarła spóźniona o kilka godzin, ale wystarczyło, że wspomniała tylko o Mateuszu, a mama przestała jej suszyć głowę.

Potem zadzwoniła do Feliksa, ale ten wciąż kręcił się po Brzeźnicy i nie bardzo chciał z nią rozmawiać.

Akurat tego dnia była dostawa i Magda znów musiała dźwigać ciężkie kartony z książkami. Wolała

zrobić to sama, bo od dłuższego czasu mama narzekała na kręgosłup.

Kiedy tylko poustawiały książki na półkach, mama wcisnęła Magdzie w rękę listę zakupów – tym razem prawdziwą – oraz kluczyki do samochodu i wysłała do sklepu.

Magda, wcale się nie spiesząc, zrobiła zakupy, zatrzymała się na pizzę i dopiero wtedy wróciła do księgarni.

– Gdzieś ty była tyle czasu? – naskoczyła na nią mama.

– Gdybyś nie planowała grilla dla całej armii, to może poszłoby mi szybciej – odgryzła się.

– Nie bądź taka cwana, wiem, że byłaś na obiedzie.

– Nic się przed tobą nie ukryje, co? – Dziewczyna pokręciła głową. – Możesz już iść do domu i zająć się tą toną jedzenia, ja zamknę księgarnię.

Do wieczora przyszło jeszcze tylko kilka osób, które wyłącznie się rozglądały, nic nie kupując. No i jeden licealista, który szukał „zielonej książki od biologii”.

– Szybko się obudziłeś – mruknęła Magda, pokazując mu kolejne „zielone książki od biologii”.

– Nauczycielka powiedziała, że jeżeli nie będę miał podręcznika, to mnie nie przepuści do następnej klasy – pozałił się. – To ta. Chyba.

– Powodzenia – powiedziała Magda, wydając mu resztę i paragon.

A kiedy tylko zadzwonił za nim dzwonek przy drzwiach, zabrała się do ścierania kurzy i zmiatania podłogi, żeby zamknąć równo o osiemnastej. Zamierzała odwiedzić Mateusza i sprawdzić, jak się czuje.

Droga przez miasto zajęła jej pół godziny. Szła przed siebie, podśpiewując cicho i wymachując torebką. Zagwizdała na wilczura, który zawzięcie obwąchiwał pień pobliskiego drzewa, ale pies – gdy tylko upewnił się, że to tylko podpucha i dziewczyna nie ma dla niego kawałka kiełbasy – postanowił ją zignorować.

Dom wujostwa Mateusza był duży, z wielkim ogrodem i garażem na dwa samochody. Gdy tylko minęła bramę, ujrzała Aleksa koszącego trawnik. Na jej widok wyłączył kosiarkę.

– Cześć! – Magda zawołała do niego. – Jest Mateusz?

– U siebie. – Machnął ręką do tyłu. – Musisz wejść przez garaż i schodami do góry.

– Dzięki.

Chłopiec skinął głową i na powrót odpalił kosiarkę.

Magda weszła do garażu i wspięła się po stromych, betonowych schodach.

– A więc to jest twoje królestwo – powiedziała głośno, stając w progu.

Mieszkanko nad garażem było w bardzo surowym stanie – nieotynkowane ściany, podłoga przykryta starym dywanem, obdrapana szafa, stary stolik i dwa krzesła. Aneks kuchenny też nie wyglądał najlepiej – była w nim jedynie mała lodówka i czajnik elektryczny stojący na stołku.

– Cześć. – Mateusz, mocno kuśtykając, wyszedł z łazienki. Ciemny bezrękawnik odsłaniał jego posiniaczone i podrapane ramiona.

Magda zajrzała do łazienki, którą najwyraźniej właśnie wykładał kafelkami.

– Nieźle – oceniła. – Ale powinieneś chyba zrobić sobie przerwę po wczorajszym, co?

Mateusz wzruszył ramionami.

– Nudziłem się. Nie potrafię siedzieć beczynnym.

– A jak twoja łydka? Nie wdało się zakażenie? Szwy Waldemara trzymają?

– Jest dobrze. Napijesz się czegoś? – zapytał i sięgnął do lodówki po sok.

– Co powiedziała twoja rodzina?

– Na szczęście ciocia nie chciała oglądać mojej nogi. Młody się dość nią interesował, ale kiedy tylko zobaczył te krzywe szwy, spuścił z tonu. A wujek wciąż puszcza do mnie oko i robi dziwne aluzje – dodał.

– Moja mama podobnie – odparła Magda, siadając na obdrapanym stołku.

Mateusz podał jej szklanę z sokiem.

– Słuchaj... Nie masz mi za złe, że cię w to wszystko wplątałam? – zapytała po chwili dziewczyna. –

Nie powinnam była pozwolić ci ze mną jechać.

– Daj spokój, sam chciałem. Może to było trochę głupie, bo w ogóle się na tym nie znam, ale to tylko moja wina.

– I tak cię przepraszam. A co twój wujek powiedział na rozbity zderzak?

– Nawet nie zauważył.

Mateusz wypił swój sok, odstawił szklanę na stolik i zerknął w stronę łazienki.

– Tuż przed twoim przyjściem rozrobiłem wiadro kleju, nie będziesz miała nic przeciwko, żebym skończył?

– Oczywiście, że nie. – Magda uśmiechnęła się, po czym przestawiła krzesło w pobliże drzwi od łazienki. – Nie przeszkadzaj sobie w pracy, a ja popatrzę, jak ci idzie.

Mateusz przez chwilę wyglądał, jakby nie wiedział, co zrobić z rękoma, a potem pokuśtykał do łazienki i pacnął niewielką porcję kleju na kafelek.

– Powiesz mi, jak szedł ten egzorcyzm? – zapytał, mocując płytkę do ściany. – Chciałbym go zapamiętać... Tak na wszelki wypadek.

– Oczywiście – odparła Magda, po czym zaczęła recytować. – Teraz twoja kolej.

– *Exorcizmus te* – zaczął.

– *Exorcizámos te* – poprawiła go.

– *Exorcizámos te, ómnis immúnde spíritus, ómnis satánic...*

– *Potéstas.*

– *Ómnis satánic potéstas, ómnis infernális adversáarii...*

– Nie jest źle – oceniła po wszystkim Magda. – Ale jak wpadniemy na jakiegoś martwca, pozwól, że to ja będę mówiła.

– A właściwie to dlaczego ten egzorcyzm jest po łacinie? – zapytał po chwili, przykładając do ściany poziomice.

Magda zamyśliła się.

– To nie jest chyba głupie pytanie? – Spojrzał na nią.

– Moja ciotka mówi, że nie ma głupich pytań, są tylko głupie odpowiedzi – odparła. – I nie, to pytanie nie jest głupie, ale nie jestem pewna, jak na nie odpowiedzieć. Ponoć kiedyś starzy żniwiarze znali egzorcyzmy w języku prasłowiańskim, które działały równie dobrze. Jednak młodszy żniwiarze, tacy jak Feliks, używają łacińskich egzorcyzmów, bo są im, jakby to powiedzieć... – Zastanowiła się. – Bliższe. A to z tego powodu, że na naszych ziemiach od tylu lat panuje chrześcijaństwo, choć co prawda jest ono wymieszane z dawnymi wierzeniami i demonami. Tak naprawdę jest wiele różnych wersji, ale każda ma taką samą moc. W pewnych przypadkach działa nawet modlitwa do Archanioła Michała, jak ci już wcześniej mówiłam.

Mateusz pokiwał głową.

– Oczywiście, mnóstwo ludzi zna ją na pamięć, ale mało kto wie, że to również egzorcyzm – kontynuowała dziewczyna. – Chodzi o to, że w każdym egzorcyzmie ważna jest forma, która skupia i porządkuje nasze myśli. A także naprowadza je na odesłanie stwora do Nawii.

Mateusz przez chwilę milczał i marszczył brwi, jakby porządkował w głowie wszystkie informacje, które właśnie usłyszał.

Magda, obserwując go, uśmiechnęła się do własnych myśli. Do całkiem niedawna była przekonana, że nigdy nie spotka chłopaka, który zaakceptowałby to, czym się zajmowała i wcale nie chodziło tu o pracę

w księgarni. Nie dość, że Mateusz wcale nie panikował na samą myśl o nawich – no dobrze, spanikował, ale tylko raz, na samym początku, gdy zobaczył bezkosta, ale miał do tego prawo – to jeszcze wydawał się być naprawdę zainteresowany egzorcyzmami.

– Podziwiam cię, że wiedząc o tym wszystkim, potrafisz wieść jeszcze normalne życie – powiedział w pewnej chwili.

– Aha – odparła ironicznie. – Połowa Wiatrołomu uważa mnie i moją rodzinę za dziwaków.

– Dobrze, że tylko połowa. Zawsze mogło być gorzej. – Uśmiechnął się.

– Uhm – mruknęła.

Mateusz spojrział na nią pytająco.

– Nie mówiłam ci jeszcze o mojej krótkiej przygodzie ze studiami? – zapytała.

Pokręcił głową.

– Gdy wyjechałam na studia, na początku było naprawdę w porządku – powiedziała. – Mieszkałam w akademiku, a moja współlokatorka, Klara, była świetną dziewczyną, potrafiłyśmy się dogadywać niemal bez słów. Poznałam mnóstwo ludzi, chodziłam na wykłady, czasem się z nich urywałam i już zaczęłam wierzyć, że mogę wieść normalne życie.

– Ale? – zapytał, gdy Magda urwała.

– W połowie pierwszego semestru pojechaliśmy z Klarą za miasto na imprezę do znajomych. Dobrze się bawiliśmy, towarzystwo szybko się spiło, a ja nie tknęłam alkoholu i zostałam okrzyknięta kierowcą. Dostałam kluczyki do samochodu i miałam odwieźć kilka osób do domów. Niestety, gdy jechaliśmy przez las, na drodze stanął nam wisielec. Było trochę ciężko, ale wypędziłam go. Większości pasażerom wmówiłam, że na drodze leżała gruba gałąź, którą musiałam usunąć i dlatego się zatrzymaliśmy. Jednak Klara nie była na tyle pijana, żeby w to uwierzyć. W akademiku zapytała, co się tak naprawdę stało. Więc jej wyjaśniłam i to był chyba błąd, bo zaczęła mnie unikać, a kilka dni później złożyła wniosek o przeniesienie do innego pokoju. Pozostała trójka pasażerów z tego pechowego kursu też omijała mnie szerokim łukiem. To było niczym choroba. Szybko rozprzestrzeniła się na innych i wkrótce wszyscy się ode mnie odsunęli, nawet nie wiedząc, dlaczego. Potem zaginęła jedna studentka. Nie było winnych, nikt nie rzucał oskarżeniami, ale wszyscy wiedzieli, że jakimś cudem byłam w to zaplątana. I nic dziwnego, bo tak naprawdę zabił ją bezkost, którego później pozbył się Feliks.

Mateusz ze zrozumieniem pokiwał głową.

– I pewnego dnia, wracając samotnie do akademika, stwierdziłam, że mam już tego wszystkiego dosyć – kontynuowała Magda. – Jeszcze tego samego popołudnia się spakowałam i wróciłam do Wiatrołomu.

– Przykro mi, że tak to się skończyło. – Mateusz złapał ją za dłoń i ścisnął delikatnie.

– A mnie nie. – Magda wzruszyła ramionami. – Jestem inna i nie mogę się oszukiwać, że jestem w stanie prowadzić normalne życie.

Magda do późna siedziała w mieszkanku nad garażem. Mateusz układał kafelki, a ona wciskała między nie krzyżyki. Na zewnątrz zapadł zmrok, ale w pokoju oświetlonym tylko żarówką było jasno i przyjemnie ciepło. I choć wszędzie fruwało mnóstwo pyłu, a krzesło było naprawdę twarde i niewygodne, ten wieczór mógłby trwać dla niej wieczność. Lecz już po ósmej Mateusz zaczął zdradzać oznaki zmęczenia. A gdy chciał przykleić jeden kafelek do góry nogami, Magda zarządziła koniec pracy.

– Daj sobie już z tym spokój na dziś – powiedziała. – Przecież ledwo stoisz na nogach. Na mnie już pora. – Wstała z krzesła i narzuciła na ramiona kurtkę.

– Poczekaj, odwiozę cię. – Mateusz wcisnął krzyżyki wokół ostatniej płytki i pozbierał się z kłeczek. – Dla mnie to tylko chwila, a nie będę się martwił, że idziesz sama po ciemku przez miasto – dodał, widząc, że dziewczyna zamierza zaprotestować. – A noga wcale mi nie przeszkadza.

Na dworze panowała duchota. Niebo w oddali rozbłysło.

– Wsiadaj, zanim zaczniesz lać. – Mateusz otworzył drzwi do samochodu.

Gdy zajechali pod dom Feliksa, o szybę zaczęły rozbijać się coraz większe krople.

– Patrzcie, kto wrócił z moim samochodem – rzuciła ironicznie Magda. – I jeszcze krzywo zaparkował.

Jak zarysował lakier, to go uduszę – zagroziła, wysiadając z auta. – Dzięki za podwózkę. Do zobaczenia jutro na grillu. – Pochyliła się w otwartych drzwiach i pocałowała go w policzek. – Nie spóźnij się.

– Będę na czas, obiecuję. Do zobaczenia.

Magda zamknęła drzwi. Chwilę potem błysnęło i po niebie potoczył się grzmot.

– Całkiem blisko – oceniła, biegnąc do domu. – Cześć! – krzyknęła, wieszając w korytarzu mokrą kurtkę.

Odpowiedziała jej cisza. Ruszyła więc w stronę salonu, skąd wylewało się światło świec. Feliks uwielbiał świece, twierdził, że przy sztucznym świetle nigdy nie może się skupić. A burzę zawsze wykorzystywał jako wymówkę do pogaszenia wszystkich sprzętów elektrycznych w całym domu.

Tak jak podejrzewała, zastała żniwiarza w jego ulubionym fotelu, zapatrzonego w ciemność za oknem. Na stoliku obok stało kilka świec i ciemnozielona butelka.

– Co w niej jest? – zapytała dziewczyna, siadając na kanapie.

Za oknem błysnęło, a w pokoju na ułamek sekundy zrobiło się jasno niczym w dzień.

Feliks spojrzał na dziewczynę. Magda nie nauczyła się jeszcze czytać emocji z jego obecnej twarzy, ale nie można było nie zauważyć zmęczenia, które na niej gościło.

– Zmora – powiedział.

Magda przyjrzała się bliżej butelce. W środku leniwie krążył mały obłok szarego dymu, a gdy przyłożyła do niej ucho, usłyszała ciche kwilenie.

– Dlaczego jeszcze się jej nie pozbyłeś? – zapytała, ale Feliks tylko wzruszył ramionami. – Mogłeś po drodze nawet wrzucić ją do jakiegoś jeziora.

– Przecież wiesz, że ogień jest lepszy.

– Rozpalę w piecu. – Magda bardzo ostrożnie wzięła butelkę w obie ręce i zeszła do piwnicy.

Nawet na dole słyszała ulewę i grzmoty. Z kartonu wyjęła drzazgę smolną i szybko rozpałała ogień, ale musiała jeszcze chwilę poczekać, aż w piecu zrobi się naprawdę gorąco, a żar będzie wystarczający, aby pozbyć się zmory raz na zawsze.

Ponownie zerknęła na butelkę ustawioną na ziemi. Dym w środku burzył się coraz gwałtowniej, jakby przewidywał, co go czeka.

Oczywiście, tak jak wcześniej mówiła Magda, według ludowych wierzeń można było przywiązać do butelki kamień i wrzucić ją do wody, ale to nie działało definitywnie na zmorę, która pewnego dnia mogłaby stamtąd uciec. A po wielu latach przebywania w zamknięciu byłaby naprawdę głodna i spragniona krwi.

– Wiesz, że ludzie kiedyś wieszali martwą srokę nad drzwiami stajni, żeby zmora nie ukradła im konia?

– Feliks zszedł do piwnicy i usiadł na schodach.

– Zmora na koniu?

– Też tego nie widzę. Chociaż pewnie chodzi o te ich długie, pokraczne kończyny. Ciężko z takimi szybko się poruszać. A wiara ta z całą pewnością była na rękę wszystkim koniokrądom.

– W to akurat mogę uwierzyć – prychnęła Magda. – Ludzie zawsze uwielbiali zrzucać całą winę na demony i upiory. Chociażby taki browarniczek. Kiedy w sztok pijany facet wracał do domu nad ranem, o wiele łatwiej było powiedzieć do żony czekającej z wałkiem w garści: „kochanie, to nie moja wina, to wszystko browarniczek, to on kazał mi pić”.

Feliks pokiwał głową w zamyśleniu.

– Myślisz, że wystarczy? – zapytała Magda, otwierając drzwiczki od pieca.



Żniwiarz spojrział na ogień buchający ze środka i skinął głową.

Dziewczyna ostrożnie wzięła do rąk butelkę i wrzuciła ją do pieca. Odruchowo wytarła z obrzydzeniem ręce o spodnie. Nie znosiła zmor, tego, jak żerowały na ludziach, wysysając im krew. Gdy była dzieckiem, coś obudziło ją w środku nocy. Ze strachem podeszła do okna i zobaczyła na ulicy bladego potwora idącego koślawo na zbyt długich nogach. Tak się przeraziła, że z krzykiem uciekła do rodziców i nie zmrużyła oka do rana.

Z pieca dało się słyszeć coraz szybsze i głośniejsze klekotanie. Magda na wszelki wypadek odsunęła się o kilka kroków. Wtem rozległ się straszliwy wrzask, a butelka z hukiem pękła na drobne kawałki.

Przez chwilę Magda wpatrywała się w piec, jakby obawiając się, że zmora wylezie ze środka, choć wiedziała, że stwór już nie żyje.

– Teraz możesz mi powiedzieć, czego się dowiedziałeś. – Odwróciła się do Feliksa.

Żniwiarz przez chwilę walczył sam ze sobą, nie będąc pewnym, czy powinien dzielić się wszystkimi odkryciami z Magdą.

– Coś się dzieje – powiedział powoli.

– To źęś dowalił. – Dziewczyna wywróciła oczyma, ale widząc jego minę, szybko spoważniała. – To znaczy? Co masz na myśli?

– Znalazłem miejsce, gdzie Nadia się zatrzymała. Ktoś na nią napadł. Możliwe, że jednego zabiła, ale później ktoś posprzątał kawał popsutego mięsa zamiast ciała. A jedna emerytka widziała, jak dwóch rośłych mężczyzn pakuje ją do samochodu.

– Rośłych mężczyzn? Przecież...

– Powinna była sobie z nimi poradzić – dokończył za nią.

– Może była chora? Albo ranna?

– Może.

Nagle Magdę zaczęła boleć głowa. I to mocno.

Potarła palcami skronie.

– Nie rozumiem – westchnęła.

– Jeszcze nigdy się z czymś takim nie spotkałem – przyznał Feliks.

– Nadia mówiła, że ktoś ich... was, jeżeli miała na myśli żniwiarzy, morduje.

– Nie można zamordować żniwiarza – zdenerwował się Feliks, zrywając się ze schodów.

Ruszył na górę, a Magda podążyła za nim.

– Mylisz się. Nie można zamordować duszy żniwiarza, ale jego ciało owszem. A jeśli gdzieś znalazła się jakaś sekta lub organizacja, która zaobserwowała waszą aktywność i wbiła sobie do głów, że trzeba was unicestwić? Może wcale nie wiedzą, że po śmierci znajdujecie nowe ciało?

Feliks w zamyśleniu nie odrywał wzroku od ciemnego okna, po którym ściekały krople wody. Co jakiś czas rozlegał się grzmot.

– Ale jak się dowiedzieli? – zapytał.

– O to akurat nie trudno. Pomyśl! Wszędzie są kamery, tak wiele można znaleźć w Internecie. Nie jesteście przyzwyczajeni do takiego ukrywania się, jakiego wymagają nasze czasy. Większość z was żyje jeszcze poprzednim stuleciem! – wyrzuciła z siebie Magda, zataczając dłońmi półokrąg w powietrzu.

Żniwiarz chciał zaprotestować, ale dziewczyna – jak zwykle – trafiła w dziesiątkę. O wielu jego zachowaniach decydowało ciało, które zajmował, ale gdzieś tam na dnie umysłu zawsze tkwił Feliks, który urodził się sto pięćdziesiąt lat temu i zginął od cięcia szablą. Może ktoś obcy rzeczywiście nauczył się rozpoznawać żniwiarzy?

– A co słyhać w domu? – zapytał, żeby zmienić temat.

– Martwiec w Przyjaźni – powiedziała Magda, mając nadzieję, że Feliks nie będzie się na nią

wściekał.

– Słucham?!

– Trzeba było usunąć martwca w sklepie w Przyjaźni.

– Panie, zlituj się nade mną – westchnął Feliks. – I co dalej?

Magda ze szczegółami opowiedziała o wydarzeniach poprzedniego dnia.

– Co się mogło stać z tym dzikim myśliwym? – zapytała na koniec. – Po prostu zniknął. A na pniach drzew była ta czarna maź.

– Nie wiem. – Feliks pokręcił głową. – Nigdy z czymś takim się nie spotkałem.

– No i ci cieniści... – zastanowiła się Magda.

– Co z nimi?

– Mam wrażenie, że za mną łążą.

– Co? Cieniści za nikim nie łążą – parsknął Feliks i lekceważąco machnął ręką.

– A jednak. W ciągu dwóch i pół tygodnia widziałam ich aż trzy razy – wytknęła.

Feliks zasępił się.

– Czego oni mogą ode mnie chcieć?

– Nie mam pojęcia. – Rozłożył ręce. – Kiedyś, dawno temu, wiele razy usiłowałem się z nimi porozumieć, ale nic z tego. Najczęściej po prostu znikali.

– Dziwne – mruknęła Magda.

– Jak znajdę chwilę wolnego czasu, skontaktuję się z innymi żniwiarzami – obiecał. – Może czegoś się dowiem.

¢

Pierwszy uśmiechnął się do siebie. Wszystko szło po jego myśli, nawet lepiej niż mógłby się tego spodziewać. Ta przekłeta Nadia uciekła mu, ale wierzył, że nie ma takiego problemu, z którym by sobie nie poradził. Czuł, że jeszcze chwila i będzie miał Feliksa w garści. Już praktycznie dyktował mu, co miał robić. Niech ten idiota szuka sobie śladów po Nadii. Zbyt wiele i tak się nie dowie.

– Pospieszcie się – warknął na dwóch potępieńców zwijających szlauch, za pomocą którego przed chwilą nalali wody do beczki w piwnicy.

– Tak, panie! – powiedział usłużnie jeden.

– I wypad stąd, żeby Antoni was nie zobaczył.

Potępieńcy posprząтали po sobie i wyszli z domu.

– Jesteś pewien, że się uda? – zapytał Blank.

– Oczywiście – odparł Pierwszy. – A poza tym nie zamierzam zmarnować pustych nocy w tym miesiącu. Wystarczy, że przedwczoraj Nadia nam uciekła.

– A jeśli wcześniej zadzwoni do Feliksa?

– Nie zadzwoni, ma za mało czasu. Musi się naprawdę spieszyć, żeby dopaść tego „upiora”. – Pierwszy uśmiechnął się wzgardliwie.

Antoni był starym żniwiarzem, który dawno temu wziął pod swoje skrzydła Feliksa, gdy ten umarł pierwszy raz i wcielił się w nowe ciało. Wszystko mu wytłumaczył, nauczył egzorcyzmów, opowiedział o nawich.

Trzy godziny wcześniej Pierwszy zadzwonił do Antoniego i przestraszonym tonem prosił o pomoc. Zdobycie jego numeru telefonu nie stanowiło żadnego problemu – jeden z potępieńców już jakiś czas wcześniej zakradł się do domu Feliksa i odszukał jego stary notes z kontaktami.

Blank zamyślił się.

– Nie mów, że nie byłem przekonujący, gdy z nim rozmawiałem – oburzył się Pierwszy. – Proszę przyjechać, to był chyba upiór albo martwiec! – zaczął naśladować samego siebie. – Ja się nie znam, ale to coś grasuje po mojej wsi. Wczoraj zmarł mój sąsiad. Mam pana numer od Feliksa, który kazał dzwonić do pana, gdyby coś się stało. Feliks na razie nie żyje, tak mówiła jego bratanica, Magda!

– Gdybym cię nie znał, sam uwierzyłbym w tego upióra. – Uśmiechnął się Blank.

– Antoni był tak przejęty, że od razu wsiadł w samochód. – Pierwszy zerknął na zegarek. – Zaraz powinien być.

Nagle usłyszeli warkot silnika, a ciemną wieś rozświetliły reflektory samochodu.

– O wilku mowa – rzucił lekko najstarszy żniwiarz.

– Jesteś pewien, że sam chcesz to zrobić? – zapytał Blank, gdy wyszli przed dom.

– Mnie też należy się odrobina zabawy. – Pierwszy pomachał ręką do kierowcy samochodu. – Potępieńcy mogliby to zawalić. Mieli już za dużo wpadek, a Antoni nie jest taki głupi.

Samochód zatrzymał się na poboczu i po chwili wysiadł z niego na oko czterdziestoletni, dobrze zbudowany mężczyzna.

– Witaj – przywitał się Pierwszy.

Blank docenił jego grę aktorską, bowiem Pierwszy doskonale udawał wieśniaka próbującego źle zamaskować przerażenie.

– Dzień dobry – odparł Antoni, ściskając jego dłoń.

Na chwilę spojrzął Pierwszemu prosto w oczy i Blanka przejęła groza, gdy zmarszczył brwi. *A jeśli się domyśli, że to żniwiarz?* – przemknęło mu przez myśl. *Nie, Pierwszy jako jedyny potrafi ukryć swoją tożsamość. Jest w tym mistrzem.*

– Cmentarz jest tam, za wsią – powiedział lekko drżącym głosem najstarszy żniwiarz. – Jeden z grobów wygląda, jakby w nocy ktoś go rozkopał. A rano mój ojciec – powiedział i zerknął na Blanka, który stał w cieniu domu, aby Antoni nie spojrział w jego oczy i nie rozpoznał w nim żniwiarza. – Znalazł naszego sąsiada martwego.

– Spokojnie, zajmę się nim – obiecał Antoni. – Nikogo już nie skrzywdzi. Gdzie dokładnie jest ten cmentarz?

Pierwszy wziął głęboki wdech – wyglądał jakby się zawahał.

– Trudno tam trafić – powiedział. – Zaprowadzę pana.

Antoni zastanawiał się przez chwilę.

– Dobrze – skinął głową. – Ale kiedy ci powiem, od razu wrócisz do domu.

Pierwszy skwapliwie pokiwał głową.

– Tato, zostań tutaj, zaraz wrócę. Mam taką nadzieję.

Blank odegrał rolę zmartwionego ojca i z udawanym przejęciem patrzył, jak Antoni uzbraja się przed potyczką z upiorem, a potem pomachał im na pożegnanie, gdy opuścili wieś.

– Mieszkasz tu? – zapytał po drodze Antoni.

– Nie, tutaj mieszka mój tata – odparł Pierwszy, nerwowo rozglądając się na boki. Zastanawiał się, czy nie powinien o coś się potknąć, ale uznał, że to już będzie przesada. – Ja mieszkam w Wiatrołomie. Stąd znam Feliksa i Magdę.

– To mówisz, że ile czasu już go nie ma?

– Ponad pół roku – odparł bez zająknięcia. – Magda naprawdę się martwi. Czy to prawda, że pewnego razu rzeczywiście może już nie wrócić?

– Tak, czasem zdarza się, że po wielu wcieleniach żniwiarz po prostu nie znajduje nowego ciała.

– Mam nadzieję, że to nie spotkało Feliksa. Naprawdę go tu potrzebujemy.

Antoni skinął głową. Pierwszy patrzył na jego skupioną twarz. *Chyba się domyśla, że giną kolejni zniwiarze* – pomyślał, zadowolony, że Antoni umrze jeszcze tej nocy.

– Cmentarz jest tam. – Wskazał przed siebie. – Stąd pan już trafi.

Antoni zapatrzył się na ciemny las.

– Nadal grzebią ludzi na tym cmentarzu? – zapytał, marszcząc brwi. – Wygląda na opuszczony.

– Oczywiście, że grzebią! – zachnął się Pierwszy. – To... do zobaczenia za chwilę. I powodzenia.

Obrócił się na pięcie i skierował z powrotem. Słyszał, jak Antoni drepcze w miejscu, jakby się zastanawiał, co robić, ale zniwiarz w końcu udał się w kierunku nekropolii.

Pierwszy przeszedł jeszcze kilka kroków, skręcił w las i – skradając się między drzewami – ruszył za Antonim. Kilka minut później, ukryty za grubym pniem, patrzył, jak Antoni krąży między starymi grobami i mruczy coś pod nosem.

*To nie mogłoby być łatwiejsze* – pomyślał, obserwując zniwiarza, który wszedł właśnie na pole krwi. *Dość czekania!*

Wyszedł zza pniaka i pokazał się Antoniemu.

– Co się tu dzieje? – zapytał ostro mężczyzna.

– Pewnie już wiesz, że nie ma tu żadnego upiora – powiedział Pierwszy.

Wyprostował się, jego głos zmienił się – stał się niższy, bardziej złowrogi – a w oczach zalśniło coś przerażająco pierwotnego. Antoni właśnie zdał sobie sprawę, że nie mogą one należeć zarówno do martwego, jak i żyjącego człowieka.

– Kim ty jesteś? – zapytał, cofając się o kilka kroków.

– Jestem Pierwszy.

Twarcz Antoniego wyrażała najróżniejsze emocje, lecz już po chwili pojawiło się na niej zrozumienie.

– To ty, prawda? To przez ciebie giną kolejni zniwiarze! Z tyłoma już straciłem kontakt! Feliks też?

– Nie, on jeden ma się całkiem dobrze. – Uśmiechnął się Pierwszy. – Jego zamierzam zostawić sobie na sam koniec.

Zza drzew zaczęli wychodzić wysocy, barczyści mężczyźni, okrążając Antoniego. Zalatywało od nich nadpsutym mięsem i mocnym dezodorantem.

Antoni gwałtownie rzucił się w bok na jednego z napastników. Zamachnął się długim gwoździem, który ścisnął w dłoni, ale potężni uchylił się, uderzając zniwiarza pięścią w twarz. Antoni zatoczył się i spróbował zaatakować kolejnego mężczyznę. Tym razem udało mu się powalić go na ziemię, ale zaraz potem dopadło do niego dwóch kolejnych. Jednego dźgnął nożem, lecz drugi podciął mu nogi i Antoni wylądował na ziemi. Zanim się pozbierał, pozostali otoczyli go ciasnym kręgiem. Zniwiarz nie miał żadnych szans.

Pierwszy wyjął z kieszeni małą butelkę pełną brudnej cieczy i przeszedł między podwładnymi, stając twarzą w twarz ze swoją ofiarą.

– Dlaczego? – zapytał Antoni, na chwilę nieruchomiejąc.

– Wiesz, skąd się wzięli nawi? – zapytał nieco rozbawiony Pierwszy.

Zniwiarz pokręcił głową.

– Zaraz ci wszystko wytłumaczę. Lecz najpierw musisz to wypić. – Odkorkował butelkę. – Trzymajcie go – rozkazał swoim pomocnikom.

Silne ręce pochwyciły ramiona Antoniego w żelaznym uścisku. Ktoś złapał go za głowę i siłą rozchylił mu usta, po czym Pierwszy wlał do gardła Antoniego mętną ciecz.

Kilka chwil później Antoni leżał bez sił na ziemi, skulony niczym dziecko i jak przez mgłę słyszał dziwne wywody Pierwszego. Czuł się coraz słabszy, miał wręcz wrażenie, jakby dusza miała zaraz opuścić jego ciało. Powoli tracił kontrolę nad własnymi kończynami, a słuch i wzrok zaczynały

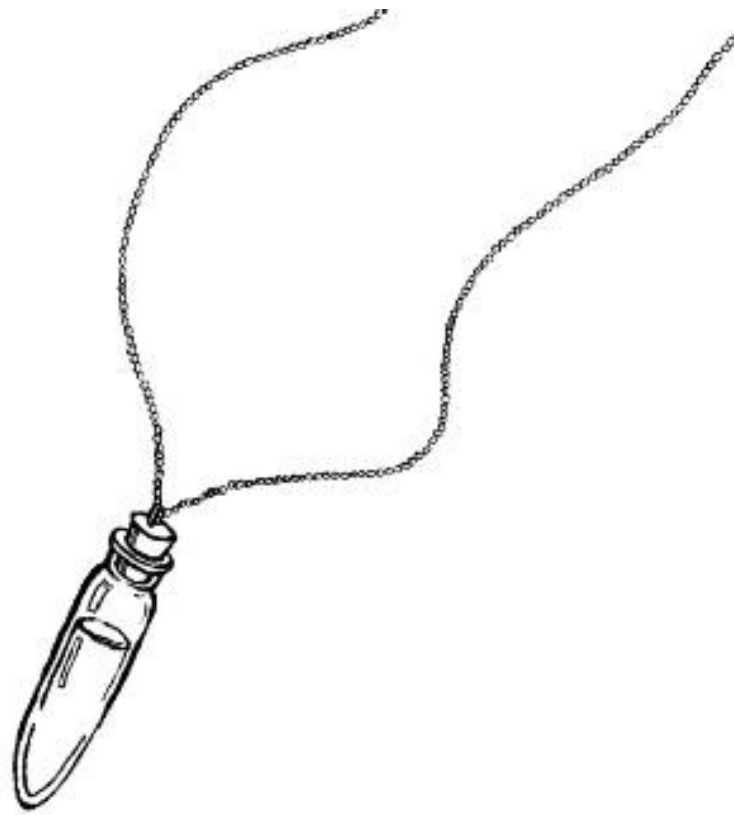
go zawodzić. Potem usłyszał coś, co zapewne było egzorcyzmem, ale nie był już w stanie rozróżnić pojedynczych słów.

W końcu – po wydającej się trwać wieki udęcie – Pierwszy przykląkł przy nim na ziemi. W rękę trzymał nóż. W jego ostrzu odbijały się płomienie poustawianych wokół świec.

– To już koniec twojej podróży – szepnął najstarszy ze żniwiarzy.

*Jak mogłem tak łatwo dać się nabrać?* – pomyślał Antoni, zanim skonał.

# Rozdział 9



Minęły ponad dwa tygodnie, odkąd Feliks wrócił do domu. Już ponad miesiąc przebywał w nowym ciele. Wciąż nie czuł się w nim najlepiej i tęsknił za poprzednim – wysportowanym, silnym i zwinnym. Wtedy wszyscy traktowali go poważnie. Teraz był tylko chudym, niezdarnym i niezwykle złośliwym dziesiętnastolatkiem. Choć uważał, że i tak zrobił już postępy w pracy nad sobą, czekało go jeszcze sporo wysiłku.

Rozmasował dłonie, obolałe od prób podciągania się na drążku i poszedł do łazienki.

– Mam już choć trochę mięśni – ocenił, przeglądając się w lustrze.

Wyszedł właśnie spod prysznic, kiedy usłyszał pukanie do drzwi.

– Kogo diabli nadali? – zastanowił się.

Magda od samego rana pomagała rodzicom w przygotowaniach do grilla, a Feliks miał się tam pojawić dopiero za jakiś czas.

Ubrał spodnie, narzucił na siebie koszulkę i otworzył drzwi.

– Cześć. – Na progu stał młody chłopak.

– O co chodzi? – zapytał Feliks. Skądś kojarzył swojego gościa, ale nie potrafił sobie przypomnieć skąd.

– Jestem Aleks. Jest Magda? – Nastolatek trzymając obie ręce w kieszeniach, nerwowo przestępował z nogi na nogę. – Bo miała dać mi jakieś zioła...

Feliks skinął głową. Dopiero teraz zaskoczył, kim jest chłopak.

– Wchodź – rzucił i przeszedł do kuchni.

Aleks, nieco onieśmielony, podreptał za nim.

– Co ci miała dać?

– Nie wiem, coś co odstrasza tych... na...

– Nawich – dokończył za niego, sięgając do szafki, gdzie w słoikach trzymał suszone zioła. – Tu masz rutę, najlepsza na upiory – powiedział i przesywał ją do plastikowego woreczka. – Tu bagno, na spaleńca, leszczyna na... – Podniósł wzrok na chłopaka, który wielkimi oczyma wpatrywał się w słoiki. – Wiesz co, wymieszam ci to wszystko razem. Tym sposobem nie będziesz musiał się zastanawiać, czego użyć.

– Dziękuję. – Chłopak odetchnął z ulgą. – Czy to prawda, że jesteś nieśmiertelny? – wypalił po chwili.

Feliks uśmiechnął się pod nosem i zerknął na zegarek. Niedługo powinien już wychodzić, bo obiecał Jakubowi, że pomoże mu układać stoły, ale przeżyją, jak się trochę spóźni. W końcu nie był już poważnym, statecznym czterdziestolatkiem.

– Chcesz się czegoś napić? – zapytał, sięgając do lodówki. – Piwo?

Aleks pokręcił głową.

– I słusznie.

Feliks zazwyczaj nie pił alkoholu. Nie znosił, gdy miał przez niego przytępione zmysły i nie panował w pełni nad własnym ciałem. Poza tym nigdy nie wiedział, kiedy przyjdzie mu stawić czoło kolejnemu nawiemu, więc musiał być trzeźwy przez całą dobę. Teraz jednak czekał go grill w towarzystwie całej rodziny. Niemałym wyzwaniem będzie dla niego znieść przytyki bliskich na temat swojego nowego wyglądu, a przede wszystkim powstrzymać się od wszelkich złośliwości. Jedno piwo powinno mu w tym pomóc.

– To co chcesz wiedzieć? – zapytał, siadając przy stole.

Gdy Aleks rozluźnił się w towarzystwie zniwiarza, zaczął zadawać kolejne pytania. Był ciekaw, jak to jest być zniwiarzem, jak skutecznie bronić się przed nawimi, jak żyło się sto lat temu.

– Kto był pierwszym zniwiarzem? – zapytał w pewnej chwili.

Feliks odstawił na stół pustą butelkę.

– Nie wiem, nikt go już nie pamięta – odparł. – A ci, którzy może go znali, już od dawna nie żyją.

– Ale przecież jesteście na swój sposób nieśmiertelni.

– Na każdego żniwiarza przychodzi kiedyś czas. Pewnego dnia, gdy umrę, już nie powrócę.

– To straszne.

– Ty też nie powrócisz, gdy umrzesz.

– No tak, ale to coś zupełnie innego. Ile lat ma najstarszy żniwiarz?

– Najstarszy, którego znam, to Antoni. Ma ponad trzysta lat. To on nauczył mnie niemal wszystkiego, co wiem o nawich.

*Dawno się z nim już nie kontaktowałem – pomyślał Feliks. Będę musiał wkrótce się do niego odezwać.*

¢

Pierwszy wiosenny grill zawsze był dużym wydarzeniem w rodzinie Magdy. Niemal jak święta – trzeba przygotować furę jedzenia, zjeżdżała się rodzina z okolicy, robiło się głośno, a po wszystkim pozostawało sprzątanina na cały następny dzień.

Magda już od samego rana pomagała mamie w kuchni. Wkurzyło ją to, że Feliks wykręcił się od pracy, mówiąc, że jak co rano musi potrenować, a potem i tak przyszedł bardzo spóźniony. Dziewczyne pocieszyło tylko to, że mama nieźle go opieprzyła, zanim poszedł do ogrodu ustawiać stoły.

– Ten twój kolega... – Emilia odchrząknęła. – Przyjdzie?

– Pewnie tak. – Magda wzruszyła ramionami, krojąc warzywa na sałatkę.

Mama wydawała się zawiedziona taką odpowiedzią, ale nic więcej nie mówiła.

Koło południa Magdzie udało się wyrwać z kuchni pod pretekstem poszukania kilku rzeczy w jej starym pokoju. Była zmęczona, bo poprzedniej nocy niewiele spała. W głowie wciąż kotłowały jej się najróżniejsze myśli – usiłowała zrozumieć, co tak naprawdę się działo. Wiedziała, że Feliks się martwił, co kiepsko ukrywał. Coś było nie tak, nawet ona to wyczuwała, a wszystko zaczęło się... no właśnie, kiedy? W chwili śmierci Nadii? Choć nie, od tamtego wieczoru dopiero zaczęli zdawać sobie z tego sprawę. Już wcześniej nawi stali się jakby bardziej aktywni, tak samo jak cieniści, których Magda spotykała niemal na każdym kroku.

Usiadła przy swoim starym biurku, z szuflady wyjęła kartkę papieru i zaczęła spisywać wszystkie ataki w ciągu ostatniego roku.

– Musi tu być jakiś wzór – jęknęła pół godziny później, wpatrując się w pokreśloną kartkę.

Wstała z krzesła i zaczęła krążyć po pokoju, żeby po chwili rzucić się na łóżko, wciąż nie odrywając wzroku od papieru. Jednak zmęczenie szybko dało o sobie znać i sama nie wiedziała, kiedy usnęła.

¢

– Magda!!! Co ty tu robisz?!

– Co? Ja? – Dziewczyna otworzyła oczy i uniosła się na łokciach.

– Goście zaraz będą, a ty sobie drzemki uczynasz?! Jazda na dół nakrywać stoły!

Magda zwlekła się z łóżka i z pokorną miną ruszyła do drzwi.

– A potem ubierz się w coś ładnego – dodała nieco łagodniejszym tonem mama. – Koniecznie też się



uczysz, bo masz siano na głowie. I umaluj, skoro ma przyjść do nas twój chłopak.

Ostatnie chwile przed przyjściem gości były jak zwykle nerwowe. Magda zazdrościła ojcu i Feliksowi, którzy ukryli się przed gniewem mamy w ogrodzie, udając, że grillują mięso.

– Wszystko gotowe? – Emilia przyniosła do ogrodu kolejną porcję karkówki.

– Jak najbardziej – odparł Jakub.

– Co ty masz na twarzy? – Feliks spojrzał na Magdę. – Po kiego grzyba nałożyłaś tyle tapety?

Dziewczyna zarumieniła się.

– Umalowałam się, żeby ładnie wyglądać na rodzinną imprezę i przynajmniej nie mam na sobie za dużych ciuchów z lumpeksu – odgryzła się.

– Dla rodziny to ty się nigdy nie malujesz – mruknął.

– Feliks! Uspokój się! – Emilia pogroziła mu palcem. – Zachowujesz się jak złośliwy nastolatek.

– Bo, moja droga, ja jestem złośliwym nastolatkiem – odburknął.

– W takim razie jesteś za młody na to. – Jakub zabrał mu butelkę z piwem.

– Ale nie aż tak młody! – zaprotestował.

Emilia westchnęła ciężko.

– Czasem tęsknię za twoim poprzednim wcieleniem – powiedziała.

– Ja też – odparł Feliks. – Przepraszam was za moje zachowanie – dodał ze skruchą. – To jest po prostu silniejsze ode mnie.

– Idziemy po sałatki. – Emilia objęła córkę. – I nie martw się, wyglądasz bardzo ładnie – powiedziała cicho.

Punktualnie o szesnastej zaczęła się schodzić cała rodzina. Magda została wyściskana i wycałowana przez wszystkie ciotki, które wciąż wypytywały się o „tego nowego chłopca”.

*Jestem na to już za stara – myślała dziewczyna. A one potrafią każdego wprawić w zakłopotanie.*

Przy stołach w ogrodzie zapanował chwilowy chaos, kiedy wszyscy zajmowali miejsca, przy okazji witając się ze sobą i żartując. Jedyne ciotka Jadwiga usiadła i nałożyła sobie na talerz grillowanej karkówki i solidną porcję sosu czosnkowego, nie czekając na uroczyste rozpoczęcie imprezy.

Magda niosła właśnie ostatnią miskę z sałatką, gdy nagle zapadło milczenie. Wszyscy wpatrywali się w coś za jej plecami. Natychmiast się odwróciła i ujrzała Mateusza, który stał na środku ogrodu nieco speszony uwagą, jaką na siebie zwrócił.

– Magda, zajmij się gościem! – zakrzyknęła ciocia Jadzia. – Może usiąść obok mnie. Chodź tu, chłopcze.

Magda podeszła do Mateusza i chwyciła za dłoń.

– Cześć. – Uśmiechnęła się. – Nie przejmuj się nimi. – Machnęła ręką za siebie.

– Mam wino dla twojej mamy.

– Wspaniale, dziękuję ci. – Emilia pojawiła się dosłownie znikąd, zabrała butelkę i ucałowała Mateusza w oba policzki. – No już, siadaj obok cioci Jadzi. Magda, ty też.

Kiedy usiedli, rodzina straciła nimi zainteresowanie. Tylko ciotka Jadwiga zaczęła wypytywać Mateusza dosłownie o wszystko – skąd pochodzi, czym się zajmuje, co robi jego wujostwo, a gdy uznała, że wie już wystarczająco dużo, na powrót zajęła się karkówką na swoim talerzu.

– I jak się trzymasz? – zagadnęła cicho Magda.

– W porządku, choć chyba łatwiej mi było stanąć twarzą w twarz z dzikim myśliwym – zażartował Mateusz.

– Doprawdy? – Ciocia niespodziewanie podniosła wzrok znad talerza.

– Dwa dni temu natknęliśmy się na niego przypadkiem – wyjaśniła szybko Magda.

– Tak? I widziałeś go? – Ciotka prześwidrowała chłopaka wzrokiem.

– No... tak.

– Hmm. A wcześniej? Widziałeś nawich przedtem? Wiesz, upiory, martwce, zmory...

– No... był ten bezkost na torowisku.

– Ale Feliks go zabił – wtrąciła Magda.

– A jeszcze wcześniej?

Chłopak pokręcił głową.

– Nie miałem zielonego pojęcia, że istnieją.

Starsza pani zmarszczyła brwi wciąż mu się przypatrując.

– Bo wiesz, mnie zawsze interesowało, jak to jest z innymi. Ja, podobnie jak Magda, widzę je od kołyski, czego na przykład nie można powiedzieć o mojej wyrodnej siostrze. Ta to jest ślepa na nawich jak kret.

– Nic dziwnego, że się stąd wyprowadziła – burknęła Magda.

Ciotka wzruszyła ramionami, wciąż wgapiając się w Mateusza.

– Chodźmy zobaczyć, jak tacie idzie grillowanie – rzuciła Magda, wstając z krzesła. Złapała Mateusza za rękę i pociągnęła za sobą.

Dopiero gdy odeszli od stołu, chłopak odetchnął.

– Czy twoja ciocia zawsze jest taka...? – zamilkł, próbując znaleźć odpowiednie słowa.

– Nachalna? Uciążliwa? Wścibska? – podpowiedziała Magda. – Tak, to u niej normalne, nie przejmuj się.

– Miałem wrażenie, że świdruje mnie wzrokiem na wylot, poznając przy okazji wszystkie moje grzechy.

– A masz ich wiele na sumieniu? – zażartowała.

– Gdy tak na mnie patrzyła, to miałem wrażenie, że i owszem.

Podeszli do olbrzymiego grilla.

– Idź zjeść, my popilnujemy kiełbasek – powiedziała Magda do taty.

– Te już prawie są gotowe, kaszanekę dopiero co wrzuciłem, a kiszka...

– Tak, widzę. Spokojnie, zajmiemy się nimi.

Jakub zawahał się przez chwilę, a potem nałożył sobie na talerz kilka kiełbasek i odszedł do stołu.

– Teraz trzeba udawać, że wciąż przekładamy kiełbaski, a będziemy mieli chwilę spokoju – szepnęła dziewczyna. – Jak twoja łydka?

– Co? – Mateusz oderwał spojrzenie od wciąż wpatrzonych w niego ciotki Jadwigi.

– Jak twoja łydka? Skóra wokół nie zmieniła koloru na czerwony lub jakiś inny? Nie puchnie?

– Nie, jest w porządku. Czyżbyś się obawiała, że mam wściekliznę?

– Wściekliznę nie, ale... – zawahała się. – Kiedyś mówiono, że dziki myśliwy porywa ludzi i niesie ich na północ. Jeszcze nigdy nie słyszałam, żeby rzeczywiście tak zrobił. On tylko pędzi po lesie w otoczeniu swojej sfory. Oczywiście dobrze jest zejść mu z drogi, ale to co się wtedy wydarzyło było naprawdę dziwne. A te jego psy zazwyczaj też nie są takie zażarte, więc jeśli cię ugryzł, wolę dmuchać na zimne.

*No i te dziwne czarne plamy na pniach drzew...* – dodała w myślach.

– Nie musisz się martwić. Albo ten pies nie był wściekły, albo ta wasza niezwykła woda działała cuda. Skąd w ogóle ją bierzecie?

– Krew świętego Jana? Nic prostszego. Niektóre drzewa wiosną mają małe zgrubienia na gałązkach, skąd wycieka gęsta ciecz. W Noc Świętojańską trzeba wybrać się do lasu i ją pozbierać, a potem wymieszać z wodą wielkanocną. Tę z kolei bierze się ze strumyka pierwszego dnia Wielkiejnocy przed wschodem słońca. I proszę, mamy lek na rany zadane przez większość nawich.

– Nie obraż się, Magda, ale to brzmi trochę jak ściema. Możesz powiedzieć, że tylko ta krew uratowała mnie przed wścieklizną, trupim jadem, czy czym tam jeszcze. Ale to wcale nie jest dowód. Może ten pies

wcale nie był zarażony? I nie ma znaczenia, czy doktor przemył mi nią rany, czy nie.

– Ty sceptyku! – Magda szturchnęła Mateusza. – Nie wierzysz mi po tym wszystkim, co widziałeś?

– Sama pomyśl. Jaką moc może mieć sok z drzewa? I woda ze strumienia?

– Olbrzymią! Czasem mam wrażenie, że część tej mocy to zasługa ludzkiej wiary.

– Kto w to wierzy? Ja na pewno nie.

– Ludzie od setek lat. I choć coraz mniej osób w ogóle wie, że coś takiego istnieje, kiedyś wierzyły w to tysiące. Ba, ponoć na wyspie Wolin znajdowała się ręcznie pisana, stara księga medyczna, według której taką krew nosił przy sobie każdy wielki słowiański wojownik.

– Ale twój kolega i tak powie, że to bujda na resorach. – Feliks jakby wyrósł spod ziemi.

– „Bujda na resorach”? – mruknęła krytycznie Magda, przewracając kiełbaski długim widelcem. – Skąd ty bierzesz takie określenia?

Żniwiarz wzruszył ramionami i stanął tuż przed Mateuszem, patrząc mu prosto w oczy.

Mateusz odpowiedział mu równie niewzruszonym spojrzeniem. Atmosfera zagęściła się. Magda miała wrażenie, że zaraz posypią się wyzwiska, a jeśli nic z tym nie zrobi, może nawet dojść do rękoczynów.

– Feliks, o co chodzi? – zapytała, usiłując się wcisnąć pomiędzy nich.

– Przyszedłem po karkówkę – powiedział, nie odrywając wzroku od Mateusza, który dopiero po chwili zrobił krok w bok, odsuwając się od grilla.

Żniwiarz nałożył sobie mięso na talerz i odmaszerował.

– Współczuję chłopakowi, do którego kiedyś należało to ciało – powiedział Mateusz, odprowadzając go wzrokiem. – Nie wiem, jakbym się czuł, gdybym wiedział, że po mojej śmierci ktoś taki jak on będzie żył w moim ciele.

– Ten chłopak już od dawna nie żyje – powiedziała powoli Magda. – To tak, jak z oddawaniem swoich organów po śmierci. Dajesz je, bo już ich nie potrzebujesz, a komuś innemu mogą uratować życie. „Ale nie jemu”, pewnie pomyślisz. I masz rację, chodzi mi o wszystkich tych ludzi, których teraz będzie mógł uratować Feliks. Na przykład twojego kuzyna.

– Jak zwykle masz rację – westchnął Mateusz. – Ale szczerze mówiąc, czy to, że chłopak, który umarł, teraz chodzi sobie po świecie, nikomu nie wyda się podejrzane?

– Na świecie jest wiele osób, które są do siebie podobne – odparła. – A z biegiem lat nikt go już nie rozpozna.

– A co z rodziną? Nie szukają jego ciała?

– Ten chłopak utonął – powiedziała, patrząc na plecy Feliksa. – Dawno temu zaprzestano już poszukiwań. Współczuję jego rodzinie, która nie mogła nawet go pochować, ale nic nie da się już z tym zrobić. Zresztą... Każdego roku tyle osób uznaje się za zaginione...

– I co, we wszystkich zamieszkują żniwiarze?

– Coś ty, żniwiarzy jest znacznie mniej.

Magda znów zaczęła przekładać mięso na grillu, gdy podeszła do nich ciocia Jadzia z pustym talerzem.

– Nałóż mi trochę kaszanki, dziecko.

Dziewczyna wzięła talerz od ciotki, która wciąż wpatrywała się badawczo w Mateusza.

– Gdybym cię nie znała, pomyślałabym, że też jesteś opyrem – powiedziała w zamyśleniu. – To bawcie się dalej.

– Opyrem? – powtórzył chłopak, kiedy starsza pani ich zostawiła samych.

– Kiedyś tak nazywano żniwiarzy – odparła Magda, patrząc z niesmakiem, jak ciocia pochłania kaszankę. – To był taki męski odpowiednik wiedźmy, kiedy jeszcze palono je na stosie. Lecz oni byli cwańsi i lepiej kamuflowali się wśród maluczkich.

– Ale skąd jej się to wzięło?

- Jej babcia tak mówiła...
- Ale że ja miałbym być...
- Nie wiem, jest wiekowa, może niedowidzi. Może nawet Feliks kiedyś był podobny do ciebie?
- Może. – Mateusz pokiwał w zamyśleniu głową.

¢

- Naprawdę nie musiałaś mnie odwozić – przekonywał Mateusz.
- Ale chciałam – uparła się Magda, pomagając mu wysiąść z samochodu. – Już ledwie stałaś na tej zranionej nodze. Miałam znakomitą wymówkę, żebym choć na chwilę oderwała się od sprzątanania.
- W takim razie dziękuję. To było bardzo ciekawe popołudnie – powiedział.
- Delikatnie dotknął palcami jej policzka i spojrzał jej prosto w oczy.
- Magdzie zabrakło tchu. Zrobiło jej się gorąco, a serce zaczęło trzepotać w klatce piersiowej, gdy Mateusz pochylił się w jej stronę i pocałował ją w usta.
- Nie ma sprawy – wydukała, gdy się od niej odsunął. – Do zobaczenia później.
- Wsiadła do samochodu, nie mogąc powstrzymać uśmiechu.
- W domu pomogła mamie pochować resztki jedzenia do lodówki, po raz kolejny załadowała zmywarke i pościerała stoły, które tata z Feliksem pochowali w piwnicy.
- Jak zwykle jedzenie było pyszne – oceniła ciotka Jadwiga, która wciąż siedziała w kuchni. – Najadłam się jak nigdy.
- Wcale się nie dziwię – mruknęła pod nosem Magda. Aż niedobrze jej się zrobiło, gdy przypomniała sobie, jak ciocia pochłaniała kolejne porcje mięsa.
- Słyszałam to, moje dziecko! – rzuciła ostrzegawczym tonem staruszka.
- Bo ja po prostu zazdroszczę cioci takiej przemiany materii.
- Ogarnij jeszcze salon i jesteś wolna – powiedziała mama.
- Dziewczyna skinęła głową i wyszła z kuchni. Sprzątanie zajęło jej kilka minut i już miała wracać do mamy, kiedy nagle poczuła, że coś ją uwiera w kieszeni spodni.
- A to co? – zastanowiła się, sięgając po to ręką. – Ach, no tak, już zapomniałam o tym.
- Spojrzała na kartkę papieru, na której tuż przed grillem wypisała wszystko, co działo się w okolicy przez ostatni rok.
- Nie ma tu bezkosta – stwierdziła i natychmiast dopisała go do listy, lecz niewiele to pomogło. – To jest bez sensu – mruknęła. – Nic się ze sobą nie wiąże. Przypadkowi ludzie, przypadkowe miejsca, tak jak zawsze, tylko trochę częściej.
- Na samym środku kartki widniało imię Nadii, przy którym postawiła kilka znaków zapytania. „Kto ją zaatakował?” – dopisała.
- I dlaczego?
- W zamyśleniu kilka razy stuknęła długopisem w brodę.
- Skończyłaś już? – Mama zajrzała do pokoju. – Ciocia jest już zmęczona, odwiezcie ją po drodze.
- Dobrze. – Magda skinęła głową, poskładała kartkę i schowała do kieszeni.

¢

Jadwiga pomachała Magdzie i Feliksowi na pożegnanie i powolnym krokiem przeszła przez ogródek.

Z doniczki z kwiatami wyjęła klucz i weszła do domu, zapominając zamknąć za sobą drzwi na zamek. Zresztą w Wiatrołomie było tak niewiele włamań, że wciąż wylatywało jej to z głowy.

Włączyła radio – może usłyszy coś ciekawego w nocnych wiadomościach – i przebrała się w starą podomkę. Jeszcze nie chciało jej się spać, kaszanka jedzona na przemian z karkówką wciąż leżała jej na żołądku. Nie powinna była aż tyle jeść. Pomimo tego, co mówiła Madzi, wciąż zapominała, że nie jest już taka młoda, a lekarz przy każdej wizycie suszył jej głowę, że musi zdrowo się odżywiać i że ma zbyt wysoki cholesterol.

– Przecież w moim wieku trzeba na coś umrzeć – mamrotała, przeglądając zawartość kuchennych szafek. – Moja babcia nie słyszała nawet o czymś takim jak cholesterol i dożyła dziewięćdziesięciu sześciu lat. Całkiem nieźle, a zajadała się golonką jak nikt inny!

Po chwili odnalazła lekko zakurzoną butelkę. Wino zawsze pomagało jej na trawienie. Napełniła lampkę do połowy i ruszyła do pokoju, lecz po chwili wahania zawróciła i wzięła ze sobą całą butelkę. Tak na wszelki wypadek.

Usiadła w swoim ulubionym fotelu, a nogi oparła na pufie. Zapalony żyrandol zalewał pokój ciepłym, żółtym światłem, radio grało cicho. Za oknem wychodzącym na ogród panowała ciemność. Gdyby jednak zgasiła wszystkie światła w domu i dobrze się przyjrzała, mogłaby dostrzec cień, którego nie powinno tam być.

Ciemna, nieruchoma postać opierała się o pień drzewa i bacznie obserwowała okna domu. Stała tam już od dłuższego czasu i przez ostatnią godzinę ani drgnęła.

Jadwiga, nie zdając sobie sprawy z obecności intruza, opróżniła lampkę wina i ponownie ją napełniła, rozmyślając o minionym dniu. Lubiła grille organizowane przez Emilię, która potrafiła doprawić mięso jak nikt inny. A jej sałatki... pycha! Miło było też zobaczyć całą rodzinę. Z małej Madzi zrobiła się naprawdę ładna dziewczyna. Gdyby tylko trochę bardziej o siebie zadbała i czasem się umalowała, to nie opędziłaby się od chłopaków. Ten jej kawaler też był całkiem miły, choć trochę... dziwny. I taki małomówny. Ale przecież Jadzia raczej ceniła takich ludzi – potrafili milczeć i słuchać, kiedy ona mówiła. Choć pod całym tym jego uprzejmym zainteresowaniem kryło się coś jeszcze. Coś, czego nie potrafiła nazwać, ani nawet się na tym skupić. Jego gesty, sposób mówienia, tembr głosu, błysk w oku...

– Cóż, ponoć chłopak przeżył prawdziwą tragedię – westchnęła i wzdrygnęła się na samą myśl o tym, co po takim zdarzeniu mogło dziać się w jego głowie i duszy.

*A poza tym tak ładnie wyglądali razem z Madzią. Jakby byli dla siebie stworzeni – z tą myślą usnęła, wciąż siedząc w starym fotelu.*

Minęła kolejna godzina, podczas której nic się nie wydarzyło, aż ciemna postać ukryta w ogrodzie oderwała się od pnia i skierowała w stronę domu.

Powoli otwierane drzwi zaskrzypiały cicho. Intruz zastygł w bezruchu, oddech zamarł mu na ustach, lecz gdy nie usłyszał nic więcej, zdjął buty i w samych skarpetkach spokojnie wszedł do pokoju. Starsza kobieta siedziała w fotelu pogrążona w głębokim śnie. Prawdopodobnie nawet wystrzał armatni nie wyrwałby jej ze snu. Na stoliku obok stała opróżniona do połowy butelka wina.

Włamywacz przyglądał się jej kilka sekund, a potem udał się do kuchni. Zajrzał do lodówki i wyjął z niej mały garnek z zupą. Zdjął pokrywkę i powąchał zawartość. Pomidorowa pachniała naprawdę zachęcająco. Ale przecież nie po to tu był, żeby okradać staruszki z jedzenia. Postawił garnek na kuchence i odkręcił gaz, nie zapalając go.

Wrócił na korytarz, założył buty i bezgłośnie wyszedł z domu, zamykając za sobą ostrożnie drzwi. Niespiesznie odszedł ulicą, nie oglądając się za siebie.

Magda wstała wcześniej rano – choć była zmęczona po poprzednim dniu, obiecała mamie, że to ona otworzy w poniedziałek księgarnię.

Ledwo widząc przez zaspane oczy, zeszła na dół.

– Co ty tu robisz? – zapytała, widząc Feliksa siedzącego w salonie. – I dlaczego masz mój komputer?

– Co? – Feliks oderwał zamglony wzrok od monitora.

– Co ty robisz z moim laptopem?

– Eee... – zająknął się. – Nie wiem, nie mogłem zasnąć, więc postanowiłem sprawdzić lokalne wiadomości... Czy już jest rano?

Magda parsknęła śmiechem.

– Tak, jest rano – powiedziała. – I co ciekawego przeczytałeś?

– W gazetach nie było nic ciekawego i... – zmarszczył brwi. – I zacząłem przeglądać inne rzeczy.

– Pewnie śmieszne koty, co? – zakpiła. – I inne... rzeczy.

– Nie. To znaczy, widziałem kilka... – powiedział i przetarł twarz dłońmi. – Przecież to istne wysypisko śmieci i zjadacz czasu! – Wycelował oskarżycielski palec w komputer.

– Witamy w dwudziestym pierwszym wieku! – Zaśmiała się Magda. – Tylko jak w historii przeglądarki znajdę jakieś niestosowne rzeczy, to będziesz miał przechlapanie.

– Nic nie znajdziesz – mruknął. – I zabierz to ode mnie. – Odsunął laptopa.

– Spoko, i tak biorę go ze sobą do księgarni. Jak tylko zjem śniadanie.

Magda miała wrażenie, że działała na autopilocie od momentu wyjścia z domu. Minęło dokładnie dziewięć godzin od porannego telefonu mamy i do tej pory nie mogła uwierzyć w to, co usłyszała. A że życie nie chciało zatrzymać się nawet na chwilę, toczyło się dalej. Ktoś musiał otworzyć księgarnię i obsłużyć kolejnych klientów, zaś na koniec dnia posprzątać, podczas gdy Emilia z siostrą załatwiały wszystkie sprawy związane z pogrzebem.

– Poradzisz sobie sama? – pytała rano zatroskana mama.

– Oczywiście, mną się nie przejmuj – zapewniła Magda. – I mammo...

– Tak?

– Wszystko będzie dobrze.

Ale wcale nie było. To nie powinno w ogóle się zdarzyć.

Po zamknięciu księgarni Magda nie chciała wracać do domu. Mogła zajrzeć do rodziców, ale prawdopodobnie mama była jeszcze w mieście, a tata w lecznicy. A nawet gdyby ich zastała, to nie miała ochoty na rozmowy.

Chciała pojechać gdzieś, gdzie będzie sama, z dala od innych ludzi. Znała jedno takie miejsce, gdzie nikt nie zaglądał.

Wyjechała poza miasto, minęła Grzmiącą i zaparkowała na rozdrożu. Schowała kluczyki do kieszeni i rozejrzała się. Gdyby skierowała się w lewo, szybko dotarłaby do starego, zapomnianego cmentarza. Jednak nie on był dziś jej celem, dlatego ruszyła w prawo.

Polna droga – niegdyś uczęszczana codziennie – była tak zarosnięta, że nie przejechałby nią żaden samochód. Wysokie trawy łaskotały dziewczynę po opuszczonych dłoniach. Po lewej stronie, daleko w dole, między pniami połyskiwały srebrzyste wody jeziora. Na nieruchomych gałęziach drzew

ćwierkały ptaki, wszędzie wokół bzycały owady. Dzień może nie był słoneczny, ale za to ciepły i bezwietrzny. A Magda była wreszcie zupełnie sama.

Po kilkunastu minutach przedzierania się przez gąszcz dotarła do dużego, zrujnowanego budynku. Niegdyś był to luksusowy dom wczasowy, do którego przyjeżdżali bogacze z całego kraju, aby odpocząć od miejskiego zgiełku. Prowadziła go rodzina podobno posiadająca tytuł szlachecki. Jednak w trakcie drugiej wojny światowej dom zamknięto, a ostatnia członkini szlacheckiego rodu, kobieta w podeszłym wieku, zmarła. Zaś tuż po wojnie okoliczni mieszkańcy rozkradli wszystko, co ukraść się dało – drogie sprzęty, meble, a nawet kaloryfery. Drewniane podłogi zerwano, potłuczono kafelki, powybijano okna. Jakiś czas później, kiedy we wczasowisku nie było już nic cennego, znalazł się kupiec, który marzył o wyremontowaniu budynku i ponownym otwarciu go. Wymienił za ledwie kawałek dachu, gdy jego firma splajtowała. Potem kolejni biznesmeni chcieli otworzyć tu dom szczęśliwej starości, ośrodek kolonijny i hotel. Lecz wszystkich prześladował pech. Żaden nie zdołał ukończyć remontu – albo bankrutowali, albo tragicznie umierali. Plotka o fatum i klątwie rzuconej przez ostatnią hrabinę szybko się rozniosła – ludzie zaczęli bać się dworku, a od śmierci ostatniego właściciela niecałe dziesięć lat temu, mało kto w ogóle tu zaglądał.

W czerwonych dachówkach czerniło się kilka dziur, tynk odpadł ze ścian i leżał grubą warstwą na ziemi. Magda precyzyjnie przeszła przez wąską szparę między masywnymi, na wpół wyłamany drzwiami i weszła do środka. Pachniało wilgocią, mokrym betonem i błotem. Kiedyś wiele razy przemierzała wszystkie pomieszczenia, wyobrażając sobie, jak mogły wyglądać w latach świetności. W budynku znajdowała się duża portiernia, jadalnia, kilka salonów, w tym dwa z półokrągłymi wnękami, gdzie na pewno kiedyś stały kanapy, na których relaksowali się wczasowicze. W jednej ścianie między salonami znajdowały się nawet resztki drewnianych, przesuwanych drzwi. W piwnicach zaś było jeszcze więcej pomieszczeń – kuchnia, spiżarnia, schowki i pokoje dla służby.

Lecz dziś Magda wcale nie czuła się wystarczająco silna, by bezcelowo krążyć po zrujnowanych pokojach. Od razu skierowała się do starych schodów. Po wielu wycieczkach wiedziała, który stopień jest pokruszony i grozi upadkiem. Trzymając się ściany, ostrożnie wspięła się na pierwsze piętro. Wyżej nie miała po co wchodzić – ostatnim razem była tam dwa lata wcześniej i już wtedy podłoga była zbyt przegniła, aby po niej stąpać.

Wzbijając w powietrze chmury pyłu, przeszła do swojego ulubionego pokoju. Prawdopodobnie był to kolejny duży salon, a trzy olbrzymie łukowate okna wyglądały odrobinę jak te kościelne.

Magda usiadła na parapecie środkowego okna, opierając się plecami o ścianę. Jedną stopę zwiesiła na zewnątrz i zapatrzyła się na korony drzew, za którymi wciąż lśniło jezioro.

*Jak to się mogło stać?* – pomyślała i przymknęła oczy. Policja stwierdziła, że ciocia Jadwiga chciała podgrzać zupę, odkręciła gaz, ale iskrownik nie zadziałał, czego nie zauważyła. Poszła do pokoju, wypłała pół butelki wina i usnęła, zapominając o kolacji. A rano się nie obudziła. *Dobrze, że nie było żadnej iskry, bo wtedy cały budynek wyleciałby w powietrze – tak według mamy powiedział jeden z policjantów.*

Tylko po co podgrzewała tę przeklętą zupę?! Przecież wyszła z grilla najedzona!

*Odeszła we śnie...*

Tylko że w ogóle nie powinna była odchodzić! No dobrze, miała już swoje lata, ale wciąż była zdrowa, aktywna i praktycznie nic nie mogło jej zaszkodzić! Jadła tłuste i niezdrowe jedzenie, istnienia cholesterolu w ogóle nie uznawała, a wino i domowej roboty nalewki były – przynajmniej jej zdaniem – lekarstwem na wszystko. Wydawało się, że nic, absolutnie nic jej nie wykończy. Nie w taki głupi sposób!

Spod powiek Magdy popłynęły łzy. Kochała ciotkę i nie wyobrażała sobie życia bez niej, bez jej docinek i specyficznego humoru. Nie rozumiała, jak ani dlaczego to wszystko się stało.

Wywołała w pamięci poprzedni dzień, kiedy ciocia opowiadała sprośne kawały, które zawstydzają nawet mężczyzn, śmiała się i objadała karkówką. A potem wróciła do domu i umarła.

Dziewczyną wstrząsnął szloch. Poklepała się po kieszeniach spodni i wyjęła z nich paczkę chusteczek, żałując, że zabrała ze sobą tylko jedną.

¢

Feliks wszedł do domu Jadwigi. W środku nie było już czuć gazu, było za to pełno śladów butów na dywanach. *To by było na tyle, jeśli chodzi o utrzymywanie porządku przez policję – pomyślał z przekąsem.*

Przeszedł do salonu i usiadł naprzeciwko ulubionego fotela Jadwigi, usiłując przywołać w pamięci jej twarz, głos, śmiech.

Nie było go przy tym, jak Jadwiga się urodziła, ale pamiętał ją jako małą dziewczynkę, która przez wojnę musiała szybciej dorosnąć. Miała dwóch mężów, których kochała całym sercem i obu musiała pochować. Doznała prawdziwego głodu i strachu. Życie jej nie rozpieszczało, ale dzięki temu niejednym mógł podziwiać jej hart ducha.

Kiedy żniwiarz zmieniał ciało, jego dawne wspomnienia bladły. Dzięki temu nie był starcem w ciele młodego chłopaka wciąż mówiącym staropolszczyzną i nie potrafiącym odnaleźć się we współczesnym świecie. Tak naprawdę był mieszanką prawdziwego siebie oraz nowego ciała. Wiele już razy był wdzięczny za taki stan rzeczy – choć śmierć bliskich wciąż bolała, potrafił podejść do niej z pewnym dystansem – w końcu przecież oni wszyscy kiedyś umrą, a on zostanie. Ale będzie już częściowo inną osobą, zdolną do życia i funkcjonowania w nowych warunkach. I choć nigdy tak naprawdę nie zapomni Jadwigi, to szybko pogodził się z jej odejściem.

– Myślę, moja droga, że to nie była taka zła śmierć – powiedział głośno. W całym domu czuć było obecność śmierci. – Z pełnym żołądkiem, lampką wina i w wygodnym fotelu. Niektórym nie jest nawet dane o tym marzyć.

Żniwiarz wstał z kanapy, podszedł do zegara wiszącego na ścianie i wyjął z niego baterie. To samo zrobił z pozostałymi zegarami, a wszystkie lustra pozasłaniał prześcieradłami. Kiedyś ludzie robili to, aby dusza zmarłego nie odliczała godziny, w której odeszła, ani nie przeglądała się w zwierciadłach i potem nie nawiedzała domowników.

Wyjrzał przez okno, za którym powoli zapadał zmierzch. Z plecaka wyjął świecę i ją zapalił. Potem naszykował dla siebie kolację, z kuchni przyniósł lampkę wina i zasiadł do stołu. Właśnie zaczęła się pierwsza z trzech pustych nocy.

Dawniej, szczególnie na wsiach, w domu zmarłego schodziła się cała rodzina oraz znajomi i przez trzy noce czuwali, modlili się i śpiewali. Gospodyni podawała poczęstunek. Był to sposób na pożegnanie się z tym, który już odszedł, zaakceptowanie jego śmierci, ale nie tylko. Uważnie obserwowano też ciało zmarłego, czy nie przejawia znamion przeistaczania się w upiora lub wieszczego. Do dziś zwyczaj ten przetrwał tylko w niektórych miejscowościach, i to dość okrojony, gdyż pustą nocą najczęściej określało się tę przed pogrzebem.

Nie tylko ludzie mieli swoje puste noce. Choć księżyc w nowiu niknie z nieboskłonu tak naprawdę tylko na jedną noc, to dla gołego oka jest niewidoczny prawie przez trzy. Wtedy ponoć świeci tylko dla świata umarłych.

Feliks wiedział, że dusza Jadwigi odeszła, ale dopóki choć garstka osób wierzyła w coś, trzeba było dotrzymać dawnych obyczajów. I tylko żniwiarze wiedzieli, jak ważna była ludzka wiara.



Magda powoli zaczęła się uspokajać. Nawet bez lusterka wiedziała, że na twarzy jest cała czerwona i spuchnięta, ale czemu się dziwić – w końcu zużyła już całą paczkę chusteczek. Zerknęła na zegarek. Zrobiło się późno. Nawet nie zauważyła, kiedy słońce skryło się za horyzontem. W powietrzu czuła letni deszcz. *Jeszcze chwilę* – przekonywała samą siebie. *Tylko dziesięć minut.*

Przymknęła oczy, rozkoszując się chwilą. Nie chciała wracać do pustego domu. Nie miała również ochoty na rozmowy z bliskimi. Wspomnienia o cici były jeszcze zbyt świeże, a jej śmierć zbyt bolesna.

Nagle usłyszała hałas dobiegający z lasu. Gwałtownie otworzyła oczy. Kątem oka zobaczyła cień między drzewami, ale zanim zdążyła się na nim skoncentrować, ten znikł. Przez minutę wpatrywała się w tamto miejsce.

– Mam omamy – mruknęła. – Zresztą... Czemu się dziwić?

Przetarła zapuchnięte oczy tak mocno, że nagle cały świat wyglądał tak, jakby spoglądała na niego przez mgłę. Do tego robiło się coraz ciemniej i choć niebo na zachodzie mieniło się odrobinę jaśniejszymi kolorami, to w lesie panował półmrok.

– Pora do domu – uznała, zeskakując z parapetu.

Nawet nie wiedziała, że od siedzenia w jednym miejscu aż tak zeszywniała. Bolały ją mięśnie, nie wspominając o ociężałej głowie.

Po raz ostatni wyjrzała przez okno – pod drzewem tkwił cień. Wychyliła się na zewnątrz, już gotowa krzyknąć, gdy nagle cienisty podniósł na nią wzrok. Jego oczy tym razem były szare.

– Kolejny? – zdziwiła się dziewczyna.

Naraz pełną napięcia ciszę przerwał szelest liści gdzieś niedaleko. W tym samym momencie cień znikł.

– Cienisty nie hałasuje – szepnęła Magda, a ta myśl zmroziła ją.

Odsunęła się od okna i skierowała do wyjścia. Była już na progu salonu, kiedy usłyszała szuranie na parterze. Było tak ciche, że w pierwszym momencie myślała, że się przesłyszała. Ale jednak szuranie powtórzyło się. Brzmiało to tak, jakby ktoś bardzo się starał zachować ciszę, ale sterta gruzu i tynku na podłodze mu w tym przeszkadzała.

Magda zamarła w drzwiach. Serce zabiło jej szybciej. Pożałowała, że nie wzięła ze sobą choćby gazu pieprzowego. Nie miała nic do obrony.

Choć może obrona wcale nie będzie konieczna? Przecież nie tylko ona wiedziała o opuszczonym hotelu. Może to tylko jakieś dzieciaki? Albo chłopak, który chciał poderwać dziewczynę, pokazując jej straszne miejsce? Tylko czy wtedy byłiby tak cicho? Nie powinna usłyszeć jakichś rozmów czy chichotów?

Może zadzwonić do kogoś? Do Feliksa? Albo Mateusza? I co wtedy? Będzie siedziała tu na górze, czekając, aż po nią przyjadą? Przecież droga zajmie im około pół godziny, a to aż nadto, żeby osoba będąca na dole wpadła na nią i posiekała Magdę tasakiem, jeśli przyjdzie jej na to taka ochota.

Tymczasem olbrzymi budynek pogrążył się w absolutnej ciszy. W zapadającym mroku Magda poczuła się tu bardzo nie na miejscu. Przypomniały jej się wszystkie historie o kłątwie rzuconej przez starą, zwariowaną hrabinę, z których zawsze się śmiała, ale teraz wywołały u niej gęsią skórę. Kropelka zimnego potu spłynęła jej po plecach.

Wstrzymując oddech, najciszej jak tylko potrafiła, skierowała się do schodów – jedynej drogi w dół. Powoli stawiała stopę za stopą, nasłuchując odgłosów na dole. Na razie nic nie słyszała, ale cisza była jeszcze gorsza niż hałas, bo teraz nawet nie wiedziała, gdzie znajduje się intruz.

*Nie powinnam była zostawać tu tak długo* – wyrzucała sobie.

Zatrzymała się na półpiętrze. Przez chwilę stała nieruchomo i nasłuchiwała, ale i tym razem nic nie usłyszała. Odzyskała odrobinę pewności siebie. Coś jej się musiało ubzdurać, nadal była roztrzęsiona od płaczu. Pewniejszym krokiem zeszła na parter. Widziała coraz mniej. Zastanowiła się, czy nie przyświecić sobie telefonem, ale uznała, że wtedy będzie ją widać z daleka. Nie, lepiej pozostać w ciemności.

W drodze do drzwi musiała jeszcze pokonać długi korytarz, jeden salon i recepcję. W sytuacji, gdy zimne, gołe ściany zdawały się przechylać, w każdej chwili gotowe, aby runąć na Magdę, wydawało się to niemal końcem świata.

Na parterze zapach deszczu i wilgotnego muru jeszcze bardziej drażnił nozdrza, gdy przez wybite okna wiało chłodem. Magda zadrżała z zimna. Z chwili na chwilę robiło się ciemniej i gdyby nie znała układu pomieszczeń hotelu na pamięć, mogłaby mieć problem z dotarciem do wyjścia, a okna, choć powybijane, były zbyt wysoko nad ziemią, żeby przez nie wyjść.

Chociaż szła powoli i ostrożnie, w pewnej chwili nie miała wyjścia i postawiła stopę na gruzie. Kilka ceglanych odłamków wyprysnęło spod jej buta i potoczyło się niżej.

Dziewczyna zamarła. Przygryzła wargę i skrzywiła się lekko, zła na siebie, że jest taka nieostrożna. Gdy drobne kamyki i resztki zaprawy znieruchomiały, odetchnęła z ulgą. Lecz oprócz bicia własnego serca, usłyszała coś jeszcze. To było niczym westchnienie. Dochodziło z pokoju po prawej.

Po ciele Magdy przebiegł nieprzyjemny dreszcz, krew płynąca w żyłach zrobiła się zimna. Dziewczyna zaczęła drżeć.

Dźwięk – teraz Magda była już pewna, że to ludzkie sapnięcie – powtórzył się. Wciąż stała nieruchomo, nie wiedząc, co robić dalej.

Mając w rodzinie Feliksa, nie musiała bać się ludzi. Żniwiarz niemal w magiczny sposób odstraszał od swoich bliskich najróżniejszych złodziei i awanturników. Ponadto, choć nigdy w życiu nie przyznałaby się do tego przed własnymi rodzicami, już nie raz znalazła się w nieciekawej sytuacji, ale zawsze potrafiła z niej jakoś wybrnąć. A więc co się działo z nią teraz? Dlaczego tak ją zmroziło? Przecież powinna zastosować swoją codzienną taktykę osoby, która pewnie szła przez życie, nie spodziewając się jakichkolwiek zakazów, co w większości przypadków działało bezbłędnie. Mało kto zaczepiał ludzi, którzy kroczyli naprzód z podniesioną głową.

Jednak tym razem coś było nie tak. Czuła to całą sobą, choć nie miała pojęcia, czym tak naprawdę to było. I wiedziała, że za ścianą nie znajdzie zwykłych nastolatków, którzy przyszli do hotelu postraszyć siebie nawzajem.

Nie miała zamiaru pokazywać się intruzowi. Powoli zaczęła się wycofywać, nie odwracając wzroku od wejścia do pokoju. Jeszcze dwa lata temu można było wyjść do ogrodu przez piwnicę. Co prawda będzie wtedy musiała okrążyć większość budynku, żeby dotrzeć na ścieżkę wiodącą do bezpiecznego samochodu, ale dużo bardziej wolała znaleźć się teraz w lesie, niż tu, w zrujnowanym pałacu pełnym duchów z przeszłości i nieznanego zagrożenia z teraźniejszości.

Krok za krokiem, spokojny oddech, czujny wzrok i słuch...

Nagle usłyszała szuranie. Mimowolnie zatrzymała się, patrząc z przerażeniem na postać wychodzącą z pokoju. Prawdopodobnie był to człowiek, mężczyzna odziany w porwane i brudne łachmany. Jedną nogą powłóczył za sobą, a ręce bezwładnie zwisały mu wzdłuż ciała. W prawej dłoni trzymał nóż. Przez chwilę Magda wpatrywała się w tę broń, a potem przeniosła wzrok na jego twarz. Była poszarzała z bólu, a może wściekłości? Na jednym policzku ziała otwarta, głęboka rana, odsłaniając zęby. Krew zaznaczyła bury ślad poprzez zuchwę, szyję i koszulę. Gdyby nie była tak przerażona, mężczyzna pewnie skojarzyłby się Magdzie z aktorem z filmu o zombie, lecz w tej chwili wcale nie było jej do śmiechu.

Na początku spojrzenie obcego było chaotyczne, jakby nie potrafił zdecydować, na co powinien

patrzyć, lecz zaraz potem skupił wzrok na dziewczynie. A było to niebezpiecznie błyszczące spojrzenie szaleńca.

Dziewczyna nie musiała dłużej się zastanawiać, co robić. Gdy mężczyzna wydobył z gardła zduszony okrzyk i ruszył w jej stronę, unosząc nóż, odwróciła się na pięcie i popędziła przed siebie. Usłyszała, że ten stwór – wbrew jakiegokolwiek logice – przyspiesza. Niemal czuła jego oddech na karku.

Przeskoczyła nad zwałami gruzu i wylądowała twardo na betonowej podłodze. Coś strzyknęło jej boleśnie w kolanie, ale nie zamierzała się nad sobą uzalać. Przynajmniej nie do momentu, aż znajdzie się w bezpiecznym miejscu.

Łapiąc ręką za framugę, gwałtownie skrzyła o dziewięćdziesiąt stopni. Tajemniczy mężczyzna był tuż za nią. Ledwie celując, ciął nożem tam, gdzie jeszcze przed chwilą znajdowała się dłoń Magdy. Metal zadzwierał rozdzierająco na ceglanej ścianie.

Magda nie miała czasu na zastanawianie się. Przed nią znajdowała się wielka dziura w ścianie, będąca niegdyś oknem. Za nią ziała przepaść. Co prawda salon znajdował się na parterze, ale nie znaczyło to, że do gruntu będzie blisko. Tym bardziej, że – jeśli dobrze pamiętała – bezpośrednio pod oknem znajdował się zsep do piwnicy.

Dziewczyna kilkoma susami przesadziła salon i dopadła do okna. Parapet nie był wysoko, więc stanęła na nim bez problemu i ostatni raz obejrzała się za siebie. Mężczyzna charczał i postękiwał, jakby zostało mu naprawdę niewiele sił, ale dotarł już do połowy salonu.

Magda skoczyła. Miała wrażenie, że lot w pobliskie krzaki trwa całą wieczność. Serce podeszło jej do gardła, usłyszała jęk zawodu na ustach atakującego. A potem spotkała się z twardą ziemią. Najpierw upadła na stopy, potem kolana i dłonie. Upadek szarpnął jej głowę, a zęby boleśnie zadzwoniły o siebie. Już myślała, że roztrzaskała sobie wszystkie stawy, kiedy siłą rozpędu poleciała do przodu. Lekko wykręciła tułów i potoczyła się po ziemi przez prawe ramię. Na moment ją zamroczyło. Nie wiedziała, gdzie się znajdowała, co robiła i dlaczego powinna się spieszyć. Z trudem, podpierając się o ziemię, zaczęła się podnosić, kiedy dobiegł do niej ni to krzyk, ni szloch. Obejrzała się za siebie. Stwór, który kiedyś był człowiekiem, kucał właśnie na parapecie okna gotowy do skoku.

Magda natychmiast otrzeźwiała, pozbierała się z ziemi i chwiejnym krokiem ruszyła przed siebie. Głośny łomot utwierdził ją w przekonaniu, że powinna przyspieszyć, gdyż napastnik również znalazł się już poza hotelem.

*Nie uda mi się – pomyślała rozpaczliwie.*

Wszystko zaczęło ją boleć i zabrakło jej tchu. Ale krzyk, który się powtórzył, dodał jej na chwilę energii do ucieczki.

Wtem spomiędzy ciemnych zarośli wybiegł bury pies, warcząc gardłowo. Kątem oka zobaczyła jak ją mija, pędząc prosto na mężczyznę. Więcej nie musiała widzieć – popędziła przed siebie, starając się nie słyszeć warczenia ani krzyków umierającej istoty.

Przedzierając się przez las, dopiero po dłuższym czasie odnalazła ścieżkę. Bolały ją wszystkie mięśnie, oczy zaszyły łzami, a płuca płonęły. Tak naprawdę nie miała pojęcia, co wydarzyło się chwilę temu, ale wiedziała, że musi znaleźć się jak najdalej stąd.

Potknęła się o kępę traw i wylądowała na ziemi, zdzierając sobie z dłoni skórę. Przygryzając wargę z bólu, wstała i ruszyła dalej, tym razem już odrobinę wolniej. W końcu zapadł zmrok, okrywając wszystko wokół czarnym płaszczem. Magda dopiero teraz zauważyła, że mży. A musiało padać od dłuższego czasu, gdyż była cała przemoczona, zaś mokre włosy lepiły jej się do twarzy.

W końcu wyszła z gęstego lasu i dojrzała zarys samochodu. Musiała stąd uciec. Dopiero wtedy będzie mogła pozwolić sobie na odetchnięcie z ulgą.

Chociaż już od pewnego czasu nie słyszała za sobą żadnych kroków, ani głosów, na wszelki wypadek

odwróciła się za siebie.

Niewiele mogła dostrzec w mroku, lecz miała nadzieję, że nikt jej nie goni. Nagle zderzyła się z czymś twardym, czego jeszcze przed chwilą nie było na jej drodze. Upadła na ziemię, zasłaniając odruchowo ramionami twarz. Dopiero gdy nie nadszedł żaden cios, opuściła lekko ręce i otworzyła oczy.

– Magda? – usłyszała, nie poznając tego głosu.

Silne dłonie złapały ją za ramiona i podniosły w górę.

– Wszystko w porządku?

Przez chwilę wpatrywała się w obcą twarz, aż w końcu przyszło zrozumienie.

– Mateusz? – zapytała cicho.

– Co ty tu robisz? Co się stało? Jesteś ranna?

Nie potrafiła odpowiedzieć na tyle pytań naraz. Otworzyła usta, lecz nie wydobył się z nich żaden dźwięk. Bez słowa objęła chłopaka w pasie i przytuliła się do niego, wreszcie czując się bezpieczna. Przez chwilę trwali w bezruchu.

– Możesz iść? – zapytał Mateusz i poprowadził ją ostatnie kilka kroków do samochodu. – Gdzie masz kluczyki?

Automatycznym ruchem sięgnęła ręką do kieszeni.

Mateusz posadził ją na siedzeniu pasażera i zerknął na ciemny las, po czym usiadł za kierownicą.

W ciepłym, bezpiecznym samochodzie Magda powoli zaczęła dochodzić do siebie. Czuła też, że jeszcze chwila, a się rozklei. Mocno zacisnęła zęby, a kiedy kryzys minął, nabrała w płuca duży haust powietrza.

– Ktoś na mnie napadł w starym hotelu – powiedziała, siląc się na spokojny ton. Minęli już brukowaną drogę w Grzmiącej i wyjechali na asfalt.

– Wiesz, kto to był? – Widziała, jak Mateusz mocno zacisnął szczękę.

– Nie wiem... To coś... ten... mężczyzna... Wyglądał, jakby był chory. I ranny. Ale tak śmiertelnie. Pojechałam do hotelu pomyśleć, zawsze tak robię, a kiedy wychodziłam, wpadłam na niego.

Deszcz zaczął padać coraz mocniej. Mateusz włączył wycieraczki.

– Czy coś ci zrobił? – zapytał powoli.

– Co? Nie... – Magda spojrzała na obite i zakrwawione dłonie i ze zdziwieniem odkryła, że jeszcze nie czuła bólu z licznych zadrapań. – Ja sama... jak wyskoczyłam przez okno.

– Chcesz jechać na policję?

– Nie! – Gwałtownie wyprostowała się na fotelu pasażera.

Mateusz spojrzał na nią zaskoczony.

– Nie, nic mi nie jest – powiedziała spokojniej. – Feliks nie lubi policji.

Chłopak prychnął cicho, jakby w tej chwili zdanie Feliksa było najmniej istotne.

– A jak ty się tu znalazłeś? – zapytała, patrząc na tunel z drzew przed nimi.

– Martwiłem się o ciebie – odparł po chwili. – Słyszałem, co się stało z twoją ciotką. Nie odbierałaś telefonu...

– Chyba byłam poza zasięgiem.

– I skoro nie było cię ani u Feliksa, ani u rodziców, czy w księgarni, pomyślałem o jednym miejscu, które znam i gdzie mogłaś się udać. Do Grzmiącej podwiózł mnie wujek. Za nią znalazłem twój samochód. Myślałem, że jesteś na starym cmentarzu, ale cię nie znalazłem. Wróciłem tutaj, kiedy na mnie wpadłaś.

– Dziękuję – szepnęła.

Kiedy wjechali do miasta, Mateusz ponownie zerknął z troską na Magdę.

– Jesteś pewna, że nie chcesz iść na policję? Ani na pogotowie?

Pokręciła głową.

– Odwieź mnie tylko do domu – poprosiła. – Do Feliksa.

Dom – jak zwykle o tej porze – był pogrążony w mroku i tylko słaba poświata w oknie salonu sugerowała, że żniwiarz siedzi przy świeczkach. Jak zwykle.

Mateusz odprowadził Magdę pod sam próg.

– Dziękuję – powiedziała dziewczyna, otwierając drzwi.

Z salonu wylewało się delikatne ciepłe światło. Słysząc było szelest gazety.

– Nie ma sprawy. Na pewno wszystko w porządku? – Przytulił ją i pogłaskał po plecach.

– Tak, możesz już iść do domu, wyśpij się. – Magda z żalem oderwała się od niego. – W końcu jutro rano idziesz do pracy.

Mateusz wahał się jeszcze przez chwilę, a potem odszedł.

Magda zamknęła drzwi na ciężką zasuwę, a potem oparła się o nie plecami, oddychając głęboko. Wydarzenia, które rozegrały się niecałe pół godziny wcześniej, zdawały się należeć do sfery snów. Gdyby nie piekące zadrapania na całym ciele, mogłaby pomyśleć, że wymyśliła sobie to wszystko. Wręcz wolałaby, żeby tak było.

W końcu oderwała się od drzwi i pokuśtykała do salonu. Feliks siedział przy stole i przeglądał coś w komputerze, jakby w końcu w tym wcieleniu zaakceptował istnienie Internetu. Podniósł wzrok na dziewczynę i przez kilka sekund wpatrywał się w nią, a po jego twarzy przemykały najróżniejsze emocje.

– Co się stało? – zapytał nieco oskarżycielskim tonem.

Magda usiadła na kanapie i zaczęła mówić, mając wrażenie, że opowiada fabułę marnego thrillera. Żniwiarz słuchał uważnie, ale w środku – była o tym przekonana – wrzał ze wściekłości i strachu o nią.

– Feliks, ja jeszcze nigdy nie widziałam kogoś w takim stanie – szepnęła na koniec. – Nie kłamię, podobnie wyglądała Nadia, kiedy stanęła na naszym progu. Tylko że on zatracił całe człowieczeństwo. Wyglądał, jakby chciał zabić każdego, na kogo natrafi... Nie możemy tego tak zostawić. Ten... pies. Tak, wydaje mi się, że to był pies... Chyba go zagryzł. Ale jeśli nie i ktoś inny tam trafi...

Żniwiarz podniósł się z krzesła i wyrzwał na noc panującą za oknem.

– Daj kluczyki – rzucił tonem nieznoszącym sprzeciwu. – Jak wyjdę, zamknij za mną dobrze drzwi. Przemyj te zadrapania i idź spać. Zajmę się wszystkim.

Magda, gdy została sama, zadrżała lekko, lecz nie z zimna. Kiedy tylko zamknęła oczy, widziała tamtego człowieka. Był przerażający, miał spojrzenie dzikiej bestii, a z gardła nie wydobywał się niemal żaden ludzki dźwięk. A mimo to, gdzieś w głębi serca, czuła żal i smutek. Kto doprowadził nieznanego do takiego stanu?

Na zeszywniałych nogach podreptała do łazienki i zamknęła się w niej. Wzięła gorący prysznic, nie zważając na piekący ból licznych zadrapań, i powędrowała do łóżka.

¢

Feliks zaparkował samochód na rozdrożu niedaleko hotelu, resztę drogi pokonując pieszo. W domu ledwo się powstrzymał, żeby nie nawrzeszczyć na Magdę. Wyrzucić jej, że szlaja się po ruinach po zmroku. Ale przecież zawsze to robiła, a on nigdy nie widział w tym nic złego. Praktycznie cała lokalna społeczność znała ją lub jej rodzinę i wszyscy wiedzieli – choć nie mieli pojęcia skąd – że lepiej ich nie zaczepiać. Bezmyślnie ją zaatakować mógł tylko ktoś obcy. Jednak nic się tu nie zgadzało. Facet wyglądający jak zombie? Wściekły pies, który się na niego rzucił?

– Nie wiem, co tu jest grane, ale się dowiem – mruknął Feliks, gdy między drzewami ujrzał bryłę budynku. Noc była pochmurna i ciemna, ale on przecież miał wzrok żniwiarza.

Deszcz przestał padać, pozostawiając świat wciąż duszny i wilgotny. Spodnie Feliksa przemokły już od pokrytej rosą trawy, ale nie zwracał na to uwagi.

Powoli zbliżył się do hotelu. Rozłożył swoją pałkę teleskopową na wypadek, gdyby zaatakował go zombie, wściekły pies, czy jeden Bóg wie co jeszcze.

Dawno temu był sprawny w posługiwaniu się najróżniejszą bronią: szablą, bagnetem, a w razie potrzeby nawet cepem czy widłami. Dawno temu był przekonany, że mało kto zatrzyma człowieka z ostrą bronią w rękę. I tak rzeczywiście było, ale dopiero potem nauczył się, że człowiek z pewnym siebie uśmiechem na twarzy może iść przez życie równie pewnym krokiem.

Jednak czasem samo spojrzenie nie wystarczało, a broń zwracała zbyt dużą uwagę i prowadziła do niewygodnych pytań we współczesnym świecie, gdzie obywatele powinni zachowywać się jak bezmyślne stado owiec. Dlatego Feliks zawsze dziękował w myślach wynalazcy pałki teleskopowej. Złożona była naprawdę niewielka, a rozłożona dawała efekt psychologiczny – często na sam jej widok napastnik odpuszczał, zaś dla kogoś, kto potrafił się nią posługiwać, bywała niezwykle przydatna.

Feliks skierował się pod okno, z którego skakała Magda. Ziemia pod nim była lekko zryta, a krzewy połamane. Ślady Magdy prowadziły do lasu, a potem na ścieżkę.

Żniwiarz odnalazł miejsce, gdzie tamtego mężczyznę zaatakował pies. O ile to rzeczywiście był pies. Na trawie i liściach zobaczył ciemniejsze plamy, których nie zdołał zmyć deszcz. Nie musiał zapalać latarki, by wiedzieć, że to krew. Było jej całkiem sporo, lecz poza tym nie dostrzegł nic innego. Jeżeli pies zabił faceta, gdzieś powinien leżeć trup, albo przynajmniej Feliks powinien widzieć ślady ciągnięcia ciała w las. Jeżeli nieznajomy przeżył, a rzeczywiście było z nim tak źle, jak mówiła Magda, to zostawiłby po sobie ścieżkę naznaczoną krwią oraz połamanymi krzewami i trawami. A tymczasem wyglądało, jakby po prostu wyparował. Tak samo jak pies.

– Co tu się, do diabła, dzieje? – mruknął żniwiarz.

Po żmudnym przeszukaniu terenu wokół hotelu wreszcie wszedł do samego budynku. Widział krew rozchlaną na podłodze i ślady ucieczki Magdy, ale nic więcej.

Jakkolwiek by się nie starał, wyprawa do hotelu postawiła przed żniwiarzem jeszcze więcej pytań, niż dała odpowiedzi.

Feliks wierzył w przypadki i zbiegi okoliczności. Zazwyczaj to one – a nie spiski – przeważały w życiu, ale tutaj to już była przesada. Zbyt wiele dziwnych rzeczy działo się ostatnio w Wiatrołomie i okolicy, by uznać je za przypadek.

Na wszelki wypadek jeszcze raz przeszedł się dookoła zrujnowanego hotelu, ale nie znalazł niczego nowego. Mężczyzna, który zaatakował Magdę, po prostu zniknął, podobnie jak zwierzę.

Żniwiarz wrócił do samochodu. W głowie kłębiły mu się myśli. Wiedział, że rozwiązanie tej zagadki jest na wyciągnięcie ręki, tuż pod jego nosem. Musiał tylko połączyć fakty, by dowiedzieć się, co jest grane. Wciąż rozmyślając nad wydarzeniami z ostatnich tygodni, odpalił silnik i wyjechał na drogę prowadzącą do Grzmiącej.

Od kiedy to wszystko się zaczęło? Chyba od śmierci Nadii. A może jeszcze wcześniej, od momentu jego własnej śmierci? Nie, to był raczej głupi wypadek, że dał się tak zaskoczyć. Jednak przez ponad pół roku nie było go w Wiatrołomie. Kto wie, co się wtedy działo?

Powoli przejechał przez Grzmiącą. Na stałe mieszkali tu już chyba tylko dwie rodziny, inne przyjeżdżały tylko latem. A szkoda, bo ta ładna wieś szybko popadała w ruinę. Kątem oka dostrzegł duży, niebieski samochód stojący pod jednym z domów. Już trzy – pomyślał. *Pewnie kolejna para emerytów, która sprowadziła się tu w poszukiwaniu spokoju.*

Pierwszy spożywał posiłek. Była to jedna z tych rzeczy, których brakowało mu w Nawii. Podobnie jak oddychania, lecz oddychanie trudniej celebrować. Dlatego za każdym razem, gdy miał ku temu okazję, zasiadał do stołu nakrytego białym obrusem i delektował się tym, co akurat Blank zamówił na wynos w restauracji.

– Czy wszyscy wiedzą, jaki błąd popełnił ten przeklęty potępieniec? – zapytał spokojnym tonem.

– Tak – odparł Blank, obawiając się kolejnego wybuchu swojego pana.

Poprzedniego wieczoru, gdy tylko dowiedział się, że jeden z potępieńców postradał zmysły i o mały włos nie zabił Magdy, Pierwszy tak się wściekł, że zabił nie tylko jego cielesną powłokę, ale i samego potępieńca.

– Zwracaj na nich baczniejszą uwagę, kiedy przychodzi ich czas, dobrze?

Blank skwapliwie pokiwał głową. Po części była to jego wina. Mięso, z którego potępieńcy budowali ludzkie ciała, nie było wieczne i po pewnym czasie zaczynało się psuć. Musieli wtedy powrócić do swojej prawdziwej postaci i czekać, aż Pierwszy pozwoli im znów przybrać ludzkie kształty. Jednak ten jeden potępieniec nie zamierzał rozstawać się ze swoim ciałem i ukrywał, że jest z nim tak źle – zaczął gnić, postradał zmysły. Uciekł przed pobratymcami i skrył się w opuszczonym hotelu. Pech chciał, że akurat tego dnia poszła tam również Magda.

– Na szczęście nic jej nie jest – powiedział na głos Blank, parząc herbatę dla swojego pana. – A nawet jeśli, to przecież tak naprawdę potrzebujemy tylko Feliksa, prawda?

Pierwszy odłożył sztućce na talerz i wytarł usta serwetką.

– Ile razy mam ci powtarzać, że potrzebujemy jej tak samo jak Feliksa? – powiedział spokojnie, jakby tłumaczył to dziecku. – Jeśli ktoś wyrządziłby jej krzywdę, Feliks stałby się nieobliczalny, a to byłoby dla nas niemałym problemem. Oni oboje są od siebie zależni w jakiś pokręcony sposób. I tylko we dwójkę będą potrafili odszukać Gerarda. – Nie możemy dać Feliksowi zbyt dużo czasu na rozważania, bo jeszcze czegoś się domyśli. – Zorganizuj mu jakieś zajęcia na najbliższe dni.

– A co konkretnie mam zrobić? – zapytał Blank, wciąż stojąc w miejscu.

Pierwszy zastukał palcami w stół i spojrzał w sufit, zastanawiając się.

– Z tego co wiem, to doktor Waldemar ma znajomego schizofrenika. Może by tak pokazać mu prawdziwego diabła?

– Znakomity pomysł.

– Nie podlizuj się i daj mi w spokoju wypić herbatę. Mam jeszcze mnóstwo rzeczy do zrobienia dziś w nocy. Łysy podwiezie mnie do miasta.

Pomocnik skierował się do wyjścia.

– Blank? – Pierwszy zatrzymał go w drzwiach.

– Tak?

– Liczę, że nie będzie już więcej problemów z potępieńcami – rzucił oschle.

Magda leżała w łóżku, ale nie mogła usnąć. Gdy tylko zamykała oczy, widziała tamtego mężczyznę z hotelu. Kim był? Co go tak załatwiło?

Kiedy po raz setny usiłowała ubić poduszkę, a ta wciąż była niewygodna, podniosła się ze złością i opuściła stopy na chłodną podłogę. Wstała z łóżka i podeszła do okna, ale jedyne co ujrzała to czarny, zarośnięty ogród. Nawet gdyby ktoś się w nim ukrywał, nie zobaczyłaby go. Zadrzała na samą myśl.

Znalazła spodnie i wyjęła z nich pogniecioną kartkę.

„Zombie w hotelu” – napisała ołówkiem.

Nagle usłyszała wesołą melodyjkę. Ze strachem podskoczyła na krześle. Chwilę trwało, zanim zorientowała się, że to telefon, który wciąż miała w spodniach.

– Cześć – usłyszała w słuchawce głos Mateusza. – Jak się czujesz?

– W porządku, wszystko w porządku – skłamała.

– Feliks jest z tobą?

– Nie, pojechał do Grzmiącej.

– Chcesz, żebym do ciebie przyjechał?

– Nie, dzięki. I tak kładłam się spać.

Pożegnali się i Magda wróciła do łóżka. Jakoś trudno jej było uwierzyć, że dzień wcześniej wesoło gawędzili przy grillu, a ciocia jeszcze żyła.

¢

Kolejne dni Magda pamiętała jakby przez mgłę. Chodziła do pracy, gdzie spędzała większość czasu, aby odciążyć mamę. Popołudniami odwiedzał ją Mateusz, żeby nie siedziała sama. A Feliks wciąż gdzieś wychodził bez słowa. Potem był pogrzeb i stypa.

– Jak ty to znosisz? – zapytała Feliksa, kiedy po wszystkim wrócili do domu. – Już tylu bliskich pożegnałeś...

– Każdy prędzej czy później umiera – odparł żniwiarz. – Jadwiga miała ciężkie życie, ale pod koniec była szczęśliwą kobietą. Tego nikt jej nie zabierze.

– W poprzednim wcieleniu bardziej byś jej żałował – mruknęła dziewczyna, zabierając się do zmywania naczyń.

Feliks zapatrzył się na widok za oknem.

– Pewnie tak. Wtedy znałem ją znacznie dłużej. Może właśnie dzięki temu, że tak wiele zapominamy, zmieniając ciało, możemy dalej funkcjonować i wykonywać swoją pracę?

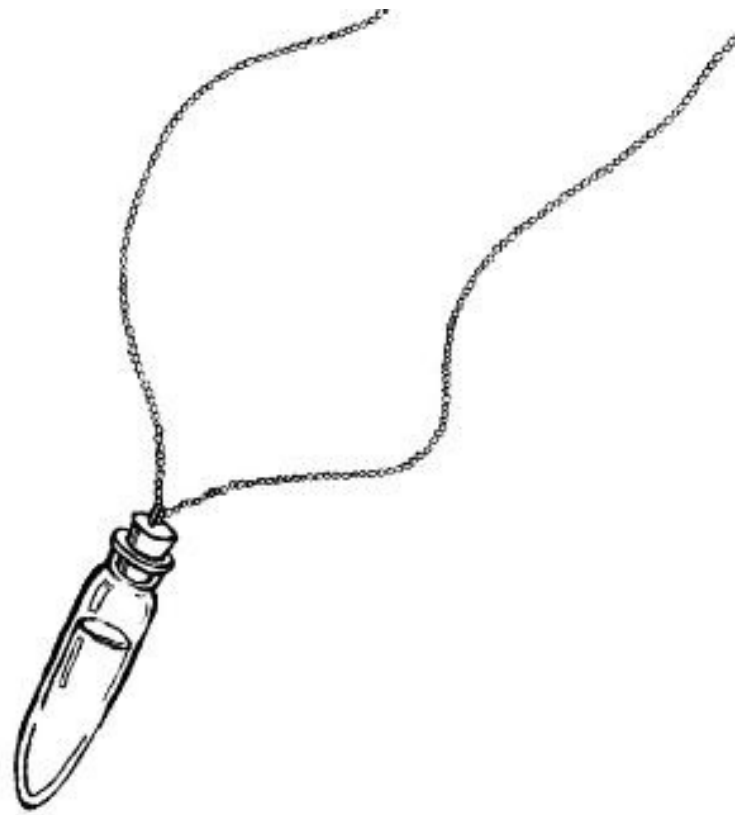
Magda wiedziała, że Feliks ma rację, ale w tej chwili tylko ją to rozdrażniło. Ten chudy, nieco złośliwy chłopak nie kochał cioci tak bardzo jak powinien.

– Czyli jak ja umrę, a ty akurat będziesz w nowym ciele, nawet się nie wzruszysz? – warknęła, już od kilku minut szorując ten sam talerz.

– Może – odparł, choć zdawał sobie sprawę z tego, że to nieprawda. Jakimś cudem od kiedy tylko się urodziła, czuł się odpowiedzialny za Magdę. Jeszcze nigdy nie zależało mu na kimś z rodziny tak bardzo jak na niej. Może dlatego, że była tak podobna do niego? Jako jedyna z osób, które znał na przestrzeni wielu lat, widziała i słyszała nawich prawie tak wyraźnie jak żniwiarz.



# Rozdział 10



Magda zaparzyła herbatę, ukroiła kawałek ciasta od mamy i usiadła za ladą. Przed południem nie było w księgarni nikogo poza nią, miała więc chwilę, żeby odpocząć. Odchyliła się na krześle, skrzyżowała nogi i oparła o ladę. Przez chwilę wpatrywała się w sufit, rozkoszując się ciszą i spokojem. Minął już ponad tydzień od pogrzebu cioci, a życie wróciło do normy. Magda nawet zaczęła przyzwyczajać się do faktu, że już nigdy więcej nie zobaczy staruszki, choć wciąż wolała jeszcze o tym nie myśleć, więc najczęściej wynajdywała sobie najróżniejsze zajęcia, aby zająć czymś umysł. Znowu wysprzątała na błysk dom Feliksa, a samego żniwiarza zmusiła do skoszenia trawy w ogrodzie. Szkoda tylko, że Mateusz nie miał dla niej czasu w tym tygodniu. W jego towarzystwie z całą pewnością łatwiej byłoby oderwać się od rzeczywistości.

Magda odłożyła talerzyk z ciastem, opuściła stopy na ziemię i oparła łokcie o ladę. Coś na ulicy przykuło jej uwagę. Przez szklane drzwi zapatrzyła się na skwerek, przy którym stała księgarnia. O tej porze przechadzała się po nim tylko para staruszków, a kawałek dalej duży, bury wilczur zaglądał do kosza na śmieci. Wyciągnął coś z niego i wypluł na chodnik, mlaskając jęzorem z obrzydzeniem.

Po Wiatrołomie od zawsze szwendało się kilka psów, którymi nikt nigdy nie zawracał sobie głowy. Nikogo nie atakowały, były wręcz przyjazne dla ludzi, dlatego wszyscy przymykali oko na takie włóczęgostwo. Magda pamiętała nawet wielkiego bernardyna, który przychodził pod jej szkołę podczas każdej długiej przerwy, a dzieciaki, włącznie z nią samą, dokarmiały go kanapkami. Pies był na tyle bezczelny, że nie jadał kanapek z sałatą, ani pomidorami, które zawsze wypluwał na chodnik, jednak nie gardził szynką i serem. W nagrodę pozwalał uczniom tarmosić się za futro i uszy, służąc im za wielką, nieco śmierdzącą przytulankę. Dzieci go uwielbiały, a dorosłym nie przeszkadzał, tak więc żył na szkolnych kanapkach przez wiele lat.

Wilczur przeglądający kosze pod księgarnią nie miał nawet w połowie tyle uroku, co tamten bernardyn, ale Magda jakoś nie potrafiła go zignorować. Wzięła kawałek ciasta z talerzyka i po chwili wahania poszła na zaplecze, gdzie w plastikowym pudełku znajdowała się reszta placka, i wyszła przed księgarnię.

Pies w pierwszej chwili w ogóle jej nie zauważył, a dziewczyna nie była na tyle głupia, żeby od razu podchodzić do nieznanego zwierzęcia. Zagwizdała na niego, a gdy ten podniósł łeb, pomachała kawałkiem ciasta.

Wilczur spojrzał na nią niepewnie, a potem rozejrzał się wokół, niemal jak człowiek.

– No chodź, zobacz, co mam. – Rzuciła na chodnik kawałek ciasta.

Pies – wciąż się wahając – podszedł do niej, zębami chwycił ciasto i odbiegł dwa metry dalej, po czym pochłonął je jednym łapczywym kęsem.

– Taki wielki, a taki tchórz – podsumowała go Magda. – No chodź, mam więcej.

Za trzecim razem delikatnie wyjął ciasto z jej dłoni.

– No już, dobry piesek. – Dziewczyna podrapała go za uchem. – Głodny byłeś, co? Matko, przydałaby ci się kąpiel – dodała, marszcząc nos. – Cuchniesz jak wychodek.

Wilczur pozwolił się głaskać, nawet niepewnie machnął ogonem.

Magda ujęła jego wielki łeb i spojrzała w bursztynowe oczy.

– Czy to byłeś ty? – zapytała. – Wydaje mi się, że cię poznaję.

Lecz pies nie odpowiedział. Delikatnie szarpnął łbem i zaczął wylizywać leżące na ziemi plastikowe pudełko, a kiedy upewnił się, że nie został w nim już żaden okruszek, odszedł.

Magda nie zatrzymywała go. Wyprostowała się i patrzyła, jak odbiega sprężystym truchtem.

– Widzę, że nie tylko ty dokarmiasz tego psa – usłyszała.

Odwróciła się i zobaczyła Aleksa.

– Cześć – przywitała się.

– Cześć – odparł. – Już od dawna widuję tego psa kręcącego się niedaleko naszego domu – powiedział, patrząc, jak wilczur znika za rogiem. – Kilka dni temu przyłapałem Mateusza na tym, jak dokarmia go kanapkami zrobionymi przez moją mamę – zachichotał.

– Cwaniaczek z tego psa. – Uśmiechnęła się. – A ty nie w szkole o tej porze?

– Znowu wcześniej skończyliśmy.

– Całe ciasto oddałam psu, ale może masz ochotę na szklankę zimnego soku? – zaproponowała.

Nastolatek zastanawiał się tylko chwilę, zanim skinął głową.

– To mów, co u ciebie słychać – zagadnęła, stawiając szklanki na wiklinowym stoliku w rogu.

– Nic szczególnego. – Wzruszył ramionami. – Koniec roku się zbliża, mamy sporo nauki.

– Miałeś wpaść do mnie po zioła – przypomniwała.

– Byłem, ale ciebie nie było – odparł. – Twój kuzyn dał mi jakąś mieszankę.

– I jak? Lepiej teraz śpisz?

– Znacznie lepiej. – Uśmiechnął się. – Naprawdę czuję się mniej bezbronny. W garażu znalazłem stary łom. Feliks mówił, że takie rzeczy też nieźle działają na nawich. Tylko mama trochę się wkurza, że chcę spać z tym łomem. Ech, ciężkie jest życie łowcy demonów.

– Tylko jak już jakiegoś zobaczysz, to uciekaj i dzwoń po mnie albo Feliksa – ostrzegła. – Tu masz nasze numery. – Napisała na kartce dwa szeregi cyfr.

– Dzięki. Muszę już iść – powiedział Aleks, chowając karteczkę do kieszeni. – Posiedziałbym jeszcze z tobą, ale mama się wścieka, jak włóczę się po mieście, zamiast się uczyć. Wystarczy, że Mateusza ciągle nie ma w domu.

– Biedak, wciąż pracuje. – Magda pokiwała głową ze zrozumieniem.

– Ja nie wiem, co on robi, ale na pewno nie pracuje. Tata ostatnio narzeka, że wciąż się urywa z pracy, a nawet kiedy pracuje, to nie potrafi się na niczym skupić.

– Och? – zdziwiła się dziewczyna.

– Ale rodzice są zgodni co do tego, czyja to wina.

– Tak?

– Twoja. – Aleks wyszczerzył wszystkie zęby w uśmiechu. – To cześć!

Magda, lekko czerwona na twarzy, pomachała mu na pożegnanie, stojąc w drzwiach księgarni.

– Pięknie, zaraz będzie, że przeze mnie zszedł na złą drogę – mruknęła.

Po południu, kiedy skończyła pracę, poszła na zakupy i wróciła do domu późnym wieczorem. Feliks znów gdzieś się włóczył – pewnie wyszedł pobiegać – więc z braku zajęcia i towarzystwa, poszła szybko spać.

¢

Waldemar włączył telewizor i usiadł w fotelu, lecz już po chwili obraz zaczął tak śnieżyć, że nie był w stanie nic zobaczyć.

– Przeklęty gruchot – warknął, wstając.

Podszedł do urządzenia i kilka razy uderzył dłonią w obudowę, ale nic to nie dało – wręcz przeciwnie, teraz nawet dźwięk się popsuł.

– Wyrzucę cię na złom – zagroził, wyłączając telewizor.

Wieczór był jeszcze wczesny i nie chciało mu się spać. Zresztą... ostatnio kiepsko sypiał.

Odszukał pod gazetami na stole pełną popielniczkę i paczkę papierosów. Wsunął jednego do ust i zapalił, rozkoszując się dymem wypełniającym płuca, a potem zaczął kaszleć.

– Niech to diabli – mruknął.

Sięgnął po szklanę, ale ta była pusta. Mamrocząc pod nosem przekleństwa, przeszedł do kuchni i napił się wody bezpośrednio z kranu, opierając o zlew dłoń z tłącym się papierosem.

– Zjadłbym coś. – Zajrzał do lodówki, ale był tam tylko kawałek kiełbasy, który już kilka dni wcześniej zaszedł bielą. – Umyje się.

Kiełbasa może i była mokra, ale przynajmniej już nie śmierdziała.

– Kiedy ja się tak stoczyłem? – zastanawiał się, wracając do salonu.

Już dawno temu odtrącił rodzinę, żona go zostawiła, wyrzucili go ze szpitala całe wieki wcześniej. Od tamtej pory żył samotnie, lecząc tych, których nie stać było na lepszego lekarza, albo tych, którzy nie chcieli, aby zadawano im zbyt wiele pytań typu „kto pana dźgnął nożem?” czy „te rany wcale nie wyglądają na ugryzienia psa”.

Waldemar nie przebierał w pacjentach – leczył każdego, kto zapukał do jego drzwi, nieważne, czy była to ofiara czy napastnik. Liczyło się tylko to, że płacili. I choć szanowani obywatele omijali go szerokim łukiem, czuł się stosunkowo bezpiecznie wśród wszelkich mętów społeczeństwa, bo żaden z nich nie wiedział, kiedy trafi pod jego nóż, a lepiej nie zadzierać z lekarzem.

Wyjątkową grupą, którą leczył, byli zniwiarze. Czasem płacili mu mnóstwo pieniędzy, czasem nie mieli grosza przy duszy. Innym razem dawali mu zioła lub krew świętego Jana. A zdarzało się też, że płacili przysługami.

Jako dziecko Waldemar widział cienie oraz słyszał szepty tam, gdzie nikogo nie było. A lodowaty wiatr, który nie wywoływał wśród innych ludzi żadnych większych uczuć, przejmował go dreszczem.

Waldemar nie raz zastanawiał się, czy to między innymi dlatego wybrał medycynę. Chciał być człowiekiem, który twardo stąpa po ziemi i nie wierzy w żadne paranormalne bzdury. Gdy kończył staż, chciał przepracować kilka lat w szpitalu, a potem założyć własną klinikę i zarabiać mnóstwo pieniędzy.

Wtedy trafiło do niego to dziecko. Chłopiec złamał rękę – nic niezwykłego u energicznego dzieciaka. Lecz gdy jego matka na chwilę wyszła, zostawiając ich samych, chłopak powiedział, że widział upióra.

– Wierzy pan, że one istnieją? – zapytał.

– Oczywiście, że nie – odparł pewnym tonem Waldemar. – Byłeś zaspany, mózg wymyśla czasem różne niestworzone rzeczy, kiedy ciało już się obudzi, a umysł śpi. To jest zupełnie normalne. Duchy nie istnieją.

Chłopiec pokręcił głową.

– Nie spałem i wiem, co widziałem. Mama mi nie wierzy, ale on wszedł do domu sąsiada, a ten następnego dnia już nie żył.

Waldemar zbył dzieciaka. Dopiero co przekonał samego siebie, że nie ma żadnego nadprzyrodzonego świata, że to wszystko to tylko owoc zbyt bujnej wyobraźni. Nie chciał wysłuchiwać takich historyjek.

Minęły zaledwie trzy dni, gdy na pogotowiu znów znalazł się ten sam chłopiec. Ze złamaną ręką wszystko było w porządku, ale na udzie miał obficie krwawiącą ranę, jakby pogryzł go duży pies. Waldemar zrobił wszystko, co było w jego mocy, ale gdy już udało mu się zatamować krwotok, chłopiec zmarł. Zrozpaczona matka krzyczała o potworze, który napadł na jej dziecko.

Później Waldemar często zastanawiał się, czy gdyby już wtedy zaczął czytać, szukać pomocy, mógłby cokolwiek zrobić i ocalić chłopaka. Tego już nigdy się nie dowie.

Tamtej nocy spał się do nieprzytomności, a następnej, samemu nie wiedząc dlaczego, udał się pod dom chłopca.

Stał po drugiej stronie ulicy i wpatrywał się w budynek, zastanawiając się nad słowami dziecka i jego

matki. Czyżby to rzeczywiście było coś więcej niż zwykłe zwierzę?

Nagle zobaczył mężczyznę, który stał oparty o płot kilkanaście metrów dalej. Wyglądał podejrzanie. Może to właśnie on zaatakował dziecko, raniąc je? I nagle Waldemar usłyszał coś i poczuł smród rozkładającego się ciała, a po chwili, po raz pierwszy w życiu, ujrzał tak wyraźnie to, czego zawsze się obawiał.

Następnych kilku sekund nie pamiętał. Nigdy nie potrafił ich przywołać, jego mózg zamknął się na to wspomnienie. Był pewien jedynie tego, że okropny stwór rzucił się na niego, a ten dziwny facet ocalił mu życie. Potem jakimś cudem znaleźli się w mieszkaniu Waldemara.

– Przeklęty upiór – mówił mężczyzna, który przedstawił się jako Feliks, żniwiarz, jakby cokolwiek z tego miało znaczenie dla młodego lekarza. – Nie mogłem namierzyć jego grobu, więc musiałem czatować przez dwie noce na jego żerowisku. Żebym tylko zdążył dzień wcześniej. – Uderzył pięścią w dłoń. – To ten upiór zabił chłopca – dodał wyjaśniającym tonem.

– Nie umiałem zatamować krwotoku – powiedział nieprzytomnie Waldemar. – Gdybym tylko...

– Nie mogłeś mu pomóc. Trupi jad krążył w jego żyłach. To jedna z najgorszych trucizn.

– On nie był otruty!

– Ależ był. To wasze metody nie potrafią tego wykazać.

– Co pan w ogóle robi w moim domu?! – Waldemar poczuł się, jakby obudził się z głębokiego transu. – Proszę natychmiast wyjść!

– Dobrze. – Intruz uniósł obie dłonie, próbując go uspokoić. – Ale dziś widziałeś upiora. A to tylko początek. Jak ktoś raz je zobaczy, już zawsze będzie je widział. Jakbyś miał jakieś problemy, skontaktuj się ze mną. – Podał mu kartkę z adresem.

Lekarz zamknął za nim drzwi, a kartkę rzucił na stół. Potem przeciąg zrzucił ją pod kanapę.

Waldemar już nigdy nie otrząsnął się po tych wydarzeniach. Stał się opryskliwy i nie stronił od kieliszka, za co w końcu wyrzucono go z pracy.

Dwa lata później, kiedy wciąż nie uporządkował swojego życia, znalazł pod kanapą starą kartkę z adresem. Jak tylko na nią zerknął, wróciły wydarzenia, o których zdawałoby się, że zapomniał. I kiedy sąsiadka zawodziła, że jej dom jest nawiedzony, skontaktował się z Feliksem, jakby przed samym sobą chciał dowieść, że to wszystko nie dzieje się naprawdę.

A jednak. Waldemar nie mógł temu zaprzeczyć, gdy zobaczył prawdziwego ducha. Martwiec – jak nazywał go Feliks – był zaskakująco silny i nieźle poturbował żniwiarza. Na widok jego ran w Waldemarze obudził się lekarski instynkt i nie wypuścił Feliksa z domu, zanim go nie pozszywał. Plotka, że istnieje lekarz, który leczy żniwiarzy, szybko rozeszła się po kraju i od tej pory do drzwi Waldemara pukał już nie tylko margines społeczeństwa. Mężczyzna szybko nauczył się rzeczy, o których nikt nie wspominał na uniwersytecie. Na przykład tego, że rany zadane przez nawich goją się znacznie lepiej, kiedy poleje się je krwią świętego Jana. Wydawało się to być wbrew zdrowemu rozsądkowi... ale tak samo rzecz miała się z duchami i upiorami, prawda?

Rozmyślając o przeszłości, Waldemar przysnął w fotelu. Ze snu wyrwało go walenie do drzwi.

Lekarz zerwał się na równe nogi i rozejrzał nieprzytomnie po pokoju. Chwilę trwało, zanim zorientował się, gdzie jest i co się dzieje. Łomot powtórzył się.

– Niech ich diabli – mruknął, wziął do ręki pogrzebacz i wyszedł na korytarz.

– Otwórz! To ja! – krzyknął ktoś za drzwiami.

Waldemar odetchnął lekko, ale nie odłożył pogrzebacza.

– Czego znowu? – warknął, otwierając drzwi.

– Widziałem go! – sapnął mężczyzna w średnim wieku, wciskając się do domu. – Zamknij szybko drzwi! Chyba mnie śledzi!

– Kto? Co?

Mężczyzna, drżąc na całym ciele, wyrzwał przez judasza na zewnątrz.

– Chyba poszedł... Ale nie, coś tam jest. O mój Boże! On nas zabije! – zaczął jęczeć niespodziewany gość.

– Gauza, uspokój się – warknął Waldemar, odepchnął go od drzwi i sam wyrzwał na zewnątrz. – Nic tam nie ma.

– Na pewno? Ja wiem, że to za mną szło! – krzyknął nienaturalnie wysokim tonem starszy mężczyzna. Ponownie zerknął na ulicę, wciąż drżąc ze strachu.

– Ile razy mam ci powtarzać, że jesteś schizofrenikiem i masz manię prześladowczą? – odparł zmęczonym tonem Waldemar i skierował się do salonu

– Ale tym razem było inaczej! – zapewnił Gauza, drepcząc tuż za nim.

Waldemar usiadł w fotelu, zapalił papierosa i wpatrzył się w znajomego.

Jak zwykle był ubrany w gruby, wełniany sweter i paskudne, stare spodnie na kant. Okulary ze szklami grubymi niczym denka od słoików sterczały mu na długim nosie. Szpakowate włosy, zazwyczaj zaczesane tak, aby ukrywać zakola i łysinę na czubku głowy, teraz stroszyły się we wszystkie strony. Niebieskie, wodniste oczy nie przestawały niespokojnie badać otoczenia.

– Wywalą cię kiedyś z roboty za te głupoty – stwierdził spokojnie Waldemar.

– W pracy się pilnuję i nic nie mówię – odparł Gauza.

Usiadł na kanapie, ale po chwili zerwał się z niej, żeby odchylić ciężkie zasłony i wyjrzeć na ulicę.

– Kiedyś się złamiesz. – Waldemar zaciągnął się papierosem.

– Nie dam im się złamać – zapewnił hardo gość.

– Aha, jasne. Ciekawe tylko, jak nowe pokolenie młodych, ambitnych ludzi ma się rozwijać, skoro uczy ich taki świr.

– Mam już blisko do emerytury – mruknął Gauza.

– A wtedy już w ogóle nie dasz mi spokoju.

– Waldemar. – Mężczyzna zwrócił niespodziewanie trzeźwe spojrzenie na lekarza. – Tym razem widziałem to naprawdę. Jestem tego pewien. Było inaczej niż zazwyczaj, kiedy rzeczywiście mam omamy. To coś... ten pies... istnieje naprawdę. Wracalem z parku, a on stał pod moim domem i wpatrywał się w moje drzwi. Był olbrzymi. Jak cholerny koń! Miał czerwone, gorejące ślepia. Aż słabo mi się robi, gdy tylko go sobie przypomnę. Był cały czarny, miał zmierzwioną sierść i śmierdział zgnilizną.

– To był pewnie wilczur twojej sąsiadki. – Waldemar machnął ręką.

– To nie był jej pies! – krzyknął piskliwie nauczyciel.

– Siadaj, uspokój się, naleję ci kielicha...

– Ty myślisz, że potrzebuję wódki?! Wtedy to dopiero bym miał wizje! Aż dreszcz mnie przechodzi, kiedy przypomnę sobie, jak jego łańcuch brzęczał po asfalcie!

– Łańcuch? – zainteresował się nagle lekarz, pochylając się w fotelu.

Popiół z papierosa, którego trzymał między poślódkłymi palcami, bezszelestnie spadł na linoleum.

– Przecież mówię! Wielkie bydlę o czerwonych oczach!

– Ale miał łańcuch?

– Tak!

– Słyszałeś kiedyś o zwidach?

– Nie mam żadnych zwidów!!!

Gauza poderwał się z kanapy i zaczął nerwowo krążyć po pokoju.

– Nie to mam na myśli. Zwid to coś pomiędzy pokutującą duszą, a upiorem... – Gauza przeżegnał się. –

Czasem przybiera zoomorficzną postać, za przykład czarnego psa z łańcuchem.

– Groźny jest? Będzie szedł moim tropem, aż mnie dopadnie?!

– A skąd mogę to wiedzieć? – Waldemar wsunął do ust niemal zapomnianego papierosa.

– Przecież jesteś specjalistą od tych rzeczy!

– Nie jestem, tylko ich lecę i słyszę to i owo. Z tego co mówili, zwid nie robi ludziom krzywdy...

Chyba. Ale ponoć potrafi nieźle przestraszyć.

Gauza opadł bezsilnie na wersalkę.

– I co ja mam teraz zrobić? Przecież nie wrócę do domu, jak to coś siedzi pod moimi drzwiami.

Waldemar zastanowił się przez chwilę.

– Masz telefon? Zadzwoń do... – zawahał się, ale doskonale wiedział, kto ma do niego najbliżej.

Pozostali już dawno do niego nie zaglądali. – Jest taki jeden koleś, który zrobi coś z tym kundlem. A ty możesz zostać u mnie na noc... jeśli chcesz.

†

W nocy Magdę obudził dzwonek telefonu.

– Tak? – zapytała sennie, nie podnosząc głowy z poduszki.

– Muszę pomówić z Feliksem – usłyszała.

– Pan Waldemar? Co się stało?

– Chyba mam dla niego zlecenie.

– Chwila.

Magda przetarła oczy, wstała i bosą wyszła z pokoju. Dom pogrążony był w ciszy i ciemności. Najpierw zajrzała do sypialni Feliksa, ale zasłane łóżko wskazywało, że jeszcze nie położył się spać. Wciąż lekko zaspana, przykładając jedną dłoń do ściany, zeszła na dół. Stary zegar wybił jedenastą wieczorem.

– Feliks? – Dziewczyna weszła do salonu, gdzie w fotelu drzemał zniwiarz. – Telefon do ciebie.

Wręczyła mu telefon, ale zamiast wracać do łóżka, przysiadła na kanapie, z marnym skutkiem usiłując usłyszeć Waldemara.

– Wielki, czarny i śmierdzący? – dopytywał Feliks. – Na pewno miał łańcuch? Bo w hycła bawić się nie będę, nie zamierzam wyłapywać zwykłych psów. Szczególnie, jeśli mają właściciela – dodał ironicznie. – Dobrze, zaraz wyjeżdżam. Kiedy będę? Jak dojadę.

Rozłączył się i kilka razy stuknął telefonem w otwartą dłoń.

– I co? – zapytała z niecierpliwością Magda.

– Kolegę Waldemara nastraszył zwid.

– Zwid? Ale super! – ucieszyła się dziewczyna, ale mina jej zrzędła pod karcącym spojrzeniem Feliksa.

– To znaczy źle, ale jeszcze nie widziałam zwida.

– I nie zobaczysz – mruknął Feliks, wstając z fotela.

Oddał jej telefon i skierował się do przedpokoju.

– A właśnie, że zobaczę, bo jadę do Czarnej Wody z tobą! – krzyknęła i zerwała się z kanapy.

– Jesteś w pidżamie – przewrócił oczami. – Nie będę czekał, aż się ubierzesz.

– Daj mi minutę. W międzyczasie możesz naszykować trochę krwi świętego Jana – rzuciła przez ramię, wbiegając na schody. – Bo zużyliśmy mu cały jego zapas! – krzyknęła, będąc już na piętrze.

Wpadła do swojego pokoju niczym burza, chwyciła pierwszą z brzegu bluzkę, wywróciła się, wciskając się w spodnie, ale minutę później znalazła się na dole, zarzucając kurtkę na ramiona.

– Co tak długo? – zapytała Feliksa, który wychodził właśnie z piwnicy z butelką pełną przezroczystego płynu.

Żniwiarz tylko pokręcił głową.

– Ja prowadzę – dodała na wszelki wypadek, zdejmując z haczyka kluczyki.

Półtorej godziny później zaparkowali pod małym, zaniedbanym domkiem.

Waldemar otworzył im drzwi, dzierżąc pogrzebacz w dłoni. Jak zwykle.

– To co z tym zwidem? – zapytał od razu Feliks.

Lekarz zmierzył go wzrokiem, jakby oceniał jego nowe ciało, a na koniec skrzywił się z niezadowoleniem.

– Stał ponoć pod domem Gauzy jeszcze dwie godziny temu – odparł w końcu.

Weszli do salonu, gdzie na starej wersalce siedział roztrzęsiony mężczyzna pod sześćdziesiątkę.

W dłoniach gniótł chusteczkę higieniczną.

– To jest ten schizofrenik? – Żniwiarz spojrzał na niego, kładąc podrózną torbę na krzesło.

– Wypraszam sobie! Żaden gówniarz nie będzie... – oburzył się Gauza.

– To jest żniwiarz – wtrącił zmęczonym głosem Waldemar. – Ma kilkaset lat.

– Ach... Chyba że tak... – Nauczyciel spuścił z tonu. – A ty? – spojrzał na Magdę.

– Człowiek, ma szesnaście lat – powiedział Waldemar.

– Dwadzieścia – poprawiła nieco urażona Magda.

– Mniejsza z tym. Opowiedz im, co widziałeś – zwrócił się do Gauzy.

Mężczyzna ze szczegółami opowiedział o spotkaniu ze zwidem.

– Pozbądźcie się go, prawda? – zapytał. – Ten diabeł nie będzie siedział pod moim domem co noc?

– Jak się zwidów nie zaczepia, nie zrobią człowiekowi krzywdy – powiedział Feliks.

– Jasne – mruknął nauczyciel.

– Gdzie mieszkasz?

– Pięć domów dalej. – Gauza machnął ręką w stronę okna.

Żniwiarz skinął głową i sięgnął do swojej torby. Za pasek spodni zatknął nóż i wsunął gałązkę szakłaku, drugą podał Magdzie. Do kieszeni wcisnął woreczek z suszonymi ziołami i garść zielonych liści.

– Gotowa?

Dziewczyna skinęła głową, starając się ukryć strach wymieszany z ekscytacją.

– Do zobaczenia później. – Żniwiarz machnął ręką Waldemarowi i Gauzie.

Feliks i Magda wyszli w chłodną noc. Garb księżyca skrył się za chmurami. Kilka latarni na ulicy było rozbitych, lecz te działające zalewały okolicę ciepłym światłem.

Magda nabrała w płuca rześkiego powietrza. W życiu by się do tego nie przyznała, ale dłonie drżały jej z emocji. Kiedyś trochę czytała o zwidach. Ponoć samo ich spojrzenie potrafiło przerazić człowieka tak bardzo, że nie był zdolny do żadnego ruchu: ciało drżało, ręce i nogi odmawiały posłuszeństwa, a po plecach lał się lodowaty pot. Była ciekawa, czy to prawda, a jeśli tak, to jak zwid zadziała na nią.

– Będiesz trzymała się z daleka – odezwał się Feliks, przerywając jej rozmyślenia. – Odwrócisz uwagę zwida, ale nie zbliżysz się do niego. Szakłaku użyj tylko w ostateczności, nie chcemy, żeby uciekł.

– Jak się go wypędza? – zapytała.

– Zwid jest po części upiorem, a po części potępieńcem...

– Tyle to wiem.

– Nie przerywaj mi. Kiedyś wierzono, że pojawia się na ziemi w ramach kary za popełnione grzechy. Ze zwidem w postaci psa stosunkowo łatwo można sobie poradzić, albo i nie, zależy jak na to patrzeć. W każdym razie to łańcuch przypięty do jego obroży symbolizuje jego karę. Trzeba go odpiąć.

Magda przystanąła na środku ulicy.



– Pies wielki jak kuc, a ty mu chcesz obrozę odpinać?

– Takie życie. – Żniwiarz wrzucił ramionami, a potem wyjął z kieszeni kilka zielonych liści. – Natrzyj nimi dłonie, twarz i szyję – poleciał, wręczając kilka z nich Magdzie.

– Leszczyną? Po co? – zdziwiła się.

– Czasem myślisz, że wiesz wszystko. Pamiętaj, że jest jeszcze całe mnóstwo rzeczy, o których nie masz bladego pojęcia.

Magda wzięła liście i zaczęła nacierać nimi dłonie.

– Całe mnóstwo rzeczy, o których... – mruzczała pod nosem, przedrzeźniając Feliksa.

– Pędy leszczyny umieszczone przy belkach w nowo wybudowanym domu miały chronić mieszkańców przed złem. Podobnie wielu rolników umieszczało je nad wejściem do obory. Często też zmarłym wkładano do rąk orzechy, zanim ich pochowano, aby chroniły ich przed wszystkim, co mogą spotkać na swojej drodze do zaświatów. Leszczyna ma potężną moc. W pewnym sensie dorównuje szakłakowi. My, nacierając nią dłonie i twarze, sprawimy, że zwid nie wyczuje nas zbyt szybko.

Magda na wszelki wypadek potarła liśćmi kurtkę – nie chciała, żeby potem Feliks wypominał jej, że polowanie nie udało się przez nią.

Wkrótce zbliżyli się do domu Gauzy.

– I co? Widzisz go? – zapytała szeptem Magda, rozglądając się uważnie.

– Nie – odparł Feliks, który zapatrzył się w jeden punkt w oddali, gdzie, jak mu się zdawało, widział czyjś cień. – Ale nie martw się, nie mógł uciec daleko. Chodźmy.

Ruszył przed siebie, nie odrywając oczu od podejrzanego cienia, a im byli bliżej, tym silniejsze miał wrażenie, że cień ma ludzki kształt.

– Tam! – szepnęła nagle Magda.

Feliks spojrzał w lewo, gdzie na samym środku drogi, pod rozbitą latarnią, siedział wielki, czarny pies. Wiało od niego smrodem zgnilizny i zepsutych jajek. Zwid wpatrywał się w ciemne okna jednego z domów.

Feliks skinął głową, a potem zerknął przelotnie w miejsce, gdzie jeszcze przed sekundą znajdował się cień, ale ten znikł. Żniwiarze nie miewali omamów, rzadko też mówili, że coś im się przywidziało czy przesłyszało. Jeśli żniwiarz coś widział bądź słyszał, to z całą pewnością to coś tam było. Jednak Feliks teraz nie miał czasu na rozważania na temat natury podejrzanego cienia.

– Daj mi pięć minut – powiedział do dziewczyny. – Zajdę go z drugiej strony. Kiedy zobaczysz mnie naprzeciwko, powoli zbliż się do psa, ale nie więcej niż na dziesięć metrów. Jeśli cię nie zauważy, możesz coś powiedzieć, czy zaszurać butami, żeby zwrócić na siebie uwagę. Kiedy zwid wlepi w ciebie swoje spojrzenie, sparaliżuje cię strach. Nie martw się, to normalna reakcja u ludzi.

– I co dalej? – szepnęła głosem pełnym emocji.

– Po prostu tam stój. Zwid cię nie zaatakuję. Ja w międzyczasie zajdę go od tyłu i spróbuję odczepić jego obrozę. Gdyby było naprawdę źle, użyj tego, co zwykle. – Wręczył jej woreczek z ziołami. – To go odstraszy i ucieknie.

– Ale wtedy nie wiadomo, kiedy znów się pojawi.

– Przynajmniej nie robi ci krzywdy. Pamiętaj, pięć minut.

Feliks odszedł w mrok ogródków ciasno upchniętych między domami.

Magda spojrzała na psa, który wciąż siedział pod zgaszoną latarnią i wpatrywał się w jeden z domów. Nie wyglądał szczególnie demonicznie – ot, wielka bestia z czarnym, zmierzwionym futrem. Zerknęła na zegarek – minęła dopiero minuta. A jeśli zwid zobaczy ją wcześniej? Albo po prostu odejdzie, zanim Feliks się do niego zbliży? Starła się nie ruszać, ani nie wydawać żadnych dźwięków, żeby nie zwrócić na siebie jego uwagi przed czasem, co było dość trudne, bo od stania w miejscu zaczęły ją boleć nogi,

a pięć minut trwało tyle co wieczność.

Wreszcie zobaczyła ciemną sylwetkę Feliksa, który bezszelestnie wyłonił się z ciemności na drugim końcu ulicy. Powoli uniósł w górę dłoń i gestem dał jej znak, by szła w jego kierunku.

Dziewczyna ruszyła cicho i powoli, latarnia nad jej głową zamrugła i zgasła. Drobne kamyczki zachręściły pod jej butami. Serce biło mocniej, a krew zaczęła szybciej krążyć w żyłach.

Kątem oka zobaczyła, jak Feliks ponownie podnosi w górę dłoń, każąc jej się zatrzymać. Teraz widziała psa znacznie wyraźniej, jego czarną sierść jakby pozlepianą smołą, pysk, z którego buchały kłęby pary i gruby, ciągnący się po ziemi łańcuch przyczepiony do skórzanej obroży.

Magda wzięła głęboki wdech i odchrząknęła, ale zwid nie zwrócił na nią uwagi. Wtedy zagwizdała. Pies powoli odwrócił spojrzenie w jej stronę. Magda w życiu nie widziała tak czerwonych i obrzydliwych oczu. Bestia wlepiła w nią gorejące spojrzenie, hipnotyzując, sprawiając, że straciła wszelką zdolność do ruchu. Czują, jak drży, ale nie była w stanie poruszyć nawet palcami u rąk. Strużka lodowatego potu spłynęła jej po plecach.

Zwid stanął na czterech łapach – dopiero teraz można było dostrzec, jak jest olbrzymi. Czarne pazury zachrobotały na asfalcie, a poruszony łańcuch zadzwieczał nieprzyjemnie. Latarnie na ulicy zaczęły migotać. Magda poczuła się słaba i bezsilna wobec mocy zwida. Gdyby tylko chciał, rozszarpałby ją na strzępy, oderwał mięso od kości, przegryzł gardło, a drogę splamiłaby jej gorąca krew.

Niemal czuła, jak jego kły gruchoczą jej ręce i nogi. Instynkt samozachowawczy wył, aby uciekała, ukryła się, ale ciało odmawiało posłuszeństwa. Jedyne co mogła zrobić, to nadal wpatrywać się w czerwone, przerażające ślepie i czekać na pewną śmierć. Świat poza nią i zwidem przestał istnieć, wokół panowała ciemność, której nic nie było w stanie rozświetlić.

*To koniec, zginę tutaj, na obcej ulicy w obcym mieście* – pomyślała Magda, gdy coś nagle przerwało czar.

Ujrzała Feliksa, który stał tuż przy psie i wyciągał rękę w stronę jego szyi.

*Nie!!! On cię zabije!!!* – chciała krzyczeć, ale z jej gardła wydobywał się zaledwie cichy jęk.

Wtem zwid poczuł żniwiarza, szarpnął łbem i capnął zębiskami tuż przy jego dłoni. Feliks odskoczył do tyłu, a pies rzucił się na niego.

Magda bezsilnie patrzyła, jak Feliks szamocze się ze zwidem, a po jej policzkach spływały łzy. Oczyma wyobraźni widziała, jak potwór go zagryza, a potem zostawia na ulicy jego zakrwawione strzępy. Zaczęła trząść się niczym w malignie.

– Nie! – krzyknęła tak głośno, że zaskoczyła samą siebie.

Feliks zdołał unieruchomić psa, nogami oplatając jego tułów, a ramionami trzymając szeroki pysk. Jednak za każdym razem, gdy usiłował uwolnić jedną rękę, aby sięgnąć nią obroży, pies wyrywał się z taką siłą, że żniwiarz nie był w stanie go utrzymać.

Magda spięła wszystkie mięśnie i podbiegła do nich, zataczając się. Pies wił się w uścisku, sapał i warczał gardłowo. Jego pazury drapały asfalt, a łańcuch brzęczał głośno.

– Przesuń rękę! Nie mogę sięgnąć klamry! – Magda siłowała się ze skórzaną obrożą.

Nerwowo przesuwiała po niej palcami, próbując namierzyć zapięcie. Pies wbił w nią spojrzenie czerwonych ślepi, ale starała się w nie nie patrzeć.

– Mam! – Jej palce zacisnęły się na końcówce obroży.

Aby ją odpiąć, musiała najpierw mocniej ją zacisnąć, żeby zwolnić zapięcie. Szarpnęła mocno, aż metalowa końcówka wyskoczyła z dziurki, lecz zablokowała się w następnej. Nagle zwid szarpnął łbem, uderzając Feliksa w szczękę. Żniwiarza na chwilę zamroczyło, ale to wystarczyło, żeby pies uwolnił się z jego uścisku. Stanął na czterech łapach i wpatrywał się w Feliksa, dysząc ciężko. Gdy okazało się, że żniwiarza nie zmroziło ze strachu na widok gorejących oczu, bestia rzuciła się na niego.

Żniwiarz odskoczył do tyłu, wyciągając zza paska szakłak, ale zwid tylko capnął zębiskami w powietrzu, jakby coś go zatrzymało w miejscu.

– Mam go! – krzyknęła Magda, łapiąc za ciągnący się po ziemi łańcuch.

Feliks przechylił się w bok, lecz pies podążył za nim. Nie było szans, aby sięgnął do obroży, nie zostając dotkliwie pogryzionym.

Łańcuch powoli zaczął wyslizgiwać się Magdzie spomiędzy palców, a zwid kłapał zębiskami coraz bliżej Feliksa. Dziewczyna odchyliła się do tyłu jeszcze bardziej. Na ułamek sekundy wypuściła łańcuch z prawej ręki i błyskawicznie wykręciła nadgarstek tak, aby łańcuch zawinął jej się wokół przedramienia.

– Odepnij go! – sapnęła, ale każda próba sięgnięcia obroży przez Feliksa kończyła się fiaskiem.

Pazury zwida rysowały asfalt, a obroża wzięła mu się głęboko w skórę, gdy wrywał się do przodu, żeby tylko dopaść wroga. Zaślepiła go wściekłość – nie zważał na to, że ktoś trzyma go za łańcuch.

Magda czuła, jak kolejne ogniwa wyslizgują jej się z palców. Zerknęła na obrożę, jeszcze kawałek, mały kawałeczek, a sama się odepnie. Żeby tylko ten przeklęty pies przestał ciągnąć!

Wzięła głęboki wdech. Teraz albo nigdy. Jeśli się uda, to pozbędą się zwida. Jeśli nie... to będzie miała Feliksa na sumieniu.

– Odsuń się! – krzyknęła, przechylając się do przodu.

Na sekundę łańcuch zwiotczał – Magda szarpnęła nim, po czym kłamra na obroży puściła. W jednej chwili dziewczyna poleciała do tyłu, a pies rzucił się na Feliksa, który odskoczył, mijając go o milimetry.

Zwid zatrzymał się na chodniku. Spojrzał na ludzi nieco zdezorientowanym wzrokiem, a potem zawył rozzwierając i odbiegł w ciemną ulicę. Jednak zanim dotarł do jej końca, buchnął płomieniem i znikł, nie pozostawiając po sobie żadnego śladu.

Magda pozbierała się z ziemi. W dłoni wciąż trzymała łańcuch.

Feliks zerknął na nią, a jego oczy nagle rozszerzyły się.

– Wyrzuć to! – wrzasnął, ale było już za późno.

Metal w ułamku sekundy rozgrzał się do czerwoności. Magda krzyknęła z bólu, wypuszczając łańcuch z dłoni. Nim ten dotknął asfaltu, jego kolor przeszedł z czerwonego w biały, a potem znikł.

– Ja pier... – zaczęła Magda, lewą dłonią chwytając za prawy nadgarstek i przyciskając je do ciała. Zgięła się wpół, wypuszczając z płuc powietrze.

– Pokaż. – Feliks podszedł do niej, ale Magda odwróciła się. – Przyłóż rękę do latarni, powinna być chłodna.

To wcale nie przyniosło dziewczynie ulgi.

– Dlaczego mi nie powiedziałeś, że ten przeklęty łańcuch parzy?! – jęknęła, chłodząc wewnętrzną stronę dłoni o zimny metal.

– Bo nie wiedziałem, że będziesz za niego łapała. Chodź do domu doktora, może on będzie miał coś na oparzenia.

¢

– Jesteście pewni, że to coś już nie wróci? – dopytywał się Gauza.

– Uhm – mruknął Feliks, przeglądając zawartość swojej torby.

– Ale na pewno?

– Tak. – Wyjął butelkę z krwią świętego Jana i podał ją lekarzowi.

– Tak mało? – jęknął z zawodem Waldemar.

– Jak chcesz więcej, to zbliża się noc świętego Jana, nazbieraj sobie sam.

– Bo nie mam nic lepszego do roboty – burknął mężczyzna, chowając butelkę do barku.

– Tylko jej przypadkiem nie wypij – powiedział Feliks.

– Ha, ha, bardzo zabawne – mruknął lekarz. – A wy wybieracie się po nowy zapas?

– Oczywiście – odparła Magda. Siedziała na fotelu, trzymając obie ręce na kolanach. Prawa dłoń była przykryta chłodzącym opatrunkiem.

– A jak tam noga twojego kolegi? – zagadnął Waldemar.

– Ładnie się goi. Wczoraj wyjął sobie szwy.

– Tak szybko? – zdziwił się Waldemar.

– Twierdzi, że wszystko goi się na nim jak na psie. – Wzruszyła ramionami. – Długo mam to trzymać? – zapytała, patrząc na rękę.

– A chcesz mieć blizny?

– No nie...

– To jeszcze trochę. A w domu możesz kilka razy przetrzeć rękę wywarem z czarnego bzu. Diabli wiedzą, czy to jest jak zwykle oparzenie.

– Łańcuch był całkiem zwykły, dopóki nie rozgrzał się do białości i nie znikł – mruknęła dziewczyna.

– Na nas już czas – stwierdził Feliks, zrzucając torbę na ramię. – Zbieraj się. – Kiwnął głową w stronę dziewczyny.

Magda wstała z fotela, wciąż ostrożnie trzymając przed sobą prawą dłoń.

– To do zobaczenia – powiedziała i skierowała się do drzwi.

Feliks ruszył za nią, ale zawahał się w progu.

– Kiedy widziałeś się ostatnio z kimś innym? – zapytał, odwracając się do Waldemara.

– Bo ja wiem? – Lekarz podrapał się po głowie, a potem wyjął z ust papierosa i strzepnął popiół na trawnik. – Nie liczyłem, ale dość długo. Może z pół roku. To dziwne, że nie potrzebowali żadnego szycia ani nic przez ten czas. A co?

– Nic, tak tylko z ciekawości pytam – odparł powoli Feliks, lecz w jego oczach coś się pojawiło. Jakaś iskierka, której lekarz nie potrafił zidentyfikować. – Jakby działo się coś jeszcze, dzwoń.

Waldemar pokiwał głową i zaciągając się końcówką papierosa, patrzył, jak jego goście odchodzą.

– Daj kluczyki – powiedział Feliks.

Dziewczyna zaczęła lewą ręką klepać się po kieszeniach, co wywołało u niego zniecierpliwione westchnienie.

– Trochę wyrozumiałości! – oburzyła się.

– Ja ci nie kazałem ze mną jechać – odparł zniwiarz, biorąc kluczyki. – Sama jesteś sobie winna.

– Nie bądź złośliwy – upomniała go.

– Wsiadaj. – Otworzył jej drzwi od strony pasażera.

Większość drogi pokonali w milczeniu, każde pogrążone we własnych myślach.

Feliks przerwał ciszę dopiero, gdy w oddali załśniły światła Wiatrołomu.

– Chciałbym, żebyś w najbliższym czasie nie chodziła nigdzie sama – powiedział. – Szczególnie po zmroku.

– Dlaczego? – Magda spojrzała na Feliksa.

– Po prostu mnie posłuchaj, dobrze?

– Feliks, co się dzieje?

– Nie wiem, naprawdę nie wiem. Możesz wychodzić z tym swoim chłopakiem, ale nie sama.

Dziewczyna skinęła głową.

Feliks usiadł za stołem w dużym pokoju i wpatrywał się w kartkę papieru. Kroki na górze ucichły, co znaczy, że Magda wreszcie położyła się spać. Co miał napisać? Jak ubrać myśli w słowa? Wiedział, że dzieje się coś złego, czuł to całym sobą, ale nie miał na to praktycznie żadnego dowodu.

– Radio, kiedy się wreszcie odezwiesz? – zapytał ciemność za oknem. – Wiesz, gdzie mnie znaleźć. Zatem dlaczego milczysz?

Ciepłe światło małej lampki zalewało pokój, tworząc w kątach cienie. Gdzieś na górze rozległo się trzeszczenie desek. Stary dom nigdy nie milkł, ale Feliks zdążył już na nowo przyzwyczać się do jego dźwięków.

Mrok za oknem zaczęła rozjaśniać delikatna luna, a on nadal nic nie napisał. Poranna szarówka przemieniła się w jasny, pogodny dzień. Na piętrze rozległ się tupot bosych stóp, w rurach zaszumiała woda, a kwadrans później do pokoju zajrzała Magda z mokrymi włosami.

– Już na nogach? – zdziwiła się.

– Powiedzmy. Jak ręka?

Pokazała mu wewnętrzną stronę dłoni, na której przecinało się kilka brązowych pasków przypalanej skóry.

– Nie jest źle, ale w nocy bolało jak cholera. Jesz śniadanie? – zapytała, kierując się do kuchni.

– Zaraz – odparł Feliks, zdejmując zakrętkę z pióra. Już wiedział, co napisać.

Nadia, ktoś śledzący go, ten podejrzany typ w opuszczonym hotelu, cieniści prześladowający Magdę... Nie prosił o pomoc – chciał tylko wiedzieć, czy inni cokolwiek zauważyli. A może on sam zaczął popadać w paranoję?

Skreślił pożegnanie na ostatnim liście, w szufladzie odszukał cztery koperty i je zaadresował. Nie podobał mu się obecny charakter pisma. Był taki koślawy i jakby pisany niepewną ręką, jednak nie miał czasu, żeby go poćwiczyć. Miał zbyt wiele na głowie.

Do pokoju weszła Magda, niosąc dwie miski płatków z mlekiem.

– Co to? – zapytała, stawiając jedną z nich na stole obok listów.

– Przydaj się na coś i wyślij je w drodze do pracy.

Dziewczyna, wciąż stojąc przy stole, zaczęła jeść.

– Pisziesz do kolegów żniwiarzy? – zapytała, wyjmując łyżkę z ust. – Jakiś zjazd organizujesz?

– Nie kpij, bo nigdzie więcej cię już z sobą nie zabiorę – zagroził, przysuwając sobie miskę.

– A ja nie pożyczę ci samochodu.

Jedząc, Magda wpatrywała się w adresy nakreślone na kopertach. Zawsze chciała wiedzieć więcej o innych żniwiarzach, ale Feliks nie był skory do rozmów o nich.

– Ty zmywasz. – Odstawiła pustą miskę na stół, zgarnęła z niego listy i ruszyła do wyjścia.

Feliks poczekał, aż zamknie za sobą drzwi, a potem wziął do ręki telefon. Były trzy numery, które jeszcze musiał sprawdzić. Choć znał je na pamięć, na wszelki wypadek zerknął do starego, pożółkłego notesu.

Gdy wykonał pierwszy telefon, w słuchawce odpowiedziała mu cisza, a po chwili usłyszał damski głos oznajmiający, że abonent jest poza zasięgiem lub ma wyłączony telefon.

– Pięknie – mruknął, rozłączając się.

Pod drugim numerem odezwała się jakaś dziewczynka, twierdząc, że to musi być pomyłka.

Feliks bez większych nadziei wykręcił trzeci numer. Długi sygnał w słuchawce przeciągał się w nieskończoność i żniwiarz już miał odłożyć telefon, kiedy po drugiej stronie usłyszał jakieś trzaski.

- Tak? – odezwał się niepewny głos.
- Dzień dobry, z tej strony Feliks Wojna, dodzwoniłem się do Antoniego?
- Tak, ale nie ma go...
- W takim razie kiedy wróci?
- No właśnie nie wiem, nie widziałem go już od kilku tygodni.

Feliks znieruchomiał.

- Kilka tygodni? Co się stało?
- Nie wiem, nie mówi mi wszystkiego.
- A pan jest...?

– Och, przepraszam, nie przedstawiłem się. Bolesław Suchocki, jestem sąsiadem Antoniego i opiekuję się jego mieszkaniem, kiedy wyjeżdża. Wczoraj, podlewając kwiaty, znalazłem ten telefon i go naładowałem. Nie sądziłem, że ktoś się odezwie... W każdym razie ostatnio jechał gdzieś na północ. To była jakaś sprawa z upiorem, chyba. Od tego czasu się nie widzieliśmy.

- Proszę mu przekazać, żeby się ze mną skontaktował, gdy wróci – poprosił Feliks, zanim się rozłączył.

Schował telefon do kieszeni, przez ramię przerzucił sobie kurtkę i, zignorowawszy zmywanie naczyń, wyszedł z domu. Nadeszła pora na odwiedzenie pobliskich cmentarzy i sprawdzenie, czy nie dzieje się na nich nic podejrzanego. A jak wystarczy mu czasu, wybierze się na patrol po okolicy. Jeżeli gdzieś czają się jacyś nawi, znajdzie ich i odeśle daleko stąd.

¢

Na cmentarzach panował spokój, żaden z grobów nie był naruszony. Na dwóch świeżych wciąż leżały lekko podwiędłe kwiaty.

Feliks mijał bramę, kiedy rozdzwonił się jego telefon.

- Co jest? – zapytał.
- Sprawdziłam te adresy, gdzie kazałeś wysłać mi listy – zaczęła Magda.
- I?

– I jeden z nich to jakiś stary, zamknięty magazyn, nie sądzę, żeby mieli tam skrzynkę pocztową. Inny dom został chyba wyburzony, przynajmniej tak to wygląda na mapie w Internecie. Kolejny w ogóle nie istnieje... Ja nie wiem, skąd ty je bierzesz.

- A ostatni?
- Ostatni... ach, to ten. Tak, stoi tam dom, ale na mapie satelitarnej wygląda na opuszczony. I to dawno.
- Psiakość – mruknął Feliks.
- Poszukałam też w sieci ludzi możliwe, że spokrewnionych z tymi zniwiarzami i wydaje mi się, że znalazłam adres mailowy chłopaka, który jest z rodziny Wandy. Napisałam do niego i odpisał mi, że nie widział jej od pięciu miesięcy. Co prawda twierdzi, że to normalne i już wcześniej się zdarzało, ale...

- Dobra, dzięki – odparł Feliks i już chciał się rozłączyć.
- Poczekaj! – zatrzymała go Magda.
- Co?
- Feliks, nie zastanawia cię, że to niedługo po twojej śmierci?
- Nie.
- Ale my też tak długo na ciebie czekaliśmy...
- Przypadek. To na razie.

– Rozłączył się! – oznajmiła światu Magda. – Kiedy on ma do mnie interes, to może gadać w nieskończoność, ale jak ja zaczynam, to odkłada telefon. Przypadek – powtórzyła ironicznie. – Jasne, sam w to nie wierzy. Pomóc w czymś?

– Nie, tak tylko się rozglądam – odparła kobieta, która właśnie weszła do księgarni.

Magda opadła na krzesło i potarła bandaż na dłoni. Poparzenie bolało ją bardziej, niż była skłonna przyznać, ale nie zamierzała się nad sobą uzalać.

Bezwiednie wodziła wzrokiem za klientką, która kręciła się przed regałami, a w końcu wyszła bez słowa. Potem przyszły trzy nastolatki szukające prezentu dla koleżanki. Na wszystkie propozycje Magdy kręciły nosem, a na koniec wybrały popularny ostatnio romans. Po zapłaceniu rozchichotane dziewczyny ruszyły do drzwi, w których minęły się ze starszą panią szukającą „czerwonej książki ze słonecznikiem na okładce”. Minął ponad kwadrans, zanim Magda namierzyła żółty tom z polem maków.

– Tak! To ta książka! – ucieszyła się staruszka.

Magda, pakując książkę, uśmiechnęła się do siebie, rozbawiona tą zabawą w detektywa.

Kiedy została sama, zaczęła poprawiać książki na regałach, biorąc do rąk egzemplarze z dostawy z poprzedniego dnia, zapoznając się z informacjami z okładek, a co jakiś czas przeglądając ich zawartość. Potem włączyła komputer i przejrzała lokalne wiadomości.

Kolejny rolnik twierdził, że niedaleko jego pola wylądowali kosmici.

– Ludzie nigdy nie przestaną mnie zadziwiać. – Magda pokręciła głową, patrząc na filmik mający być dowodem na istnienie obcej rasy z innej planety.

Rolnik pokazywał wąską dziurę w ziemi o cylindrycznym kształcie, ciągnącą się pionowo w dół na aż sześć metrów. Jego zdaniem ludzie nie byłiby w stanie czegoś takiego zrobić.

– Pewnie lokalna firma budowlana znowu robiła odwierty zimą, kiedy ziemia była wciąż twarda i nie został na niej ślad po żadnym sprzęcie – mruknęła dziewczyna. – A jeśli podłoże jest z gliny, to nic dziwnego, że dziura się nie zapadła.

Już nie pierwszy raz spotkała się z czymś takim. Jednak dalsze wywody rolnika przykuły jej uwagę, gdyż skarżył się na to, że zaginęło mu kilka krów, tak samo jak w wielu innych gospodarstwach.

– Dlaczego ktoś miałby kraść bydło? – zmarszczyła brwi.

Nie sądziła, żeby miało to cokolwiek wspólnego z nawimi, ale mimo wszystko postanowiła powiedzieć o tym Feliksowi, gdy tylko się z nim zobaczy.

Nadia ze świstem zaczerpnęła tchu. Wyprostowała się gwałtownie – nowe ciało jak zwykle było zeszywniałe i nie chciało odpowiadać na komendy.

Przez chwilę dziewczyna zastanawiała się, gdzie jest i co takiego ważnego miała zrobić. Spieszyła się. Tak bardzo zależało jej na czasie, ale za nic nie potrafiła sobie przypomnieć dlaczego. Powoli powiodła wzrokiem dookoła.

Siedziała sama w samochodzie... a raczej tym, co z niego zostało. Przednia maska była wygięta, na szybie wykwitła pajęczyna pęknięć, a deska rozdzielcza poszła w drzazgi. Tuż przed dziewczyną, prawie na wyciągnięcie ręki, wyrastał z ziemi gruby pień, na którym zatrzymał się samochód.

– Justyna – szepnęła imię, które wypłynęło z odmętów pamięci i należało do kobiety siedzącej

za kierownicą.

Odetchnęła, przymknęła oczy i w pamięci odtworzyła ostatnie chwile zmarłej. Kobieta jechała w odwiedziny do znajomej, zostało jej jeszcze niespełna dwadzieścia kilometrów, kiedy nagle zza drzew wyskoczyło nowiutkie, srebrne audi. Za kierownicą siedział młody chłopak. Jedno spojrzenie na niego wystarczyło, aby uznać, że jest jeszcze mocno „wczorajszy”. Pędził przed siebie z prędkością, która była bardzo niebezpieczna na tej wąskiej drodze wijącej się przez las. Beztriosko ścinał zakręt i za późno zauważył samochód jadący z naprzeciwka.

Kobieta z przerażeniem otworzyła szeroko oczy, odbiła w prawo, aby zrobić mu więcej miejsca, lecz wtedy opony wjechały na pobocze usłane mokrymi po nocnym deszczu liśćmi. Samochód wpadł w poślizg, Justyna spanikowała, zaczęła szarpać kierownicą, a potem zapadła ciemność.

Nadia wypuściła z płuc powietrze. Przeżywanie cudzej śmierci było dla niej najgorszą rzeczą w byciu zniwiarzem. Niestety zawsze były to wspomnienia zbyt świeże, żeby zepchnąć je gdzieś dalek i o nich nie myśleć.

Skupiając się nad opanowaniem drżących palców, sięgnęła po kawałek rozbitego lusterka i przejrzała się w nim. Pół twarzy miała pokryte zaschniętą krwią. Dotknęła czoła, ale rana, jakkolwiek głęboka była, zagoiła się. Nadia nie wiedziała, czy śmierć Justyny nastąpiła w wyniku uderzenia głową o kierownicę, a może ataku serca? Jednak to nie było teraz ważne.

Z trudem uwolniła się z wraku. Po srebrnym audi nie został nawet ślad.

– Pieprzony tchórz. – Splunęła na ziemię.

Na tylnym siedzeniu znalazła butelkę z wodą. Przemyła twarz i dłonie, lecz na brudne ubranie niewiele mogła poradzić.

Wtem usłyszała warkot silnika i wkrótce zza zakrętu wyjechał samochód, który zatrzymał się tuż przy niej.

– Miała pani wypadek? – zapytał młody kierowca.

Nadia powstrzymała się, żeby nie wywrócić oczyma.

– Pomóc pani? – zaproponowała jego dziewczyna.

– Nie, dziękuję. Dam sobie radę – odparła z uśmiechem, zadowolona, że zdążyła zmyć z twarzy krew.

– Zadzwońmy po pogotowie – mówiła dziewczyna, najwyraźniej nieprzekonana.

– Nie ma takiej potrzeby. Jak widać, nic mi nie jest, a mój mąż jest już w drodze. Proszę nie zawracać sobie mną głowy.

Po minucie młoda para odjechała, a Nadia odetchnęła z ulgą. Lecz samo wspomnienie o mężu Justyny spowodowało, że do jej oczu napłynęły łzy. Kochał ją, byli razem szczęśliwi, a teraz ona zginęła przez pijanego gnojka.

Nadia pociągnęła nosem i wytarła rękawem łzy. Jej dusza nie wybrałaby sobie ciała pięćdziesięcioletniej kobiety, gdyby nie zależało jej na czasie. Ale co to było...

Spróbowała przypomnieć sobie własną śmierć, nie Justyny. Stary, paskudny dom w tej miejscinie... a tak, Wiatrołomie... młody, chudy chłopak... jak mu... Feliks.

Feliks! Musi go ostrzec! Przed nim.

Przeszukała rozbity samochód i wyjęła pieniądze z portfela. W torebce znalazła rozbity telefon, czystą bluzkę i batonika. Przebrała się i ruszyła przed siebie, przeżuując batona.

Dotarcie do najbliższego miasta nie stanowiło problemu. Złapała okazję, nakłamała kierowcy i wysiadła na przedmieściach. Wiedziała, że powinna jak najprędzej skontaktować się z Feliksem, ale była taka spragniona i głodna... Zawsze tak jest na początku. Nie mogła na niczym się skupić, tak bardzo burczało jej w brzuchu. W najbliższej budce kupiła trzy olbrzymie hamburgery i colę. Zazwyczaj nie jadała takich rzeczy, ale potrzebowała teraz mnóstwa węglowodanów.



Z tego, co się zorientowała, do Wiatrołomu miała ponad dwieście kilometrów. Jeszcze nie tak dawno temu musiałyby sama przemierzyć ten dystans, żeby się skontaktować z Feliksem, teraz wystarczyło zadzwonić. Musiała tylko zdobyć telefon i numer żniwiarza.

Gdy kończyła trzeciego hamburgera, myślała, jak ostrzec innych, ale znała ich adresy tylko w przybliżeniu.

– Najpierw Feliks, najszybciej zrozumie, o co mi chodzi – postanowiła. – Potem do niego pojedę i razem wymyślimy, co robić dalej.

Skrzywiła się na samą myśl o współpracy z tym kretynem, którego od zawsze nie znosiła, ale w obliczu tego, co widziała i słyszała, żniwiarze musieli połączyć siły.

Potrząsnęła głową. Sama jeszcze tego nie rozumiała w pełni. Żniwiarz, który... nie, to niemożliwe, żaden żniwiarz nie zająłby ciała, w którym była czyjaś dusza, coś musiało jej się przywidzieć. I on... Te jego czarne, przerażające oczy... Kim był ten Pierwszy? Kim byli jego potępieńcy?

†

Helena Adler podgrzała mleko, kupione jak zwykle rano od tego samego sprzedawcy na rynku, i przelała je do kubka. Na wierzchu już utworzył się kozuch, który starsza pani uwielbiała. Mleko z kartonu nie było takie dobre, według niej smakowało jak woda. Dodała jeszcze łyżeczkę miodu i usiadła na kanapie, wyciągając stopy przed siebie. Gruby, wiekowy kot, Bonifacy, z trudem wskoczył na miejsce obok niej i zwinął się w kłębek, mrużąc cicho.

Starsza pani, choć posiadała telewizor, nie włączała go za często. Miała dość tych głupkowatych albo krwawych filmów, a jeszcze bardziej wysłuchiwanie polityków i ich obietnic. Jej ulubioną rozrywką było przesiadywanie przy oknie i obserwowanie tego, co działo się na ulicy. Mogła dopilnować, aby chłopcy nie bazgrali po murach starych kamienic, widziała kto i gdzie się wybierał, mogła pogawędzić ze znajomymi. A czasem, bardzo rzadko, widziała coś podejrzanego. Na przykład to, co stało się z tamtą dziewczyną. Aż trudno było uwierzyć w coś takiego! Przecież okolica zawsze była taka spokojna.

– Może już ją znaleźli – powiedziała do kota. – Mam nadzieję.

Bonifacy zastrzygł uszami, nie przerywając mrużenia.

Helena odłożyła na stolik pusty kubek wciąż pachnący mlekiem i miodem. Zerknęła na zegarek, ziewnęła głośno i przymknęła oczy. Nadszedł czas na przedpołudniową drzemkę.

Przyśnił jej się tamten dzień.

Zjadła śniadanie i usiadła w oknie. Bonifacy od razu ułożył się przy jej boku. Już z daleka ujrzała drobną dziewczynę z ciemnymi włosami. Była blada, lekko utykała i co chwilę oglądała się za siebie. Nagle drogę zajechała jej biała furgonetka...

Helena obudziła się, gwałtownie wciągając do płuc powietrze.

– Widziałam! – sapnęła, podnosząc się z kanapy.

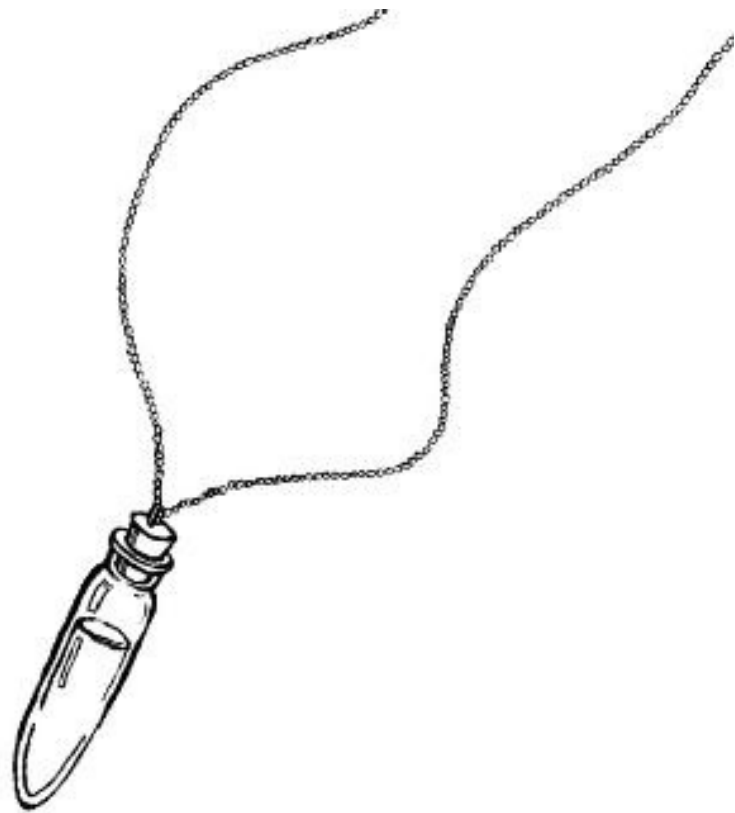
Stare kości zaprotestowały przeciwko takim zrywom. Starsza pani chwiejnie podeszła do stolika, gdzie leżał długopis i gazeta, w której popołudniu rozwiązywała krzyżówkę. Na rogu pospiesznie, dopóki jeszcze pamiętała, zapisała numer rejestracyjny białego samochodu.

– Mówiłam, że mam dobrą pamięć – sapnęła, patrząc na krótki ciąg liter i cyfr. – Co raz tu trafi, tak łatwo stąd nie wypadnie. – Postukała długopisem w skroń. – Tylko gdzie ja schowałam numer tego chłopaka?

Rozejrzała się po pokoju, ale nigdzie nie widziała kartki z pospiesznie napisanym numerem.

– Na pewno jejnie wyrzuciłam – orzekła i zaczęła przeszukiwać szuflady.

# Rozdział 11



Magda opadła bez tchu na krzesło. Przyjęła nową dostawę książek i poukładała je na półkach. Za oknem żar lał się z nieba, a w księgarni, w której powinien panować przyjemny chłód, było gorąco i duszno. Mama poprzedniego dnia majstrowała przy klimatyzacji i najwyraźniej ją popsowała. I zamiast wezwać kogoś jeszcze tego samego dnia, zupełnie o tym zapomniała, a teraz Magda męczyła się już od kilku godzin w tym niemożliwym upale. O tyle dobrego, że na razie nie przyszło wielu klientów i mogła choć na chwilę odsapnąć.

Ściągnęła bluzę, a gęste włosy związała wysoko w kitkę, ale i tak miała wrażenie, że zaraz się ugotuje. Wtem rozległ się dzwonek przy drzwiach. Z jękiem zawodu podniosła wzrok, lecz w tej chwili spotkała ją miła niespodzianka. Zamiast klienta ujrzała Mateusza z dwoma wysokimi papierowymi kubkami.

– Błagam, powiedz, że masz tam coś zimnego do picia – powiedziała, wychodząc zza lady.

Zanim chłopak zdążył odpowiedzieć, zjrzała do jednego z kubków.

– Kawa mrożona! – wykrzyknęła z radością. – Jesteś najlepszy pod słońcem!

Pocałowała go, a chwilę potem wzięła łyk zimnego napoju.

– Na zdrowie – powiedział Mateusz, patrząc, jak dziewczyna opróżnia kubek. – Nie tak szybko, bo gardło sobie załatwisz...

– E tam. – Machnęła ręką, łapiąc oddech. – Co słyhać?

Usiedli w wiklinowych fotelach.

– Dlaczego nie jesteś w pracy?

– Skończyłem już swoją zmianę. A w moim pokoju nad garażem panuje teraz taki zaduch, że szkoda gadać.

– I pewnie liczyłeś, naiwniaku jeden, że u mnie będzie chłodniej? – zaśmiała się Magda. – Niestety mama popsowała wczoraj klimatyzację.

– To pech.

– Nic mi nie mów, koszmar. A technik przyjdzie dopiero jutro.

– Współczuję. – Mateusz odstawił swoją kawę na stolik. – Mogę skorzystać z komputera? Chciałbym ci coś pokazać.

– Jest za ladą.

Chłopak przyniósł laptopa do stolika i przez chwilę szukał czegoś w Internecie.

– O, mam. Przeczytaj ten artykuł. – Odwrócił komputer w stronę Magdy.

Dziewczyna zerknęła na nagłówek. „Brutalne morderstwo w Sianowie”.

Podniosła pytający wzrok na Mateusza.

– Czytaj dalej. Usłyszałem o tym dziś w pracy i pomyślałem, że może cię to zainteresować.

Magda ponownie spojrzała na ekran komputera. Sianowo było niewielkim miastem oddalonym od Wiatrołomu o jakieś siedemdziesiąt kilometrów. I, jak głosił artykuł, kilka dni wcześniej doszło tam do brutalnego zabójstwa.

– Ofiarę znaleziono w parku... – mamrotała Magda. – Bezduszny, okrutny mord... Okaleczone ciało...

– I co, wampir czy seryjny zabójca? – zapytał Mateusz, kiedy dziewczyna dotarła do końca artykułu.

– Ciężko stwierdzić, za wiele szczegółów to nie podali.

– Jeden z kolegów z pracy ma rodzinę w tym mieście. Stąd o tym wiem.

Magda jeszcze raz rzuciła okiem na adres strony internetowej, a potem zamknęła laptopa.

– Pokażę to dziś Feliksowi – obiecała. – Na pewno będzie chciał to sprawdzić.

– Nie! Nie zabierzesz mi znów samochodu! – piekliła się Magda, podążając za Feliksem na podjazd przed domem.

– Przecież nie pojedę tam autobusem – mruknął zniwiarz i otworzył drzwi auta.

– To pojedę z tobą.

– Jutro rano idziesz do pracy, a poza tym to pewnie nic takiego – zbył ją Feliks. – Zresztą wciąż nie masz sprawnej ręki.

– Nic mi nie jest – zapewniła, pokazując mu jak zaciska i rozprostowuje palce prawej dłoni. – Tylko jeszcze trochę piecze.

– No właśnie. Zostajesz w domu. Tylko bądź grzeczna.

– Zaproszę pół miasta do domu i urządzę dziką imprezę – zagroziła.

– Niech będzie, tylko nie wychodź po zmroku sama.

Magda ze złością przymrużyła oczy, ale na Feliksie nie wywarło to żadnego wrażenia.

– Aha, i przestań wreszcie dokarmiać tego psa – zerknął na przeciwny chodnik, gdzie w żywopłocie buszował bury wilczur.

– Będę karmiła kogo tylko zechcę – mruknęła, odwracając się na pięcie.

Wróciła do domu i usiadła na łóżku w swoim pokoju. Z szafki przy łóżku wyciągnęła pomiętą kartkę.

– I tak to nie ma sensu – burknęła, dopisując nazwę Sianowa z datą oraz znakiem zapytania.

Już miała odłożyć kartkę na miejsce, kiedy coś przykuło jej uwagę.

– Hmm, dziwne – stwierdziła wpatrując się w datę widniejącą obok martwca. – Siódmego czerwca był nów. Martwiec powinien wtedy być najmniej aktywny, to samo dotyczy dzikiego myśliwego. Bezkost na torowisku zaatakował dwa dni wcześniej, tuż przed pustą nocą. A dwa dni po pustej nocy zaatakował mnie ten facet w hotelu. Dlaczego tak nagle się obudziliście? Dlaczego cieniści odwiedzają mnie średnio raz w tygodniu?

Wszelkie gatunki nawich były najbardziej aktywne podczas pełni. Ludzie od zawsze nadawali pełni duże znaczenie, a gdy księżyc nie pojawiał się na nieboskłonie, znaczyło to, że wszystko, łącznie z upiorami, zamiera na trzy dni. Nie dosłownie oczywiście, ale w puste noce Feliks zazwyczaj miał wolne, a Magda mogła spać spokojnie.

Po chwili namysłu do listy dopisała jeszcze przybliżoną datę zaginięcia Wandy i Antoniego. Te informacje wyciągnęła wcześniej od Feliksa.

Poza tym nie pamiętała, żeby Feliks kiedykolwiek zabraniał jej wychodzić po zmroku samej. A skoro zrobił to teraz, znaczyło to, że naprawdę czymś się martwił.

– Może być sobie zniwiarzem, mieć szósty zmysł i nie mówić mi wszystkiego – mamrotała, składając kartkę – ale taka głupia to nie jestem.

Feliks zaparkował samochód niedaleko dużego, zarośniętego parku. Szybko zlustrował wzrokiem okolice, po czym zagłębił się w zielony gąszcz. Choć zbliżał się wieczór, nadal było ciepło i ludzie wylegli z budynków i szwendali się po okolicy. Mało kto jednak zbliżał się do miejsca, gdzie znaleziono ofiarę. Zazwyczaj takie rzeczy przyciągały ludzi ze względu na zwykłą ciekawość, lecz teraz jakby podświadomie czuli, że coś jest nie tak.

Zniwiarz zatrzymał się w głębi wąskiej ścieżki, oparł ramieniem o pień drzewa i obserwował starszą

parę, która zapalała znicz w miejscu, gdzie najwyraźniej znaleziono denata. Leżało tam parę kwiatów, pośród nich paliło się kilka świeczek.

Staruszkowie szybko ustawili znicz i odeszli, nie oglądając się za siebie. Feliks przeniósł spojrzenie na szeroką aleję, którą przechodzili inni ludzie. Większość z nich odwracała wzrok od gęstych zarośli, jakby odcinając się od tego, co tam się stało.

Wbrew pozorom większe grupy ludzi potrafiły podświadomie wyczuwać nawich. Nie zdawali sobie z tego sprawy, ale pewne miejsca omijali, bo „tam się nie chodzi”, robili niektóre rzeczy, bo tak postępowali ich dziadkowie i „tak trzeba”. Byli niczym jeden olbrzymi, skomplikowany organizm.

– A więc to prawdopodobnie coś więcej niż zwykłe zabójstwo – uznał cicho Feliks i dopiero wtedy podszedł do miejsca, w którym znaleziono ofiarę.

Na pierwszy rzut oka nie zobaczył ani krwi, ani innych śladów. Zresztą, nawet gdyby były tu wcześniej, ziemię w promieniu dziesięciu metrów zdeptały dziesiątki butów policjantów, a potem gapiów. Ale był zapach – delikatna, ledwie wyczuwalna woń rozkładającego się mięsa. Feliks zrobił krok w tył i przyjrzał się dokładnie przestrzeni tuż przed nim. Powietrze wyglądało, jakby w tym jednym miejscu rozszczepiło się od upału. Powoli przemieszał je ręką, ale światło wciąż załamywało się jakiś metr nad ziemią, dwa kroki od miejsca, gdzie stały wszystkie znicze i kwiaty.

Żniwiarz usłyszał za sobą kroki – zbliżał się jakiś człowiek, zapewne kolejny wstrząśnięty mieszkaniec Sianowa ze zniczem. Feliks nie odwrócił się w jego stronę, bowiem coś jeszcze przykuło jego uwagę. Na pniu jednego z pobliskich drzew zobaczył małą, szarą plamkę, ledwie dostrzegalną na ciemnej korze. Wyglądała jak zwykły zaciek albo grzyb, ale czuć ją było zgniłym mięsem.

– Oni nie wierzą! – zahuczał złowieszczy głos tuż za plecami żniwiarza.

Feliks kątem oka spojrzał na starszego pana z laską, który wyczekująco wpatrywał się w jego plecy.

*Pewnie tego pożałuję* – pomyślał, ale nie potrafił się powstrzymać od zapytania:

– W co nie wierzą?

– Apokalipsa nadchodzi!

– Aha.

– Od stu lat Pan jest z nas niezadowolony! Rozpętaliśmy dwie wojny światowe, dopuściliśmy się takiego bestialstwa...

Feliks skinął głową i zaczął przyglądać się kolejnym drzewom, podczas gdy staruszek kontynuował swoją wizję końca świata.

– Nadejdzie w płomieniach i ukarze niewiernych. To koniec! A oni mi nie wierzą, nie pójdą do spowiedzi, nie wyznają grzechów, nawet gdy mają namacalny dowód, że diabeł jest wśród nas! Widziałem go! Wielki, obrzydliwy, o wielkiej, wiecznie głodnej paszczy i długich pazurach. Smagnał ogonem, kryjąc się w ciemnościach...

– Aha. – Żniwiarz wyprostował się i jeszcze raz spojrzał na rozszczepiające się powietrze.

– I kryje się pod miastem, wyłazi na żer w nocy, napawa się naszymi grzechami, naszą krwią! Potem wraca do ciemnych odmetów i zasypia na długie dni. A zostawia za sobą taki smród rozkładającego się mięsa, że człowiek nie jest w stanie go znieść.

Feliks błyskawicznie odwrócił głowę w stronę starszego mężczyzny i przeszył go spojrzeniem, aż ten cofnął się o krok.

– Widział go pan?

– No przecież mówię! Widziałem samego diabła. Miał kopyta niczym koziół...

– Wcześniej mówił pan, że długie pazury.

– Pazury miał przy przednich łapach. I nie miał oczu, a widział. Patrzyłem, jak podąża za tamtym człowiekiem!

– Gdzie?

– Tu, w parku. Zadzwoiłem na policję, ale mnie wyśmiali – przyznał trochę ciszej. – Bo nie wierzą w samego diabła! A ty, młody człowieku, wierzysz? – zapytał i utkwił wodniste oczy w Feliksie.

– O tak. Nie tylko wierzę, ale wiem, że on istnieje. A teraz powiedz mi, dziadku, o jakich tunelach mówiłeś?

– Pod całym miastem ciągnie się labirynt kanałów burzowych. Ciemne miejsce, pełne rozkładu i zgnilizny, idealne dla wysłannika Szatana!

– Coś jeszcze?

– Apokalipsa nadcho...

– Coś o tym konkretnym diable? – przerwał staruszkowi, ale ten pokręcił głową. – W takim razie dziękuję za pomoc.

– Jesteś za młody na egzorcystę – orzekł mężczyzna. – Ale znałem kiedyś jednego i miał w oku ten sam błysk co ty.

– Nie jestem egzorcystą – przyznał Feliks. – Ale wiem, co należy zrobić z diabłem.

Skinął starszemu panu na pożegnanie i odszedł.

Kanały burzowe odprowadzające wodę zdawały się idealnym siedliskiem dla bezkosta. Ciemne, wilgotne, na tyle niedostępne i obrzydliwe dla większości ludzi, że niewielu tam zaglądało. Mógł wyleźć z nich praktycznie w samym środku miasta, aby szukać świeżej krwi. Ostatnią ofiarę dopadł przed kilkoma dniami. Zostało więc niewiele czasu, zanim pojawi się na powierzchni i znów zabije. Feliks musiał się spieszyć, aby go odnaleźć i unicestwić.

Studzienki odpływowe były rozmieszczone licznie w całym mieście. Większość ludzi nie zwracała na nie uwagi. Czy właśnie jednej z nich używa bezkost? Gdy nie jest opity krwią, jego ciało jest zdolne do przeciskania się przez naprawdę małe otwory. Nie aż takie, jak wierzyli kiedyś ludzie, bo nigdy nie zmieściłby się w szparze pod drzwiami ani w dziurce od klucza, ale studzienka powinna mu wystarczyć. Gorzej, gdy jest pełen krwi, więc musi mieć jakieś inne wejście do kanałów burzowych. Zamiast szukać go na ślepo, wystarczy zaczepić jakiegoś miejscowego.

Dwie młode dziewczyny spacerujące po parku z psem zapytane o to, wymieniły spojrzenia, a potem wskazały palcami na bardziej zarośniętą stronę parku.

– Ale nie wejdiesz do środka – powiedziała jedna z nich. – Wszystkie wejścia są zakratowane.

– A poza tym tam śmierdzi – dodała druga.

Feliks podziękował im i ruszył we wskazanym kierunku. Wejście do kanałów było łatwe do znalezienia – masywna betonowa konstrukcja wystająca z gąszczu. Feliks stanął na jej szczycie i spojrzał w dół na szerokie rozlewisko. Nieco dalej płynęła wąska rzeczka. Przeszedł wzdłuż betonowej krawędzi do miejsca, gdzie łączyła się ona z łagodną górką i zszedł niżej. Brodząc po kostki w wodzie i błocie, stanął naprzeciwko trzech dużych okrągłych wejść do kanałów. W każdym z nich tkwiła zardzewiała, gruba krata.

Feliks stał przez chwilę w błocie i wpatrywał się w nieco zarośniętą zielenią betonowy blok. Wokół śmierdziało stęchlizną i zgniłymi liśćmi, ziemia zaś była tak podmokła, poprzecinana malutkimi strużkami, że nie pozostał na niej najmniejszy ślad. Pierwsza i druga krata były mocno przytwierdzone do ściany, a pod zawiasami widać było rdzawe nacieki sugerujące, że od bardzo dawna nikt ich nie ruszał. Za to trzecia krata zdawała się być nieco pod kątem, miejscami zwisały z niej grudki ziemi i szlamu, a na rdzawym zacieku na ścianie osiadł jaśniejszy cementowy pył.

Żniwiarz podszedł do kraty, stanął z boku i pociągnął za metal, który bez problemu oderwał się od ściany i runął w błoto z głośnym młaśnięciem.

– Cwaniak – ocenił Feliks.

Nie dość, że bezkost znalazł sobie tak obszerną kryjówkę, do której mało kto w ogóle zaglądał, to jeszcze potrafił zamknąć za sobą drzwi. Było to dość rzadkie zjawisko, ale nikt nigdy nie mówił, że nawi to bezrozumne istoty potrafiące myśleć tylko o ludzkiej krwi.

Żniwiarz zajrzał do kanału i zrobił kilka kroków do przodu. Otoczył go zapach zgnilizny, błota i wilgotnego betonu. Żeby wejść dalej będzie potrzebował latarki, bo nawet jego wzrok zawiedzie w ciemności czarnej niczym smoła, która panowała głębiej. Ponadto zrobiło się już późno, park spowiła wieczorna szarówka, a kiedy wyszedł na zewnątrz, na niebie nie było nawet śladu po słońcu. Bezkost powinien być jeszcze nasycony po poprzedniej ofierze, więc nie było ryzyka, że w nocy znów wylezie na żer, jednak każdy dobrze wiedział, że stwory jego pokroju są najbardziej aktywne w nocy. Jeżeli Feliks chciał mieć pewność, że go zaskoczy, co znacznie ułatwiłoby mu unicestwienie bezkosta, musiał wrócić tu za dnia.

Kratę blokującą wejście do kanału ustawił tak, żeby nikomu czasem nie przeszło przez myśl, że jest ona ruchoma. Nie chciał mieć na sumieniu kolejnych ofiar bezkosta.

Potem wrócił do samochodu i zrobił przegląd rzeczy znajdujących się w bagażniku.

*Dobrze, że Magda trzyma tu tyle gratów* – przemknęło mu przez myśl, kiedy się pakował.

Do plecaka wrzucił między innymi dobrą latarkę, czołówkę, sól, zioła i szakłak. Na wszelki wypadek dodał też małą buteleczkę z krwią świętego Jana.

Do paska spodni przyczepił pochwę z myśliwskim bagnetem, który zasłonił koszulką. Żadna ustawa o broni nie zakazywała noszenia tego, ale nie chciał zwracać na siebie zbytnej uwagi.

Właśnie upychał do plecaka łom, gdy rozdzwonił się jego telefon. *Muszę zmienić tę kretyńską melodyjkę* – przemknęło mu przez myśl.

– Co jest? – zapytał.

– I jak? Kto go zamordował? – usłyszał pełen zainteresowania głos Magdy.

– Bezkost. Prawdopodobnie ukrywa się w kanałach pod miastem.

– A to cwaniaczek.

– Nie będę dziś tam schodził, poczekam do jutra. Pewnie będę wtedy poza zasięgiem. A u ciebie wszystko w porządku?

– Taa, nudy jakich mało – westchnęła. – Zrobiłam dla ciebie kolację, ale skoro nie wrócisz za szybko, dam ją psu.

– Ani mi się waż!

– Dobra, już dobra – rzekła ugodowo. – Tylko uważaj tam na siebie, okej?

– Ty też. I...

– Co?

– Nic, muszę kończyć. Trzymaj się.

Rozłączył się i pochylił, udając, że szuka jeszcze czegoś w bagażniku, lecz kątem oka obserwował mężczyznę, który siedział na ławce w parku w cieniu drzew. Stąd Feliks nie mógł dostrzec jego twarzy, ale rosły, krótko ogolony facet nie wyglądał na takiego, który często przesiaduje w parku, by rozkoszować się świeżym powietrzem. Tym bardziej, że tego samego typu widział już wcześniej.

Feliks wyprostował się i nonszalancko zamknął samochód, wciąż udając, że nie zauważył mężczyzny, który go śledził. A potem ruszył do parku. Zaczai się na nieznanym gdzieś między drzewami i dowie się, dlaczego ten za nim łązi.

Przez kilka minut kluczył parkowymi ścieżkami pograżonymi w szarówce, aż w końcu zszedł z nich i zagłębił się w zaniedbane chaszczce. Stał za grubym pniakiem i czekał.

I czekał...

Skupił się na wszystkich odgłosach otoczenia – szczekaniu psów, krzyczącym do siebie w oddali

ludziach, szumie przejeżdżających samochodów.

Lecz kroków nie słyszał. Sekundy przeciągały się w minuty i nikt nie nadchodził. *Nie może być aż tak dobry w skradaniu się* – pomyślał Feliks, wyglądając zza drzewa. Jednak w okolicy nikogo nie było.

– Co jest? – szepnął sam do siebie.

Nagle usłyszał szelest z innej strony. Odwrócił się błyskawicznie, napinając wszystkie mięśnie, gotów na konfrontację.

Zza krzaków wybiegł pies, niuchając przy ziemi i kręcąc młynka ogonem. Chwycił w pysk patyk i spojrzął na Feliksa uradowany ze swojego znaleziska. W oddali rozległ się gwizd. Pies obrócił się w tamtą stronę, zamarł na sekundę, a potem jak strzała popędził do właściciela.

Żniwiarz wrócił na ścieżkę. Tak jak mógł się tego spodziewać – po mężczyźnie, który prawdopodobnie go śledził, nie było śladu.

– Jeszcze cię złapię – mruknął do siebie Feliks.

Tymczasem musiał znaleźć jakieś spokojne miejsce na nocleg. O ile się nie mylił, gdzieś na obrzeżach miasta widział skromny pensjonat, znajdował się on jednak za daleko od kanałów, a żniwiarz wolał spędzić noc blisko nich, tak na wszelki wypadek. Poza tym wcale nie uśmiechało mu się płacenie za niewygodne łóżko i dyskusyjnie czystą pościel. Za to nieco na północ od parku były ogródki działkowe – idealne miejsce na nocleg o tej porze roku.

Szybko odnalazł działkę ze skromną, ale schludną altaną. Jednym susem przesadził wysoki płot i wylądował na miękkiej ziemi. Ostrożnie lawirując między rzędami warzyw, dotarł do małego, drewnianego domku, dawno temu pomalowanego na kolor niebieski. Oczywiście był zamknięty na kłódkę, ale Feliks szybko sforsował łomem zabezpieczenie i stanął w niewielkim pomieszczeniu. Tak jak się tego spodziewał – było w miarę czyste, nie pachniało stęchlizną, a po meblach nie biegały myszy. W kącie stała stara wersalka, a na stoliku obok czajnik elektryczny. Nie potrzebował niczego więcej.

Częstując się zapasami gospodarzy, zaparzył sobie herbatę, a w jednej z szafek znalazł dwie konserwy nieco po terminie ważności, które – choć paskudne w smaku – pozwoliły wypełnić żołądek. Potem położył się na wersalce, przykrył kocem i zapatrzył w ciemny sufit. Może i niejedna osoba oskarżyłaby go o włamanie i kradzież, ale przecież zostawi po sobie porządek, a nowa kłódka, nieco wody i dwie konserwy to niewielka zapłata za bezpieczeństwo, jakie zapewni właścicielom działki oraz innym z tej okolicy.

¢

Pierwszy został gwałtownie wyrwany ze snu. Otworzył szeroko oczy i usiadł na łóżku, wciągając powietrze głęboko w płuca. Nawet przez sen poczuł uwolnienie ogromnej energii, a to mogło znaczyć tylko jedno – Nadia znalazła właśnie nowe ciało.

Nie zapalił nagiej żarówki, woląc pozostać w ciemnościach. Przyłożył palce do skroni i skupił się. Najpierw ujrzał rozbity samochód i zakrwawioną kobietę za kierownicą. Ale to nie wystarczyło, potrzebował jeszcze czegoś.

Wyciszył się i skupił na wspomnieniu tego, co widział – droga, las i w końcu to co najważniejsze, czyli przewrócony słupek drogowy. Z jego pomocą mógł określić dokładnie miejsce.

Od razu sięgnął po telefon i wykręcił numer.

– Blank? – odezwał się. – Wyślij potępieńców na drogę numer dwadzieścia, sto osiemdziesiąty ósmy kilometr.



Feliks był już na nogach, gdy pierwsze promienie słońca rozjaśniły niebo. Posprzątał po sobie altankę, a następnie przemył twarz w wodzie ze studni i wyruszył na miasto. Sporo czasu zajęło mu odnalezienie sklepu otwartego o tak wczesnej porze, ale świeże, jeszcze ciepłe bułki na śniadanie mu to wynagrodziły.

Wciąż dyskretnie się rozglądał, szukając tajemniczego prześladowcy, ale nie było po nim śladu.

Potem poszedł do najbliższego obuwniczego, gdzie kupił kalosze. Co prawda na zagłębianie się do kanałów burzowych, nawet gdy ostatnio nie padał deszcz, wolałby wędkarskie wodery, ale szukanie odpowiedniego sklepu zajęłoby mu znacznie więcej czasu.

W końcu, gdy słońce wspięło się wysoko na firmament, a ludzie pędzili do pracy, skierował się w stronę dzikszej części parku, tej, o którą nikt nie dbał, gdzie między grubymi pniami drzew gęsto rosły krzewy. Gdzie nie było latarni, a miejscowi wydeptali tylko kilka wąskich ścieżek.

Feliks wyjął z plecaka latarkę oraz łom, czołówkę wcisnął na głowę, odchylił delikatnie zardzewiałą kratę i przez wąską szparę przecisnął się do kanału, dokładnie blokując wejście, aby nikt niepowołany nie ruszył jego śladami.

Początkowy odcinek kanału był zawałony gruzami, śmieciami oraz nawianymi z zewnątrz liśćmi. Cuchnął wilgocią oraz stęchlizną. Woda stała tu do połowy łydki, a w powietrzu unosiły się chmary komarów zbudzonych ze snu.

Feliks obejrzał się za siebie – odległe wyjście powoli gasło, zaś przed nim ziała ciemność. Latarka oświetlała tylko kawałek drogi oraz okrągłego betonowego korytarza pokrytego zielono-białymi liszajami. Woda i błoto chłupotały pod kaloszami, lecz na razie cisza nie była konieczna. Bezkost z pewnością zaszył się gdzieś głębiej.

Po kilkunastominutowej wędrówce żniwiarz dotarł do większego pomieszczenia, gdzie kanał się rozwidłał. Dokładnie obejrzał każde wejście, a jedyny ślad, który dostrzegł, to podłużne zarysowania na szarym, wapiennym nalocie przy prawym korytarzu. Było to niewiele, ale nie miał żadnej innej wskazówki.

Im dalej szedł, tym wyżej stała woda. Pożałował, że nie poprosił Magdy o sprawdzenie prognozy pogody na najbliższe godziny. Podczas ulewy kanały wypełniały się wodą, a on nie miał zamiaru się tu utopić, ale było już za późno – jego telefon stracił zasięg.

Przy kolejnym rozwidleniu musiał wybrać kanał na chybił trafił, bo choć spędził tam dobrych kilka minut, nie dojrzał żadnego śladu. Wciąż dało się odczuć zapach wilgoci i odrobiny zgnilizny, ale powietrze tutaj było znacznie czystsze – w końcu nie wędrował po ściekach, a po kanałach burzowych, gdzie była dość niezła wentylacja powietrza.

Jego kroki odbijały się echem od okrągłych ścian i przeplatały z dudnieniem samochodów najeżdżających na studzienki kanalizacyjne. W oddali dało się słyszeć szum wody.

Kilka razy natrafił na korytarze wiodące pionowo w górę, gdzie po starych, zardzewiałych drabinkach można było się wspiąć do metalowych studzienek i wydostać na powierzchnię. Feliks starał się notować w pamięci każde takie wyjście, gdyby nagle go potrzebował. Co jakiś czas znaczył ścianę kredą, bo choć miał bardzo dobrą orientację, wolał się nie zgubić w podziemiach z bezkostem czającym się gdzieś w mroku.

Ciemność napierała na niego z każdej strony, a latarka nie dawała zbyt wiele światła. Czuł się tutaj, jakby trafił do zupełnie innego świata, mrocznego, zapomnianego i śmiertelnie niebezpiecznego.

Po godzinie dotarł prawdopodobnie pod centrum miasta, gdyż tutaj kanały były nieco większe, zbudowane ze starych cegieł.

– Przekłeta bestia znalazła sobie naprawdę dobre lokum – mruknął Feliks, ponownie stając przed rozwidleniem korytarza.

Tym razem z jednej odnogi powiało odorem gnijącego mięsa.

– Mam cię, draniu!

Żniwiarz wyjął z plecaka łom i wsunął go za pasek od spodni. Przełożył latarkę do lewej dłoni, w prawą chwytając myśliwski nóż. Liczył, że zaskoczy bezkosta.

Feliks był zawodowcem. Dobrze wiedział, co robi, i doskonale zdawał sobie sprawę z tego, z czym przyjdzie mu się zmierzyć, dlatego jego serce przyspieszyło, a w organizmie zaczęła krążyć adrenalina. Z każdą chwilą smród rozkładającego się mięsa nasilał się, w zamkniętej przestrzeni wywołując mdłości, choć Feliks starał się jak mógł oddychać tylko ustami.

Szum wody wciąż odbijał się echem po kanałach, dzięki czemu żniwiarz nie musiał martwić się, że jego kroki zostaną usłyszane.

Zapach stał się nie do zniesienia, co znaczyło, że był już naprawdę blisko celu. Zatrzymał się, nasłuchując, ale do jego uszu nie dotarł żaden nienaturalny dźwięk. Wziął kilka głębszych oddechów, uspokajając serce, które zaczęło bić jak oszalałe. Jego organizm bronił się przed tym, co zamierzał zrobić. Ciało, jeszcze nie w pełni przyzwyczajone do tego, kto je zamieszkiwał, buntowało się. Nogi mu drżały, jakby chciały uciekać, dłonie spocily się, choć w kanałach temperatura była niska, włoski na karku zjeżyły się, a żołądek sprawiał wrażenie, jakby zamierzał pozbyć się ostatniego posiłku. Mimo woli Feliks pomyślał, że jeżeli tu zginie, to prawdopodobnie nikt go nie odnajdzie do czasu, aż jego ciało poniesie deszczowa woda i wypłuje całe okaleczone i sponiewierane gdzieś na obrzeżach miasta.

*Dosyc tego!* – postanowił, usiłując skupić się tylko i wyłącznie na zadaniu, które musiał wykonać. Jeżeli nie pozbędzie się bezkosta, ten znów zabije. Wylezie na górę i dopadnie kolejnego bezbronnego człowieka, albo zaatakuje w ciemnościach niczego nieświadomą grupę entuzjastów miejskiej eksploracji.

Stopy stawiał powoli i ostrożnie, a światło latarki skierował w dół.

Po kilku minutach, które zdawały się wiecznością, wyszedł z zakrętu i bardziej wyczuł, niż ujrzał bezkosta. Uniósł nieco latarkę, a jego oczom ukazała się duża, bezkształtna masa. Dopiero po chwili udało mu się rozróżnić kończyny i łeb bezkosta, który leżał zwinięty na dnie kanału. Woda omywała go wartkim strumieniem. Stwór nie spał – tak naprawdę nawi nie potrzebowali snu. Gdy były najedzone, trwały w zawieszeniu między światem rzeczywistym, a tym nierealnym.

Jeżeli Feliksowi uda się podejść do niego i wbić mu nóż prosto w serce, a zaraz potem w drugie, to polowanie może skończyć się szybko.

Zdjął plecak, żeby mu nie przeszkadzał, i zawiesił go na metalowym haku wystającym ze ściany. Wstrzymał oddech, wiedząc, że nawet najmniejszy szmer może wybudzić potwora. Łom wciśnięty za pasek obijał się o udo żniwiarza, dodając mu otuchy. Jeszcze chwila, kilka sekund, a wszystko się skończy, park znów będzie bezpiecznym miejscem.

Feliks wzrokiem namierzył miejsce, gdzie będzie najłatwiej wbić nóż tak, aby sięgnął jednego z serc. Niestety drugie było na razie zasłonięte długą łapą.

Uniósł ostrze, wiedząc, że będzie musiał włożyć w cios całą swoją siłę, aby przebić się przez grubą skórę oraz ewentualne chrząstki, na które może natrafić.

Ostrze błysnęło w świetle latarki w tym samym momencie, kiedy poszarpane dziury służące za nozdrza rozszerzyły się, wciągając obcy zapach. Paszcza otworzyła się, wywalając na zewnątrz język.

Nóż opadł na szarą skórę, przebijając kolejne jej warstwy, aż zagłębił się po samą rękoność, sięgając serca.

Bezkost wrzasnął rozzierająco i poderwał się w górę, przebierając niezgrabnie łapami. Każda z nich była wyposażona w długie, ostre pazury, a Feliks przykucnął, aby uniknąć spotkania z nimi. Latarka

wypadła mu z dłoni i potoczyła się w wodzie, oświetlając teraz kawałek ściany pokrytej zielono-białym zaciekiem.

Ranny stwór miotał się w ciasnym tunelu, wyjąc dziko.

Żniwiarz odczołgał się na bezpieczną odległość i spojrzał na potwora z mieszaniną obrzydzenia, strachu i podziwu. Odrobinę nad miejscem, gdzie większość stworzeń ma obojczyk, z szarej skóry wystawała rękojeść noża. Nie sposób było go teraz wyciągnąć. Podobnie jak zbliżyć się do bezkosta na tyle, aby zadać drugi, tym razem śmiertelny cios. Kanał był za ciasny, Feliks od razu zostałby rozszarpany przez ostre pazury.

Nagle bezkost przestał się miotać, stanął pewnie na czterech łapach, wciągnął w nozdrza powietrze i skierował bezoki łeb wprost na żniwiarza. Paszcza rozwarła się, między zębami pękło kilka nitek śliny, a długi ozór chlasnął w powietrzu.

Feliks błyskawicznie odwrócił się i popędził tunelem przed siebie. Niedaleko, za jakieś kilkaset metrów, powinno znajdować się przestronne pomieszczenie, gdzie korytarze rozwidlały się. Tam ponownie zaatakuje potwora.

Słyszał za sobą chłopot wody pod łapami bezkosta, to, jak jego pazury skrzypią, odbijając się od betonowych ścian. Czuł na karku gorący, cuchnący oddech. Jeżeli stwór dopadnie go tu, w wąskim tunelu, żniwiarz zginie.

Latarka na czole dawała niewiele światła, ale to wystarczyło, aby Feliks mógł zobaczyć, jak ściany tunelu gwałtownie się rozszerzają. Jeszcze chwila, a znajdzie się w przestronnym kanale. Wtem usłyszał świst i trzask dartego materiału. Na plecach poczuł najpierw podmuch powietrza, a potem rozdzierający ból. Rzucił się do przodu, potoczył po twardej podłodze, rozchlapując płytką wodę, która wcale nie złagodziła upadku. Uderzenie o ziemię wycisnęło z jego płuc całe powietrze.

Bezkost nie zdołał wyhamować i gdy człowiek padł przed nim, popędził do przodu, deptając po nim. Zatrzymał się kilka metrów dalej, gdzie było więcej miejsca i wyprostował się, opierając się na wszystkich łapach. Powoli obrócił łeb w stronę człowieka, wciągając w nozdrza powietrze i rozkoszując się zapachem świeżej krwi.

Feliks zdawał sobie sprawę z tego, że pozostanie w tym samym miejscu oznacza pewną śmierć. Z trudem pozbierał się z ziemi i na czworakach rzucił się w bok. Upiorny łeb jeszcze nie zwrócił się w jego stronę, więc miał kilka sekund na ocenę sytuacji.

Zgrabiętymi z zimna palcami sięgnął za pasek, gdzie tkwił łom. Jednak jego palce natrafiły na pustkę. Nerwowo zaczął klepać się po biodrach, ale broni tam nie było. Powiódł wzrokiem po kanale, aż ujrzał łom leżący w miejscu, gdzie wcześniej upadł.

Przymknął oczy, skupiając się na swoim zadaniu. Rana na plecach promieniowała ostrym bólem, naciągnięte mięśnie i obite kości pulsowały tępo. Nie może zawieść ponownie. Bo co się stanie, jeśli zginie? Magda może wpaść na głupi pomysł szukania go, a w mrocznych tunelach, zamiast jego ciała, natknie się na czekającą na nią bestię.

*Nie!* – pomyślał stanowczo.

Rzucił się w bok i przeturlał po ziemi, chwytając łom. Bezkost natychmiast go namierzył. Przez ułamek sekundy obaj tkwili w bezruchu, a potem ruszyli prosto na siebie.

Nadia miała niewiele czasu. Nie wiedziała, jak ją wytropili, ale byli w tym piekielnie dobrzy. I szybcy. Kiedy zobaczyła na ulicy pierwszego potępieńca, myślała, że to przypadek, ale wtedy ten spojrzał gdzieś

poza nią i niedostrzegalnie skinął głową.

Nadia w ostatniej chwili skręciła na podwórko domku jednorodzinne. Jedno spojrzenie za siebie wystarczyło, żeby ujrzała kolejnych dwóch rosnących mężczyzn.

– Cholera! – zaklęła i zerwała się do biegu.

Przeskoczyła nad dziecięcymi zabawkami rozrzuconymi na trawie, dopadła wysokiego ogrodzenia, wspięła się na nie i wylądowała miękko po drugiej stronie. Za sobą usłyszała basowy krzyk. Zorientowali się, że ich dostrzegła.

Pędziła przed siebie, a ludzie oglądali się za nią zdziwieni. Musiała znaleźć się jak najdalej od potępieńców. Nie poradziłaby sobie z nimi sama, nie w tym ciele.

Zerknęła przez ramię. Goniło ją dwóch mężczyzn. Pomimo masywnych ciał, poruszali się nad wyraz szybko, wciąż zmniejszając dystans.

Złapała ją kolka, płuca nie były w stanie nabrać wystarczająco dużo powietrza, a stopy bolały od niewygodnych butów. W tym stanie nie ucieknie zbyt daleko.

Podjęła decyzję w biegu, wciąż się rozglądając. Nieważne, co się z nią stanie. Musi ostrzec Feliksa oraz innych.

Wykonała gwałtowny skręt, omal się przy nim nie przewracając, i wpadła na kolejne zadbane podwórko. Szybko oceniła sytuację i rzuciła się w krzaki za drewnianą altanką. Nie zważając na sińce i zadrapania, skuliła się w zielonej gęstwinie, modląc się, żeby jej nie dostrzegli.

Po kilku sekundach na podwórko dotarło dwóch potępieńców. Zwolnili biegu, rozglądając się.

– Tam! – krzyknął jeden. Nie czekając na kolegę, pobiegł do ogrodzenia i przeskoczył je.

Nadia poczekała jeszcze chwilę, aż obaj znikną jej z oczu, a potem pamiętając, że gdzieś w okolicy jest jeszcze trzeci napastnik, lekko pochylona podbiegła do domu, łapiąc po drodze okropną rzeźbę surykatki, która zapewne miała być trawnikową ozdobą.

Bez zastanowienia cisnęła surykatką w okno. Zdjęła bluzę, zawinęła nią rękę i usunęła resztki szyby z framugi. Chwilę później stanęła w czystej kuchni, w której tylko resztki jedzenia na stole sugerowały, że mieszkańcy opuścili rano dom w pośpiechu.

Nadia, łapiąc oddech, przemierzyła pomieszczenia na parterze, szukając telefonu. Nie znalazła go. Wbiegła na piętro, zajrzała do jednego pokoju, drugiego, zaś w trzecim – stanowczo zbyt różowym, jak na gust kogokolwiek, kto nie jest dziewczynką w wieku ośmiu lat – stał na biurku komputer.

– Bingo.

Włączyła urządzenie, niecierpliwie czekając, aż się uruchomi. Opierając się o ścianę, dyskretnie wyjrzała przez okno. Na końcu ulicy stał jeden potępieńiec i rozglądał się na boki.

Na monitorze zaczęły pojawiać się ikonki.

Do mężczyzny na końcu ulicy dołączył kolega, machnął w stronę domu, w którym znajdowała się Nadia, po czym obaj powoli ruszyli w kierunku budynku.

– Szlag! – mruknęła, siadając do komputera.

Nadia niezgrabnie wpisała w wyszukiwarke: „ksiegarnia wiatorolm”.

Kolejne bezcenne sekundy upłynęły, zanim poprawiła hasło. Dobrze, że wiedziała chociaż tyle o Feliksie – że jego rodzina miała swoją księgarnię w tej przeklętej miejscinie.

Odszukała dane kontaktowe. Numer telefonu wiele by pomógł, gdyby tylko miała telefon. Ale i mail był przydatny.

Dobrze, że właścicielka komputera nie wylogowała się ze swojej poczty.

Nadia zerknęła przez okno. Potępieńcy byli tuż przed domem.

Nadia szybko wpisała adres odbiorcy, tytuł wiadomości pominęła i zaczęła pisać. Serce biło jej w przyspieszonym tempie, dłonie drżały, nie mogła się skupić. A poza tym nie zdążyła jeszcze do końca

opanować zdolności pisania na klawiaturze.

Gwałtownie poderwała głowę na dźwięk tłuczonego szkła na dole. A więc weszli do domu. Jeżeli będzie cicho, to może... Bzdura, widzieli wybitą szybę, wiedzą, że jest w środku. Zatrzeszczały deski na schodach. Musi dokończyć wiadomość!

Oderwała się od komputera i z olbrzymim wysiłkiem przewróciła szafę, aby choć na chwilę zablokować drzwi.

– Na górze! – krzyknął potępieniec.

Hałas na parterze, sapnięcie tuż przy drzwiach pokoju, w którym się znajdowała, delikatny ruch klamką.

W nerwach strąciła myszkę na ziemię.

– Cholera! – syknęła, schylając się.

Kliknęła „wyslij”. „Czy chcesz wysłać wiadomość bez tytułu?”

– Tak!

„Wiadomość została wysłana.”

Potępieniec uderzył w drzwi. Szafa z piskiem przesunęła się o kilka centymetrów. W wejściu pojawiła się szpara.

*Nie mogą wiedzieć, że go ostrzegłam!*

Nadia chwyciła monitor i cisnęła nim w okno. Na zewnątrz posypało się szkło.

– Szybciej! – krzyknął potępieniec i po raz ostatni uderzył w drzwi.

Szafa przesunęła się niemal na środek pokoju, a drzwi trzasnęły o ścianę.

Lecz Nadii już nie było w środku – wyskoczyła przez okno i potoczyła się po trawie.

Nie dopuszczając do siebie bólu, pozbierała się i skierowała do bramki, mocno kulejąc. Raz tylko obejrzała się za siebie, aby zobaczyć czy ją gonią i właśnie wtedy wpadła na coś dużego.

Był to trzeci potępieniec, mężczyzna mierzący prawie dwa metry wzrostu, potężny i silny.

– To już koniec – powiedział, a potem uniósł pięść do ciosu.

¢

Feliks otworzył oczy i ujrzał słabo oświetlony fragment sufitu z cegieł. Jęknął cicho, przykładając dłoń do twarzy. Tak, to była latarka czołowa. Wszystko go bolało. Przez chwilę leżał nieruchomo, próbując postawić diagnozę samemu sobie. Chyba nie miał nic połamanego, w każdym razie był w stanie ruszać nogami i rękoma, choć w paru miejscach był mocno obity. Wtem dotarło do niego, że jest mu okropnie zimno, a szum, który słyszał, wcale nie rozlegał się tylko w jego głowie. To była lodowata woda, która obmywała go, płynąc dnem tunelu. Spróbował usiąść i wtedy jego plecy przeszył rozdzierający ból. Wróciła do niego pamięć tego, jak bezkost trafił go pazurem. Krzywiąc się z bólu, sięgnął dłonią do tyłu, badając skostniałymi koniuszkami palców rozerwaną kurtkę i pojedynczą bruzdę w poprzek pleców.

– Niech go szlag – mruknął.

Mało brakowało, a stwór by go zabił. Ułamek sekundy zdecydował o zwycięstwie żniwiarza, kiedy ten rzucił się na potwora, zrobił unik przed tnącymi powietrze pazurami i wbił ostry koniec łomu w jego drugie serce.

Teraz w tunelu nie pozostał nawet ślad po nawim, nie licząc smrodu padliny.

Choć bezpośrednio niebezpieczeństwo zostało zażegnane, Feliks nie mógł pozostać dłużej w kanałach burzowych. Dźwignął się chwiejnie na nogi i oparł dłonią o zimną ścianę, by nie upaść. Zakręciło mu się w głowie, ale utrzymał się w pozycji stojącej. Gdzieś z tyłu został jego plecak, ale nie zamierzał po niego wracać. Schylił się jedynie, sięgając po łom, a po kilku krokach odnalazł nóż, który wsunął za pasek.

Mając nadzieję, że podąży w dobrym kierunku, ruszył wąskim kanałem do wyjścia. Szedł wolno, wciąż opierając się o ścianę.

*Jeszcze kawałek – myślał. Jeszcze jeden krok. I następny.*

Po czasie, który wydał mu się wiecznością, ujrzał nieco jaśniejszy okrąg przed sobą. Dotarł do kraty blokującej wyjście i pchnął ją jedną dłonią. Tym razem zdawała się ważyć tonę, lecz w końcu runęła z głośnym młaśnięciem w błoto. Feliks wyszedł z kanału i nabrał w płuca duży haust świeżego powietrza. Na zewnątrz powoli zapadał zmierzch.

Drżącą ręką sięgnął do wewnętrznej kieszeni kurtki i wyjął z niej telefon. Z ulgą odkrył, że urządzenie nie zostało uszkodzone podczas walki. Z trudem wybrał numer.

Czekając, aż w słuchawce usłyszy głos Magdy, z utęsknieniem spojrzął na kępę trawy, na której mógłby choć na chwilę usiąść i odpocząć, ale wiedział, że jeśli to zrobi, nie będzie już w stanie się pozbierać.

– Co jest? – W końcu usłyszał radosny głos dziewczyny.

– Przyjedź... po mnie – powiedział słabym głosem.

– Feliks? Nic ci nie jest? – Magda natychmiast spoważniała.

– Nie, ale chyba nie dam rady prowadzić samochodu.

– Gdzie jesteś?

Pokrótce wytłumaczył, jak go znaleźć i powolnym krokiem, wlokąc nogę za nogą, ruszył w stronę działek, do altanki, w której spędził poprzednią noc.

¢

– I to by było na tyle, jeśli chodzi o nieopuszczanie domu samej – mamrotała Magda, pakując torebkę. – Ma szczęście, że niedługo jest autobus. – Zerknęła na zegarek na ręku. – O cholera!

Porwała torebkę i wybiegła z domu. Zamknęła drzwi na klucz, który ukryła pod poluzowaną cegłą w murku. Ostatni autobus do Sianowa odjeżdżał za dziesięć minut, musiała się spieszyć, żeby go nie przegapić.

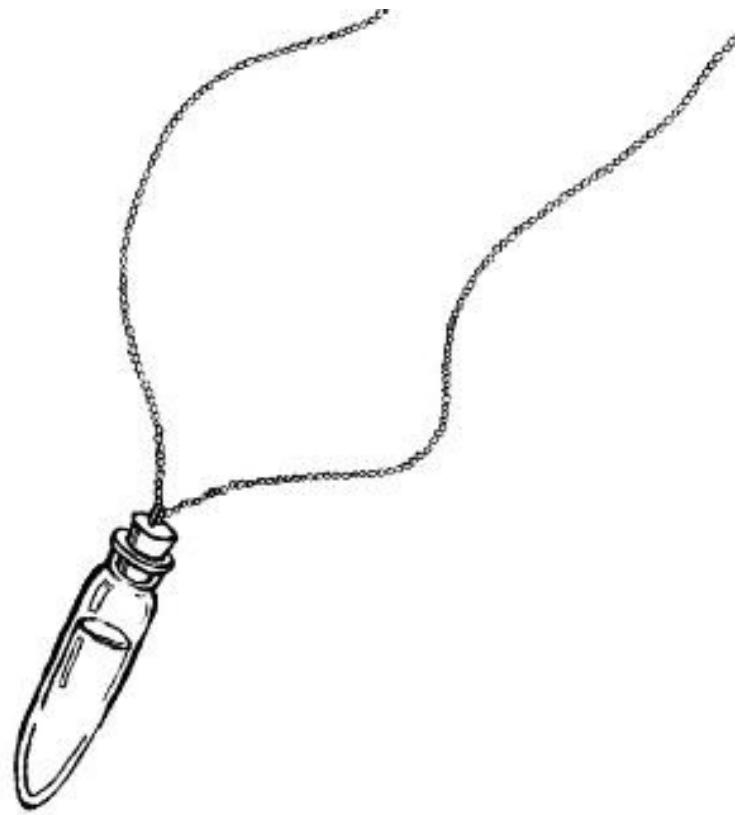
Na przystanek dotarła w ostatniej chwili – kierowca już zamykał drzwi, kiedy do nich dopadła.

Magda kupiła bilet i rozejrzała się za wolnym miejscem, gdy kątem oka ujrzała cień na samym końcu pojazdu. Od razu ruszyła w jego stronę, jednak zanim do niego dotarła, cień rozwiął się i nie miała nawet pewności, czy to był cienisty, czy może wzrok płatał jej figle.

– Zdarzają się różni stalkerzy – mruknęła do siebie, opadając na fotel. – Gwałciciele, maniacy, nieźrównoważeni fani, a za mną łążą chmury dymu. I nie mam zielonego pojęcia, czego chcą.

Czasem zastanawiała się, jakby to było być normalną osobą, która nie ma pojęcia o istnieniu nawich, nie wierzy w dawne opowieści i spokojnie śpi w nocy, nie zdając sobie sprawy z niebezpieczeństw czyhających w ciemnościach.

# Rozdział 12



Magda, rozglądając się uważnie, pospiesznym krokiem szła wąską drogą między płotami pogrążonych w ciemnościach ogródków.

– Gdzie jesteś? – szepnęła.

Nagle usłyszała gdzieś z tyłu cichy trzask. Natychmiast odwróciła się i zlustrowała wzrokiem ciemną ścieżkę, lecz nikogo nie zobaczyła. Pewnie coś jej się przesłyszało, pokręciła więc tylko głową i ruszyła dalej.

Wkrótce dotarła do starego, drewnianego płotu z uchyloną furtką. Na krótko przyszyżonej trawie leżała rozbita kłódka.

Magda ostrożnie prześlizgnęła się do ogródka. Na drugim jego końcu stała skromna altanka z zaledwie jednym okienkiem, przez które można było ujrzeć słabą poświatę świecy.

Przeszła między zadbanymi grządkami i uchyliła drzwiczki. W środku altanki pachniało wilgocią, mułem i krwią.

– Feliks? – zapytała cicho.

Cień na starej kanapie nie poruszył się.

*Błagam, tylko nie to!* – przemknęło jej przez myśl.

Pełna obaw podeszła do Feliksa leżącego na brzuchu. Spojrzała na jego bladą, brudną twarz, cienie pod oczami i kurtkę porwaną na plecach.

– Feliks? – odezwała się nieco głośniejszym głosem, kładąc dłoń na jego ramieniu.

Żniwiarz natychmiast otworzył oczy i przeszył ją spojrzeniem.

– Wreszcie – sapnął, dźwigając się na łokciach.

– Jak się czujesz? – zapytała z troską.

– Pewnie tak, jak wyglądam – mruknął.

– Gdzie jesteś ranny?

– Najgorzej jest z plecami...

– Pokaż.

Magda pomogła mu, do wtóru jego pojękiwań i przekleństw, zdjąć kurtkę, a potem koszulę. Gdy zobaczyła szramę ciągnącą się w poprzek jego pleców, syknęła cicho.

– Żle jest? – zapytał Feliks.

– Przeżyjesz – odparła, siląc się na lekki ton. – Kto odwraca się do bezkosta plecami, powinien się cieszyć, że tylko tak to się skończyło – powiedziała, wydając z torby opatrunki.

– Mądrała się znalazła – burknął żniwiarz.

Magda spryskała ranę środkiem dezynfekującym, polała odrobiną krwi świętego Jana, a potem poprzyklejała na nią cienkie plastry.

– Rana nie jest aż taka głęboka, liczę, że stripy ją utrzymają – powiedziała. – I nie będziemy musieli znowu jechać do Waldemara.

– I dobrze – stęknął Feliks.

Kiedy go opatrzyła, pomogła mu założyć czystą koszulkę, którą zabrała z domu.

– Poczekaj tu na mnie, podjadę trochę bliżej samochodem, dobrze? – zaproponowała.

Żniwiarz skinął głową.

– Ale uważaj na siebie.

Magda, stając w drzwiach, przewróciła oczami.

– Zabiłeś bezkosta. Niby co mogłoby mi się stać? – powiedziała, po czym, nie czekając na odpowiedź, wyszła do ciemnego ogrodu.



Feliks znów został sam. Oparł łokcie o kolana i przymknął oczy, zbierając siły. To prawda, że jego rany goiły się szybciej niż u zwykłych ludzi, co nie oznaczało, że bolało mniej. A w tej chwili marzył tylko i wyłącznie o ciepłym łóżku.

– Co tak długo jej to zajmuje? – zastanowił się na głos.

Nagle usłyszał szelest na zewnątrz. Obcy i niepokojący, niepasujący do dźwięków uspionej działki. Nie mogła to też być Magda, ponieważ ona nie zachowywałaby się aż tak cicho.

Feliks poczuł, jak jego mięśnie mimowolnie się napinają. Ból przestał docierać do jego mózgu. Żniwiarz powoli wstał i sięgnął po nóż. Cień przemknął za oknem.

Bezszelestnie podszedł do drzwi i ostrożnie je uchylił. Przez chwilę nasłuchiwał, ale ciszę mącił jedynie szelest wiatru w drzewach i szum odległych samochodów. Gdzieś w oddali zaszczekał pies. Feliks wciągnął w płuca duży haust powietrza. Pachniało trawą, wilgotną ziemią i czymś jeszcze. Nie do końca był to zapach człowieka, ale z pewnością nie należał do żadnego z nawich.

Żniwiarz przecisnął się przez szparę w drzwiach i od razu przylgnął plecami do ściany altanki, uważnie obserwując otoczenie. Zza chmur wychynął księżyc prawie w pełni. Zalał mdłym światłem całą działkę, tworząc cienie pod płotem i przy większych krzewach. Feliks dokładnie przyjrzał się każdemu z nich, a kiedy nie zobaczył tam nic podejrzanego, ruszył tuż przy ścianie wokół drewnianego domku.

Miękka trawa bezszelestnie ugięła się pod jego butami, gdy ostrożnie stawiał jedną stopę za drugą. Dłoń była mocno zaciśnięta na rękojeści noża, wszystkie zmysły chłonęły bodźce z zewnątrz, a mięśnie drżały z napięcia.

Za altaną znajdował się krzew dzikiej róży, który rozrósł się do imponujących rozmiarów i sięgał kilkoma gałązkami jej ściany. Żniwiarz delikatnie je odchylił, nie zważając na to, że kolce wbijały mu się w dłonie, a potem przecisnął się między nimi a budynkiem. W pewnej chwili jedna gałązka wysunęła mu się z palców, śmignęła w powietrzu i z cichym traskiem uderzyła w drewnianą ścianę.

Feliks zamarł, nasłuchując – wtedy do jego uszu dotarł charakterystyczny szelest ubrania z drugiej strony altanki. Ktoś, kto zakradł się na działkę, zmierzał w stronę furki, lecz żniwiarz nie miał zamiaru pozwolić mu uciec. Nie bacząc na hałas, zerwał się do biegu.

¢

Magda, pogwizdując cicho, zamknęła samochód. Podjechała na parking znajdujący się najbliżej miejsca, gdzie ukrył się Feliks, jednak do samej działki prowadziła dość wąska dróżka, którą żniwiarz będzie musiał przejść pieszo. Co prawda był ranny, ale nie śmiertelnie, a żniwiarze regenerowali się znacznie szybciej niż zwykli ludzie, zatem nie martwiła się tym szczególnie.

Podrzucając w dłoni kluczyki, ruszyła po Feliksa.

Po niecałych pięciu minutach dotarła do odpowiedniej działki i pchnęła furtkę z zerwaną kłódką.

– Uwważaj!!! – usłyszała i zanim zdążyła zareagować w jakikolwiek sposób, ujrzała duży cień, który rzucił się w jej stronę i mocno chwycił ją za ramię.

Silnym szarpnięciem odwrócił ją i ścisnął za gardło.

Przez kilka sekund w ogóle nie docierało do niej, co się dzieje, dopóki nie zobaczyła parę kroków przed sobą bladego Feliksa z nożem w dłoni i spojrzeniem utkwionym w czymś poza nią.

Zacisnęła obie dłonie na ramieniu otaczającym jej szyję, jej plecy były przyciśnięte do umięśnionego torsu, słyszała szybki oddech napastnika, trzymającego ją w żelaznym uścisku. Czuła mdlący smród psującego się mięsa oraz męskiego dezodorantu.

– Nie waż się zrobić jej krzywdy! – warknął Feliks.

Magda poczuła, jak ramię mężczyzny coraz mocniej zaciska się na jej szyi. Zaczęła tracić dech, przez oczyma latały jej mroczyki, a stopy powoli oderwały się od ziemi.

– Mógłbym skrócić ci kark, słonko, ale mam inne rozkazy. – Usłyszała niski głos tuż przy swoim uchu.

Wiedziała, że jeżeli czegoś nie zrobi, czegokolwiek, zaraz straci przytomność, a może i życie. Oderwała więc prawą rękę od duszącego ją ramienia i z impetem uderzyła mężczyznę w brzuch łokciem. Nie wywołało to na nim większego wrażenia. Resztką sił szarpnęła głową, uderzając go w twarz.

Uścisk nieco zelżał, więc spróbowała kopnąć go w kolano i choć trafiła tylko w piszczel, udało jej się wyszarpnąć z uścisku.

– Na ziemię! – krzyknął Feliks.

Magda, ledwie go słysząc, osunęła się na murawę, krztusząc się i przykładając obie dłonie do szyi. Coś świsnęło nad jej głową. Usłyszała głucho uderzenie, cichy charkot, po czym mężczyzna runął na ziemię.

Feliks natychmiast podbiegł do niego, sprawdzając, czy nie stanowi zagrożenia. Wyciągnął z ciała nóż i – na wszelki wypadek – wbił go z boku w szyję.

– W porządku? – zapytał, nachylając się nad kuzynką.

– Kto to był? – zapytała, odchrząkując kilka razy.

– Nie wiem, ale od dwóch dni mnie śledził. – Feliks pomógł dziewczynie wstać i objął ją ramieniem.

– Zabiłeś go – bardziej stwierdziła, niż zapytała, patrząc na ciało potężnego napastnika.

Zrobiło jej się słabo. Zabijać potwory to jedno, ale teraz leżał przed nimi martwy człowiek.

Magda poczuła mdłości i szybko odwróciła wzrok.

– Co teraz? – zapytała, patrząc Feliksowi w oczy.

– Musimy się stąd wynieść, na wypadek gdyby było ich więcej – odparł, lustrując okolicę.

– Feliks, właśnie zabiłeś człowieka!

*Nie pierwszy raz – pomyślał z goryczą Feliks.*

– Idź do altany po moje rzeczy i posprzątaj wszystko tak, żeby nie został po nas żaden ślad – powiedział rozkazującym tonem.

Magda oderwała się od niego i wykonała polecenie, podczas gdy żniwiarz stanął pod drzwiami i uważnie obserwował całą działkę, usiłując wychwycić słuchem jakiegokolwiek podejrzanego hałasy.

– Gotowe. – Magda po chwili wyszła na zewnątrz.

– Pomóż mi go ponieść – polecił Feliks.

Magda nawet nie skinęła głową.

Mężczyzna był ciężki, i to bardzo. Razem dźwignęli go za ramiona i – na wpół ciągnąc, na wpół niosąc – ruszyli powoli do samochodu.

– Patrz, czy nie ma gdzieś ludzi – polecił Feliks. – Raczej nikt się nami nie zainteresuje, ale w ostateczności powiemy, że to nasz kolega i jest tak pijany, że stracił przytomność.

Feliks ledwo szedł, wlepiając wzrok przed siebie. Kolana się pod nim uginały, mięśnie zaczęły palić, rana na plecach boleśnie dawała o sobie znać przy każdym kroku, ale nie mógł odpocząć ani zatrzymać się chociażby na chwilę. Działki pogrążone w ciemnościach nie były dobrym miejscem do nocnych spacerów, ale mimo to obawiał się, że natkną się na jakiegoś człowieka, ten zacznie zadawać pytania lub – co gorsza – minie ich bez słowa i zadzwoni na policję.

*Jak mogłem do tego dopuścić? – wyrzucał sobie w myślach. Wiedziałem, że ten facet mnie śledzi. Straciłem czujność. Naraziłem Magdę na niebezpieczeństwo. Wplątałem ją w morderstwo. Zniszczyłem jej życie.*

Jako żniwiarz Feliks rzadko stawał w obliczu takiego problemu. W spokojnych czasach bez wojny, jak teraz, jego wrogiem byli nawi, nie ludzie. Jak do tego doszło, że zabił człowieka? Przestał jasno myśleć, gdy tylko zobaczył, jak ten drań dusił Magdę.

*To się musi skończyć!*

Choć do samochodu nie było daleko, pokonanie krótkiego dystansu zajęło im sporo czasu. Na szczęście nie napotkali żadnych ludzi.

Magda bez słowa otworzyła bagażnik i nie patrząc ani na wrzucane do środka ciało, ani na Feliksa, usiadła za kierownicą i tam na niego czekała.

– Jedź najpierw na wysypisko kości – polecił, usadowiwszy się na siedzeniu pasażera. – Potem do domu.

Przez większość drogi milczeli.

*Dlaczego on tak cuchnie?* – zastanawiała się Magda, kiedy zjechała na leśną drogę. *Przecież nie powinien, jeszcze nie. Mam chyba omamy.*

Jednak smród wydobywający się z bagażnika tak drażnił jej nozdrza, wywołując mdłości, że trudno było uwierzyć, że coś sobie ubzdurała.

*Dlaczego Feliks nic nie mówi?* – denerwowała się. *Cały czas tylko śpi. Czy on tego nie czuje?*

Ze zniecierpliwieniem otworzyła okno. Powietrze wpadające do środka było świeże, chłodne i – co najważniejsze – nie śmierdziało rozkładającym się mięsem.

W końcu dojechali na miejsce. Magda z ulgą wyłączyła silnik i wysiadła z samochodu, wdychając głęboko pachnące lasem powietrze. Baldachimy wysokich buków zasłaniały nocne niebo, sprawiając, że na dole panowała absolutna ciemność.

Magda wyjęła z bocznych drzwiczek latarkę i ją zapaliła. Przez chwilę patrzyła na Feliksa, który podszedł do bagażnika. Żniwiarz kulał, a każdy ruch zdawał się sprawiać mu ból. Pomimo tego, jak bardzo nie chciała znów patrzeć na ciało, nie potrafiła obojętnie odwrócić wzroku.

Z ciężkim westchnieniem stanęła u boku Feliksa i wzięła głęboki wdech, zanim żniwiarz otworzył bagażnik.

Była przygotowana na widok zakrwawionego trupa, ale z całą pewnością nie na to, co zobaczyli.

Gdy poświeciła latarką do bagażnika, ujrzała bezkształtną masę rozkładającego się mięsa. Krew zdążyła zgnić, gdzieniegdzie wystawały kawałki kości czy kępki bardziej sierści niż włosów. A najgorsze było to, że coś się w tej masie poruszało. Zrobiło jej się równocześnie słabo i niedobrze.

– Co do... – zaczął Feliks, wpatrując się ze zgrozą w zawartość bagażnika.

Magda nie usłyszała reszty, bo przykładając dłonie do ust, odbiegła na bok, po czym zwymiotowała.

Feliks podniósł z ziemi patyk i dźgnął nim kilka razy masę mięsa, kiedy niespodziewanie coś wylazło spod większego płatu... Coś, czego jeszcze w życiu nie widział. Obrzydliwy łysy stwór wielkości szczura, poruszający się na czterech niezgrabnych kończynach, z paskudnym pyskiem podobnym do nietoperza, wyczołgał się spod mięsa i otrzepał, po czym spojrzał małymi, czerwonymi ślepiami wprost na Feliksa.

Żniwiarz przeklął i zamachnął się patykiem na stwora, ale ten odchylił się na bok i z szybkością, której nie można się spodziewać po czymś tak pokracznym, wyskoczył z bagażnika i popędził w głąb ciemnego lasu.

Feliks przez moment wpatrywał się w ślad za nim, a potem podszedł do wciąż klęczącej na ziemi kuzynki.

– W porządku? – zapytał, co chwila zerkając na cienie między drzewami.

– Chyba – odparła, ocierając rękawem usta. – Co to było?

– Widziałas to?

– Kątem oka.

Żniwiarz pokręcił głową.

– Nie wiem. Naprawdę nie wiem.

– A w samochodzie...?

Feliks podszedł do bagażnika i dokładnie przyjrzał się jego zawartości, zasłaniając nos oraz usta rękawem.

– To zwykłe, zepsute mięso – odparł po kilku minutach. – Widzę chyba nawet kawałek krowiej czaszki.

Magdzie znów zrobiło się niedobrze. Odwróciła się od kuzyna i odeszła kilka kroków, oddychając świeżym powietrzem.

– Ja tego nie sprzątam – powiedziała głośno, kiedy opanowała mdłości.

– Ekstra – mruknął żniwiarz, wciąż szturchając mięso patykiem. – Przydałaby się łopata.

Miał wrażenie, że z chwili na chwilę mięso jest w coraz gorszym stanie, tak jakby rozkładało się znacznie szybciej niż powinno. Gdzieniegdzie zobaczył nawet pleśń.

¢

Sprzątanie samochodu trwało dwie godziny, które Magda przesiedziała na pniaku w bezpiecznej odległości.

– Nie jestem pewien, czy to da się zupełnie wyczyścić – stwierdził Feliks, kiedy w bagażniku znajdowały się już tylko suche plamy krwi.

– Jutro oddam go do myjni – odparła dziewczyna. – Powiem, że kupiłam mięso na grilla i pękła mi siatka.

– To musiał być naprawdę duży grill – mruknął żniwiarz.

Ulga, którą poczuł na myśl, że nie zabił człowieka, wyparowała już jakiś czas temu. Zastąpiło ją zaś zmartwienie na temat tego, co tak naprawdę zabił.

– To był nawi, prawda? – zapytała Magda w drodze do domu.

Na horyzoncie niebo rozjaśniło się, zapowiadając ciepły, pogodny dzień.

– Tak, chyba – odparł Feliks. – Ale nigdy jeszcze czegoś takiego nie widziałem. Powinienem skontaktować się z innymi...

I nagle zdał sobie sprawę z tego, że nie ma możliwości, aby to zrobić. Miał kilka adresów i numerów telefonu, ale żaden nie odpowiadał.

*A jeśli z jakichś powodów jesteś ostatni? – zadał sobie pytanie. Bzdura, to niemożliwe!*

Po raz pierwszy od dawna zapragnął towarzystwa oraz rady innego żniwiarza. Może ktoś wiedziałby, co to za stwór, który potrafi zamienić się w człowieka, a zabity pozostawia po sobie tylko zwały zepsutego mięsa. Z ukłuciem bólu i żalu zdał sobie sprawę z tego, że nie ma do kogo zwrócić się o pomoc.

Kątem oka zerknął na Magdę, która już od tak dawna mu pomagała, potrafiła go wysłuchać, a nawet doradzić.

*Jestem w tym wszystkim sam* – powiedział stanowczo w myślach. Kilka godzin wcześniej był przekonany, że Magda została świadkiem morderstwa, lecz teraz zastanawiał się, czy nie wplątał jej w coś jeszcze gorszego.

*To się musi skończyć* – postanowił. *Nie mogę wciąż jej narażać.*

Gdy zajechali pod dom, zrobiło się już jasno.

Magda od razu poszła pod prysznic, a ubrania, na których wciąż widniały plamy krwi, wrzuciła do miski i zalała zimną wodą.

Gdy przebrała się w pidżamę, napisała wiadomość do mamy, że tego dnia nie przyjdzie do pracy, a potem zasunęła zasłony w swoim pokoju i zwinęła się w kłębek na łóżku, od razu usypiając.

Feliks zajął łazienkę tuż po niej. W lustrze obejrzał ranę na plecach, która z godziny na godzinę wyglądała coraz lepiej. Wziął długi prysznic i również zamknął się w swojej sypialni, ale zamiast pójść spać, leżał na łóżku z otwartymi oczami, wpatrując się w sufit.

Coś mu umykało. Wiedział to. Było na samym skraju podświadomości, gotowe się ujawnić, gdy tylko odpowiednio na to spojrzy. Z czym przyszło mu walczyć?

Poczuł się zmęczony jak jeszcze nigdy.

¢

Magda obudziła się koło południa. Ubrała się i na boso zeszła na dół, gdzie na kuchennym stole leżała kartka: „Wziąłem samochód do czyszczenia. Widzimy się wieczorem. Musimy pogadać. Feliks”.

– O czym on chce gadać? – zastanowiła się, wstawiając wodę na herbatę.

Tak bardzo burczało jej w brzuchu, że zrobiła sobie cały talerz kanapek, lecz zanim usiadła do jedzenia, spróbowała rozmasować sobie naciągnięte mięśnie szyi.

Na samo wspomnienie poprzedniej nocy przeszedł ją dreszcz. O tym obrzydliwym stworze, który wylazł z cuchnącego mięsa. O tym, jak ten mężczyzna ją dusił. Z łatwością mógłby skrócić jej kark...

– Co on powiedział? – zastanowiła się, podnosząc nagle wzrok z talerza i wyglądając przez okno. – Że mógłby mnie zabić, ale... Nie. Przesłyszało mi się.

Jednak uczucie, że gdyby tamten człowiek – czy czymkolwiek on był – chciał ją zabić, zrobiliby to bez zmruczenia okiem, nie dawało jej spokoju.

Żeby zająć czymś ręce, zabrała się do porządków w domu.

Przez większość dnia sprzątała, potem wybrała się na zakupy, a po południu ugotowała obiad. Gdy zestawiała garnek z kuchenki, akurat wrócił Feliks.

– Co tam? – zagadnęła.

– Samochód będzie gotowy na jutro – odparł, siadając za stołem. – Myśleli, że wozilem w nim luzem półtuszę świni. Przez miesiąc.

– Nie byli dalecy od prawdy – stwierdziła Magda, nalewając zupę do talerzy.

Podawała jeden z nich żniwiarzowi, gdy zauważyła, że Feliks jest wyjątkowo blady.

– Dobrze się czujesz? – zapytała z troską. – Po obiedzie pokażesz mi swoje plecy. Może musimy jechać do Waldemara?

– Nie, nie musimy. Jest w porządku.

– To o co chodzi?

Feliks westchnął ciężko i spojrzał jej prosto w oczy.

– Muszę cię prosić, żebyś się wyprowadziła.

Magda zastygła z uniesioną łyżką.

– Co? Jaja sobie ze mnie robisz?!

Żniwiarz pokręcił głową.

– Ale dlaczego? Zrobiłam coś złego?

– Nie, po prostu... Wczoraj sytuacja wymknęła się nam spod kontroli, tak samo jak tydzień temu ze zwidem... Tak nie może być. Masz jedno życie i nie możesz wciąż go narażać.

Magda parsknęła.

– I tylko o to ci chodzi? Daj spokój, nic mi nie będzie. Nie jestem już dzieckiem – powiedziała i znów zaczęła jeść.

– Magda, ja mówię poważnie. W nocy myślałem, że ten facet cię udusi! To wszystko jest zbyt

niebezpieczne.

– Nie przesadzaj, nic mi nie jest. A poza tym... jak poradziłbyś sobie beze mnie? – Puściła do niego oko, ale wcale go to nie rozweseliło.

– Radziłem sobie kiedyś i teraz też dam radę.

– O matko, ale ty jesteś upierdliwy – westchnęła. – Za kilka dni i tak do mnie zadzwonisz, żebym czegoś ci poszukała w Internecie albo coś przywiozła.

Feliks powoli pokręcił głową.

– Masz tydzień, żeby się wyprowadzić.

Magda odłożyła łyżkę na talerz i wpatrzyła się w Feliksa. Minę miał zaciętą – tym razem nie żartował.

– I gdzie niby mam iść? Wyrzucisz mnie na bruk?

– Wróć do rodziców.

– Nie sądzisz chyba, że znów z nimi zamieszkać?! – wybuchła. – Bardzo ich kocham, ale nie wytrzymam z nimi ani chwili dłużej. A poza tym jestem już za stara.

– To coś wynajmij. Zajmij się normalnym życiem, pracą. Zarabiasz, powinno wystarczyć na małe mieszkanie.

– Ty chyba żartujesz! – zdenerwowała się. – Nie wyprowadzam się! To jest wielki dom, nie musimy się nawet widywać. Zresztą i tak najczęściej cię nie ma!

– Wyprowadzisz się z mojego domu. To moje ostatnie słowo.

– Tak naprawdę na papierze to jest teraz mój dom. – Magda uciekła się do ostatecznego argumentu.

Feliks spojrzał na nią z wyrzutem.

– Nie będę więcej cię na nic narażał – powiedział.

– Co ty wygadujesz?! – Wstała gwałtownie, potrącając nogą stół. – Na nic mnie nie narażasz! Sama mogę decydować o tym, co robię!

– Czy ty nic nie rozumiesz?! – Feliks podniósł głos. – Tamten facet śledził mnie! Chodził za mną przez dwa dni. A potem prawie skrzył ci kark! Sama widziałaś, w co się zamienił! A jeśli znów przybierze ludzką postać? To znaczy, że może być każdym!

Na samą myśl o tym Magda poczuła dreszcze, ale nie zamierzała tak łatwo ustąpić. Lubiła swoje życie, tym bardziej teraz, kiedy wszystko zaczęło tak dobrze się układać, i nie chciała niczego zmieniać.

– Ktoś zaatakował cię w starym hotelu – kontynuował Feliks. – Myślisz, że to przypadek?! Coś się dzieje i nie chcę, żebyś znalazła się w samym środku tego.

– Już jestem w środku!!! Najwyżej nie będę z tobą jeździć, wielkie mi rzeczy. Sam sobie poluj, ale nie wyrzucaj mnie!

– Od tej pory będziesz dla mnie jak reszta rodziny, nie musisz wiedzieć gdzie i co robię. Będziesz żyć własnym życiem.

Jego słowa zabolowały. Nie chciała być jak pozostali – niby rodzina, ale obcy. Nie chciała, by przeszedł obojętnie nad jej grobem, tak jak było z ciotką Jadzią. Przymknęła oczy, wyrównała oddech, a potem podeszła do Feliksa i położyła dłoń na jego ręce.

– Feliks, cokolwiek się dzieje, dasz sobie z tym radę, a ja ci pomogę. Jak zawsze.

– Masz tydzień – powiedział twardo.

– Nie sądzisz, że trochę na to za późno? Nie jestem jak reszta rodziny i nigdy nie będę. Urodziłam się w Noc Kupały.

Feliks nie odpowiedział, tylko odwrócił wzrok i wpatrzył się w coś za oknem.

W Magdzie wszystko się zagotowało.

– Nie chcesz mnie? To dobrze! Zobaczmy, jak sobie poradzisz! Tylko nie dzwoń do mnie więcej, ani nie proś o wożenie Bóg jeden wie gdzie! I masz oddać mi mój samochód!

– Jest w myjni.

– To sama go sobie odbiorę! I więcej ci już nie pożyczę!

Odwróciła się na pięcie, szybkim krokiem wspięła na piętro i zamknęła w sypialni, trzaskając drzwiami tak, że ze ściany posypał się tynk.

– Co za kretyn! – denerwowała się, krążąc po pokoju. – Chce mnie wyrzucić?! Dobrze! Jeszcze będzie mnie na kolanach błagał, żebym wróciła!

Wyciągnęła z szafy plecak i zgarnęła do niego wszystkie rzeczy leżące na stoliku obok łóżka. Znalazło się tam kilka kosmetyków, notes, długopis, książka, do czytania której zabierała się już od kilku dni, oraz pognieciona kartka ze wszystkimi atakami nawich od ponad pół roku. Potem otworzyła szafę i sięgnęła po ubrania, które w pierwszym odruchu zwinęła w kulkę i już chciała upchnąć do plecaka, ale w porę się opamiętała. To, że jest wściekła na Feliksa nie znaczy, że musi pognieść własne bluzki.

Kiedy była już spakowana, zbiegła truchtem na dół i bez słowa zarzuciła na siebie kurtkę.

– Gdzie idziesz? – Feliks stanął w korytarzu, ale nie zaszczyciła go nawet spojrzeniem.

– Wychodzę – warknęła i trzasnęła drzwiami.

Na zewnątrz nieco się ochłodziło, ale wciąż było duszno i wilgotno. Magda szybkim krokiem przeszła wąską, kamienną ścieżką przez zarośnięty ogródek i dopiero kiedy stanęła na chodniku zalanym pomarańczowym światłem latarni, zastanowiła się, co robić dalej.

O tej porze, w środku tygodnia, niewiele miejsc w mieście było otwartych. Nie chciała iść do domu rodziców, bo na pewno wypytywaliby, co się stało, a ona jakoś nie miała ochoty mówić im o ostatnich wydarzeniach. Miała zapasowy klucz do księgarni, mogłaby przespać się na zapleczu, a rano powiedziała by mamie, że po prostu wcześniej przyszła. Jednak na samą myśl o nocy spędzonej w pustej księgarni przeszły ją ciarki. Nie – po tym, co się stało, nie powinna być sama. Stworów zamieniających się w ludzi mogło być więcej i dopóki nie będzie wiedziała, jak sobie z nimi radzić, wolała unikać spotkania z nimi.

Odwróciła głowę i spojrzała na ciemny, ponury dom, po czym westchnęła ciężko. Było jeszcze jedno miejsce, w które mogła się udać. Uśmiechnęła się pod nosem i ruszyła przez uśpione miasto, przytrzymując jedną ręką ramię plecaka. Jednak im bardziej oddalała się od domu Feliksa, tym gorsze przecucie ją ogarniało. Do tej pory nigdy aż tak bardzo się z nim nie pokłóciła. Może powinna wrócić i jeszcze raz spróbować z nim porozmawiać?

– To nic nie da – mruknęła do siebie. – Rozmowa z nim to jak rzucanie grochem o ścianę.

Nagle usłyszała stłumiony huk w uliczce, którą mijała. Drgnęła nerwowo, sięgając dłonią do kieszeni kurtki, gdzie trzymała woreczek z solą. Serce zabiło jej szybciej. Hałas powtórzył się i dopiero po chwili dotarło do niej, że to drzwiczki zamykanego samochodu.

– Jestem przeczulona – stwierdziła, wypuszczając z płuc powietrze.

Jednak niepokój pozostał. Nie powinna była sama wychodzić z domu o tej porze.

Wyjęła z plecaka gałązkę szakłaku i ruszyła dalej, nie przejmując się tym, że wygląda z nim nieco śmiesznie. Uważnie przyjrzała się starszej parze wyprowadzającej psa na smyczy, ale nic nie wskazywało na to, że nie byli ludźmi. Koło parku minęła roześmianą grupę nastolatków, ale i oni nie wykazali żadnego zainteresowania Magdą.

W pewnej chwili kątem oka ujrzała cień, który sunął po drugiej stronie ulicy równo z nią. O dziwo widok cieniściego, zamiast wytrącić ją z równowagi, dodał jej otuchy. Gdyby chcieli zrobić jej krzywdę, zabraliby się za to już dawno temu.

Po czasie, jaki wydawał jej się wiecznością, dotarła do domu rodziny Mateusza. Budynek był pogrążony w ciemności, za to z okna umieszczonego w dachu garażu wylewała się ciepła, żółta poświata. Na ten widok odetchnęła z ulgą. Nie wiedziała, co by zrobiła, gdyby Mateusz spał albo nie było go w

mieszkańiu.

Garaż był otwarty, więc weszła do środka i w ciemnościach odnalazła schody na górę. Po omacku, trzymając dłoń przy ścianie, wspięła się na górę i zapukała do drzwi. W środku rozległ się hałas i wiązanka przekleństw poprzedzająca huk przewracanego krzesła.

– Magda? – W drzwiach stanął Mateusz w bezrękawniku i dzinsach. – Co ty tu robisz?

– Cześć. – Uśmiechnęła się słabo, mrużąc oczy przed światłem wylewającym się z pokoju.

– Wchodź do środka. – Przesunął się, robiąc przejście. – Coś się stało? Dlaczego nie zadzwoniłaś?

– Wybacz – powiedziała i zrobiła przeproszającą minę. Zerknęła na zegarek, zbliżała się północ. –

Jakoś nie pomyślałam...

– Nic się nie stało, siadaj. – Zrzucił z kanapy jakieś śmieci. – Chcesz coś do picia? Pogoda jest okropna. Od kilku godzin wietrzę pokój, a i tak jest duszno.

– Mnie to mówisz? Ja w tej duchocie przeszłam całe miasto.

Mateusz, który sięgał do małej lodówki, wyprostował się nagle i przeszył ją spojrzeniem.

– Dlaczego?

Magda spuściła wzrok i zaczęła skubać nitkę wystającą z bluzki.

– Feliks wyrzucił mnie z domu – powiedziała cicho.

– Słucham?!

– Feliks wyrzucił mnie z domu – powtórzyła, tym razem głośno.

– Ale jak to?

– Kazał mi się wyprowadzić.

– Tak nagle? Dlaczego? A to drań! – krzyknął i uderzył dłonią w wierzch lodówki. – Niech no ja go dorwę! I powiem, co o nim myślę!

– To znaczy dał mi tydzień, ale... pokłóciliśmy się i tak się wściekłam, że nie mogłam już na niego patrzeć. Po prostu się spakowałam i wyszłam.

Mateusz otworzył lodówkę, lecz zamiast soku, wyjął z niej dwie butelki piwa. Jedną podał Magdzie.

– Opowiedz mi o wszystkim – poprosił, siadając naprzeciwko.

Magda wypła łyk piwa, a potem zaczęła skubać naklejkę na butelce.

– Wszystko zaczęło się od tego bezkosta w Sianowie – zaczęła.

Opowieść zajęła jej nie więcej niż kwadrans. Na wzmiankę o podejrzanym mężczyźnie, który śledził Feliksa, a potem zaatakował Magdę, Mateusz wzburzył się nawet bardziej, niż Magda mogłaby przypuszczać. A gdy usłyszał o tym, jak jego ciało zamieniło się w kawał mięsa, z którego uciekł mały, obrzydliwy stwór, z hukiem odstawił butelkę na stół i zaczął krążyć po pokoju.

– I co stało się potem?

– Zakopaliśmy mięso i wróciliśmy do domu. – Wzruszyła ramionami. – Przez cały dzień Feliksa nie było w domu, a gdy wrócił, powiedział, że muszę się wyprowadzić, że stało się zbyt niebezpiecznie i nie chce, żebym miała cokolwiek wspólnego z jego pracą.

W pokoju zapadła cisza przerywana trzepotem skrzydeł ciem krążących wokół żarówki zwisającej z sufitu. Nagle światło przygasło na kilka sekund, gdy lodówka włączyła się z głośnym buczeniem.

– Nie dasz rady go przekonać, żebyś mogła wrócić?

Magda pokręciła głową.

– Nie wydaje mi się.

– Szlag! – Mateusz uderzył pięścią w otwartą dłoń. – I co teraz zrobisz?

– Nie wiem. Naprawdę nie wiem – westchnęła, a potem upiła kolejny łyk piwa.

Mateusz ponownie usiadł na odwróconym wiadrze i pochylił się lekko w jej stronę.

– Jest już późno, za późno, żebyś dziś gdziekolwiek szła, więc jak chcesz... możesz przenocować



u mnie – powiedział. – Odstąpię ci kanapę, a sam prześpię się na podłodze...

Magda uśmiechnęła się lekko.

– Dziękuję ci. Nie wiem, co bym dzisiaj ze sobą zrobiła, gdyby nie ty. Jutro pójde po resztę swoich rzeczy do Feliksa, a potem wrócę do rodziców. Super – mruknęła ze złością.

– Nie narzekaj, ja mieszkam w garażu wujka.

Spojrzeni na siebie i roześmiali się.

Stary zegar wiszący na ścianie wybił północ.

– A wiesz, co będzie za okrągłą dobę? – zagadnął Mateusz, siadając na kanapie obok niej.

– Co?

– Przesilenie letnie.

Magda zrobiła wielkie oczy.

– Naprawdę? To... to świetnie. – Nagle posmutniała.

– Co się stało?

– Jutro... to znaczy dzisiaj mam urodziny.

– Och, no tak. Wszystkiego najlepszego – powiedział, a potem pocałował ją w policzek.

– Mam nadzieję, że nie masz żadnych planów na jutro. – Uśmiechnął się.

– Nie mam. Już nie. – Pokręciła głową.

– Co to znaczy: „już nie”?

– W moje urodziny zawsze chodzimy z Feliksem do lasu po krew świętego Jana – powiedziała ze smutkiem w głosie.

– Cóż, byłaby to dość niezwykła randka, ale jeśli moje towarzystwo ci wystarczy, to z wielką chęcią pójde z tobą.

Magda skinęła głową, po czym oparła ją o jego ramię.

– Dziękuję.

– Zawsze myślałem, że Noc Świętojańska i Noc Kupały to coś zupełnie innego. – Mateusz zmarszczył brwi.

– Bo tak jest. – Uśmiechnęła się.

– To jak to w końcu jest z tą krwią świętego Jana?

– Od wieków ludzie świętowali w noc przesilenia letniego. Gdy nadeszło chrześcijaństwo, księża próbowali wybić im to z głów, ale zdaje się, że ta data była zbyt głęboko zakorzeniona w sercach i świadomości ludu. Jeżeli nie można czegoś się pozbyć, najlepiej nadać mu nową nazwę i znaczenie. A żeby nie podpadło, przesunęli święto o dwa dni. Teoretycznie powinno się zbierać krew świętego Jana w Noc Świętojańską, ale tak naprawdę można to robić zarówno w jedną, jak i drugą noc.

Mateusz ze zrozumieniem pokiwał głową i spojrzał na Magdę.

– Wyglądasz na przemęczoną. Chyba pora kłaść się spać – zdecydował.

Pościelił jej łóżko, a dla siebie rozłożył koc na ziemi.

– Nie chcę, żebyś przeze mnie spał na twardym betonie – zaprotestowała. – Twoje łóżko jest szerokie, zmieścimy się na nim we dwoje.

– Jesteś pewna? – Spojrzał jej głęboko w oczy.

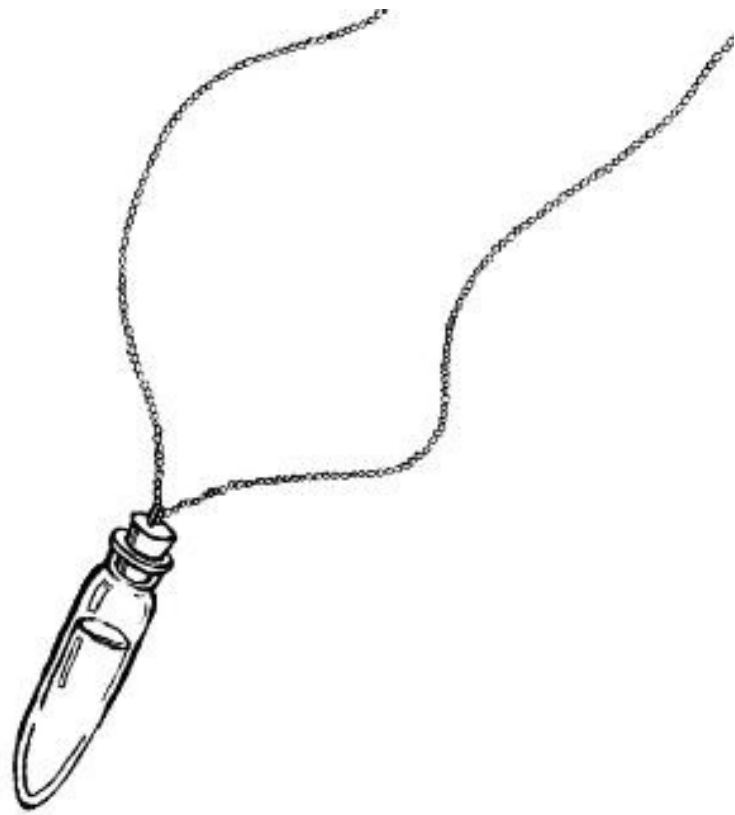
– Tak. – Skinęła głową. – Jestem.

Nigdy jeszcze nie była tak pewna czegoś, jak tego, że chce być z nim tu i teraz.

Położyła dłoń na jego karku i wspięła się na palce, żeby go pocałować. Delikatnie rozchyliła usta, a w jej oczach błysnęły iskierki.

W gruncie rzeczy nawet dobrze się stało, że Feliks wyrzucił ją z domu.

# Rozdział 13



Magdę obudziły promienie słońca wpadające do pokoju przez okno w dachu.

Potrzebowała chwili, żeby zorientować się, gdzie jest. A gdy do jej umysłu napłynęły wspomnienia poprzedniej nocy, zarumieniła się.

Odwróciła się na bok i spojrzała na leżącego obok Mateusza.

– Śpisz? – zapytała.

– Uhm – mruknął, nie otwierając oczu.

Magda uśmiechnęła się do siebie. Była tymczasowo bezdomna, pokłóciła się z wujkiem i nie miała pojęcia, co robić dalej, a mimo to czuła, że to najlepszy urodzinowy poranek, jaki kiedykolwiek przeżyła.

Odruchowo zerknęła na telefon.

– O cholera!

– Co się stało? – Mateusz spojrzał na nią z niepokojem.

– Zaraz dziesiąta! – Magda w samej bieliźnie zerwała się z łóżka i zaczęła zbierać rozrzucone po podłodze ubrania. Miała również ponad dwadzieścia nieodebranych połączeń od Feliksa, ale jego akurat postanowiła zignorować.

– No i? – Mateusz usiadł i obserwował, jak dziewczyna w pośpiechu się ubiera.

– O dziesiątej muszę otworzyć księgarnię.

– Nie możesz zrobić sobie dziś wolnego?

Magda przygryzła wargę. Wizja spędzenia urodzin tylko i wyłącznie w towarzystwie Mateusza była naprawdę kusząca.

– A wiesz, że to całkiem dobry pomysł? – Wskoczyła na łóżko, uśmiechając się.

Nagle rozdzwonił się telefon Mateusza.

Chłopak odebrał go i kilka razy przytaknął z niezadowoloną miną.

– Cholera – rzucił, rozłączając się. – To był wujek, muszę iść do roboty.

– Och. – Magda jęknęła z zawodem.

– Przepraszam. – Położył dłonie na jej ramionach. – Obiecuję, że zobaczymy się po południu.

Dziewczyna pokiwała głową, po czym na powrót zaczęła się ubierać.

Razem wyszli przed garaż, pożegnali się pocałunkiem i ruszyli w przeciwnie strony.

Magda odebrała samochód z myjni, więc w księgarni pojawiła się nieco spóźniona, ale miała nadzieję, że nikt tego nie zauważył. Zaparzyła sobie kawę i usiadła w wiklinowym fotelu w rogu z laptopem na kolanach, z przyzwyczajenia sprawdzając lokalne wiadomości, ale wyglądało na to, że wszędzie panował spokój.

Z jej kieszeni popłynęła wesoła melodyjka.

– Jeśli to znowu Feliks, to przysięgam, że utopię ten telefon – warknęła, patrząc na wyświetlacz.

Jednak był to nieznanany numer.

– Tak? – odebrała.

– Dzień dobry, z tej strony Helena Adler. – Nazwisko nic Magdzie nie mówiło, głosu też nie rozpoznała i mogła jedynie stwierdzić, że należał do starszej pani. – Ja dzwonię w sprawie tej zaginionej dziewczyny...

– Tak? – Nie miała zielonego pojęcia o co chodziło, ale liczyła, że zaraz się dowie.

– Przepraszam, że dzwonię dopiero dziś, ale nie mogłam znaleźć kartki z numerem – tłumaczyła staruszka. – Już myślałam, że ją wyrzuciłam, mija kilka dni, a tu patrzę, kartka wystaje spod szafy. Pewnie przeciąg ją zrzucił...

– A do rzeczy? – zasugerowała Magda.

– Ach, no tak. Opowiadałam temu przemiłemu chłopcu, co widziałam. Jak porwali tę dziewczynę, ale nie potrafiłam podać rejestracji tego samochodu. Aż kilka dni temu obudziłam się w środku nocy i wszystko mi się przypomniało. Tak jak mówiłam, był to biały, dostawczy samochód. A rejestracja to...

– Chwileczkę. – Magda chwyciła ołówek i kawałek papieru, na którym zapisała rejestrację.

– Mam nadzieję, że to wam pomoże – powiedziała staruszka. – Nie dzwoniłam na policję, bo te wałkonie znów by coś przekreśliły. Uznałam, że najbliżsi najlepiej będą wiedzieć, co z tym zrobić.

– Oczywiście. Bardzo dziękuję. Nawet pani nie wie, jak nam pomogła – zapewniła Magda.

Rozłączyła się i spojrzała na kartkę. Rejestracja nic jej nie mówiła, dlatego otworzyła nowe okno w wyszukiwarce i zaczęła szybko uderzać palcami o klawisze, lecz zanim wcisnęła „Enter”, jej dłoń znieruchomiała nad klawiaturą. To nie była już jej sprawa. Skoro Feliks nie chciał jej pomocy, to Magda nie będzie mu jej udzielała. Pospiesznie zamknęła okienko wyszukiwarki.

– Niech sobie sam z tym radzi – mruknęła pod nosem, dzwoniąc do Feliksa, choć nie miała nawet ochoty słyszeć jego głosu.

– Dlaczego nie odbierałaś ode mnie telefonów?! – odezwał się już po pierwszym sygnale.

– Wyrzuciłeś mnie z domu i jasno dałeś do zrozumienia, że nie możemy mieć ze sobą nic wspólnego – warknęła.

– Nie wyrzuciłem! Poprosiłem tylko, żebyś się wyprowadziła. Martwiłem się!

– To już twoja sprawa. Dzwoniła do mnie jakaś Helena Adler.

Po drugiej stronie zapadła cisza.

– I czego chciała? – zapytał już spokojniej Feliks.

– Przyśniła jej się rejestracja samochodu, którym jeździli porywacze „tamtej dziewczyny”. Chodzi o Nadię, prawda?

Znów cisza.

– Tak. Podasz mi te numery?

Magda podyktowała kuzynowi rejestrację, po czym w słuchawce zaległa cisza.

– Mówią ci coś te blachy? – zapytała, zanim ugryzła się w język.

– Nie wiem, muszę pomyśleć. Będę potrzebował samochodu...

W Magdzie wszystko nagle się zagotowało ze złości.

– To go sobie kup! – wybuchła.

¢

Sądząc po odgłosach w słuchawce, Magda rzuciła telefonem o ścianę.

– Cóż, nie jestem tu po to, aby być dla wszystkich miły – westchnął Feliks.

Spojrzał na kartkę i postukał jej krawędzią o stół. Nie miał pojęcia, skąd pochodził właściciel samochodu z taką rejestracją. Zlepek liter i cyfr nic mu nie mówił. Magda zaledwie w chwilę mogłaby to dla niego sprawdzić, ale doskonale wiedział, że tym razem musi poradzić sobie sam. Tak jak dawniej, kiedy nie było jej jeszcze na świecie.

– Chyba dopadła mnie terażniejszość – stwierdził z pewnym smutkiem w głosie. – Będę musiał kupić sobie komputer. – Schował kartkę do kieszeni. – I samochód – dodał, wychodząc na korytarz.

Tymczasem będzie musiała mu wystarczyć wizyta w bibliotece publicznej.

Gdy otworzył drzwi wyjściowe, w twarz buchnęło mu gorące, wilgotne powietrze, a oczy poraziło przedpołudniowe słońce. Wyszedł na ganek i otarł dłonią pot z czoła. Było tak duszno, że ledwo mógł oddychać.

– Przydałaby się porządna burza, żeby oczyścić atmosferę – powiedział do siebie, żałując, że nie może pozostać w chłodnych murach domu.

Ruszył przez zarośnięty ogród w stronę ulicy. Owady bzyczały głośno w wysokiej trawie. Położył dłoń na furtce i nagle spłynęło na niego olśnienie. Widział już gdzieś taką rejestrację!

– Tylko gdzie? – szepnął.

Z jedną dłonią spoczywającą na rozgrzanym metalu, drugą zaciśniętą na skrawku kartki w kieszeni, zamknął oczy i wysilił pamięć.

– Gdzie to było?

Skupił się na widoku czarnych liter i cyfr na białym tle. Tuż obok nich tkwił obraz polskiej flagi.

– Potrzebuję czegoś więcej – szepnął, nie ruszając się z miejsca.

Wtem czerni otaczająca rejestrację powoli przemieniła się w maskę niebieskiego samochodu. Z odmętów pamięci wyłonił się symbol – srebrne koło podzielone na trzy równe części.

– Miał być biały – szepnął. – Ale co to za problem odkręcić rejestrację i przyczepić ją do innego auta?

Już kiedyś widział taki samochód. Niebieski bus bez okien z tyłu.

Wszedł do ciemnego, chłodnego korytarza. Z szafy wyjął plecak, do którego zapakował łom, zioła i odrobinę soli. Po chwili zastanowienia dorzucił również mały toporek, tak na wszelki wypadek. Potem zbiegł do piwnicy i sięgnął za piec, skąd wyciągnął niewielki kluczyk. Wciąż poruszając się w ciemnościach, podszedł do odpowiedniej ściany i pomagając sobie łomem, wyjął z niej kilka cegieł, za którymi leżała bezpiecznie metalowa kasetka, w środku której znajdowała się biżuteria, kilka starych, srebrnych i złotych monet oraz pistolet.

Broń palna i kule nie powstrzymałyby nawich, ponadto gdy nie miało się na nie pozwolenia, przyciągały niechcianą uwagę i częstokroć sprawiały problemy, ale w tym jednym przypadku, gdy Feliks nie był pewien, z czym przyjdzie mu się mierzyć, wołał być przygotowany na wszystko.

¢

Magda pomogła dyrektorze lokalnej podstawówki zapakować do bagażnika karton z książkami na nagrody i wróciła do księgarni.

– Masakra – jęknęła, ocierając pot z czoła.

Nie pamiętała, kiedy ostatnio pogoda była tak okropna. Czowała się niemal jak w tropikach.

„Jak w pracy?” – napisała wiadomość do Mateusza. „Bo mi upał nie daje żyć.”

– Jest tak wilgotno i duszno, że jeszcze trochę, a będzie można pływać w powietrzu – stwierdziła, przykładając do czoła chłodną szklankę z sokiem, jednak niewiele to pomogło.

„Parno i duszno” – odpisał po chwili Mateusz. „I mam wrażenie, że tylko ja pracuję, bo reszta kryje się po kątach z zimnym piwem.”

Magda uśmiechnęła się do własnego telefonu. Cieszyła się, że Mateusz zaproponował jej wyprawę do lasu po krew świętego Jana, a mimo to czuła ukłucie żalu, że nie robi tego z Feliksem.

Z nadzieją zerknęła do szklanki i zakręciła sokiem pomarańczowym, ale lód, który wrzuciła do środka dosłownie przed momentem, zdążył się już roztopić.

– Szlag – burknęła, a potem wypięła łyk. – W tej temperaturze wszystko płynie, a jedzenie psuje się dużo szybciej niż normalnie.

Gdy tylko wypowiedziała te słowa na głos, przed oczami stanął jej widok bagażnika wypełnionego gnijącym mięsem.

– Ohyda – mruknęła, krzywiąc się mimowolnie. – I ten smród...

Sok pomarańczowy, choć był jej ulubionym, przestał jej smakować. Z obrzydzeniem odłożyła szklankę na ladę.

– Niech go szlag! – wybuchła nagle. – Cholerny potwór! To przez niego Feliks wyrzucił mnie z domu! Gdyby tylko...

*Gdyby tylko co?* – zapytał ironicznie głosik w jej głowie. *Gdyby cię nie zaatakował? Nie ten, to inny. A może gdyby nie zgnił w twoim samochodzie?*

– Przeklęty, zbutwiały kawał mięcha!

Nagle Magda zapatrzyła się w przestrzeń przed sobą. Coś zaświtało jej w głowie. Gdzieś już czytała o czymś podobnym.

Popędziła na zaplecze i zaczęła przekładać stos książek, które zazwyczaj czytała, kiedy nie było nic do roboty.

## ¢

Feliks zatrzymał rower, o którym Magda zapomniała i zostawiła w garażu. Zaprowadził swój pojazd na pobocze, gdzie ukrył go w chaszczach, po czym wrócił na brukowaną drogę i stanął przed starą tablicą z zaciekami z rdzy w miejscach, gdzie odprysnęła farba.

*Mam nadzieję, że znajdziesz tu odpowiedź* – pomyślał, a potem przekroczył niewidzialną barierę między lasem i Grzmiącą.

Wieś wyglądała na uśpioną – jak zwykle. Ale trudno o inny efekt, gdy mieszkały tu zaledwie dwie czy trzy rodziny, a reszta domów była opuszczona. W tę duchotę nawet ci, którzy tu mieszkali, szczerze pozamykali się w chłodnych domach. A może siedzieli nad brzegiem lazurowego jeziora? Na samą myśl o chłodnej wodzie Feliksowi zrobiło się jeszcze bardziej gorąco. Ale był tutaj przecież w zupełnie innym celu.

Podczas szybkiego marszu przez wieś rozglądał się uważnie, zwracając uwagę na każdy dźwięk, który niósł się w dusznym powietrzu, lecz nic nie wzbudziło w nim niepokoju.

Wkrótce dotarł do domu, który był celem jego wyprawy, ale nie zatrzymał się przed nim, nie chcąc wzbudzić niczyich podejrzeń. Kątem oka spojrzał w ciemne okna, na zaniedbany ogródek i podjazd, na którym tym razem nie stał żaden samochód. A mimo to był pewien, że to właśnie tutaj widział pojazd z rejestracją podaną przez staruszkę z Brzeźnicy, czyli jedyne go świadka porwania Nadii. Było to niecałą dobę po śmierci Jadwigi, w wieczór, w który ktoś zaatakował Magdę w starym hotelu.

*To nie mógł być przypadek* – pomyślał.

Przeszedł przez wieś, a potem skręcił w las i zatoczył olbrzymi półokrąg, aby zejść dom od podwórka.

Po kwadransie siedział już w zaroślach pod zmurszałym płotem i obserwował budynek, który wydawał się opuszczony, ale coś w głębi serca podpowiadało żniwiarzowi, że było inaczej.

Przez godzinę przypatrywał się ciemnym oknom, w których nie pojawił się żaden cień. A potem podjął decyzję, co robić dalej.

Z plecaka wyjął pistolet, sprawdził magazynek i wsunął broń za pasek od spodni. Do jednej kieszeni wsadził rozsznurowany woreczek z ziołami, a do drugiej ten z solą. W dłoń chwycił łom, jednym susem przeskoczył płot i ruszył przez podwórko w stronę domu. Nie skradał się, bo takie zachowanie tylko przyciągało uwagę. Nie, Feliks szedł naprzód, jakby był u siebie. Okrążył budynek i delikatnie zastukał łomem do drzwi. Kiedy po minucie z wewnątrz nie dotarł do niego żaden dźwięk, nacisnął klamkę. Nie ustąpiła.

Drzwi były stare, od środka pewnie zjedzone przez korniki, zaś lekko zardzewiała zamek też nie

prezentował się najlepiej. Feliks wcisnął łom między drzwi a framugę, po czym naparł na niego całym ciałem. Nie musiał nawet użyć wiele siły, żeby drewno zatrzeszczało, a metalowy zamek wygiął się tak, że drzwi ustąpiły. Ze środka buchnął smród stęchlizny, zepsutego mięsa i krwi.

Żniwiarz przekroczył próg i wszedł do ciemnej sieni, w której, o ile to możliwe, było jeszcze bardziej duszno i gorąco niż na zewnątrz. Dzierżąc w dłoni łom, lekko uchylił drzwi do pierwszego pokoju. Znajdowało się tam zaścielone łóżko, stara szafa i stół z kilkoma krzesłami. Na jednym z nich wisiała staromodna marynarka, taka, jaką zapewne nosiłby pozbawiony gustu starszy pan.

Naprzeciwno drzwi wejściowych była kuchnia. Znajdowało się w niej kilka starych, powyginanych szafek, zlew z rdzawymi zaciekami i stół, na którym – o dziwo – stała całkiem ładna porcelana, w takim domu wyglądająca zupełnie nie na miejscu.

W kolejnym pokoju były dwa łóżka ze skotłowaną pościelą i starymi ubraniami po prostu rzuconymi w kącie. To stąd cuchnęło stęchlizną i niepranymi skarpetkami. Feliks wszedł do środka, a brudny, gruby dywan wytłumił jego kroki. Powiódł wzrokiem dookoła i na jednej ze ścian zobaczył ślady krwi.

– A więc jednak coś tu się działo – szepnął, a potem, niewiele się zastanawiając, podskoczył kilka razy.

Po domu rozległ się głuchy dźwięk.

*Wiedziałem!* – pomyślał i zaczął zwijać dywan od strony drzwi.

Wkrótce jego oczom ukazała się kłapa w podłodze. Pociągnął za metalowy pierścień i uniósł ją na tyle, aby móc zerknąć w dół. Niestety panowała tam taka ciemność, że nawet oczy żniwiarza nie potrafiły jej przeniknąć. Wyciągnął więc z plecaka latarkę. W słupie światła zamigotały drobinki kurzu. Feliks zobaczył kamienne ściany i podłogę, na której leżała sterta szmat. W kącie piwnicy stało coś wielkiego, przypominającego sporą beczkę. Poza tym pomieszczenie było zupełnie puste. I tylko czarne plamy na podłodze i ścianach zapaliły w umyśle żniwiarza ostrzegawczą lampkę. Feliks wiedział, że była to krew.

Opuścił kłapę na miejsce i przykrył ją dywanem. Przeszukał stertę ubrań w kącie, ale nie znalazł w nich nic szczególnego. Podobnie w drugim pokoju – sprawdził szafę oraz kieszenie marynarki wiszącej na krześle, ale nie było tam nic, co powiedziałoby mu cokolwiek poza tym, że mieszkańcy domu nie dbali o higienę, ale lubili jeść z ładnych talerzy.

Żniwiarz wrócił na brukowaną ulicę i rozejrzał się w obie strony, ale nadal nie zobaczył żadnego człowieka.

Słońce niedawno przekroczyło zenit. Powietrze wciąż było gęste i nieruchome. Feliks złapał w dwa palce kołnierz koszulki i powachlował się nim, myśląc, co robić dalej. Nagle usłyszał w oddali warkot silnika. Bez zastanowienia przebiegł przez drogę, przeskoczył przez siatkę z drutu i miękko wylądował w zaroślach porastających ogród opuszczonego domu. Przypadł do ziemi i z ukrycia obserwował niebieski, dostawczy samochód, który zaparkował naprzeciwno.

Gdy silnik zgasł, żniwiarz zastygł w zupełnym bezruchu, nie śmiąc nawet oddychać. Z tego miejsca nie mógł dostrzec rejestracji, ale był pewien, że jest taka sama, jak tego, którym uprowadzono Nadię.

Wtem z samochodu wysiadł barczysty, łysy mężczyzna ze spleśzczonym nosem.

*Ty draniu, to na pewno ty!* – Feliks zacisnął mocno pięści.

Ledwo się powstrzymał, aby nie poderwać się z ziemi i nie rzucić na niego w celu zdobycia niezbędnych informacji, a także dokonania zemsty za to, co zrobił Nadii, gdy usłyszał kolejny trzask otwieranych drzwiczek. A więc łysy nie był sam.

Feliks nieznacznie zmienił pozycję i zobaczył parę butów za samochodem. Poradzi sobie z dwójką przeciwników? Jeśli uda mu się ich zaskoczyć, to na pewno...

– Ej, ktoś się nam włamał! – Usłyszał niski głos.

To by było na tyle, jeśli chodzi o element zaskoczenia.

Przez chwilę po przeciwnej stronie drogi panowała cisza. Dwóch osiłków pewnie sprawdzało, czy intruz nadal znajdował się w środku.

Nagle rozległ się odgłos kroków. Łysy z płaskim nosem wyszedł na środek drogi i rozejrzał się bacznie dookoła. Jego wzrok padł na ogród, w którym ukrywał się żniwiarz.

Feliks nawet nie drgnął, patrząc mu prosto w oczy, lecz po chwili mężczyzna wzruszył ramionami i odwrócił się do niego bokiem, wyciągając z kieszeni telefon komórkowy.

– Szefie? – odezwał się basowym głosem. – Ktoś włamał się do domu w Grzmiącej. Nie, nie zostawił śladów. Nie wydaje mi się. Dobra. To czekam.

Mężczyzna rozłączył się i schował telefon.

– Co za przekłeta pogoda – mruknął, skierowawszy się do domu.

Dopiero gdy trzasnęły zamykane drzwi, Feliks odprężył się. Stracił z ręki mrówki, które po niej chodziły i czołgając się przez krzaki, okrążył opuszczony dom znajdujący się naprzeciwko dziupli porywaczy. Wstał z ziemi dopiero, gdy był pewien, że nie widać go z drogi. Przez wybite okno wszedł do starej chałupy. Gdy stawiał stopy na zielonkawym gumolocie, pod jego butami zachrząściło szkło wymieszane z uschniętymi liśćmi.

Znajdował się w kuchni, gdzie po podłodze wałały się kawałki potłuczonej zastawy, stare szmaty i papierki. Paskudna, żółtawa tapeta z plamami ciemnego grzyba odłaziła miejscami od ścian, wisząc smętnie nad podłogą. W kącie stały resztki szafek z dykty.

Feliks ostrożnie przeszedł do pokoju znajdującego się od strony drogi, skąd przez niewielkie okna z szarymi firankami miał widok na dom porywaczy.

Przez jakąś godzinę panował spokój. Dwóch osiłków najwyraźniej siedziało w domu i nie miało zamiaru wychodzić. Potem na ciasne podwórko wjechał kolejny samochód. Feliks dostrzegł trzy nowe osoby – dwóch potężnych mężczyzn i starszego pana, którzy zniknęli we wnętrzu domu. Potem znów nastał spokój, czas mozolnie płynął, a w domu naprzeciwko nadal nic się nie działo.

– Trzeba było wziąć kanapki – mruknął do siebie żniwiarz, poprawiając się na cuchnącej wersalce.

Nie miał innego wyjścia, jak czekać na zapadnięcie zmroku. Na pewno nie wszyscy nocowali w opuszczonym domu. Poczeka więc na moment, gdy zostanie w nim mniej zbirów i wtedy wyciągnie z nich całą prawdę o porwaniu Nadii.

*A jeśli to nie są ludzie? – przemknęło mu przez myśl. Łysy do złudzenia przypominał mężczyznę, który napadł na nas w Sianowie tuż po ataku bezkosta. Jeżeli oni wszyscy są tymi dziwnymi stworami, które po śmierci zamieniają się w małą, ohydłą pokrakę otoczoną kupą zepsutego mięcha?*

– Skubany był silny. I szybki – dodał na głos.

Dwóch takich bez problemu mogłoby złapać Nadię i wrzucić ją na pakę samochodu.

– Nie wiem, czym jesteście, ale na pewno jest na was jakiś sposób. I znajdę go – przyrzekł żniwiarz, czując palącą wściekłość.

¢

Magda ponownie zerknęła na telefon, ale tak samo jak pięć minut wcześniej na wyświetlaczu nie pojawiła się żadna nowa wiadomość. Feliks wciąż się nie odzywał, ale przecież dzwonił tylko wtedy, kiedy czegoś chciał. A poza tym nakrzyczała na niego, że ma jej dać spokój. Ale to było przed tym, jak dokonała tego odkrycia.

– I co teraz? – westchnęła, wciąż klęcząc przed stosem książek na zapleczu.



Na samym szczycie leżał otwarty opasty tom. Jeszcze raz wzięła go do ręki i spojrzała na zaznaczony ołówkiem fragment.

– Nija, pan zaświatów – przeczytała na głos. – Bóg podziemi, deszczu, wodnych głębin, bogactwa, a przede wszystkim świata zmarłych... – Przesunęła wzrokiem po dokładniejszych opisach, powiązaniach z innymi bóstwami oraz śladach kultu. – Istnieje wiele teorii na temat pochodzenia jego imienia. Według niektórych badaczy istnieje związek pomiędzy tym słowem, a prasłowiańskim rzeczownikiem „*nawь*”, oznaczającym „trupa” lub „zmarłego”, czasownikiem „*nyć*” czyli „schnąć”, „umierać” oraz czasownikiem „*niti*”, czyli „butwieć”, „rozkładać się”.

Odłożyła otwartą książkę na stos.

– Butwieć, rozkładać się – powtórzyła głośno. – A jeśli nija istnieje naprawdę? Nie jako bóstwo, nie jako pan zaświatów, ale stwór tak samo cielesny jak bezkost?

Skrzyżowała ręce na piersi i oparła się plecami o ścianę.

*Czy to możliwe, żeby Feliks nie znał jakiegoś gatunku nawi? Oczywiście, że tak! Przecież gdy to coś wyskoczyło z mojego bagażnika i uciekło do lasu, zostawiając za sobą tonę zgniłego mięsa, nie miał pojęcia, co to było! Zgniłe, rozkładające się mięso... A godzinę wcześniej był to żyjący i myślący człowiek.*

Przetarła twarz dłońmi i pokręciła głową.

– A myślałam, że nic już nie może mnie zaskoczyć – westchnęła.

Wzięła do ręki telefon i znów się zawahała. Chciała pochwalić się Feliksowi, co właśnie odkryła, udowodnić mu, że jest przydatna... Ale czy on będzie chciał jej wysłuchać?

Nagle telefon zadzwonił, a Magda wyskoczyła w powietrze, zahaczając ręką o stos książek, który rozsypał się na ziemi.

– Niech to! – jęknęła, wciskając zieloną słuchawkę.

– Coś się stało? – usłyszała ciepły głos Mateusza.

– Nie, nic, tylko narobiłam bałaganu. O co chodzi?

– Ja... tego, chciałem się zapytać, jak sobie dziś radzisz.

– W porządku – zapewniła niezbyt szczerze. Radość, którą odczuwała rano, zdążyła już dawno z niej ulecieć.

W słuchawce zapadła cisza.

– Przepraszam – odezwała się Magda. – Mam dziś gorszy dzień. Wciąż jestem wściekła na Feliksa...

– Nie martw się. Dziś po południu mogę iść do niego z tobą i zmusić go, żeby z powrotem przyjął cię pod swój dach – odparł Mateusz pół żartem, pół serio.

– Chciałabym zobaczyć wasze „starcie tytanów” – zaśmiała się Magda, a humor od razu jej się poprawił. – A poza tym, nie uwierzysz, co właśnie odkryłam! – dodała

– Tak?

– Wiem już chyba, jakie stworzenie zaatakowało nas dwa dni temu.

Mateusz zamilkł na chwilę.

– Jesteś tam? – zapytała.

– Tak, jestem. Poważnie? I co to było?

– Na razie znam tylko nazwę, ale jak jeszcze trochę poszukam, może znajdę coś nowego – zapewniła.

– I co to za nazwa? – zainteresował się Mateusz.

Magda zerknęła na otwartą książkę.

– Nija – przeczytała. – Albo Nyja, jak kto woli.

– Ciekawe... Daj znać, jak coś jeszcze odkryjesz.

– Pewnie, będziesz pierwszym, który się dowie – powiedziała, a humor znów jej się zwarzył. –

Bo Feliks nadal nie chce ze mną rozmawiać. Ja z nim zresztą też nie.

– Odzywał się dziś rano?

– Tak... To znaczy nie, ja do niego zadzwoniłam, bo jakaś staruszka przypomniała sobie, na jakich blachach był samochód, którym porwano Nadię.

– Naprawdę? Feliks wiedział, co to za samochód?

– Nie wiem, chyba nie. Zresztą, mam go gdzieś. Niech sam sobie z tym wszystkim radzi. A my widzimy się dziś wieczorem, prawda?

– Oczywiście.

– To do zobaczenia.

Magda odłożyła telefon na półkę i zaczęła zbierać rozsypane książki, kiedy usłyszała dzwonek przy drzwiach. Szybko pozbierała się z klęczek i wybiegła z zaplecza.

– To ty tak pracujesz? – zagadnęła mama, kładąc na ladzie siatkę z zakupami. – Przesiadując na zapleczu?

– Daj spokój! Jest taka duchota, że nikomu nie chce się wychodzić z domu, nie mówiąc o wizycie w księgarni.

– Pamiętasz, co dzisiaj jest? – Emilia sięgnęła do siatki, wydając z niej wielkie pudełko z lodami.

– Pewnie, Noc Kupały. – Magda uśmiechnęła się szeroko.

– Wszystkiego najlepszego, kochanie. – Mama uściskała ją i ucałowała w czoło. – Na razie pomyślałam, że w taką pogodę będziesz miała ochotę na lody, a wieczorem przyjedziecie z Feliksem do nas na tort. Co ty na to? Oczywiście Mateusza też zabierz.

– Dzięki. – Magda przyniosła z zaplecza dwa talerzyki, łyżeczki oraz nóż, po czym zabrała się do krojenia lodów. – Nie wiem, czy Feliks będzie. Rano wyjechał bez słowa – skłamała. Jeszcze nie chciała mówić, że od wczoraj jest bezdomna. – Ale Mateusz na pewno przyjdzie. Nie ma innego wyjścia.

– Puściła do mamy oko.

– Znakomicie. Czyli nie idziesz w nocy do lasu po tę krew?

– Ależ idę, tyle, że nie z Feliksem.

Emilia pokręciła głową, a potem zabrała się za lody. Była w połowie, kiedy nagle coś jej się przypomniało.

– Kilka dni temu dostaliśmy na maila księgarni dziwną wiadomość – powiedziała, machając w powietrzu łyżeczką. – Wydaje mi się, że to jakiś spam albo głupi kawał, ale na wszelki wypadek ty też ją sprawdź, może to coś ważnego i będziesz umiała coś z tego odczytać.

– Okej, tylko zjem – odparła Magda, nakładając sobie kolejną porcję lodów.

¢

Feliks drgnął nieznacznie, słysząc trzaśnięcie drzwi w sąsiednim domu. Zdążył naliczyć pięć osób, które wyszły na dwór.

Mężczyźni pożegnali się i trzech z nich wsiadło do samochodu osobowego, jeden do busa. Na progu domu został tylko starszy pan.

*Teraz albo nigdy* – pomyślał Feliks.

Zarzucił plecak na ramię i przez wybite okno w kuchni wyszedł na zewnątrz. Skradając się przez zarośla, dotarł do płotu, przeskoczył go, a potem zatoczył szeroki łuk i przeszedł przez brukowaną drogę w miejscu, w którym nie można było go dostrzec z okien domu. Dotarł do budynku od strony lasu, a wyprostował się dopiero, gdy stanął przed drzwiami wejściowymi. Delikatnie nacisnął klamkę, która –

ku jego zaskoczeniu – nie stawiała żadnego oporu.

Uchylił lekko drzwi i zajrzał do środka, trzymając w pogotowiu pistolet. W sieni panował półmrok i cisza. Feliks postąpił krok naprzód, czując w powietrzu silny zapach męskiego dezodorantu, nieprzyjemnie drażniącego nozdrza.

– Przystań się krygować i wejdź do środka. – Usłyszał nagle ciepły głos starszego mężczyzny.

Na chwilę zastygł w bezruchu, zastanawiając się, co robić.

– Wiem, że tam jesteś. Tylko nie mów, że boisz się samotnego starca. Czekam na ciebie w kuchni.

Feliks odbezpieczył pistolet i zrobił kilka kroków w stronę kuchennych drzwi. Lekko pchnął je stopą, spodziewając się wszystkiego. Jednak nie nastąpił żaden atak, nie było też żadnej pułapki. Tylko starszy mężczyzna siedzący za stołem, a przed nim talerz z porcją kusząco pachnącego spaghetti.

– To ty zniszczyłeś nam zamek w drzwiach, prawda? – zagadnął mężczyzna.

Feliks milczał. Wciąż celował do nieznanego z pistoletu i wpatrywał się w jego puste, głębokie oczy.

– Doceniam, że nie narobiłeś więcej bałaganu – kontynuował starzec. – Wiesz, niektórzy przewracaliby meble, potłukli zastawę, a muszę przyznać, że przywiązałem się już do tych talerzy. Jedzenie z nich smakuje o wiele lepiej, niż z tych plastikowych. Masz może ochotę? – Nieznacznie przesunął w jego stronę swój obiad.

Feliks nawet nie drgnął.

– Kim jesteś? – zapytał w końcu.

– Przecież wiesz. – Uśmiechnął się starzec.

– Jesteś żniwiarzem. Ale co tu robisz?

– Och, mam tu pewne sprawy do załatwienia. I możesz schować ten pistolet, oboje wiemy, że mnie nie zastrzelisz. Przecież potrzebujesz informacji!

Feliks opuścił broń dopiero po dłuższej chwili. Jeśli zabije starca, ten znajdzie nowe ciało, a on nie dowie się niczego o Nadii.

– Usiądź wreszcie! – mruknął mężczyzna, nawijając na widelec makaron. – Zwą mnie Blank. A ty jesteś Feliks Wojna – dodał, kiedy Feliks usiadł po przeciwnej stronie stołu.

– A tamci mężczyźni? Oni nie byli żniwiarzami, prawda?

– Oni? Oczywiście, że nie! – Blank roześmiał się. – Nazywają siebie nijami. Ale cały ten patos pana podziemi wcale do nich nie pasuje. To zwykłe hieny cmentarne żywiące się trupami. My wolimy nazywać ich potępieńcami.

– My?

– Ja i mój pan. Poczekaaj, aż go spotkasz. To będzie dla ciebie bardzo pouczające doświadczenie.

– To wy porwaliście Nadię? – zapytał Feliks, zachowując pokerową twarz. – Dlaczego? Gdzie ona teraz jest?

– Przyznam, że przysporzyła nam trochę kłopotów. Uparta i zawzięta dziewczyna.

– Gdzie ona jest? – powtórzył twardo Feliks.

– Cóż, jakby ci to powiedzieć...

Feliks kątem oka dostrzegł ruch za oknem, a jego słuch wychwycił cichy szelest w sieni.

– Ona, mój drogi, nie żyje – powiedział Blank.

Feliks poderwał się tak gwałtownie, że krzesło z hukiem poleciało do tyłu.

– Już nas opuszczasz? – zapytał spokojnie Blank, na powrót zajmując się posiłkiem.

Feliks go jednak nie słuchał. Jednym susem dopadł do drzwi i otworzył je kopniakiem, wyszarpując zza paska pistolet. Tak jak się tego spodziewał, po drugiej stronie stał potępieńiec ze spleśzczonym nosem. Żniwiarz bez zastanowienia wycelował i strzelił.

Potępieńiec osunął się po ścianie na ziemię, a na jego koszuli wykwitła plama krwi.

Nagle Feliks poczuł przeszywający ból w prawym kolanie. To kolejny potępieńiec zaszedł go od tyłu i kopnął z taką siłą, że żniwiarz wylądował na podłodze.

Kłęcząc na deskach, spróbował się odwrócić, celując w nowego wroga, ale ten wytrącił mu broń z ręki i uderzył kolanem w podbródek. Żniwiarza na chwilę zamroczyło, poczuł, że napastnik podnosi go za koszulę na piersiach. Otworzył oczy i ujrzał go, szykującego się do uderzenia czołem w nos.

Feliks zamachnął się pięściami, zbijając ręce potępieńca wciąż trzymające go za koszulę, a potem serią ciosów uderzył go w brzuch oraz szczękę, a gdy ten zgiał się wpół, zmiażdżył mu nos o kolano.

Do ciasnej sieni wpadł trzeci potępieńiec. Feliks rzucił się po pistolet leżący na podłodze. Jego kolano przeszył okropny ból, ale zdążył dopaść broni, wycelować i strzelić, zanim mężczyzna zbliżył się do niego.

Żniwiarz wstał i zerknął na trzy ciała.

– Jeszcze... – zaczął, gdy usłyszał za sobą skrzypnięcie podłogi.

Natychmiast odwrócił się w miejscu, żeby ujrzeć kawał deski lecący wprost na jego głowę.

– ...jeden – dokończył za niego potępieńiec, który najwyraźniej wlaźł do domu przez okno w kuchni.

Dla Feliksa zapadła ciemność.

¢

– Idę na zakupy, chcesz coś? – zapytała Emilia, chowając pudełko z resztką lodów do małej zamrażarki na zapleczu.

– Tylko olbrzymi tort! – Uśmiechnęła się Magda, wylizując swój talerzyk.

– Ubierz się ładnie. Dla Mateusza.

– Jasne... Szkoda tylko, że większość moich ubrań została w domu, do którego nie mam zamiaru wracać – dodała, gdy Emilia zamknęła za sobą drzwi.

Umyła talerzyki po lodach i usiadła do komputera, logując się na skrzynkę mailową księgarni. Chwilę trwało, zanim na liście odebranych wiadomości dostrzegła jedną bez tytułu. Nazwa nadawcy nic jej nie powiedziała.

– Ciekawe. – Otworzyła wiadomość i zaczęła czytać, coraz bardziej marszcząc brwi.

*Oni nas mordueja wiedzajak zabic zniwiarza111 maja wiely potepiencow1 zniwiarz oeptal zyjacego czleiwka zebatal ich razem i im dowiodz*

*Akeladam pole lraqi*

*Nadai*

– Że co proszę? – powiedziała Magda, wciąż wpatrując się w wiadomość. – Oni nas mordują – przeczytała. – Wiedzą, jak zabić żniwiarza... O matko, to nie żadne żarty. Nadai? Nadia? To wiadomość od Nadii!

Gwałtownie zerwała się z krzesła i pobiegła po telefon, który zostawiła na zapleczu. Drżącymi palcami zaczęła szukać numeru Feliksa, ale po chwili rozmyśliła się. Pochyliła się nad komputerem i przykładając palec do monitora, spróbowała rozszyfrować resztę wiadomości.

– Co znaczą te jedyńki? – zastanowiła się. – Dlaczego trzy? Jeden... jeden... raz... – Spojrzała na swoją klawiaturę. – No jasne! – krzyknęła i uderzyła się dłonią w czoło. – To wykrzyknik! Pewnie nie wiedziała, jak go wcisnąć. A co dalej? Maja? Mają? Wielu potępieńców? Czym są, do licha, ci potępieńcy? Żniwiarz o... opętał żyjącego czle... człowieka? Przecież to niemożliwe! Co ona plecie? No ale dobra. Co tam dalej jest? Zebatal ich razem i im dowio... dowodzi. Zebrał ich razem i im

dowodzi? Ale komu? Żniwiarzom? Tym potępieńcom?

Magda wyprostowała się i zaczęła krążyć w kółko, przykładając dłoń do czoła. Oczywiście było, że Nadia miała kłopoty z pisaniem. Ale potrafiła znaleźć w Internecie adres mailowy księgarni oraz wysłać wiadomość, więc napisanie jej nie powinno stanowić aż takiego problemu.

– Przecież to wygląda, jakby pisał to ktoś pijany jak szpadel! – wykrzyknęła Magda. – Albo ktoś, komu bardzo, ale to bardzo się spieszy. Akeladam pole lraqi – przeczytała. – Co to jest, do cholery? Jaki akeladam?! Jakie pole?! Co to znaczy?!

Wyprostowała się i obiema dłońmi założyła ciemne włosy za uszy.

– Pal sześć. Może Feliks będzie wiedział.

Zadzwoniła do wujka, ale jedyne co usłyszała w słuchawce, to: „abonent jest poza zasięgiem lub ma wyłączony aparat”.

– Świetnie! – Rzuciła telefon na ladę. – Jak zwykle rozładował... nie... nie rozładował. Wczoraj wieczorem widziałam, jak odłączał telefon od ładowarki. To może jest poza zasięgiem? Gdzie polazłeś, cholero jedna?! – krzyknęła, ponownie dzwoniąc do Feliksa. – Błagam, odbierz!

Jednak rezultat był taki sam jak za pierwszym razem.

– Oni nas mordują – szepnęła. – Wiedzą, jak zabić żniwiarza. Boże... Naprawdę? Kto? I czy Nadia...?

Magda zaczęła bezsilnie miotać się po księgarni. Co robić? Spojrzała na datę wysłania wiadomości. Dwa dni temu. Dokładnie wtedy Feliks męczył się z bezkostem. Dlaczego nie napisała nic więcej? Dlaczego nie zadzwoniła? Czy ci ludzie, którzy tak strasznie ją pobili, znów ją dorwali? Tyle pytań i żadnej odpowiedzi.

Im dłużej krążyła po księgarni i usiłowała coś wymyślić, tym gorzej się czuła. Duchota w powietrzu stała się nie do wytrzymania.

– Muszę się napić, bo inaczej zemdleję – sapnęła, nalewając do szklanki wody z kranu.

Pijąc, ponownie zadzwoniła do Feliksa, ale bez skutku.

Mijała minuta za minutą, a samotna mucha wyleciała ze swojego ukrycia i zaczęła obijać się o szybę. Po ulicy chodzili ludzie w letnich ubraniach, wachlując się gazetami. Magda powiesiła na drzwiach tabliczkę „zamknięte”, żeby czasem żaden z nich nie zechciał wejść do księgarni, aby się ochłodzić czy poszukać jakiejś książki. Nie byłaby w stanie nikogo teraz obsłużyć.

Minęła godzina, a Feliks wciąż był nieosiągalny.

– Wiedzą, jak zabić żniwiarza – powtórzyła po raz setny Magda. – Oni nas mordują. Dlatego Nadia już nie wróciła? I gdzie jest ten przeklęty Feliks? Rano przedyktowałam mu numer rejestracyjny... A jeśli znalazł ten samochód?

Ta myśl zmroziła ją od środka, pomimo duchoty panującej w księgarni. A jeśli oni znaleźli jego?!

– Nie – szepnęła ze strachem. – On nie może zginąć.

W końcu podjęła decyzję i ponownie wzięła do ręki telefon, wybierając jedyne numer, który przyszedł jej do głowy.

– Cześć. Co jest? – zapytał beztrosko Mateusz.

– Gdzie jesteś?

– Ja? W tym... eee... w starym hotelu.

– W hotelu? A co ty tam robisz?

– Wcześniej skończyłem pracę, chciałem pomyśleć...

– Dobra, nieważne. Przyjedź do mnie. Proszę.

– Ale przyjechałem tu rowerem, więc powrót trochę mi zajmie.

Magda zaklęła głośno.

– Wszystko w porządku? – zapytał ostrożnie Mateusz.

– Nie, nic nie jest w porządku. Myślę, że Feliks jest w niebezpieczeństwie.

– Jak to?

– I nie wiem, co robić. – Nagle poczuła, że jeszcze chwila, a rozplącze się z bezsilności.

– Przyjedź po mnie, to wymyślimy coś razem, dobrze? Tylko błagam, nie rób sama niczego głupiego.

Magda milczała przez chwilę.

– Dziękuję – szepnęła.

– Po to jestem. Czekam w hotelu.

– Wyjdź mi – zaczęła, ale się rozłączył – naprzeciw. No dobrze, to do hotelu. Tylko po co on tam poszedł?

Zerknęła na zegarek. Do zamknięcia księgarni pozostały jeszcze dwie godziny. Ale co tam, i tak pewnie nikt by nie przyszedł. Chwyciła więc torebkę, kluczyki od samochodu i wyszła na zewnątrz. Od razu buchnął w nią żar, który, zamiast zelżeć, stał się jeszcze gorszy. Zamknęła księgarnię i pobiegła do samochodu. Obejrzało się za nią kilka osób, zdziwionych, że chce jej się biegać w taki skwar.

Kilkanaście minut później przemknęła przez Grzmiącą i zatrzymała samochód na rozwidleniu dróg kawałek za wsią. Odruchowo spojrzała w lewo, gdzie znajdował się stary cmentarz i popędziła w prawo do zrujnowanego hotelu.

I wtem, niczym grom z jasnego nieba, uderzyła w nią świadomość, że wie, o czym pisała Nadia. Przynajmniej ten fragment, którego do tej pory nie rozumiała. Gwałtownie zatrzymała się, a serce waliło jej niczym młot.

– Akeldama – szepnęła, znów oglądając się w stronę cmentarza ukrytego w lesie. – Pole krwi, inaczej zwane polem garncarza. Ale dlaczego? Co jest w nim takiego szczególnego?

Wymagało to od niej olbrzymiej siły woli, by nie pobiec na najbliższe pole garncarza, aby odkryć, co tam jest.

– Nie – powiedziała stanowczo, kierując się do hotelu. – Byłaś tam setki razy i nic nie widziałaś. W tym polu i cmentarzu nie ma nic wyjątkowego.

Ruszyła truchtem wąską, zarośniętą ścieżką. Słońce wciąż świeciło na błękitnym niebie, a srebrne refleksy odbijały się w wodach jeziora daleko w dole.

Nagle Magda stanęła jak wryta. Przed nią pojawiły się trzy ciemne sylwetki, zagradzając dalszą drogę. Po raz pierwszy w życiu widziała ich trzech naraz tak wyraźnie. Stali w słońcu, a cień, z którego były uformowane ich niematerialne ciała, wirował niczym dym. Środkowy cienisty postąpił krok w stronę Magdy, a wiatr, który wiał tylko w jego świetle, szarpał jego porwanym płaszczem.

– Czego chcecie?! – krzyknęła dziewczyna. – Nie mam czasu na wasze zabawy!

Cienisty wyciągnął w jej stronę rękę. Na wszelki wypadek obejrzała się za siebie, jakby coś jej wskazywał, ale nic tam nie było. Otworzył usta, a do uszu Magdy dotarł nie dźwięk, lecz wibracje wwiercające się w mózg.

Magda pokręciła głową.

– Nie rozumiem cię.

Wtem cienisty ruszył w jej stronę. Płynął w powietrzu nad ziemią z wciąż otwartymi ustami i wyciągniętą ręką.

– Nawet się nie waż! – krzyknęła Magda, zasłaniając twarz ramieniem.

Tym razem się nie ugięła, gdy cienisty na nią wpadł. Opuściła rękę, ale stwór rozwiął się. Spojrzała na pozostałych dwóch stojących na ścieżce, a potem sięgnęła po krótką gałąź leżącą na ziemi.

– Zejdźcie mi z drogi – warknęła, ale ani drgnęli. – Jak chcecie – powiedziała grobowym tonem.

Zerwała się do biegu, a gdy znalazła się tuż przed cienistymi, machnęła gałęzią. Zanim się obejrzała, znikli.

*Później – pomyślała. Później dowiem się, czego chcę. Teraz muszę znaleźć Mateusza i Feliksa.*

Zanim dotarła do hotelu, prawie straciła oddech, a pot lał jej się po plecach strużkami.

– No i gdzie on jest? – zdenerwowała się, gdy nie ujrzała przed wejściem przyjaciela. – Mateusz?!

Odpowiedziała jej cisza.

– Gdzie jesteś?! – Weszła do środka. – Mateusz! To bardzo ważne!

W olbrzymim budynku panowała temperatura jedynie odrobinę niższa niż na zewnątrz.

– Mateusz!

*A jeśli podłoga się pod nim zarwała i leży teraz gdzieś nieprzytomny?* – przestraszyła się nie na żarty.

Magda przebiegła przez cały parter, starając się nie myśleć o ostatniej swojej wizycie w tym budynku.

Wpadła na piętro, wciąż nawołując chłopaka. Minęła salon, w którym siedziała przez długie godziny, oplakując śmierć cioci. Pomimo upału na jej skórze pojawiła się gęsia skórka, gdy przypomniała sobie moment, gdy usłyszała wtedy hałas na dole, a później ujrzała szaleńca z nożem...

– Wyglądał, jakby się rozkładał. – Zatrzymała się, nagle przywołując w pamięci ten okropny wieczór. –

Czy on... czy to też był jeden z nich? Czy to był nija?

Czy gdyby go pokonała, zamiast uciekać, to również zamieniłby się w kupę gnijącego mięsa?

Wyjęła z kieszeni telefon, ale nie miała w tym miejscu zasięgu.

– Magda? – Usłyszała nagle ciche wołanie.

Zastygła w bezruchu nasłuchując.

– Magda?

– Mateusz?! – krzyknęła. – Gdzie jesteś?!

– Na drugim piętrze!

– Po cholere tam włąziłeś? Przecież tam wszystko ledwo się trzyma!

– Teraz mi to mówisz?! Nie wiem, jak wyjść...

– Cholera – mruknęła, biegnąc do schodów.

Jeszcze kilka lat temu Magda chodziła po drugim piętrze i nawet po strychu, ale teraz podłogi tam były w takim stanie, że mogły runąć nawet pod najmniejszym naciskiem.

– Co za okropny dzień – sapnęła, ostrożnie stawiając stopy na coraz wyższych stopniach. – I jeszcze się nie skończył.

Gdy stanęła pewnie na ostatnim piętrze, zawołała:

– Gdzie jesteś?!

– Tutaj!

Powoli ruszyła w stronę, skąd dochodził głos Mateusza, aż znalazła go w dużym pokoju mniej więcej w połowie korytarza. Pomieszczenie było w opłakanym stanie. Brakowało mu połowy sufitu, który prawdopodobnie zawalił się już dawno temu, zabierając ze sobą kawał podłogi po prawej stronie, w której ziała obecnie wielka dziura. Widać było przypalone miejscami deski stropowe, jakby kiedyś oparły się małemu pożarowi. Z większości ścian posypał się tynk, a w miejscu łukowatych okien ziały dwie wielkie dziury. Właśnie przy nich stał Mateusz.

– Nie podchodź! – krzyknął, kiedy tylko ją zobaczył.

– Czyś ty zwariował?! – wybuchła. – Co ty tam robisz?!

– Chciałem zobaczyć widok z okna. Nie pamiętam, którędy tu przyszedłem, ale teraz zdaje się, że każda ścieżka, którą wybiorę, trzeszczy i chce się pode mną zapaść. Tam – powiedział i wskazał palcem na punkt na podłodze – noga wpadła mi w dziurę do połowy uda.

– Zgłupiałeś! – oświadczyła Magda.

– Może przez okno? – Mateusz wyjrzał na zewnątrz i zbladł. – Trochę wysoko.

– Co ty nie powiesz? – zapytała ironicznie. – Nie ruszaj się, spróbuję znaleźć jakieś bezpieczne

przejdzie.

– Nie! Bo się zawali pod tobą!

– Jestem lżejsza, dam radę.

Zrobiła krok w jego stronę, ostrożnie badając stopą podłogę przed sobą.

– Po co tu w ogóle przyszedłeś? – zapytała Mateusza, żeby odciągnąć jego myśli od grożącego im niebezpieczeństwa.

– Chciałem pomyśleć nad... nad twoimi urodzinami.

Podniosła wzrok i spojrzała prosto na niego, przez co zrobił nieco speszoną minę.

– Umówiliśmy się na wyprawę do lasu, ale chciałem dać ci coś jeszcze, coś o czym pamiętałaś do końca życia.

– No i ci się udało – mruknęła z przekąsem, posuwając się do przodu w ślimaczym tempie.

– To może powiedz, co dziś odkryłaś i o co chodzi z Feliksem?

Zacząła opowiadać o wszystkim, co zdarzyło się od ich ostatniej rozmowy, wciąż posuwając się naprzód.

– Myślę, że Nadii chodziło o pole garncarza – zakończyła. – Ale nie wiem które. Jakies konkretne? No i Feliks nie odbiera telefonu, zaczęłam się martwić. Co jeśli ktoś naprawdę potrafi zabić zniwiarza? Potrzebuję twojej pomocy...

¢

Feliks ocknął się, czując mdłości i zawroty głowy. Otworzył oczy, a świat wokół zawirował nieprzyjemnie.

– Gdzie jestem? – zapytał spuchniętymi ustami, nie potrafiąc skupić wzroku na niczym konkretnym.

Feliks siedział na krześle związany niczym baleron. Spróbował się poruszyć, ale więzy krępujące mu ręce zatrzeszczały, boleśnie wbijając się w skórę. Podobnie było z kostkami przywiązanymi do nóg krzesła.

– W mojej piwnicy. – Usłyszał nieco rozbawiony głos.

Podniósł głowę i zobaczył Blanka siedzącego na drabinie pośrodku pomieszczenia. Tuż obok niego stała na ziemi lampa rozświetlająca mrok kamiennej piwnicy.

– Ach, to ty – mruknął.

– Wybacz mą nieuprzejmość, ale nie mogłem pozwolić ci odejść tak szybko. Teraz, kiedy w końcu odkryłeś naszą kryjówkę, przysłała kolej na ciebie.

Feliks szarpnął się w więzach

– Radzę ci przyzwyczać się do tej piwnicy, albowiem spędzisz w niej jeszcze trochę czasu. Mamy dziś pełnię, a do nowiu zostało jeszcze mnóstwo czasu.

– Co stanie się podczas nowiu? – zapytał Feliks, majstrując palcami przy węzłach.

Niech stary zniwiarz gada, a on spróbuje się uwolnić.

– Nie mogę ci tego zdradzić. – Blank wyprostował się i podniósł lampę. – Może Pierwszy będzie na tyle łaskawy, żeby ci powiedzieć.

– Jaki Pierwszy, do diabła? – warknął, odkrywając z żalem, że uwolnienie się nie będzie takie proste.

– Pierwszy z nas wszystkich. Nigdy cię nie zastanawiało, kto był pierwszy? I czy jest lepszy od nas?

Feliks wpatrywał się bez ruchu w Blanka, usiłując pojąć sens jego słów.

– A tymczasem trzymaj się. – Starzec postawił stopę na pierwszym stopniu drabiny prowadzącej na górę. – Mam nadzieję, że zdążyłeś się pożegnać z Magdą? Bo zdaje się nam, że ona również wie o nas



zbyt wiele.

– Nie – szepnął Feliks. – Nie! Nie możesz! Nie możecie! Nawet nie próbuj jej tknąć! Zabiję cię! Zarżnę jak świnię! Ona nic nie wie! To tylko zwykły człowiek!

Lecz Blank uśmiechnął się lekko i pogwizdując cicho, wspiął się po drabinie z zaskakującą jak na jego wiek zwinnością.

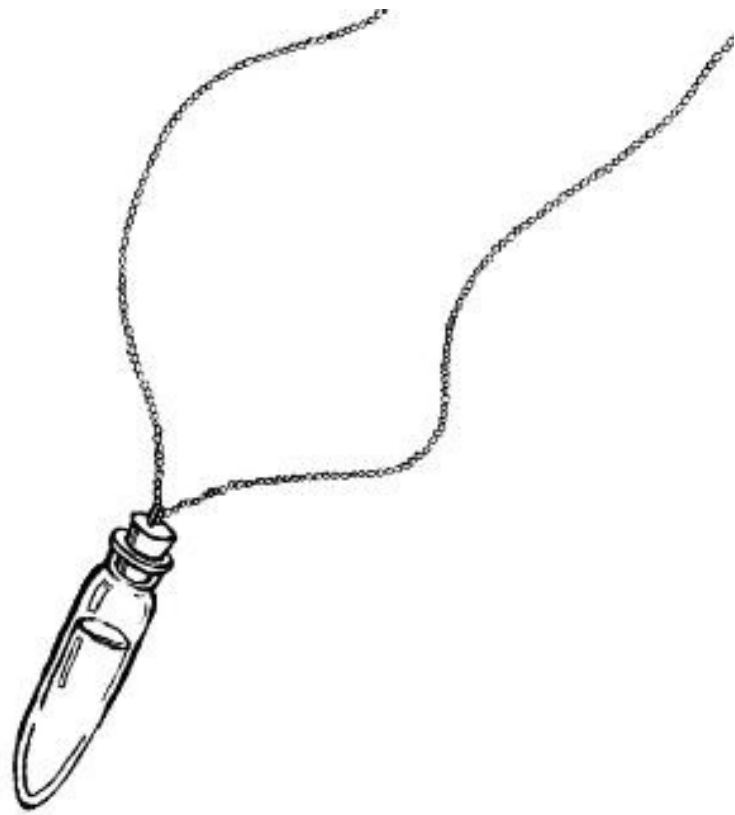
Feliks patrzył, jak wciąga drabinę do góry i opuszcza klapę w podłodze. Potem zapadła ciemność.

– Nie pozwolę! – sapnął, szarpiąc się w więzach. – Nie pozwolę wam jej tknąć! Nieważne czy żniwiarze, czy potępieńcy. Pozarzynam was wszystkich!

Poczuł, jak po rękach zaczyna ściekać mu ciepła krew, ale nie dbał o to. Musiał się uwolnić. Musiał, bo inaczej te dranie zrobią krzywdę Magdzie.

– Trzymaj się, mała – szepnął.

# Rozdział 14



– Trzymaj się – sapnęła Magda. – Jeszcze kawałek. Stała mniej więcej na środku pokoju z wyciągniętą ręką. Mateusz powoli przesunął się w jej kierunku.

– Jeszcze kawałeczek, obiecuję – zachęcała.

Nagle usłyszeli dzwonek telefonu.

– To twój? – zapytał Mateusz.

Magda poklepała się po kieszeniach i pokręciła głową.

– Niech to... – mruknął chłopak, wydając telefon z kieszeni.

– W takiej chwili? Poważnie? – burknęła, ale Mateusz ją zignorował.

– Tak? – Przyłożył słuchawkę do ucha i przez chwilę słuchał. – Dobrze. Na pewno? Tak.

Po chwili rozłączył się, schował telefon do kieszeni i wyprostował się, rozluźniając wszystkie mięśnie.

– Co ty robisz? – zdziwiła się Magda.

– Cóż, skarbie, na ciebie czas.

– Że co?

– To koniec, droga Madziu. Za dużo wiesz, a jeszcze więcej się domyślasz. Jesteś znacznie bystrzejsza od tego twojego głupawego Feliksa.

Magda w ogóle nie rozumiała, o czym mówił Mateusz, ale wcale jej się to nie podobało. Nie podobała jej się również zmiana, jaka zaszła w jego postawie oraz głosie. Mówił zupełnie inaczej niż zazwyczaj, jakby z większą pewnością siebie, z odrobiną kpiny. I stał na środku pokoju, zaledwie dwa metry od niej, zupełnie rozluźniony, jakby wcale nie groził im upadek dwa piętra niżej. A do tego jeszcze gwizdnął przeciągle.

– Mateusz, co się dzieje? – zapytała.

– Pomyśl. Jesteś taka mądra, taka oczytana i sprytna! Zatem wysil swoje szare komórki i ty mi powiedz, co się dzieje.

Magda spojrzała na własne stopy, a potem na stopy Mateusza i powiodła wzrokiem nieco wyżej, zatrzymując się na łydkach.

– Gdzie masz ślad po dzikim myśliwym? – zapytała.

– No widzisz? Już zaczynasz myśleć z sensem – ucieszył się. – Przecież od samego początku mówiłem ci, że wszystko goi się na mnie jak na psie.

Dziewczyna podniosła wzrok i spojrzała prosto w oczy chłopaka. Były ciemne, ciemniejsze niż zazwyczaj, niemal czarne. Nie kryła się w nich pustka taka jak u Feliksa, ale coś było nie tak. Teraz z pewnością to widziała.

– Twoje oczy... – zaczęła.

– Tak?

– One nie są...

– Tak? – zachęcał ją do odpowiedzi niczym nauczyciel ucznia.

– Nie możesz być zniwiarzem! – oświadczyła. – Zauważyłabym to. Feliks by zauważył!

– Bo, moja droga, ja nie jestem zwykłym zniwiarzem. Ja jestem Pierwszy.

– Słucham?

– Jestem pierwszym zniwiarzem, jaki chodził po tym świecie.

– Nie, to niemożliwe – szepnęła Magda, przykładając dłonie do skroni.

Mateusz uniósł lekko kącik ust i spojrzał na coś poza nią.

Dziewczyna natychmiast odwróciła głowę i ujrzała stojącego w drzwiach wielkiego, burego wilczura.

– Co on tu robi? – zapytała oskarżycielsko.

Pies zawarczał cicho, postępując krok w jej stronę.

– On? Pilnuje cię. Na moje polecenie. Już od pół roku pilnował, żeby nie stała ci się żadna krzywda.

Magda usiłowała przypomnieć sobie, kiedy po raz pierwszy widziała wilczurę, ale nie potrafiła.

– A ty jeszcze karmiłaś go ciastem! – zaśmiał się Mateusz.

– Dość tego! – wybuchła nagle Magda.

Obróciła się i zrobiła krok w stronę drzwi, ale pies zawarczał głośno, odsłaniając wszystkie zęby.

W jego oczach pojawił się ostrzegawczy błysk.

– Uważaj – ostrzegł Mateusz. – Jeszcze krok w stronę wyjścia, a rozszarpie ci gardło.

Magda odsunęła się nieznacznie od psa i przeniosła wzrok na Mateusza.

– Ale... ale dlaczego? – zapytała.

Mateusz uśmiechnął się kpiąco. Myślała, że go zna, że go rozgryzła, a nie mogła być dalej od prawdy.

Oszukał ją. Przecież zakochała się w nim! Nie, to niemożliwe. To jakiś głupi sen, nieporozumienie.

Tak bardzo chciała się teraz obudzić się we własnym łóżku i przekonać, że to tylko koszmar. A jednak wciąż tu stała, pomiędzy groźnym psem, a człowiekiem twierdzącym, że jest pierwszym żniwiarzem.

– Powiedz, że to tylko głupi kawał – poprosiła słabo.

Ale Mateusz pokręcił głową i wtedy ogarnęła ją wściekłość. Jak mogła się tego nie domyślić?! Przecież co i rusz zachowywał się dziwnie, a nawet podejrzanie. A ona zrzucała to na karb jego trudnej przeszłości!

– Masz wspaniałą mimikę – oznajmił Mateusz. – Widzę teraz wszystkie emocje i uczucia, jakie tobą targają. Niedowierzanie, żal, zaprzeczenie. Zaraz powinna być depresja. Ale proszę, przejdźmy już do pogodzenia się z faktem. Jestem pierwszym żniwiarzem i tak, wykorzystywałem cię i twojego wujka, żeby zdobyć potrzebne mi informacje. Na przykład dzięki tobie wiedziałem, gdzie Feliks trzyma numery do innych żniwiarzy. Zadzwoiłem do Antoniego, sprowadziłem tutaj i pozbyłem się go. Tak, zabijałem żniwiarzy tuż pod waszym nosem, a wy o niczym nie wiedzieliście.

Wybuchnął śmiechem, a po policzku Magdy spłynęła łza. To wszystko było zbyt nierealne. Miała wrażenie, jakby jej serce pękło na pół. Ledwie stała na chwiejnych nogach, ogarnęła ją rezygnacja.

– Och, moja droga, nie bądź dla siebie aż tak surowa! Jestem dobrym kłamcą, a jeszcze lepszym aktorem. Nikt się nie zorientował. Ani wujek tego chłopaka... to znaczy mój wujek. Ani ciocia, ani mały Aleks. Nawet Feliks, „wielki” żniwiarz, nie wiedział. Owszem, nie polubił mnie, ale sam nawet nie wiedział dlaczego! Jedynie twoja ciotka coś podejrzewała. Stara, mądra kobieta, powiem ci. Tylko na chwilę opuściłem przy niej gardę.

– Ciocia Jadzia? – zapytała drżącym głosem.

– Szkoda jej.

– Nie, nie zrobiłaś tego. – Magda zacisnęła pięści. Żal przemienił się we wściekłość. Najchętniej rzuciłaby się na niego, zdarła z jego twarzy ten szyderczy uśmiech.

– Nie ja, mam od tego potępieńców – odparł, odwracając się od niej.

Lekkim krokiem podszedł do okna i usiadł na parapecie, jakby prowadził luźną konwersację z kolegami.

– Tak myślałem, że pewnego dnia wpadniesz na to, kim oni są.

– Ten facet w Sianowie? – zapytała.

Mateusz skinął głową.

– Śledził Feliksa, miał też zdobyć trochę krwi bezkosta. A potem ten idiota dał się złapać!

Magda nieznacznie odsunęła się od niego, ale gdy tylko zrobiła krok w stronę wyjścia, wilczur znów zaczął warczeć. Gdyby zabrała ze sobą jakąkolwiek broń, może miałyby jakieś szanse z wielkim psem. Spojrzała w gorejące ślepia i niemal poczuła ostre zęby zaciskające się na jej gardle. Jak ten pies mógł

kiedykolwiek wywołać w niej współczucie na tyle, żeby go dokarmiać?

– Kim oni są? Ci potępieńcy? – zapytała, próbując grać na zwłokę.

– Nazywają siebie nijami, to akurat dobrze zgadłaś. Są małymi, paskudnymi stworami, hienami cementarnymi żywiącymi się mięsem – odparł Mateusz, wzruszając ramionami. – A ja potrafię dać im ciało i dlatego są mi posłuszne.

– A ten, który zaatakował mnie tutaj wcześniej?

– Potępieńcy żyją bardzo krótko. Mięso z którego budują własne ciała w końcu zaczyna się rozkładać, czasem trochę im odbija... Tamten atak nie był planowany. Na szczęście ten tu cię pilnował – powiedział i wskazał brodą na wilczura.

Magda gorączkowo myślała, jak jeszcze może go zagadać. Wydawał się chętny do rozmowy, a jeśli wystarczająco długo ją przeciągnie, może Feliks przybędzie jej na ratunek albo sama wpadnie na jakiś błyskotliwy pomysł.

*Co teraz?! Co robić?!* – zastanawiała się gorączkowo Magda, czując w gardle dławiącą gulę strachu.

Nagle zdała sobie sprawę, że wciąż trzyma w dłoni butelkę z szarą cieczą. Bez większego zastanowienia, wiedzona instynktem, cisnęła nią w górę. Butelka roztrzaskała się na suficie, a odłamki szkła zmieszane z cuchnącą miksturą spadły na głowę i ramiona Pierwszego.

– To ty nasyłałeś na mnie cienistych? – zapytała.

Twarz Mateusza nawet nie drgnęła, ale w jego oczach zalśniło niezrozumienie.

– Jakich cienistych?

Prześladowali ją od miesiąca, tyle samo czasu, ile знаła jego, wydawało się oczywiste, że to jego sprawka. Ale Mateusz nie miał najwyraźniej zielonego pojęcia, o czym mówiła Magda.

– Cienistych – powtórzyła. – Istoty zbudowane z cienia...

– Ach, oni. Oni się mnie boją, nie mają odwagi do mnie podejść – powiedział nieco butnie.

*Skoro nie ty, to kto?* – zastanowiła się, ale na głos zapytała:

– Dlaczego mi to wszystko mówisz?

– Cóż, w całym tym przedstawieniu grałaś jedną z głównych ról! Nieuprzejmością byłoby ci o tym nie powiedzieć. A poza tym... Chyba jestem też trochę próżny. Ale powiem ci, że przez te kilka tygodni naszej znajomości znakomicie się bawiłem, choć czasem naprawdę trudno było grać takiego głupka.

– I to niczego nie zmienia? – zapytała Magda z nadzieją w głosie. – Nic do mnie nie czujesz?

– Oczywiście, że mam do ciebie słabość – przyznał. – Ale nie na tyle, żeby cię oszczędzić. Daj spokój.

Nogi pod Magdą ugięły się lekko. To wszystko było niczym sen, okropny koszmar. Tak bardzo chciała się z niego obudzić. Lecz nagle ogarnęła ją niespodziewana wesołość. Uśmiechnęła się pod nosem, powstrzymując chichot.

– Co cię tak rozweseliło?

– Zdałam sobie właśnie sprawę z komiczności tej sytuacji – odparła. – Wczoraj w życiu bym w coś takiego nie uwierzyła. Mój chłopak pierwszym żniwiarzem? Który na dodatek chce mnie zabić? Daj spokój.

Mateusz uniósł brwi w zdziwieniu i przez chwilę znów wyglądał jak zwykły, trochę zagubiony chłopak.

– Interesująca reakcja na stres – ocenił.

Magda wzruszyła ramionami i zerknęła w bok, gdzie w podłodze ziała olbrzymia, poszarpana dziura. Ciekawe, czy gdyby zeskoczyła piętro niżej, przeżyłaby? Musi grać na czas, musi coś wymyślić, bo inaczej zginie.

– Jeśli się zastanawiasz, gdzie jest Feliks, to nie zaprzataj sobie nim głowy – powiedział Mateusz, wciąż siedząc na parapecie. – Moi ludzie dziś go złapali i choć musimy czekać do pustej nocy, w końcu go zabijemy.

– Do pustej nocy? – zapytała Magda. Cała ta sytuacja była zbyt nierealna, żeby próbować ją zrozumieć.  
– Gdy księżyc umiera dla naszego świata i przez trzy noce świeci zmarłym w ich świecie...  
– Wiem, co to nów.  
– A więc wiesz też, że wtedy nawi są mniej aktywni. Lecz nie wiesz, że tylko wtedy można zabić żniwiarza i sprawić, że jego dusza już nigdy nie powróci.

– To niemożliwe – szepnęła Magda z niedowierzaniem. Nagle poczuła się słaba i bezsilna.

– Tak się wam tylko zdawało. Nadia potwierdziłaby moje słowa.

– Zabiliście ją?

Mateusz skinął głową.

– Trochę było z nią problemów. Kiedy zapukała do drzwi Feliksa, myślałem, że będę musiał was zabić.

Ale na mój widok najwyraźniej dostała zawału. To dopiero była zabawa! – dodał z uśmiechem.

– Jesteś nienormalny – burknęła Magda. – Co się stało z dzikim myśliwym?

– Bezczelnie na mnie napadł i nie mogłem puścić mu tego płazem. Ale też nie mogłem go unicestwić przy tobie – odparł. – Dlatego pozwoliłem mu ponieść mnie głęboko w las i dopiero tam go zabiłem. Nieźle go rozsadziło.

– Ta czarna maź, to były jego... resztki?

– A więc widziałaś to?

Magda skinęła głową, jej mózg pracował na najwyższych obrotach.

– Jak zabić żniwiarza?

Może był Pierwszym, ale również żniwiarzem.

Mateusz wyjął z kieszeni szklaną buteleczkę i rzucił jej. Magda złapała ją i uważnie jej się przyjrzała.

W środku zachlupotał szarawy płyn.

– Krew bezkosta, trupi jad i parę innych trudnych, niemal niemożliwych do zdobycia ingrediencji. Nie będę cię zanudzał szczegółami. Wystarczy napić tym żniwiarza, co osłabi zarówno jego ciało, jak i duszę. Potem potrzebujemy pustej nocy i pola krwi...

– Pola garnkarza?

– Tak, niepoświęconej ziemi, gdzie grzebano zmarłych. I tyle. Wystarczy prosty egzorcyzm i sztylet wbity prosto w serce.

Magda mocniej ścisnęła buteleczkę w dłoni. Gdyby tylko udało jej się... Mateusz jednak wydawał się czytać jej w myślach.

– Ale chyba nie myślałaś, że to podziała również na mnie?

Dziewczyna milczała.

– Skarbie, jestem Pierwszym! Potrzeba znacznie więcej, żeby mnie zabić.

Nadzieja w jej sercu została roztrzaskana na tysiąc kawałeczków i wdeptana w ziemię, a mimo to nie potrafiła wypuścić butelki z rąk.

– Ale dlaczego? – zdobyła się jedynie na te słowa. – Dlaczego mordować żniwiarzy?

Mateusz westchnął, jakby rozmawiał z niezbyt bystrym dzieckiem.

– Zacznijmy od początku – odezwał się po chwili. – Wiesz, skąd się wzięli nawi?

Magda milczała, patrząc mu prosto w oczy. Nie mogła zrozumieć, jak bardzo zmienił się przez ostatnie minuty. Jego postawa, ruchy, wyraz twarzy i ten beczelny uśmieszek!

– Ludzie ich stworzyli – odpowiedział sam sobie. – Zdziwiona? Też byłem zaskoczony, gdy to odkryłem. Myśląc o nich, bojąc się ich, tworząc niestworzone historie sami stworzyli własne demony – przerwał dla odrobiny dramatyzmu.

– Święty Mikołaj też powinien wtedy zaistnieć – mruknęła.

– Przecież nikt w niego tak naprawdę nie wierzy. A teraz wyobraź sobie ciemną, zimną izbę w starej

lepiance, w której gnieździ się kilkupokoleniowa rodzina. Dziadkowie snują straszne opowieści, ogień trzeszczy w palenisku, tworząc tysiące cieni. Ale na zewnątrz jest jeszcze gorzej – noc czarna niczym smoła, wiatr wyje w drzewach, mróz ścina kałuże, zwierzęta w zagrodach hałasują z niepokojem. W takich chwilach te opowieści ożywają, zmora przemierza wieś, węsząc za krwią, upiór wyłazi z grobu i szuka ofiar...

– To nieprawda! – przerwała mu Magda. – Coś takiego jest niemożliwe!

– Gdyby nie było na świecie ludzi, czy byłyby demony?

W hotelu zapadła na chwilę cisza. Popołudniowe słońce skryło się za grubą warstwą ciemnych chmur, sprawiając, że w budynku zapanował półmrok. Na horyzoncie błysnęło i kilka sekund później po niebie przetoczył się grzmot.

– Wreszcie – powiedział prawie wesoło Mateusz. – Już do szału doprowadzała mnie ta duchota.

– A żniwiarze? – zapytała Magda. – Skąd się wzięli?

– Nas też stworzyli ludzie, tak samo jak nawich. W końcu ktoś musiał ich zabijać. Lecz żniwiarzem nie zostawało się w nagrodę. Każdy z nas miał coś na sumieniu, coś, co musiał odpokutować. A gdy odkupił swoje winy, inni żniwiarze zabijali go właśnie za pomocą takiej mieszanki – wskazał na butelkę ścisną przez Magdę. – Zaznanie spokoju miało być nagrodą. Kiedyś było nas wielu, ale ludzie w końcu o nas zapomnieli. Coraz mniej osób przemieniało się w żniwiarzy. Aż stali się tym, czym są teraz. Żalną bandą wariatów walczących z wiatrakami.

– A ty? – zapytała, czując, że Mateusz wcale nie utożsamia się z innymi żniwiarzami.

– Już dawno temu doszedłem do wniosku, że skoro ludzie sami stworzyli nawich, niech sami sobie z nimi radzą. Albo giną. Niestety! Inni nie podzielali mojego zdania. Przez długi czas nie dałem się złapać. Jednak w końcu dorwało mnie kilku żniwiarzy i choć nie udało im się mnie zabić, osaczyli mnie i wypędzili do Nawii na kilkaset lat. Ale rok temu wydostałem się i wróciłem. I nie zamierzam powtórzyć dawnych błędów.

– Dlatego ich mordujesz? Żeby ci nie przeszkadzali?

– Bystra dziewczynka. – Mateusz wstał z parapetu i wyprostował się. Teraz wydał się wyższy i groźniejszy. – Już czas.

*Myśl, myśl* – nakazała sobie Magda. *Zagadaj go, przeciągnij rozmowę. Znajdź drogę ucieczki...*

Pierwszy postąpił krok w jej stronę. Serce zabiło jej szybciej, w ustach zaschło, gdy gorączkowo rozglądała się po pokoju w poszukiwaniu czegokolwiek, co mogłoby jej pomóc. I wtem przypomniała jej się wiadomość od Nadii.

– Potrafisz zająć ciało żyjącego człowieka? – zapytała gwałtownie.

Mateusz zatrzymał się.

– Skąd wiedziałaś?

– To by do ciebie pasowało – mruknęła.

Uśmiechnął się.

– Ciało, które nie umarło, jest dużo silniejsze i sprawniejsze. I tu znowu opłaca się być Pierwszym. Kiedy opuszczam jakieś ciało, zachowuję świadomość, mogę decydować, w kogo się wcielić. Inni, żeby tego dokonać, potrzebują mojej pomocy.

– A co się dzieje z duszą tego człowieka?

– Powoli przestaje istnieć.

– Więc Mateusz... Ten prawdziwy. On... on żył?

– Oczywiście, że tak. Polubiłabyś go. Sympatyczny chłopak. Ale cóż... Był dobrym środkiem do celu. Całkiem przystojny, jego rodzina mieszkała w Wiatrołomie, trzeba było tylko pozbyć się jego dziadków.

– Zabiłeś ich?!

– Przecież ci już o tym mówiłem. Pamiętasz, na cmentarzu? A ty zaczęłaś mnie pocieszać! – roześmiał się. – Byłaś taka naiwna i przyjacielska, spragniona swojej bratniej duszy. Nawet nie wiesz, jak mi to wszystko ułatwiłaś. Opowiedziałaś wszystko o Feliksie, zdradziłaś, gdzie mieszkają jego znajomi, od nich wyciągnąłem wiadomości o innych żniwiarzach. To było dziecinnie proste.

Magda nie mogła uwierzyć w to, jak głupia była. Jak mogła powiedzieć mu o wszystkim?!

– Najtrudniej było wyciągnąć z ciebie informację o istnieniu nawich. No i właśnie wtedy nawinął mi się ten bezkost szwendający się po torowisku. Wystarczyło z obcego numeru wysłać wiadomość do Aleksa, podając się za jego kolegę i poprosić, żeby poszedł tam w czasie, kiedy ty będziesz tamtędy przechodziła...

– Skąd wiedziałaś, że akurat wybiorę tamtą drogę? – przerwała mu.

– Już ci mówiłem, że wciąż byłaś obserwowana. Swoją drogą powiem ci, że napędziłaś mi wtedy stracha, że zginiesz, zanim zdążysz mi o wszystkim opowiedzieć, już myślałem, że będę musiał interweniować. Na szczęście doskonale sobie poradziłaś.

Magda zwiesiła głowę. Gdyby tylko mogła cofnąć czas, coś zrobić. To ona zapoznała Mateusza z Feliksem i cicią. A teraz ciocia nie żyła, Feliks miał umrzeć za dwa tygodnie, a ona za kilka minut. Obejrzała się ponownie na dziurę w podłodze.

– Tak, to całkiem sensowne – ocenił Mateusz, podążając za jej wzrokiem. – Okropny wypadek. Zawsze lubiłaś szwendać się w niebezpiecznych miejscach. Tylko co cię podkusiło, żeby we własne urodziny wchodzić do zrujnowanego hotelu? Podłoga pod tobą się zarwała i zginęłaś, pogrzebana pod tonami gruzów. Straszna tragedia. Nie wiem, jak Mateusz się z tego otrząsnie. Podobnie twoja rodzina, a Feliks wpadnie w taką rozpacz, że to wszystko jego wina i wyjedzie, już nigdy nie pokazując się swoim bliskim. A ja nie będę musiał się wyprowadzać i będę dalej korzystał z pola krwi w Grzmiącej.

– Ty draniu! – wrzasnęła Magda.

Pomyślała o Feliksie i o tym, jak bardzo go zawiodła. O tym, jak rodzice będą żyli bez niej. Jak sobie poradzą? Wyobraziła ich sobie stojących nad jej trumną. Mama cała zapłakana, tata tulący ją do siebie, jeszcze nie dowierzając w to, co się stało.

Po policzkach popłynęły jej łzy. Nie chciała umierać, nie w ten sposób.

– To koniec, moja droga – powiedział Mateusz i zrobił krok w jej stronę.

†

Feliks, siedząc w zupełnych ciemnościach, zdołał uwolnić jedną rękę, obdzierając cały nadgarstek ze skóry. Rany piekły boleśnie, krew powoli spływała po palcach, ale nie dbał o to. Po raz pierwszy w swoim życiu żniwiarza znalazł się w prawdziwym niebezpieczeństwie, stanął wobec perspektywy odejścia z tego świata definitywnie i na zawsze. Jednak nie to go dręczyło, nie to sprawiło, że, nie zważając na ból, zsunął więzy z drugiej dłoni. Nadludzkiej siły i determinacji niespotykanej nawet u żniwiarzy dodała mu świadomość tego, w jakim niebezpieczeństwie znalazła się Magda. Wiedział, że ten stary żniwiarz oraz jego potępieńcy nie cofną się przed niczym, żeby osiągnąć swój cel. A zabicie młodej dziewczyny nie stanowiło dla nich żadnego wyzwania.

Gdy uwolnił dłonie, poruszał chwilę palcami, żeby odzyskać w nich czucie, a potem – łamiąc sobie paznokcie – rozwiązał więzy pętające jego kostki. Wstał z krzesła i spojrział w górę, mniej więcej tam, gdzie powinno znajdować się wejście do piwnicy. Między deskami nie prześwitywało żadne światło, co znaczyło, że albo zapadł już zmrok, albo – co bardziej prawdopodobne – przykryto całą podłogę dywanem.



Postawił krzesło pod klapą, po omacku wszedł na nie i machnął rękoma nad głową. Potem podskoczył lekko, mając nadzieję, że krzesło się pod nim nie załamie, lecz jakkolwiek by się nie starał, nie miał szans dosięgnąć sufitu.

Zszedł z krzesła i wysilił pamięć. Przecież już raz zaglądał tutaj, przyświecając sobie latarką i widział wszystko, co znajdowało się na dole.

– Nie było krzesła – szepnął do siebie. – Ale za to była sterta koców... kamienne ściany... beczka... plamy krwi.

*Beczka!* – wykrzyknął jego zmęczony umysł.

– No tak – sapnął, ruszając po omacku przed siebie.

Wkrótce jego dłonie natrafiły na chłodny metal. Zapierając się stopami o podłogę, spróbował przesunąć beczkę, ale ta ani drgnęła. Natychmiast opadł na kolana, zaczął palcami badać jej powierzchnię i szybko odkrył, że przymocowano ją do ściany za pomocą obejm i długich śrub. Przez chwilę mocował się z nimi, ale te nawet nie drgnęły.

*Komu chciało się to robić?* – pomyślał z przekąsem, a potem zaklął pod nosem, przykładając czoło do chłodnej beczki. Musiał coś wymyślić, po prostu musiał. Przed oczami pojawił mu się widok Magdy, za którą stał potępieniec z ramieniem otaczającym jej szyję, w każdej chwili gotów skrócić jej kark.

Feliks natychmiast oderwał się od beczki i na czworakach odszukał ścianę. Poruszając się wzdłuż niej, usiłował znaleźć chociaż kawałeczek luźnej zaprawy. Brodząc w ciemnościach, okrążył piwnicę, potem wstał i obszedł ją jeszcze raz, trzymając dłonie wyżej.

Niemal krzyknął z radości, gdy jego palce natrafiły na pustkę, która wkrótce okazała się być niewielką dziurą po brakującym kamieniu. Wyskrobanie zaprawy wokół kolejnego kamienia zdawało się trwać całą wieczność. Kosztowało Feliksa skórę zdartą z niemal całych dłoni, ale w tej chwili nie miało to większego znaczenia.

W końcu, ściskając mocno w pięści okrągły kamień, zbliżył się do beczki, palcami drugiej ręki namacał obejmę mocującą ją do ściany i uderzył. Po piwnicy rozniósł się głuchy huk. Feliks znieruchomiał i nasłuchiwał przez chwilę, ale poza dzwonieniem w uszach nie usłyszał nic.

Choć nie wszystkie uderzenia trafiły w cel, ześlizgując się po obejmach lub lądując na ścianie, śruby w końcu puściły. Feliks wyprostował się i wyrwał beczkę z drugiej obejm, zapierając się plecami o ścianę. Na ziemię połała się stęchła woda.

Żniwiarz zaciągnął beczkę w miejsce, nad którym spodziewał się znaleźć klapę. Odwrócił ją dnem do góry i stanął na niej. Wyciągnął ręce w górę i dokładnie badając pozdzieranymi opuszkami palców deski w suficie, odnalazł właz. Spróbował go popchnąć, ale coś go blokowało od góry. Prawdopodobnie rozłożono na nim ciężki dywan. Lecz Feliks nie zamierzał poddać się tak łatwo. Przykucnął na beczce i sięgnął ręką po krzesło. Przez moment jego dłoń machała w powietrzu, ale zanim stracił równowagę, spoczęła na drewnianym oparciu. Podciągnął je i, opierając się o belki stropowe, ustawił krzesło na beczce.

Sprawdził stabilność swojej konstrukcji i zaklął głośno, gdy uznał, że nikt normalny nawet nie próbowałby na niej nawet stanąć, a potem wspiął się na krzesło i, przyciskając bark do włazu, naparł na niego z całej siły. Krzesło zatrzeszczało głośno, chybocząc się na wszystkie strony, beczka zaskrzypiała, ale klapa uniosła się o kilka centymetrów.

Feliks zrobił sobie przerwę na złapanie oddechu trwającą nie dłużej niż minutę i znów spróbował sforsować właz, który tym razem podniósł się jeszcze wyżej. Dało się słyszeć szuranie przesuwanego po podłodze dywanu.

– Jeszcze troszeczkę – sapnął żniwiarz, gdy krzesło zaczęło się niebezpiecznie chwiać. – Jeszcze odrobina...

Teraz mógł już wsunąć całe ramię w szparę, która powstała po uniesieniu włazu. Nagle krzesło się złamało, a Feliks, tracąc oparcie pod nogami, runął z hukiem na ziemię.

Uderzenie wypchnęło mu całe powietrze z płuc. Przed oczami na sekundę rozblysnęło oślepiające światło, a potem żniwiarz znów pograżył się w absolutnej ciemności.

Gdy tylko odzyskał oddech, spróbował usiąść na ziemi, dokonując szybkiej analizy obrażeń. Wszystko go bolało, ale najwyraźniej miał tyle szczęścia, że nic sobie nie złamał. Po dłuższej chwili znów się podźwignął, wsunąwszy za pasek ułamaną nogę krzesła. Włazł na beczkę i ustawił na niej już trzynogie krzesło. Ostrożnie balansując na uszkodzonym meblu dosięgnął do kłapy.

– Ostatnia szansa – zdecydował.

Wiedział, że krzesło i beczka nie wytrzymają więcej prób.

Spiął wszystkie mięśnie i sapiąc z wysiłku, podniósł właz jeszcze wyżej, blokując go ułamaną nogą krzesła. Wybił się stopami z krzesła, podciągnął na rękach i wkrótce znalazł się w pokoju nad piwnicą. Wyczołgał się spod dywanu i na chwiejnych nogach stanął przy drzwiach, nasłuchując.

Nie usłyszał żadnego dźwięku, dlatego delikatnie uchylił drzwi i wyjrzał na korytarz. Panował w nim półmrok, ale dla Feliksa, który właśnie spędził kilka godzin w ciemnościach gęstych jak smoła, było tam tak jasno niczym w samo południe.

Nie miał przy sobie żadnej broni, a telefon mu zabrali. Jak miał uratować Magdę, skoro nie wiedział, gdzie ona jest, ani nawet nie mógł do niej zadzwonić i ostrzec przed niebezpieczeństwem?

Zajrzał ostrożnie do drugiego pokoju, ale nie było tam żywej duszy. Ruszył więc do kuchni, lecz i ona była pusta. Wzrok Feliksa padł na suszarkę do naczyń stojącą przy zlewie. Wystawała z niej rękojeść długiego noża. Bezszelestnie wysunął go, sprawdził, czy jest dobrze wyważony i ostrożnie przejechał palcem po ostrzu. Gdyby zechciał, mógłby się nim ogolić.

Tak uzbrojony wyszedł z domu. Popołudniowy skwar zelżał trochę, słońce skryło się za chmurami, a ciemny horyzont przeszyła błyskawica. Chwilę potem po niebie przetoczył się potężny grzmot. Trawy i drzewa stały nieruchomo i nawet najmniejszy podmuch wiatru nie mącił dusznego powietrza. Wieś zdawała się tak samo opuszczona, jak kilka godzin wcześniej, gdy nieświadom tego, co działo się tuż pod jego nosem, przyjechał tu na rowerze, szukając samochodu, którym uprowadzono Nadię.

Feliks ostrożnie dotarł do zarośniętego ogrodu. Kilka metrów przed nim stał leżak, a na nim leżał Blank. Feliks uśmiechnął się pod nosem. Żniwiarz czy nie, każde ciało ma swoje prawa, szczególnie do popołudniowej drzemki.

*To jest za proste* – pomyślał, bezgłośnie krocząc w kierunku wroga. *A może to pułapka?* – poczuł ukłucie niepokoju. *Cóż... Jest tylko jeden sposób, żeby się przekonać.*

Zaszedł fotel od tyłu i przyłożył zimne ostrze do gardła Blanka dokładnie w tej samej chwili, gdy po niebie przetoczył się kolejny grzmot.

Stary żniwiarz otworzył oczy, nawet nie drgnąwszy.

– Gdzie mój telefon? – warknął Feliks.

– Pierwszy go zabrał. Wielu już było zamkniętych w naszej piwnicy. Krzyczeli, hałasowali, często przyprowadzając mnie o ból głowy. Wielu próbowało, ale tylko tobie i Nadii udało się uwolnić. Jak to zrobiłeś?

– Daj mi swój telefon. – Feliks był pewien, że ma coraz mniej czasu.

– Nie mam telefonu, a ty i tak już nie zdążysz...

– Zabiję cię – zagroził Feliks, mocniej przyciskając ostrze do pomarszczonej skóry, delikatnie ją nacinając.

– Proszę bardzo. Znajdę kolejne ciało. Będzie to pewne utrudnienie, ale nie aż tak wielkie.

– Gdzie jest Magda?

– To śmieszne, że jest tak blisko. I przyszła do niego po śmierć...

Feliks z trudem powstrzymywał się, aby nie poderżnąć starcowi gardła.

Nagle usłyszał warkot silnika na drodze wiodącej przez wieś.

Żniwiarz wiedział, że nie wyciągnie już nic sensownego od Blanka. Trzeba będzie spróbować gdzieś indziej. Mocniej zacisnął pięść na rękojeści noża i uderzył starca w skroń. Ten stęknął głucho i zwiotczał na fotelu.

– Wiem, jak wyglądasz – warknął Feliks. – Jeszcze cię dopadnę.

Ignorując ból promieniujący na całe ciało, popędził na podjazd, gdzie z samochodu wysiadało właśnie dwóch potężnych potępieńców.

– Ej, ty... – zaczął ten bliższy, gdy w jego szyję wbiło się ostrze rzuconego przez Feliksa noża. Złapał się za gardło, a spod jego palców trysnęła jasna krew. Osunął się na ziemię, charcząc głośno.

Żniwiarz dopadł do niego, wyszarpnął nóż i ruszył w stronę drugiego potępieńca. Ten z przerażeniem w oczach cofnął się nieco, chcąc sięgnąć po coś w samochodzie. Feliks kopnął drzwiczki, uderzając nimi w żebra potępieńca. Drab osunął się na kolana. Żniwiarz jedną dłonią złapał go za głowę i uderzył nią w samochód, a potem przyklęknął przed nim i przyłożył mu nóż do gardła.

– Gdzie Magda? – warknął cicho.

– Ee? – stęknął barczysty mężczyzna.

– Gdzie Pierwszy?!

– W starym... hotelu...

Feliks przejechał ostrzem po jego szyi. Wiedział, że tak naprawdę go nie zabije. Że za jakiś czas to potężne ciało zamieni się w kupę zgniłego mięsa, które kiedyś może było krową lub świnią, a potem wygrzebie się z niego ohydny stwór nie większy od szczura. Jednak nie mógł pozwolić mu ostrzec jego pana.

Obolały, brudny i zakrwawiony wyszedł na brukowaną ulicę, dzierżąc w dłoni kuchenny nóż. Niczym anioł zemsty i śmierci stanął na środku drogi. Gdyby w to wszystko nie była zamieszana Magda, może doceniłby dramatyzm sytuacji, gdyż w tej samej rozległ się grzmot, a niebo już w połowie zakryło się czarnymi chmurami. Powiał zimny wiatr, mierzwiąc mokre od potu włosy żniwiarza.

Feliks wziął głęboki wdech, a potem zerwał się do biegu.

Szybko dotarł do skrzyżowania za Grzmiącą, gdzie stał samochód Magdy, co utwierdziło go w przekonaniu, że potępieńiec nie kłamał, jak i również napełniło jego serce jeszcze większym strachem.

☪

Magda cofnęła się o krok. Zerknęła przez ramię i ujrzała wielką wyrwę w podłodze, która była stanowczo za blisko niej. Pod butami zachręściła cienka warstwa gruzu.

Serce biło jej jak oszalałe, setki myśli przelatowały przez umysł z prędkością światła, lecz żadna z nich nie odpowiedziała na pytanie: „co zrobić, aby wyjść z tego cało?”

Wielki bury wilczur, który jeszcze miesiąc temu wydawał jej się przyjazną przytulanką, obnażył wszystkie zęby warcząc gardłowo. Z drugiej strony stał człowiek, który nie przypominał już ani trochę małomównego, spokojnego Mateusza. Jego oczy, czarne niczym piekielna otchłań, wpatrywały się w nią beznamiętnie, zaś twarz nie wyrażała żadnych emocji. Magda zdała sobie sprawę z tego, że nawet w myślach nie potrafi już nazwać go Mateuszem. Prawdziwy Mateusz odszedł z tego świata dawno temu, a jego miejsce zajął Pierwszy.

Jeszcze jeden krok do tyłu i poczuła, jak podłoga się pod nią zapada. Coś zatrzeszczało pod jej stopami,

a za oknem świat umilkł, jakby wstrzymywał oddech, niepewny tego, co miało się zaraz wydarzyć.

Nagle zdała sobie sprawę, że wciąż trzyma w dłoni butelkę z szarą cieczą. Bez większego zastanowienia, wiedzona instynktem, cisnęła nią w górę. Butelka roztrzaskała się na suficie, a odłamki szkła zmieszane z cuchnącą miksturą spadły na głowę i ramiona Pierwszego.

– Co ty robisz? – zapytał, nie ruszając się z miejsca. Jej atak nie zrobił na nim najmniejszego wrażenia.

Magda nie odpowiedziała, zaczynając bezgłośnie recytować egzorcyzm. Jej usta poruszały się układając w słowa:

– *Exorcizámos te, ómnis immúnde spíritus, ómnis satánic potéstas, ómnis infernális adversárii, ómnis légio, ómnis congregátio et sécta diabólica...*

– Przecież mówiłem ci, że to na mnie nie działa – powiedział Pierwszy, ścierając z twarzy płyn.

– ...*in nómine et virtúte Dómini nóstri Jésu Chrísti* – kontynuowała Magda.

– Nic ci to nie da – powiedział żniwiarz, ale w obliczu śmierci dziewczyna postanowiła się trzymać jedyne, co знаła. I choć zdawała sobie sprawę z tego, że to nie ma sensu, nie potrafiła przestać recytować.

– *Non últra áudeas, sérpens callidíssime, decípere humánum genus Dei Ecclésiam pérsequi.*

Pierwszy spojrzał na wilczura i gwizdnął cicho, wskazując dziewczynę brodą.

Za oknem błysnęło, a chwilę później dało się słyszeć grzmot.

– *Ac Dei eléctos excútere et cribráre sicut tríticum!*

Pies, wciąż obnażając wszystkie zęby, zaczął iść w stronę dziewczyny.

Może uda jej się zeskoczyć piętro niżej, a stamtąd uciec z hotelu. Pobiec wąską ścieżką do samochodu, odszukać Feliksa, zabarykadować się w domu i... przeżyć.

Jeszcze jeden krok do tyłu i kolejny. Podłoga zaczęła trzeszczeć coraz głośniejsze.

Pierwszy podniósł z ziemi gruby pręt zbrojeniowy i zrobił kolejny krok w stronę Magdy. Był już coraz bliżej.

– Sama spadniesz, czy mam ci pomóc? – zapytał, wznosząc metal nad głowę.

Na zewnątrz zaczął padać deszcz.

¢

Feliks pędził w strugach deszczu. Ślizgał się w błocie, kilka razy prawie upadł, a woda zalewała mu oczy. Był cały mokry, ubranie lepiło mu się do ciała, ale nie dbał o to. Świat ogarnęła ciemność, co chwilę rozświetlana błyskawicami.

Żniwiarzowi brakowało już tchu, płuca paliły żywym ogniem, coś kłuło w boku, zaś wszystkie mięśnie drżały z bólu, lecz nie przestawał biec.

Gdy dojrzał między drzewami stare, zniszczone mury hotelu, nie zatrzymał się, ani nawet nie zwolnił.

– Magda!!! – wrzasnął.

Odpowiedział mu donośny grzmot i wiatr wyjący w koronach drzew.

Wbiegł do budynku przez główne wejście i rozejrzał się nerwowo.

*Gdzie ona jest?!* – pomyślał w panice. Hol rozgałęział się i przeszukanie całego hotelu zajęłoby zbyt wiele czasu.

Nagle do uszu żniwiarza dotarły słabe głosy.

*Na górze!*

Pobiegł do schodów i przeskakując po dwa stopnie naraz, zaczął piąć się na piętro, a potem jeszcze wyżej. Czuł gruz umykający mu spod butów. Miał wrażenie, że gdyby tylko się zatrzymał, schody

zawaliłyby się.

Przebiegł przez korytarz i wpadł do dużego, zniszczonego pomieszczenia.

Zobaczył Magdę chwiejącą się nad samą krawędzią zarwanej podłogi i Mateusza zbliżającego się do niej z uniesionym wysoko prętem.

*Mateusz?! –* przez ułamek sekundy Feliks nie mógł zrozumieć, co tu się działo.

– Nie!!! – krzyknął, gdy w końcu zrozumiał.

Mateusz odwrócił się i spojrzał na niego zaskoczony.

– Ty? – zdziwił się.

– Odsuń się od niej! – rozkazał żniwiarz.

Chłopak prychnął rozbawiony, a potem machnął dłonią od niechcienia, jakby odganiał natrętą muchę.

Feliks zrobił krok w jego kierunku i nagle kątem oka dostrzegł wielki, ciemny kształt. Usłyszał gardłowy warkot, gdy wpadła na niego szara masa mięśni i pazurów. Ostre zęby wbiły mu się w ramię. Żniwiarz poczuł rozbłysk bólu i stracił równowagę. Z głuchym łupnięciem uderzył barkiem o podłogę, w biodro wbił mu się kawałek cegły. Nóż wypadł mu z ręki i odbiwszy się od podłogi wylądował gdzieś pośród gruzów. Feliksa zaczęła ogarniać ciemność.

– Nie!!!

Wrzask Magdy otrzeźwił go. Szeroko otworzył oczy i wbił palce w porośniętą grubym futrem szyję psa. Czuł oddech cuchnący zgniłym mięsem, kropelki śliny kapały mu na twarz, ostre pazury drapały brzuch i uda.

*Gdzie jest ten nóż?! –* Oderwał jedną rękę od gardła bestii i wyrzucił ją w bok, szukając czegokolwiek, co pomogłoby mu obezwładnić psa. Niestety jak na złość, jego palce szurały tylko po zakurzonym betonie nie mogąc natrafić na żadną broń.

¢

*On go zabije!* – myślała gorączkowo Magda, widząc, jak jej wujek szamocze się z psem.

Pierwszy oderwał wzrok od Feliksa, pewny, że potępieniec poradzi sobie z rannym żniwiarzem. Odwrócił głowę w stronę Magdy i postąpił krok naprzód.

*To koniec* – pomyślała dziewczyna. Była w potrzasku, nie mogła liczyć na pomoc wujka, a sama nie miała szans w starciu z Pierwszym, jednak ta myśl pozwoliła jej się uspokoić. Umrze, ale przecież nic gorszego nie może się już stać. Miała jeszcze tylko jedną rzecz do załatwienia.

– *Ímperat tibi Deus altíssimus* – podjęła ponownie. Ku jej zaskoczeniu, Pierwszy drgnął nieznacznie. Mrugnął oczami, jakby obraz przed nim się rozmazał.

– *Recéde ergo in nómine Patris, et Fílii...* – mówiła coraz szybciej Magda.

Jeszcze krok a skoczy.

– *Et Spíritus Sancti!* – dokończyła z mocą.

Gdy wypowiadała ostatnie słowo, naraz stało się kilka rzeczy. Na zewnątrz uderzył piorun, Pierwszy osunął się na kolana, a podłoga trzasnęła głośno i uciekła spod stóp Magdy.

Dziewczyna z krzykiem rzuciła się do przodu i w ostatniej chwili, boleśnie uderzając żebrami o betonowy fragment podłogi, zawisła w powietrzu. Obejrzała się za siebie, gorączkowo zastanawiając się, czy uda jej się skoczyć i to przeżyć. Pierwsze piętro nie wytrzymało ciężaru gruzów i zawaliło się jeszcze niżej, zatrzymując się na poziomie piwnicy w chmurze pyłu i kurzu.

Magda spróbowała podciągnąć się wyżej, ale wystający kawałek podłogi, którego się trzymała, nagle się oderwał. Straciła oparcie i pomimo usilnych prób zaczepienia o coś palców, zaczęła osuwać się

coraz niżej i niżej.

– Nie, nie, nie – jęknęła w panice, gdy w końcu uczepiła się pręta zbrojeniowego wystającego poziomo z podłogi.

Czuła nie tylko jak metal kaleczy jej dłonie, ale co gorsza, jak przesuwa się pod jej palcami. Jeszcze tylko kawałeczek, a się z niego zsunie.

Wtem zobaczyła nad sobą twarz Pierwszego. Wrzasnęła z przerażeniem, ale on wyciągnął w jej stronę rękę.

– Chwyć mnie za rękę! – krzyknął.

To nie był głos, który знаła. Nie znała również tej twarzy, ani głębokich, ciemnoniebieskich oczu.

– Chwyć mnie za rękę! – powtórzył.

Z trudem złapała za dłoń Mateusza. Poczowała, jak silne palce zaciskają się na jej nadgarstku. Po chwili puściła metal drugą dłonią i wczepiła się w jego przedramię.

Mateusz sięgnął lewą ręką do barków Magdy i złapał ją za bluzkę, usiłując podciągnąć dziewczynę wyżej.

Nagle rozległ się ponowny trzask, szarpnęło podłogą, która opadła zaledwie kilka centymetrów niżej, ale to wystarczyło, żeby Magda zawisała nad przepaścią, trzymając Mateusza zaledwie za palce.

– Nie! – sapnął chłopak, czując, jak dziewczyna wymyka mu się z rąk.

¢

Feliks ostatkiem sił zarzucił nogę na grzbiet psa. Po chwili siłowania, udało mu się skrzyżować kostki i mocno ścisnął udami klatkę piersiową zwierzęcia, a ramionami objął go za szyję.

Pies dyszał ciężko, drapał i wierzgał łapami, usiłując uwolnić się, ale żniwiarz napiął do granic możliwości wszystkie mięśnie i nie zwolnił uchwytu nawet o milimetr.

Bestia zaczęła tracić siłę. Wrywała się coraz słabiej, aż w końcu zupełnie znieruchomiła.

Feliks zrzucił z siebie nieruchome cielsko i stanął na chwiejnych nogach.

Zobaczył Pierwszego pochylonego nad dziurą w podłodze.

– Zostaw ją! – krzyknął i dopadł żniwiarza.

Złapał go za bark i pociągnął do tyłu, a potem uderzył pięścią w twarz.

Pochylił się nad wyrwą, ale nie zobaczył Magdy, tylko głęboką dziurę, zasnutą chmurą pyłu. Chciał już teraz rzucić się za dziewczyną, ale najpierw musiał obezwładnić Pierwszego.

Odwrócił się i wymierzył kolejny cios. Pierwszy nie próbował się bronić, nawet nie uniósł rąk, gdy opadały na niego kolejne ciosy.

– Ona... spadła... – odezwał się po chwili, jakby był w szoku.

Dopiero teraz Feliks dostrzegł ciemnoniebieskie oczy.

– Pierwszy?!

Chłopak spojrzał na niego z niezrozumieniem, krew ciekła mu z kącika ust, jedno oko zaczęło puchnąć.

– Kim jesteś?! – wrzasnął na niego żniwiarz.

– Ja... ja nie wiem...

– Niech cię szlag! – krzyknął Feliks, zaciskając palce na koszulce tuż pod brodą chłopaka.

Po chwili wahania, żniwiarz odepchnął go od siebie.

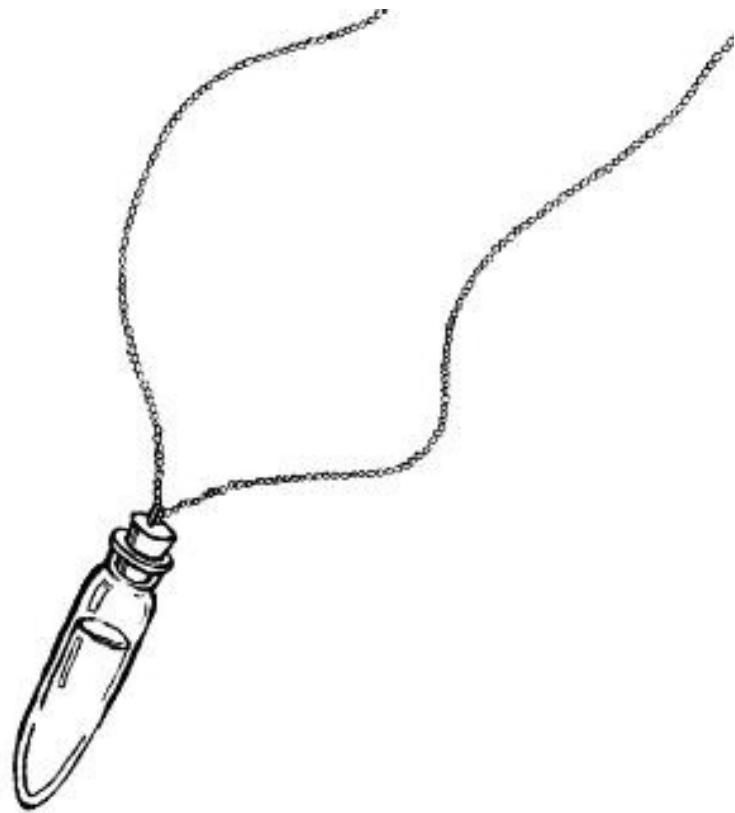
– Zostań tu! – nakazał, po czym wypadł z pokoju. Zbiegł na parter i skręcił w lewe skrzydło budynku, gdzie wciąż wirował szary kurz.

Żniwiarz popędził przed siebie i mało brakowało, a sam wpadłby w dziurę w podłodze.

– Nie – jęknął.

Usiadł na krawędzi i zeskoczył do piwnicy, lądując na zwałach gruzu. Przed nim leżała nieruchoma Magda. Z jej piersi wystawał zakrwawiony pręt zbrojeniowy.

Niecały rok  
później





Feliks zapakował zakupy do plecaka i wyszedł ze sklepu. Pogoda była słoneczna, a na niebie stroszyło się kilka chmur. Żniwiarz ruszył przed siebie, wiedząc, że w domu czeka na niego tylko pustka.

Wciąż mu jej brakowało. Jej serdecznego śmiechu, tego, jak karciała go za różne głupoty, jakby to ona była od niego starsza o ponad sto lat. Czasem miał wrażenie, że była jedyną osobą na tym świecie, która go rozumiała. Minęło już tyle czasu od jej śmierci, a on wciąż przyłapywał się na tym, że czekał, aż usłyszy zgrzyt zamka w drzwiach, albo tupanie na piętze, kiedy tańczyła do muzyki, pewna, że nikt jej nie widział i nie słyszał.

Nadal nie potrafił spojrzeć w oczy jej rodzicom. Oboje ciężko to znieśli. Ale czego się spodziewać po ludziach, którzy stracili ukochaną córkę? A najgorsze było to, że wcale nie obwiniali Feliksa o śmierć Magdy. A przynajmniej tak twierdzili.

Jednak Feliks doskonale wiedział, że to jego wina. Gdyby tylko potrafił trzymać ją na dystans, gdyby nie pozwolił jej zamieszkać ze sobą, Pierwszy może nie potraktowałby jej jako marionetki, może nie zostałaby wplątana w to wszystko. A gdyby nie wyrzucił jej z domu...

Przez wiele miesięcy gnębiły go wyrzuty sumienia. Wydarzenia z ubiegłego roku analizował tysiące razy, myślał o tym, co mógł zrobić inaczej.

Dzień był ciepły i słoneczny. Ludzie wylegli na ulice, właściciele psów kręcili się po parku, kilku chłopców zebrało się pod budką z lodami, a grupka hałaśliwych nastolatków maszerowała nad pobliskie jezioro. Jak na złość wszędzie widział uśmiechnięte twarze cieszące się życiem.

Niedługo miała minąć rocznica jej śmierci. Uważał to za okrutny żart, że zginęła właśnie w swoje urodziny. Już nigdy nie wybierze się z nią do lasu po krew świętego Jana. Nie będzie żadnych żartów o szukaniu kwiatu paproci.



Feliks miał wrażenie, że na pogrzebie zjawili się wszyscy mieszkańcy Wiatrołomu. Było wiele młodych osób, zapewne znajomych ze szkoły, dawni nauczyciele i klienci księgarni. Tylko garstka wiedziała o tym, co tak naprawdę się stało.

Przez całą ceremonię Feliks trzymał się na uboczu. Jakoś nie potrafił stanąć wśród licznych członków rodziny oraz przyjaciół, nie mógł spojrzeć im w twarze. Tam dołączył do niego Waldemar.

– Myślałem, że ty nigdy nie opuszczasz tej nory, którą zwiesz swoim domem – mruknął żniwiarz.

– Dla tej dziewczyny się poświęciłem – odparł lekarz. – Przynajmniej tyle mogłem zrobić.

Feliks skinął głową. Tak naprawdę nie był zdziwiony, że i w życiu starego lekarza mającego problemy z alkoholem, Magda zapaliła płomyk nadziei na lepsze jutro.

– A co z tym chłopakiem? – zapytał Waldemar.

Żniwiarz wzruszył ramionami, patrząc na rodzinę Wilków stojącą w tłumie żałobników.

Wszyscy mieli ponure, smutne miny. Ciotka Mateusza uroniła kilka łez. Nawet młody Aleks wyglądał, jakby ledwie powstrzymywał płacz. Zaś Mateusz przez cały czas stał tam nieruchomo z bladą twarzą, jakby do końca nie zdawał sobie sprawę z tego, gdzie się znajduje.

Gdy tylko przekonał się, że Magda nie żyje, Feliks dopadł zdezorientowanego chłopaka i wydusił z niego całą prawdę. Okazało się, że Mateusz niewiele pamiętał z tego, co działo się w ciągu ostatnich miesięcy. Wydawał się być w głębokim szoku. Miał wyrzuty sumienia, że nie potrafił uratować tej dziewczyny. W pierwszej chwili nawet nie potrafił sobie przypomnieć jej imienia.

Feliks wiedział, że chłopak był tylko narzędziem w rękach Pierwszego i sam miał po czym rozpaczać – w końcu ten zabił jego dziadków – ale żniwiarz nie potrafił na niego spojrzeć, nie czując palącej nienawiści.

Spod hotelu Feliks popędził w strugach deszczu do domu w Grzmiącej, ale nikogo już tam nie zastał. Od tamtej pory przez wiele miesięcy prawie nie spał i nie jadł, próbując odnaleźć morderców Magdy i Nadii, ale Pierwszy przepadł niczym kamień w wodę, Feliks nawet zaczął się zastanawiać, czy w ogóle żyje. Blank wraz ze swoimi potępieńcami jakby zapadł się pod ziemię.

Feliks dopiero niedawno wrócił do domu, rozgoryczony, zawiedziony i całkowicie bezsilny.

Wracając z zakupów, pogrążony w ponurych rozmyślaniach, wybrał dłuższą drogę, żeby tylko nie przechodzić koło księgarni. Był świadkiem tylu śmierci w wielu wcieleniach, ale w głębi ducha wiedział, że żadna z nich nie bolała go tak bardzo jak śmierć Magdy.

Idąc przez park pełen kwitnących krzewów i kwiatów, zobaczył przed sobą samotną postać siedzącą na ławce i szurającą butami po piasku. Dopiero gdy chłopak podniósł wzrok i spojrział prosto na niego, Feliks rozpoznał w nim Aleksa.

– Cześć – odezwał się nastolatek.

Żniwiarz skinął mu głową, a potem – nie wiedząc, dlaczego to robił – ściągnął z ramion plecak, postawił go na ziemi i usiadł obok chłopaka.

– Jak tam? – zapytał.

– W porządku.

– Widziałeś ostatnio jakichś nawich?

Choć Aleks nie miał wrodzonego daru, po spotkaniu z bezkostem stał się nieco bardziej wrażliwy na upiory.

– Nie. – Chłopak pokręcił głową.

– To dobrze.

– Brakuje mi jej, wiesz? – Aleks odezwał się po dłuższej chwili milczenia. – Nie byliśmy bliskimi przyjaciółmi, ale mam wrażenie, że ten świat jest bez niej taki... pusty.

Feliks pokiwał głową.

Obaj zapatrzyli się w milczeniu na dzieci biegające wesoło wokół fontanny.

– A co z...? – Feliks przerwał milczenie, ale nie potrafił zdobyć się na wypowiedzenie jego imienia.

– Mateuszem? Wyprowadził się już dawno temu. Rodzice mówią, że nie potrafił pogodzić się ze śmiercią Magdy, ale ja myślę, że on do końca tego wszystkiego nie rozumiał...

– Skąd wiesz?

– Powiedział mi. Kiedy przyszedł rok temu cały przemoknięty i obszarpany, tylko ja byłem w domu. I tylko ja potrafiłem mu powiedzieć, co robił przez ostatnie miesiące. Niewiele pamiętał z tego wszystkiego. To ja musiałem opowiedzieć mu o śmierci naszych dziadków. Był zdruzgotany, choć powoli chyba przypominał sobie to wszystko. Potem opowiedziałem mu o Magdzie... Nie wiem, czy w ogóle ją pamiętał. W głowie miał mętlik, aż było mi go żal. Powiedział, że ten... facet siedział mu w głowie przez tyle czasu, że niemal zapomniał, jak to jest być sobą. Czy on naprawdę mordował innych, takich jak ty?

– Tak. On był pierwszym żniwiarzem i z jakichś powodów zabijał swoich pobratymców.

– I co się z nim stało?

– Magdzie jakimś cudem udało się go wypędzić z ciała Mateusza. Albo sam odszedł. Nie wiem. Próbowałem go znaleźć, ale mi się nie udało.

– Kilka tygodni temu dzwoniłem do Mateusza – odezwał się Aleks. – Nie chciał rozmawiać o sobie. Wypytywał tylko o to, co ja robię i czy jestem bezpieczny. Myślisz, że kiedykolwiek będzie mógł normalnie żyć?

Feliks zerknął na wyczekująco wpatzonego w niego chłopca.

– Nie wydaje mi się. Nie po tym, co przeżył. Ty też już nigdy nie spojrzysz na świat tak samo.

– Wiem, ale jakoś mi to nie przeszkadza.

Żniwiarz wstał i poklepał nastolatka w ramię.

– Trzymaj się – powiedział. – A jakbyś kiedykolwiek miał jakieś problemy, daj znać.

– Pewnie, dzięki.

Feliks poszedł do domu.

Jego ogródek był zupełnie zapuszczony, a w samym domu panował okropny bałagan. Przecież nikt go nie odwiedzał, więc nie musiał dbać o porządek. I tak nie posprzątałby tak dokładnie jak Magda. Rozpakował zakupy i usiadł w fotelu w salonie, bezmyślnie wpatrując się w pustkę przed sobą. W tym samym miejscu zastała go noc. Ledwie zwlókł się z fotela, żeby zapalić świeczkę stojącą na stole. Od roku prawie wcale nie zapalał światła, woląc trwać w mroku.

Zgasił zapałkę, kiedy nagle usłyszał coś na zewnątrz. Wyostrzony słuch żniwiarza wyłapał skrzypnięcie bramki, kroki na ścieżce wiodącej do domu i zgrzyt przesuwanej cegły w murku. A potem rozległ się chrobot klucza przekręcanego w zamku.

Feliks wyszedł na korytarz, chwytając po drodze metalowy pręt. Tylko najbliższa rodzina wiedziała o skrytce na klucz w murku przy drzwiach. Ale rodzina nie wpadała o tej porze w odwiedziny.

Zaskrzypiały zawiasy w drzwiach, które miał naoliwić już dawno temu. Ktoś wszedł cicho do środka. Przez chwilę obca ręka macała ścianę, aż w końcu natrafiła na włącznik.

Korytarz zalała fala jaskrawego światła.

Feliks ujrzał przed sobą wysoką, szczupłą blondynkę o długich, pofalowanych włosach. Miała na sobie obcisłe spodnie i skórzaną kurtkę. A spod gęstych, ciemnych rzęs patrzyły na niego intensywnie zielone oczy.

Przez ułamek sekundy zdający się trwać wieczność mierzyli siebie wzrokiem, zastanawiając się, jaki powinien być ich następny ruch.

Wtem dziewczyna uniosła obie dłonie.

– To ja – powiedziała nieco wyzywająco.

Feliks przekrzywił głowę, nie spuszczać z niej oczu.

– Magda – dodała.

Pręt wypadł z bezwładnej dłoni i uderzył z łoskotem o podłogę.

– Nie gap się tak – skarciła go. – Mam nadzieję, że zrobiłeś zakupy, bo umieram z głodu.

Wyminęła go, jak gdyby nigdy nic, i skierowała się do kuchni. Odruchowo zapaliła światło i zajrzała do lodówki.

– Bieda – stwierdziła, ale wtem jej wzrok padł na talerz pełen kotletów schabowych. – No, to ja rozumiem.

– Magda? – Feliks stanął w drzwiach. – Ale jak...? Przecież ty... To niemożliwe!

– Uwierz, że mnie też nieźle siekło, kiedy się zorientowałam – zapewniła z pełnymi ustami.

– Ale minął rok!

– No i? Początki bycia żniwiarzem nie są takie łatwe.

Feliks, wciąż nie wierząc temu, co widzi, przeszedł kilka kroków w stronę stołu i osunął się na krzesło.

– Nie mogłaś zostać żniwiarzem – szepnął.

– A jednak. Dla chcącego nic trudnego. I mam nawet tatuaż, wiesz?

Feliks przetarł dłońmi twarz, ale dziewczyna wcale nie zniknęła z jego kuchni. To nie mogła być jego Madzia. Nie, ta wysoka, umięśniona blondynka, tak butna i pewna siebie, musiała być złudzeniem. Pewnie przysnął w fotelu. Zaraz się obudzi...

Pochłonawszy kotlety, dziewczyna znów zajrzała do lodówki.

– Nie masz piwa – stwierdziła z zawodem. – A szkoda, choć tobie pewnie przydałoby się coś mocniejszego. – Odwróciła się w jego stronę i uśmiechnęła zaczepnie.

– Ale Pierwszy... – zaczął Feliks.

– Drań. Jeszcze z nim nie skończyłam.

Żniwiarz podniósł na nią spojrzenie.

– No co? Sukinsyn najpierw sprawił, że się w nim zakochałam, a potem zabił mnie w moje własne urodziny. Nie puszczę mu tego płazem.

– Co zamierzasz? – zapytał Feliks.

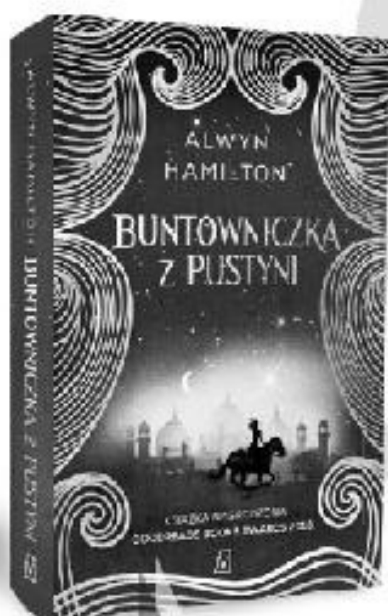
– Najpierw pójdziemy do moich rodziców, przekazać im dobre wieści – odparła, nieco się krzywiąc. – Hurra, ich córka żyje... Ty im to powiesz. – Podniosła ze stołu nóż, wbiła ostrze w jabłko leżące w miseczce i przez chwilę się mu przyglądała. – A potem znajdziemy drania i odeślemy do Nawii. Tym razem na stałe.

– Wiesz jak?

Magda wgrzyła się w owoc.

– Nie mam pojęcia. Ale na jego miejscu już zaczęłabym się bać.

ZAPOMNIJCIE  
O IGRZYSKACH  
ŚMIERCI  
I WIĘZNIU  
LABIRYNTU.



KSIĄŻKA  
NAGRODZONA  
GOODREADS  
CHOICE  
AWARDS 2016

LEGENDA  
ANDUMENII GŁOSI,  
ŻE GENERAŁOWIE  
POWSTANĄ,  
GDY OJCZYŻNA  
BĘDZIE W POTRZEBIE...



## *Spis treści*

[Rozdział 1](#)

[Rozdział 2](#)

[Rozdział 3](#)

[Rozdział 4](#)

[Rozdział 5](#)

[Rozdział 6](#)

[Rozdział 7](#)

[Rozdział 8](#)

[Rozdział 9](#)

[Rozdział 10](#)

[Rozdział 11](#)

[Rozdział 12](#)

[Rozdział 13](#)

[Rozdział 14](#)

[Niecały rok później](#)

[Polecamy](#)